



Juliusz Verne

Tajemnicza wyspa (Część druga)



ISBN 978-83-66268-00-5 (całość)

ISBN 978-83-66268-02-9 (cz. 2)

L'ILE MYSTERIEUSE

PAR Jules VERNE

154 Dessins

par J. YERAT



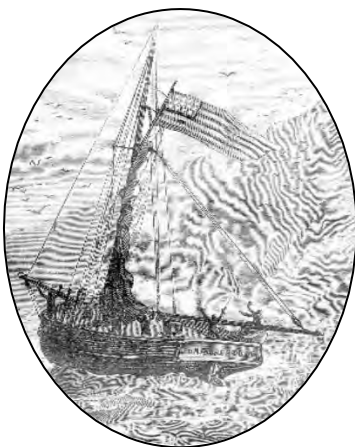
PAR H. BARBET

Juliusz Verne

TAJEMNICZA WYSPA

**Część druga
Porzucony**

Juliusz Verne



TAJEMNICZA WYSPA

Część druga
Porzucony

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sześćdziesiąta czwarta publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:

L'Île mystérieuse

© Copyright for the Polish translation
by Andrzej Zydorczak, 2019

155 ilustracji, w tym 18 kolorowych oraz mapka wyspy:
Jules-Descartes Férat

(zaczepniętych z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Ilustracje i mapkę podkolorował: Dariusz Kocurek

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I

© **Wydawca: JAMAKASZ**

Ruda Śląska 2019

ISBN 978-83-66268-00-5 (całość)
ISBN 978-83-66268-02-9 (część druga)

Rozdział I

Sprawa ziarnka ołowiu – Budowa pirogi – Polowania
– Na szczycie kauri¹ – Nic nie świadczy o obecności
człowieka – Połów Naba i Harberta – Odwrócony żółt
– Żółt znika – Wyjaśnienie Cyrusa Smitha

U płynęło, dzień po dniu, siedem miesięcy od chwili, kiedy pasażerowie balonu zostali wyrzuceni na Wyspę Lincolna. W tym czasie, pomimo prowadzonych poszukiwań, nie natrafili na żaden ślad ludzkiej istoty. Nigdy żaden dym nie zdradził obecności człowieka na powierzchni wyspy. Nigdzie nie było śladów pracy ludzkich rąk, świadczących o jego choćby chwilowej bytności ani w przeszłości, ani obecnie. Wyspa nie tylko wydawała się bezлюдna, ale należało też sądzić, że nigdy nie była zamieszkana. Tymczasem teraz całe rusztowanie dedukcyjnych wniosków zawaliło się wobec zwykłego ziarnka metalu znalezionej w ciele nieszkodliwego gryzonia!

Było oczywiste, że ołów musiał pochodzić z broni palnej, a któż inny jak nie człowiek mógłby się nią posłużyć?

Gdy Pencroff położył ziarnko ołowiu na stole, towarzysze przyglądali mu się z wielkim zaskoczeniem. W swych umysłach zdali sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji tego zdania, tak znacznego pomimo swej błahości. Nawet pojawienie się nagle jakiejś nadprzyrodzonej istoty nie wywarłoby na nich większego wrażenia.

¹ *Kauri* (*Agatus australis*) – wiecznie zielone drzewo z rodziny sosnowatych (*Pinaceae*) występujące głównie na terenie Nowej Zelandii; także drewno i żywica pozyskiwane z tego drzewa.

Cyrus Smith nie zawahał się przed sformułowaniem hipotez, które od razu mu się nasunęły w związku z tak zadziwiającym i nieoczekiwanym wydarzeniem. Wziął ziarenko ołowiu pomiędzy kciuk a palec wskazujący, poobracał na wszystkie strony, dokładnie pooglądał.

– Czy jest pan w stanie potwierdzić – spytał Pencroffa – że pekari zranione tym ziarnkiem śrutu miało nie więcej niż trzy miesiące?

– Najwyżej tyle, panie Cyrusie – odparł Pencroff. – Gdy znalazłem je w dole, ssało jeszcze mleko swej matki.

– No cóż – powiedział inżynier – to by dowodziło, że nie dalej jak trzy miesiące temu na Wyspie Lincoln strzelano z broni palnej.

– A to ziarenko ołowiu – dodał Gedeon Spilett – dosięgło tego małego zwierzęcia, ale nie raniło go śmiertelnie.

– To nie ulega wątpliwości – stwierdził Cyrus Smith. – A oto jakie konsekwencje można wywnioskować z tego zdarzenia: albo wyspa była zamieszkała już przed naszym przybyciem, albo maksymalnie przed trzema miesiącami pojawili się na niej ludzie. Czy przybyli tutaj dobrowolnie, czy też przypadkiem, z powodu przybicia do brzegu statku lub jego katastrofy? Tę sprawę może uda się nam później wyjaśnić. Jeśli chodzi o to, kim są, Europejczykami czy Malajami¹, wrogami czy przyjaciółmi naszej rasy, nic nie pozwala nam tego stwierdzić. Czy mieszkają jeszcze na wyspie, czy też już ją opuścili – tego też nie wiemy. Wszakże te kwestie nazbyt bezpośrednio nas dotyczą, żebyśmy mogli dłużej trwać w niepewności.

– Nie! Po stokroć nie! Po tysiackroć nie! – zawołał marynarz, zrywając się od stołu. – Na Wyspie Lincoln nie ma innych lu-

¹ *Malajowie* – zróżnicowana grupa etniczna zamieszkująca Archipelag Malajski, stanowiąca większość w Malesji, Indonezji, południowej Tajlandii, posługująca się językiem malajskim.



– Popatrz dobrze, Nabie, a jeśli w tej szczęce znajdziesz jakiś spróchniały ząb, dam ich sobie wyrwać pół tuzina!

dzi! Do diabła! Wyspa nie jest zbyt wielka i gdyby była zamieszka-
kana, już dawno spostrzeżelibyśmy kilku jej mieszkańców!

– Istotnie, gdyby bowiem było przeciwnie, byłoby to niezwykle
zadziwiające – powiedział Harbert.

– Przypuszczam, że byłoby jeszcze bardziej zadziwiające, gdy-
by pekari urodziło się z ziarnkiem ołowiu w ciele! – zauważył
reporter.

– Chyba że Pencroff je miał... – powiedział poważnie Nab.

– Coś takiego, Nabie! – przerwał mu marynarz. – Czyżbym,
zupełnie tego nie zauważając, miał od pięciu czy sześciu mie-
sięcy nosić ziarnko ołowiu w szczęce?! Gdzie miałyby się ono
schować? – dodał marynarz, otwierając usta w taki sposób, by
pokazać swoje okazałe trzydzieści dwa zęby, które je obramo-
wywały. – Popatrz dobrze, Nabie, a jeśli w tej szczęce znaj-
dziesz jakiś spróchniały ząb, dam ich sobie wyrwać pół tuzina!

– Hipoteza Naba jest rzeczywiście nie do przyjęcia – stwier-
dził Cyrus Smith, który mimo powagi sytuacji nie potrafił się
powstrzymać od uśmiechu. – Nie ulega wątpliwości, że w cią-
gu ostatnich trzech miesięcy strzelano tu z broni palnej. Jednak
skłonny jestem przypuszczać, że te ludzkie istoty, które wylą-
dowały na tym wybrzeżu, kimkolwiek były, to nie przebywały
tutaj długo i dawno już odpłynęły, gdyż wówczas kiedy oglądali-
śmy wyspę ze szczytu Góry Franklina, była ona niezamieszka-
na. Musielibyśmy bowiem zauważyć te istoty lub sami zostaliby-
śmy przez nie zauważeni. Jestem zatem prawdopodobnie, że
zaledwie kilka tygodni temu jacyś rozbitkowie zostali wyrzu-
ceni na to wybrzeże przez burzę. Niezależnie od tego, co się wy-
darzyło, ważne jest, byśmy się dowiedzieli, jaka jest prawda.

– Myślę, że powinniśmy działać z wielką ostrożnością – po-
wiedział reporter.

– Jestem tego samego zdania – odparł Cyrus Smith – ponie-
waż na nasze nieszczęście musimy żywić obawy, że na wyspie
pojawił się malajscy piraci!

– Panie Cyrusie – spytał wówczas marynarz – czy nie byłoby rozsądniej przed wyruszeniem na rekonesans zbudować łódkę, która pozwoliłaby nam czy to popłynąć w górę rzeki, czy w razie potrzeby opłynąć wyspę? Nie możemy zostać zaskoczeni.

– Twój pomysł jest dobry, Pencroff – odpowiedział inżynier – ale nie możemy czekać. Otóż na zbudowanie łodzi potrzebujemy co najmniej miesiąca...

– Prawdziwej łodzi, tak – zgodził się marynarz. – Ale my nie potrzebujemy statku, który miałby pływać po morzu, a ja w maksymalnie pięć dni jestem w stanie zbudować pirogę mogącą żeglować po Mercy River.

– Zbudować łódź w pięć dni?! – zawołał zdziwiony Nab.

– Tak, Nabie, łódź na modłę indiańską.

– Z drewna? – zapytał Murzyn z niedowierzającym wyrazem twarzy.

– Z drewna – odpowiedział Pencroff – a raczej z kory. Powtarzam, panie Cyrusie, że w pięć dni sprawa będzie załatwiona!

– Jeśli w pięć dni, to zgoda! – odparł inżynier.

– Jednak do tego czasu musimy zachować daleko posuniętą ostrożność! – zauważył Harbert.

– Wielką ostrożność, moi przyjaciele – przytaknął Cyrus Smith. – I bardzo was proszę, byście ograniczyli swoje wyprawy myśliwskie do okolic Granitowego Pałacu.

Obiad skończył się w mniej wesołej atmosferze, niż tego pragnął Pencroff.

Oto więc wyspa jest, lub też była, zamieszкана nie tylko przez osadników, ale i przez innych, obcych ludzi. Od czasu incydentu z ziarnkiem ołowiu stało się to niezaprzeczalnym faktem, a taka prawda wzbudzała żywy niepokój wyspiarzy.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett przed udaniem się na spoczynek długo rozmawiali o tych wszystkich sprawach. Zastanawia-

li się, czy przypadkiem zdarzenie to nie mogło mieć jakiegoś związku z niewytłumaczalnymi okolicznościami ocalenia inżyniera i innymi dziwnymi sytuacjami, które niejednokrotnie dawały im do myślenia. Tymczasem Cyrus Smith, po rozważeniu wszystkich za i przeciw, rzekł:

– Podsumowując, czy chce pan poznać moje zdanie, drogi panie Spilett?

– Tak, Cyrusie.

– Oto ono: nawet jeśli bardzo drobiazgowo przeszukamy wyspę, to i tak niczego nie znajdziemy!

Następnego dnia Pencroff wziął się do pracy. Nie miał zamiaru budować łodzi z wręgami¹ i drewnianym poszyciem, lecz po prostu pływające urządzenie o płaskim dnie, które nadawałoby się do pływania po Rzece Dziękczynienia, zwłaszcza w pobliżu jej źródeł, gdzie woda nie była głęboka. Kawałki kory, pozszywane jedne z drugimi, musiały wystarczyć do stworzenia lekkiej łódki, którą w razie potrzeby, w przypadku przeszkód stworzonych przez samą naturę, dałoby się przenieść, więc nie mogła być ani ciężka, ani niewygodna. Pencroff miał zamiar połączyć zanitowanymi gwoździami pasy kory, żeby warstwy, które szczelnie przylegałyby do siebie, uczyniły ten pływający aparat wodoszczelnym.

Teraz chodziło o to, by wybrać drzewa, których kora, giętka i trwała, byłaby odpowiednia do tego celu. Otóż tak się szczęśliwie złożyło, że ostatni huragan powalił pewną liczbę douglasów, które nadawały się idealnie do tego rodzaju konstrukcji. Kilka tych jodeł leżało na ziemi i wystarczyło jedynie zedrzeć z nich korę, ale to właśnie było najtrudniejsze zadanie, biorąc pod uwagę niedoskonałość narzędzi, jakie posiadali koloniści. W końcu jednak udało im się z tym uporać.

¹ *Wręga* – podstawowy element konstrukcyjny statku (poprzeczny), nadający mu sztywność.

Podczas gdy marynarz wspomagany przez inżyniera zajmowali się tą pracą, nie tracąc ani jednej godziny, Gedeon Spilett i Harbert nie pozostawali bezczynni, lecz zajęli się zaopatrzeniem kolonii w żywność. Reporter nie przestawał podziwiać młodego chłopca, który nabył niesłychanej zręczności w posługiwaniu się łukiem i oszczepem. Harbert wykazywał się również sporą odwagą i opanowaniem, co można by nazwać „rozważną brawurą”. Poza tym dwaj myśliwi wzięli pod uwagę zalecenia Cyrusa Smitha i nie oddalali się bardziej niż na dwie mile od Granitowego Pałacu. Na szczęście obrzeża lasu dostarczały wystarczającego haraczu w postaci aguti, kapibar, kangurów i pekari, a nawet jeśli w pułapki łąpało się coraz mniej zwierząt ze względu na ustanie mrozów, to przynajmniej królikarnia dostarczała swój zwykły kontyngent mięsa, którym można by wykarmić całą kolonię Wyspy Lincolna.

Podczas tych polowań Harbert często rozmawiał z Gedeonem Spilettem o incydencie z ziarnkiem ołowiu i o wnioskach, jakie wyciągnął z niego inżynier. Pewnego dnia – a było to dwudziestego szóstego października – powiedział do reportera:

– Panie Spilett, czy nie wydaje się panu czymś nadzwyczajnym, że jeśli kilku rozbitków znalazło się na tej wyspie, to do tej pory nie pokazali się oni jeszcze w pobliżu Granitowego Pałacu?

– Byłoby to bardzo zadziwiające, gdyby nadal się tu znajdowali – odpowiedział reporter – lecz jest zupełnie normalne, skoro już ich tu nie ma!

– Zatem myśli pan, że ci ludzie już opuścili wyspę? – dociękał Harbert.

– To bardziej niż prawdopodobne, mój chłopcze, ponieważ gdyby ich pobyt się przedłużył, a zwłaszcza gdyby wciąż tu byli, w końcu jakieś zdarzenie musiałyby zdradzić ich obecność.

– Skoro jednak mogli odpłynąć – zauważył chłopiec – to przecież nie byli rozbitkami.

– Nie, Harbercie, a przynajmniej byliby kimś, kogo nazwałbym tymczasowymi rozbitkami. Rzeczywiście jest bardzo możliwe, że jakiś szkwał rzucił ich na wyspę, ale nie uszkodził statku, i kiedy burza ucichła, ponownie wypłynęli na morze.

– Jedną rzecz należy przyznać – powiedział Harbert – taką mianowicie, że pan Smith zawsze raczej wydawał się obawiać niż życzyć sobie obecności innych ludzi na naszej wyspie.

– Faktycznie – przyznał reporter – uważa bowiem, że tylko Malajowie mogą odwiedzać te morza, a tych dżentelmenów, będących niegodziwymi łotrami, najlepiej unikać.

– Czy nie jest możliwe, panie Spilett – mówił dalej Harbert – że tego czy innego dnia natrafimy na ślady ich wylądowania i będzie wiadomo, jak się sprawa miała?

– Nie mówię nie, mój chłopcze. Opuszczone obozowisko lub zgaszone ognisko pozwoli nam wpaść na trop, a tego właśnie spodziewamy się po naszej najbliższej wyprawie.

Tego dnia, w którym dwaj myśliwi prowadzili tę rozmowę, znajdowali się oni w części lasu sąsiadującej z Rzeką Dziękczynienia, godnej uwagi z powodu przepięknych drzew. Między innymi wznosiło się tam na wysokość niemal dwustu stóp nad ziemię kilka okazałych drzew iglastych, którym tubylcy z Nowej Zelandii nadali nazwę kauri.

– Mam pomysł, panie Spilett – powiedział Harbert. – Gdybym tak wspiął się na szczyt jednego z tych kauri, to czy nie mógłbym przyjrzeć się okolicy w dość dużym promieniu?

– Dobry pomysł – odparł reporter – ale czy rzeczywiście dasz radę wejść aż na wierzchołek jednego z tych olbrzymów?

– Zawsze mogę spróbować – odpowiedział Harbert.

Zwinny i żwawy chłopiec zaraz wspiął się na pierwsze gałęzie, których ułożenie czyniło dość łatwą wspinaczkę po kauri,

i po kilku minutach dotarł na sam wierzchołek wysuwający się ponad olbrzymią równinę zieleni utworzonej przez korony drzew.

Z tego wyniosłego punktu mógł ogarnąć spojrzeniem całą południową część wyspy, od Przylądka Pazura na południowym wschodzie po Cypel Gada na południowym zachodzie. Na północnym zachodzie wznosiła się Góra Franklina, która zasłaniała ponad jedną czwartą linii horyzontu.

Jednak Harbert ze swego wysokiego punktu obserwacyjnego mógł dokładnie zobaczyć tę jeszcze nieznaną część wyspy, mogącą dać albo dającą schronienie obcym przybyszom, których obecność na wyspie podejrzewano.

Młody chłopiec rozglądał się z najwyższą uwagą. Początkowo po morzu, nic tam jednak nie zobaczył. Nie było żadnego żagla ani na horyzoncie, ani na wodach przybrzeżnych wyspy. Ponieważ jednak masyw drzew zasłaniał wybrzeże, było możliwe, że jakiś statek, zwłaszcza statek pozbawiony omasztowania, podpłynął bardzo blisko do brzegu i Harbert nie mógł go dostrzec.

Pośrodku Lasów Dzikiego Zachodu również nic nie było widać. Las tworzył nieprzenikloną kopułę mierzącą wiele mil kwadratowych, bez jakiegokolwiek polany czy prześwitu. Nie można było nawet śledzić biegu Mercy River ani dostrzec tego fragmentu góry, gdzie brała swój początek. Było możliwe, że na zachód płynęły jeszcze jakieś inne strumienie, lecz nic takiego nie udało się stwierdzić.

Nawet gdyby Harbertowi nie udało się dostrzec obozowiska, to może przynajmniej jakiś dym w powietrzu zdradzi obecność człowieka? Atmosfera była czysta, więc najmniejsza mgiełka wyraźnie by się odcinała na tle nieba.

Przez chwilę Harbertowi wydawało się, że widzi lekki dymek unoszący się na zachodzie, lecz gdy przyjrzał się dokładniej, doszedł do wniosku, że się pomylił. Rozglądał się z naj-

wyższą uwagą, a wzrok miał bardzo dobry... Nie, z całą pewnością niczego tam nie było.

Harbert zszedł do podnóża kauri i obaj myśliwi powrócili do Granite House. Tam Cyrus Smith, wysłuchawszy opowieści chłopca, pokręcił głową, lecz nic nie powiedział. Było oczywiste, że nie zamierzał zajmować stanowiska w tej kwestii przed dokładnym zbadaniem całej wyspy.

Dwa dni później – dwudziestego ósmego października – miało miejsce inne tajemnicze zdarzenie, którego nie dało się do końca wyjaśnić.

Przechadzając się po wybrzeżu dwie mile od Granitowego Pałacu, Harbert i Nab mieli trochę szczęścia, gdyż złapali wspinały okaz żółwia z rzędu żółwi morskich. Był to żółw zielony, ów żółw z gatunku *mydas*, którego karapaks¹ lśnił zachwycającymi zielonymi refleksami.

Harbert dostrzegł to zwierzę, gdy przemykało się pomiędzy skałami, by dotrzeć do morza.

– Do mnie, Nabie! Do mnie! – krzyczał.

Nadbiegł Nab.

– Cóż za piękne zwierzę! – zawołał. – Lecz jak je złapać?

– To bardzo proste, Nabie – odparł Harbert. – Odwrócimy tego żółwia na grzbiet, przez co nie będzie mógł uciec. Weź oszczep i rób to, co ja.

Żółw, przeczuwając niebezpieczeństwo, schował się pomiędzy karapaks a plastron². Nie widać było ani jego łba, ani łap, a przy tym zastygł w bezruchu niczym skała³.

¹ Żółwie morskie stanowią nie rząd, lecz rodzinę *Cheloniidae*; żółw zielony (żółw jadalny, *Chelonia mydas*) – gatunek roślinożernego gada o masie do 500 kg, zamieszkujący wszystkie ciepłe morza i oceany strefy równikowej; karapaks – grzbietowa część szkieletu (górną skorupą) żółwi.

² Plastron – prawie płaska brzuszna część pancerza żółwi, zbudowana z płytek kostnych i rogowych; niektóre rodziny mają pomiędzy karapaksem a plastronem zawias pozwalający żółwiowi prawie zupełnie złączyć obie części.

³ Żółwie morskie nie mogą wciągnąć łba, odnóży i ogona do skorupy, tak jak to czynią żółwie z innych rodzin.



– Świetnie! – wykrzyknął Nab. – Ten zwierzak bardzo ucieszy
naszego przyjaciela Pencroffa!

Wtedy Harbert i Nab wsunęli kije pod mostek zwierzęcia i wspólnymi siłami, choć nie bez trudności, zdołali przewrócić je na grzbiet. Żółw, mający około trzech stóp długości, musiał ważyć przynajmniej czterysta funtów.

– Świetnie! – wykrzyknął Nab. – Ten zwierzak bardzo ucieszy naszego przyjaciela Pencroffa!

Rzeczywiście, przyjaciel Pencroff musiałby być zadowolony, gdyż mięso żółwi z tego gatunku, który żywi się trawami morskimi, jest wyjątkowo smaczne. W tej chwili widać było tylko jego mały spłaszczony łeb, rozszerzający się dalej z powodu wielkich dołów skroniowych, ukrytych pod kościstym sklepieniem¹.

– Co teraz zrobimy z naszą zdobyczą? – spytał Nab. – Nie damy rady przeciągnąć go do Granitowego Pałacu!

– Zostawmy ją tutaj, skoro i tak nie może się odwrócić – powiedział Harbert. – Wrócimy po nią z wózkiem.

– Rozumiem.

Niemniej jednak Harbert zastosował jeszcze dodatkowy środek ostrożności i obłożył zwierzę dużymi kamieniami, co Nab uznał za zupełnie zbędne. Następnie dwaj myśliwi powrócili do Granitowego Pałacu, idąc wzdłuż piaszczystego wybrzeża, które odsłoniło się szeroko z powodu postępującego odpływu. Harbert, chcąc zrobić Pencroffowi niespodziankę, nic mu nie wspomniał o wspomniałym okazie żółwia morskiego, którego zostawił przewróconego na piasku. Kiedy dwie godziny później razem z Nabem powrócili na miejsce z wózkiem, po „wspomniałym okazie żółwia morskiego” nie pozostało ani śladu.

¹ *Doły skroniowe* – wycięcia w kostnej czaszce kręgowców, dzięki którym w toku ewolucji mięśnie żujące mogły zostać przeniesione z wnętrza na zewnątrz czaszki; dzięki temu mogły się rozwinąć duże powierzchnie dla przyczepu mięśni i silny zgryz, a wolna przestrzeń we wnętrzu czaszki mogła być wykorzystana na powiększenie mózgu; żółwie nie posiadają takich wycięć, ale mogą się pojawić „doły skroniowe”, jak przy gruczołach solnych żółwi morskich (otwór podoczodołowy między oczami) i to ostatnie J. Verne miał chyba na myśli.

Nab i Harbert najpierw popatrzyli na siebie, a później rozejrzeli się wokół. To było na pewno to miejsce, w którym pozostawili żółwia. Chłopiec znalazł nawet kamienie, którymi go otoczył, więc był przekonany, że nie mógł się pomylić.

– Coś takiego! – powiedział Nab. – Więc te zwierzaki mogą się same odwrócić?

– Na to wygląda – odparł Harbert, nic z tego nie rozumiejąc i przyglądając się porzrzuconym na piasku kamieniom.

– No cóż, nie uszczęśliwimy Pencroffa!

„A panu Smithowi trudno będzie wyjaśnić to tajemnicze zniknięcie!” – pomyślał Harbert.

– Nikomu o tym nie powiemy – rzekł Nab, który chciał ukryć tę niemiłą przygodę.

– Przeciwnie, Nabie, musimy o tym powiedzieć – odrzekł Harbert.

Następnie obaj, ciągnąc wózek, który niepotrzebnie z sobą zabrali, powrócili do Granitowego Pałacu.

Przybywszy do „stoczni”, gdzie inżynier i marynarz zajęci byli pracą, Harbert opowiedział, co im się przydarzyło.

– Ach, co za niezdary! – zawołał marynarz. – Pozwolić uciec co najmniej pięćdziesięciu zupom!

– Ależ, Pencroff – odparł Nab – to nie nasza wina, że zwierzę uciekło! Przecież mówię ci, że odwróciliśmy je na grzbiet!

– Zatem niewystarczająco dobrze je odwróciliście! – odparł nieprzejednany marynarz.

– Nie dość dobrze! – wykrzyknął Harbert, po czym opowiedział, jak dodatkowo obłożył żółwia kamieniami.

– W takim razie stał się cud! – stwierdził Pencroff.

– Sądziłem, panie Cyrusie – powiedział Harbert – że żółwie raz odwrócone na grzbiet nie potrafią ponownie stanąć na łapach, szczególnie jeśli są okazałych rozmiarów.

– To prawda, moje dziecko – odparł Cyrus Smith.

– Więc jak to się mogło stać...?

– W jakiej odległości od morza zostawiliście tego żółwia? – zapytał inżynier, który przerwawszy pracę, zaczął się zastanawiać nad tym incydentem.

– Maksymalnie jakieś piętnaście stóp – odrzekł Harbert.

– Czy wówczas był odpływ?

– Tak, panie Cyrusie.

– No cóż – odpowiedział inżynier – to, czego żółw nie potrafi zrobić na piasku, być może zdołał uczynić w wodzie. Kiedy dosięgnęła go fala przyływu, udało mu się odwrócić, i spokojnie popłynął na pełne morze¹.

– Ach, ale z nas niezdary! – zawołał Nab.

– Właśnie to miałem zaszczyt wam powiedzieć! – przypomniał Pencroff.

Cyrus Smith podał wyjaśnienie, które niewątpliwie było do przyjęcia. Czy jednak sam był przekonany o jego słuszności? Trudno byłoby tak twierdzić.



¹ Prawie identyczna sytuacja została opisana w powieści *Dwa lata wakacji*.

Rozdział II

Pierwszy test pirogi – Szczątek na wybrzeżu – Holowanie
– Cypel Szczątki – Zawartość skrzyni: narzędzia, broń,
instrumenty, odzież, książki, przybory – Czego brakuje
Pencroffowi – Ewangelia – Werset z Pisma Świętego

Dwudziestego dziewiątego października łódka z kory była ukończona. Pencroff dotrzymał obietnicy i w ciągu pięciu dni zbudował coś w rodzaju pirogi, której kadłub opierał się na szkielecie z giętkich gałęzi crejimby. Jedna ławka w tylnej części, druga pośrodku dla utrzymania rozstawu burt, trzecie siedzenie z przodu, poręcz nadburcia służące do przymocowania dulek¹ dla dwóch wiosł oraz śrubówka² do sterowania stanowiły wyposażenie łódki o długości dwunastu stóp i wadze mniej niż dwieście funtów. Jeśli chodzi o operację wodowania, to sprawa była prosta. Lekka piroga została przeniesiona na piasek i ułożona na skraju wybrzeża przed Granitowym Pałacem, gdzie uniosła się w górę na fali przyptywu. Pencroff, który natychmiast wskoczył do środka, zaczął manewrować śrubówką, przy czym stwierdził, że jest bardzo odpowiednia do używania w celu, dla którego ją zbudowano.

– Hurra! – zawołał marynarz, który nie omieszkał się pochwalić swoim triumfem. – Można w niej płynąć dookoła...

– Świata? – spytał Gedeon Spilett.

¹ *Dulka* – element łodzi napędzanej wiosłami, służący do utrzymywania wiosła w odpowiedniej pozycji, umieszczony bezpośrednio na burcie.

² *Śrubówka* – krótkie wiosło służące do śrubkowania, napędzania łódki jedynym wiosłem zakładanym na dulce znajdującej się na środku rufy lub na stwie tylnej; także służące do sterowania.

– Nie, wyspy. Kilka kamieni na balast, maszt z przodu, kawałek żagla, który pewnego dnia zrobi dla nas pan Smith, i popłyniemy daleko! Panie Cyrusie i pan, panie Spilett, i ty, Harbercie, i ty, Nabie, czy nie macie ochoty wypróbować naszej nowej łodzi? Do diabła! Przecież musimy sprawdzić, czy zdoła unieść nas wszystkich pięciu!

Faktycznie należało przeprowadzić taki test. Pencroff jedynym ruchem śrubówki podprowadził łódkę do wybrzeża wąskim przesmykiem między skałami i ustalono, że jeszcze tego samego dnia wybiorą się na próbną przejażdżkę pirogą wzdłuż brzegu, aż do pierwszego cypla, gdzie na południu kończyły się nadbrzeżne skały.

W chwili, gdy mieli wsiadać do łódki, Nab zawołał:

– Ależ twoja łódź nieźle nabiera wody, Pencroff!

– To nic takiego, Nabie – odparł marynarz. – Drewno musi nasiąknąć! Za dwa dni wszystko będzie w porządku, a w brzuchu naszej pirogi będzie tyle wody ile w żołądku pijaka. Wsiadajcie!

Wsiedli więc i Pencroff wyprowadził łódź na pełne morze. Pogoda była przepiękna, morze spokojne jak gdyby jego wody zamykały się między brzegami wąskiego jeziora, a piroga mogła się poruszać tak bezpiecznie, jakby unosił ją spokojny nurt Mercy River.

Nab chwycił za jedno wiosło, Harbert za drugie, a Pencroff pozostał w tylnej części łódki, aby sterować śrubówką.

Marynarz przepłynął najpierw przez kanał i skierował ją blisko południowego krańca wysepki. Słaby wiatr wiał od południa. Ani w kanale, ani na pełnym morzu prawie nie było falowania, jedynie kilka długich fal, które piroga zaledwie odczuwała, gdyż była mocno obciążona, regularnie marszczyło powierzchnię wody. Oddalili się przeszło pół mili od brzegu, żeby mogli zobaczyć w całej okazałości Górę Franklina.

Następnie Pencroff skierował łódź w stronę ujścia rzeki. Piroga popłynęła wówczas wzdłuż wybrzeża, które zakreślało łukiem aż po cypel zasłaniający podmokłe tereny Bagien Oharów.

Odległość cypla od Rzeki Dziękczynienia była większa ze względu na zaokrągloną linię brzegową i wynosiła około trzech mil. Koloniści postanowili dopłynąć do jego krańca i nieco się tylko za niego wysunąć, aby zobaczyć, jak wygląda wybrzeże poza tym cyplem aż do Przylądka Pazura.

Łódka posuwała się więc wzdłuż wybrzeża w odległości wynoszącej maksymalnie dwa kable, unikając podwodnych skał, którymi usiane były przybrzeżne wody, i które już zaczął przykrywać przypływ. Od ujścia rzeki aż do cypla skalny mur powoli się obniżał. Było to zwałisko granitowych skał, kapryśnie rozrzuconych, o dzikim wyglądzie, bardzo się różniących od litej ściany tworzącej Płaskowyż Rozległego Widoku. Można by powiedzieć, że opróżniono tu ogromną wywrotkę pełną kamieni. Ostry cypel, ciągnący się na dwie mile w morze od krawędzi lasu i jako żywo przypominający wyglądem łapę wielkoluda wyłaniającą się z rękawa zieleni, był zupełnie pozbawiony roślinności.

Łódka, popychana dwoma wiosłami, bez problemów poruszała się do przodu. Gedeon Spilett, z ołówkiem w jednej ręce i notatnikiem w drugiej, szkicował wybrzeże. Nab, Pencroff i Harbert rozmawiali, przyglądając się nieznanym im dotąd części ich posiadłości, a w miarę jak piroga posuwała się na południe, dwa Przylądki Szczęki zdawały się przemieszczać i zamykać ściślej Zatokę Unii.

Co do Cyrusa Smitha, ten nic nie mówił, tylko patrzył, a nieufność, jaką wyrażało jego spojrzenie, sprawiała wrażenie, jakby obserwował jakąś dziwną, nieznaną krainę.

Tymczasem po trzech kwadransach żeglugi piroga dotarła prawie na sam kraniec cypla i Pencroff już się przymierzał do

opłynięcia go, gdy Harbert podniósł się i wskazując czarną plamę, spytał:

– Co tam widać na brzegu?

Wszystkie spojrzenia skierowały się we wskazanym przez niego kierunku.

– Rzeczywiście, coś tam jest! – powiedział reporter. – Można by pomyśleć, że jakiś szczątek statku na wprost zagrzebany w piasku.

– Ach! – wykrzyknął Pencroff. – Już widzę, co to jest!

– Co? – spytał Nab.

– Baryłki, baryłki! Być może pełne! – odparł marynarz.

– Do brzegu, Pencroff! – rozkazał Cyrus Smith.

Po kilku uderzeniach wiosłami piroga przybiła do brzegu w głębi niewielkiej zatoczki, a jej pasażerowie wyskoczyli na ląd.

Pencroff się nie pomylił. Były tam dwie baryłki, częściowo wcisnięte w piasek, lecz jeszcze mocno przymocowane do wielkiej skrzyni, która utrzymywana przez nie na powierzchni wody unosiła się do chwili, gdy osiadła na wybrzeżu.

– Czyżby w pobliżu wyspy doszło do jakiejś katastrofy statku? – zastanawiał się Harbert.

– Na to wygląda – odparł Gedeon Spilett.

– Co może być w tej skrzyni?! – zawołał Pencroff, wiedziony zupełnie naturalną ciekawością. – Co w niej jest? Jest zamknięta, a my nie mamy czym rozbić jej wieka! No cóż, spróbujmy kamieniami...

Marynarz podniósł ciężki kamień i już miał rozbić jedną ze ścianek skrzyni, gdy inżynier go powstrzymał.

– Pencroff – powiedział – czy możesz jeszcze na pewien czas powściągnąć swą niecierpliwość?

– Ależ, panie Cyrusie, niech pan tylko pomyśli! Może w środku jest wszystko to, czego nam brakuje!

– Dowiemy się tego, Pencroff – odparł inżynier – ale zaufaj mi i nie rozbijaj skrzyni, która może nam się jeszcze przydać. Przetransportujemy ją do Granitowego Pałacu, gdzie bez trudu ją otworzymy, wcale jej nie niszcząc. Jest jakby gotowa do podróży, a skoro dopłynęła aż do tego miejsca, równie dobrze może popłynąć jeszcze do ujścia rzeki.

– Ma pan rację, panie Cyrusie, źle chciałem zrobić – odparł marynarz – ale nie zawsze potrafię się opanować!

Rada inżyniera była mądra. Rzeczywiście, piroga nie zdołałaby pomieścić przedmiotów ukrytych prawdopodobnie w tej skrzyni, która musiał być ciężka, skoro potrzeba było aż dwóch pustych baryłek, by jej „ulżyć”. Lepiej zatem było przyholować ją na wybrzeże przed Granitowym Pałacem.

Skąd przybył ten szczątek? Było to teraz ważne pytanie. Cyrus Smith i jego towarzysze popatrzyli uważnie wokół siebie i przeszukali wybrzeże na przestrzeni kilkuset kroków. Nie było widać żadnych innych szczątków. Równie dokładnie przyjrzelili się morzu. Harbert i Nab wspięli się na wysoką skałę, ale horyzont był pusty. Jak okiem sięgnąć – nic, ani uszkodzonego statku, ani będącego pod żaglami.

Tymczasem musiało dojść tutaj do katastrofy – to nie ulegało wątpliwości. Może to zdarzenie miało jakiś związek ze znalezionym ziarnkiem ołowiu? Może jacyś obcy ludzie przybili do brzegu w innym punkcie wyspy? Może ciągle jeszcze tam byli? Kolonistom musiała się w oczywisty sposób nasunąć myśl, że ci obcy nie byli z całą pewnością malajskimi piratami, ponieważ szczątek był bez wątpienia pochodzenia bądź amerykańskiego, bądź europejskiego.

Wszyscy powrócili do skrzyni, która mierzyła pięć stóp długości i trzy szerokości. Była wykonana z dębowego drewna, bardzo starannie zamknięta i pokryta grubą skórą, przytwierdzoną



– Co może być w tej skrzyni?! – zawołał Pencroff,
wiedziony zupełnie naturalną ciekawością.

miedzianymi gwoździami. Dwie duże beczki były szczelnie zakorkowane, lecz puste, co można było stwierdzić, uderzając w nie, i przymocowane do boków skrzyni mocnymi sznurami, związanymi węzłami, które Pencroff bez trudu rozpoznał jako „węzły marynarskie”. Skrzynia wydawała się w doskonałym stanie, zapewne dzięki temu, że została wyrzucona na piaszczyste wybrzeże, a nie na rafy. Można było nawet stwierdzić, dokładnie się jej przyglądając, że niezbyt długo przebywała w wodzie oraz że od niedawna znajdowała się na brzegu. Najwyraźniej woda nie przedostała się do jej wnętrza i przedmioty, które zawierała, musiały być nietknięte.

Było oczywiste, że skrzynię wyrzucono za burtę z jakiegoś uszkodzonego statku płynącego w stronę wyspy, w nadziei, że dotrze ona do wybrzeża i będzie można ją później tam odnaleźć, a pasażerowie zatroszczyli się, by ją odciążyć za pomocą dwóch pustych baryłek.

– Odholujemy skrzynię do Granite House – powiedział inżynier – a potem zajmiemy się spisem rzeczy. Następnie, jeśli odnajdziemy na wyspie jakichś ludzi, którzy uratowali się z tej przypuszczalnej katastrofy, oddamy im to, co do nich należy. Jeśli nie znajdziemy nikogo...

– Zatrzymamy ją dla siebie! – zawołał Pencroff. – Ależ na Boga, co może być w środku?!

Fale przyływu zaczynały już dosięgać skrzyni, która przy najwyższym stanie morza powinna się unosić na wodzie. Odwiązano jeden ze sznurów łączących baryłki i użyto go jako liny holowniczej łączącej baryłki z łodzią. Następnie Nab i Pencroff, używając wiosel, odkopali nieco skrzynię z piasku, żeby ułatwić jej przesunięcie, i wkrótce piroga, holując za sobą skrzynię, zaczęła opływać cypel, któremu nadano nazwę Cypel Szczątka

(Flotsam Point)¹. Holowana paka była ciężka i baryłki z trudem utrzymywały ją na powierzchni wody. Dlatego też marynarz niepokoił się cały czas, że skrzynia może się urwać i pójść na dno. Jednak na szczęście jego obawy okazały się płonne i półtorej godziny od ruszenia w drogę, gdyż tyle czasu zajęło im pokonanie trzech mil, piroga przybiła do brzegu przed Granitowym Pałacem.

Wtedy łódkę i skrzynię wyciągnięto na piasek, i to suchą nogą, ponieważ morze już się wycofało. Nab poszedł po narzędzia, żeby za ich pomocą otworzyć skrzynię w taki sposób, by jak najmniej ją uszkodzić. Następnie mieli się zająć inwentaryzacją jej zawartości. Pencroff nawet nie próbował ukryć wielkiego podniecenia.

Marynarz zaczął od odczepienia obu baryłek, które były w całkiem niezłym stanie i co się rozumie samo przez się, mogły zostać ponownie wykorzystane. Następnie cęgami wyrwał zamki i natychmiast podniesiono wieko.

Wnętrze skrzyni okrywała druga powłoka, wykonana z ocynkowanej blachy, której oczywistym przeznaczeniem było chronienie znajdujących się w niej przedmiotów przed wilgocią w każdych okolicznościach.

– Ach! – wykrzyknął Nab. – Czyżby wewnątrz znajdowały się jakieś konserwy?

– Mam nadzieję, że nie – odparł reporter.

– Gdyby tylko był tam... – rzekł cichym głosem marynarz.

– Cóż takiego? – spytał Nab, który usłyszał jego słowa.

– Nic!

Ostona z blachy cynkowej została rozcięta na całej szerokości i odgięta na boki skrzyni. Powoli wyciągano z jej wnętrza przeróżne przedmioty o różnym przeznaczeniu, które układa-

¹ *Flotsam Point* – u J. Verne’a: Flotsam-point.

no na piasku. Przy każdej nowej rzeczy Pencroff wydawał z siebie okrzyki „hurra!”, Harbert klaskał w dłonie, a Nab tańczył... jak Murzyn. Były tam książki, z których radował się Harbert, i sprzęt kuchenny, który Nab okrywał pocałunkami!

Zresztą wszyscy koloniści wyglądali na niezmiernie zadowolonych, ponieważ w skrzyni znajdowały się również narzędzia, broń, instrumenty, ubrania i książki. Oto dokładny spis, wyszczególniony w notatniku Gedeona Spiletta:

Narzędzia

- 3 noże o kilku ostrzach
- 2 topory
- 2 siekiery ciesielskie
- 3 strugi
- 2 siekierki
- 1 ciesak¹
- 6 przecinaków ślusarskich
- 2 pilniki
- 3 młotki
- 3 świdry do drewna
- 2 świdry ręczne
- 10 woreczków gwoździ i śrub
- 3 piły różnej wielkości
- 2 pudełka igieł

Broń

- 2 fuzje skałkowe

¹ *Ciesak* (ciosła, cieślica, cioska) – narzędzie służące głównie do obrabiania pni drzew dla otrzymania wydłużonych płaszczyzn; umieszczenie ostrza prostopadle do drzewca umożliwia wygodne oddzielanie łupek gdy obrabiana powierzchnia jest równoległa np. do fundamentu budowli; używane w ciesielstwie, bednarstwie, kołodziejstwie, do naciosywania podkładów kolejowych itp.



Były tam książki, z których radował się Harbert,
i sprzęt kuchenny, który Nab okrywał pocałunkami!

- 2 fuzje z zamkiem kapiszonowym
- 2 karabiny odtylcowe¹
- 5 kordelasów
- 4 szable abordażowe²
- 2 baryłki prochu mogące zawierać po dwadzieścia pięć funtów każda
- 12 pudełek kapiszonów

Instrumenty

- 1 sekstant³
- 1 lornetka
- 1 luneta
- 1 komplet przyborów kreślarskich
- 1 busola kieszonkowa
- 1 termometr Fahrenheita

¹ W zamku skałkowym zapłon prochu na panewce następował od isker przez uderzenie skałki (krzemienia lub pirytu) o metal; w zamku kapiszonowym odpalenie następuje przy użyciu kapiszona – miedzianej miseczki zawierającej piorunian rtęci; kapiszon nakładany był na rurkę zwaną kominkiem, doprowadzającą płomień do ładunku prochowego w lufie; oba rodzaje broni były ładowane od przodu lufy (wylotu), w przeciwieństwie do późniejszych modeli, ładowanych od tyłu (wlotu) lufy, posiadających wewnętrznie zabudowany zamek.

² *Kordelas* – tutaj: długi prosty lub zakrzywiony jedno lub dwusieczny nóż myśliwski, wcześniej używany jako broń, szczególnie przez artylerzystów i marynarzy; *szabla abordażowa*, we Francji i Anglii nazywa kordelasem – krótka szabla o prostej lub zakrzywionej szerokiej głowni (części tnącej), z jednym spiczastym ostrzem i rękojeścią osłoniętą kabłąkami lub koszem; najbardziej znana z tego, że używali jej piraci, a także jeźdźcy.

³ *Sekstant* – dawny optyczny przyrząd nawigacyjny stosowany w żeglarstwie i astronomii do mierzenia wysokości ciał niebieskich nad horyzontem, a także kątów poziomych i pionowych pomiędzy obiektami widocznymi na Ziemi; najczęstszym zastosowaniem sekstantu było określenie szerokości geograficznej na podstawie pomiaru wysokości Słońca o godzinie 12 w południe czasu słonecznego lub pozycji na podstawie pomiarów wysokości gwiazd rano i wieczorem.

1 barometr aneroidowy¹

1 pudełko zawierające komplet fotograficzny: aparat, obiektyw, klisze, chemikalia itd.

Ubrania

2 tuziny koszul z dziwnej tkaniny, przypominającej wełnę, której pochodzenie musiało być jednak roślinne

3 tuziny pończoch² z tej samej materii

Sprzęt domowy:

1 żelazny imbryk

6 rondli z ocynowanej miedzi

3 półmiski blaszane

10 aluminiowych kompletów zastawy stołowej

2 czajniki

1 mały przenośny piecyk

6 noży kuchennych

Książki

1 Biblia zawierająca Stary i Nowy Testament

1 atlas

1 słownik różnych narzeczy polinezyjskich

1 słownik nauk przyrodniczych w sześciu woluminach³

¹ *Barometr aneroidowy* – przyrząd do pomiaru ciśnienia atmosferycznego; ciśnienie atmosferyczne działa na jedną (lub więcej) puszkę opróżnioną z powietrza i odpowiednio pofałdowaną (w celu uzyskania elastyczności) lub na cienkościenną, łukowo wygiętą rurkę metalową; odkształcenia puszek lub rurki są wzmacniane i przekazywane na wskazówkę pokazującą na skali wielkość ciśnienia atmosferycznego.

² *Pończochy* – nie były to pończochy w dzisiejszym rozumieniu, noszone przez kobiety, ale pończochy wełniane lub lniane, od wielu wieków będące elementem stroju męskiego, szczególnie w czasach, gdy noszono krótkie spodnie.

³ *Wolumin* – zszyty i oprawiony tom obejmujący całość dzieła, jego część lub kilka różnych dzieł; dawniej rękopisy lub teksty oprawne w grubą księgę; w starożytności zapisany zwój papirusu lub pergaminu.

3 ryzy¹ białego papieru
2 rejestry o pustych kartkach

– Należy przyznać – powiedział reporter, gdy ukończono inwentaryzację – że właściciel tej skrzyni był praktycznym człowiekiem! Narzędzia, broń, instrumenty, ubrania, sprzęt domowy, książki – niczego tu nie brakuje! Doprawdy, można by powiedzieć, że obawiał się katastrofy i z góry się na nią przygotował!

– Faktycznie, niczego nie brakuje – wyszeptał zamyślony Cyrus Smith.

– I z całą pewnością statek, na którym była wieziona skrzynia, i jej właściciel nie był piratem malajskim! – dodał Harbert.

– Chyba że właściciel dostał się do niewoli u piratów... – powiedział Pencroff.

– To niemożliwe – stwierdził reporter. – Już jest bardziej prawdopodobne, że amerykański lub europejski statek został zniesiony w te okolice, a jego pasażerowie, chcąc uratować przynajmniej niezbędne rzeczy, przygotowali tę skrzynię i wrzucili ją do morza.

– Czy pan też tak uważa, panie Cyrusie? – spytał Harbert.

– Tak, moje dziecko – przytaknął inżynier – mogło się tak zdarzyć. Możliwe, że w chwili katastrofy lub w przewidywaniu, że to nastąpi, zgromadzono w tej skrzyni różne przedmioty pierwszej potrzeby, by później odzyskać je na wybrzeżu...

– Nawet pudełko z przyborami fotograficznymi? – zauważył powątpiewająco marynarz.

– Jeśli chodzi o ten aparat – odparł Cyrus Smith – nie za bardzo widzę do czego miałby być przydatny, nam bowiem, jak każdemu innemu rozbitkowi, bardziej by się przydał większy zapas kompletnej garderoby lub większa ilość amunicji!

¹ *Ryza* – jednostka określająca liczbę arkuszy papieru; dawniej liczyła 480 arkuszy, obecnie 500 (w Austrii 1000).

– Czy jednak na tych instrumentach, narzędziach lub książkach nie ma jakiegoś znaku lub adresu, który pozwoliłby się nam zorientować, skąd pochodzą? – spytał Gedeon Spilett.

Należało to sprawdzić. Każdy przedmiot został dokładnie obejrzany, szczególnie książki, instrumenty i broń. Jednak ani na broni, ani na instrumentach, inaczej niż się to zazwyczaj dzieje, nie widniał znak producenta. Zresztą wszystkie rzeczy były w doskonałym stanie i wyglądało na to, że nie były używane. To samo dotyczyło narzędzi i sprzętu domowego: wszystko było nowe, co w sumie dowodziło, że nie wrzucano tych przedmiotów do skrzyni na chybił trafił, lecz przeciwnie, ich wybór był przemyślany i starannie je ułożono. Na to wskazywałyby również druga metalowa powłoka, która uchroniła je przed wilgocią, a która nie mogła zostać przylutowana w pośpiechu.

Jeśli chodzi o słowniki nauk przyrodniczych i słownik naczyni polinezyjski, to oba były w języku angielskim, ale nie widniało na nich ani nazwisko wydawcy, ani data publikacji.

Podobnie Biblia, wydrukowana po angielsku, tom godny uwagi z punktu widzenia typografii, w formacie in quarto¹, do której najwyraźniej często zaglądano.

Co do atlasu, to był przepięknym dziełem zawierającym mapy całego świata i kilka planisfer wykreślonych według odwzorowania Merkatora², z nazewnictwem w języku francuskim, na którym także nie było ani daty wydania, ani nazwy wydawcy.

¹ *In quarto* (łac.) – format książki, w którym każda kartka stanowi ćwiartkę arkusza drukarskiego; wysokość poniżej 40 cm.

² *Planisfera* – mapa świata w rzucie płaskim w kształcie kulistym; mapa obu półkul Ziemi; *Merkator* (Mercator, właśc. Gerhard Kramer, 1512-1594) – flamandzki matematyk i geograf, główny przedstawiciel flamandzkiej szkoły kartograficznej; twórca nowoczesnej kartografii; autor globusów, map i atlasów; opracował tzw. odwzorowanie Merkatora; w roku 1569 wydał wielką mapę świata w tym odwzorowaniu.

Jak się przekonano, na tych różnych przedmiotach nie było żadnej wskazówki, która pozwalałaby poznać ich pochodzenie, a zatem nie było żadnej wskazówki mogącej nasunąć przypuszczenie o narodowości statku, który niedawno musiał przepływać w okolicy. Jednak skądkolwiek by pochodziła ta skrzynia, uczyniła bogaczami kolonistów Wyspy Lincoln. Do tej pory, przetwarzając płody natury, sami wszystko produkowali, a dzięki swej inteligencji, dawali sobie radę. Lecz czy nie wyglądało na to, że Opatrzność chciała ich za to wynagrodzić, zsyłając im przeróżne wytwory ludzkich rąk? Zatem jednomyślnie wznieśli ku Niebu podziękowania.

Tylko jeden z nich nie był w pełni zadowolony. Był to Pencroff. Wydawało się, że w skrzyni zabrakło czegoś, na czym ogromnie mu zależało. W miarę jak wyciągano przedmioty, jego „hurra!” traciły na sile, a po zakończeniu spisu można było usłyszeć, jak mruczy pod nosem następujące słowa:

– Wszystko pięknie i ładnie, ale zobaczycie, że w tym pudle nie znajdzie się nic dla mnie!

To sprowokowało Naba do powiedzenia:

– Coś takiego! Czego oczekiwałeś, przyjacielu Pencroff?

– Pół funta tytoniu! – odparł poważnie Pencroff. – Niczego więcej nie brakowałoby mi do szczęścia!

Słyszac to wyznanie marynarza, pozostali koloniści nie mogli powstrzymać śmiechu.

Jednak po odkryciu tej skrzyni, teraz, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, niezbędne stało się dokładne zbadanie wyspy. Ustalono więc, że już następnego dnia o świcie wyruszą w drogę, by podążając w górę Rzeki Dziękczynienia, starać się dotrzeć do zachodniego wybrzeża wyspy. Jeżeli w tej części wybrzeża wylądowali jacyś rozbitkowie, to należało się obawiać, że są bez środków do życia i że bez żadnego ociążania należy przyjść im z pomocą.



– Panie Cyrusie, jestem zabobonny. Proszę otworzyć je na chybił trafił i przeczytać nam pierwszy werset, jaki wpadnie panu w oczy.

Podczas tego dnia przedmioty znalezione w skrzyni zostały przeniesione do Granitowego Pałacu i metodycznie ułożone w dużej sali.

Tego samego dnia, dwudziestego dziewiątego października – była to dokładnie niedziela – przed ułożeniem się do snu Harbert poprosił inżyniera, czy nie zechciałby przeczytać im jakiegoś fragmentu z Ewangelii.

– Chętnie – odparł Cyrus Smith.

Wziął do ręki Pismo Święte i już miał je otworzyć, gdy nagle Pencroff powstrzymał go, mówiąc:

– Panie Cyrusie, jestem zabobonny. Proszę otworzyć je na chybił trafił i przeczytać nam pierwszy werset, jaki wpadnie panu w oczy. Zobaczymy, czy będzie można go odnieść do naszej sytuacji.

Cyrus Smith uśmiechnął się na tę prośbę marynarza i stosując się do jego życzenia, otworzył Biblię dokładnie w miejscu, gdzie widniała włożona między kartki zakładka.

Naraz jego spojrzenie zatrzymało się na wykonanym ołówkiem czerwonym krzyżyku przed ósmym wersetem siódmego rozdziału Ewangelii według Świętego Mateusza.

Przeczytał ten werset, ujęty w takie słowa:

Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie.



Rozdział III

Wyjazd – Przyptyw – Wiązy i wiązowce – Różne rośliny
– Jakamar – Wygląd lasu – Olbrzymie eukaliptusy – Dlaczego
nazywa się je „drzewami gorączkowymi” – Gromady małp
– Wodospad – Nocne obozowisko

Nazajutrz, trzydziestego października, zostały ukończone przygotowania do zaplanowanej wyprawy, która stała się tak pilna ze względu na ostatnie wydarzenia. Rzeczywiście, sprawy tak się potoczyły, że koloniści z Wyspy Lincoln mieli pełne prawo mniemać, że nie potrzebują pomocy dla siebie, lecz byli w stanie sami jej udzielać.

Ustalono więc, że popłyną w górę Rzeki Dziękczynienia tak daleko, jak tylko nurt rzeki będzie na to pozwalał. Większą część drogi pokonają bez trudów i zmęczenia, a badacze będą mogli przewieźć zapasy i broń aż na najdalej na zachód wysunięty punkt wyspy.

Rzeczywiście należało pomyśleć nie tylko o przedmiotach, które zabrano, ale również o tych, które być może przypadek pozwoli im sprowadzić do Granitowego Pałacu. Jeśli doszło do rozbicia statku na wybrzeżu, jak wszystko na to wskazywało, nie zabraknie szczątków, które będą dla nich dobrym łupem. W takim przypadku bez wątplenia bardziej przydałby się im wózek niż słaba piroga, ale prymitywny i ciężki wózek trzeba by ciągnąć, przez co stawał się mniej użyteczny. Z tego powodu Pencroff wyraził żal, że w skrzyni zabrakło nie tylko „jego pół funta tytoniu”, ale też pary żwawych koni z New Jersey¹, które tak bardzo by się przydały w kolonii!

¹ *New Jersey* – stan w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, nad Oceanem Atlantyckim.

Prowianty, już załadowane na pirogę przez Naba, składały się z konserw mięsnych oraz kilku galonów piwa i sfermentowanego soku, czyli zapasu na trzy dni, najwyżej tyle czasu bowiem Cyrus Smith wyznaczył na wyprawę badawczą. Zresztą w razie potrzeby mogli je przecież uzupełnić po drodze, więc Nab nie zapomniał o małej przenośnej kuchence.

Z narzędzi koloniści wzięli dwa topory, które miały służyć do torowania sobie drogi przez gęsty las, a z przyrządów lunetę i kieszonkową busolę.

Jeśli chodzi o broń, to wybrali dwie fuzje skałkowe, bardziej przydatne na tej wyspie niż fuzje kapiszonowe, gdyż w pierwszych wykorzystywano krzemienie, łatwe do zastąpienia na tym terenie, podczas gdy drugie wymagały kapiszonów, które przy częstym używaniu szybko by się wyczerpały. Postanowili jednak zabrać ze sobą jeden karabin i trochę nabojów. Trzeba było również wziąć pewien zapas prochu, którego w baryłkach mieli około pięćdziesięciu funtów, lecz inżynier liczył na to, że uda mu się wyprodukować substancję wybuchową, która pozwoliłaby na jego oszczędzanie. Do broni palnej dołączono pięć kordelasów w skórzanych pochwach. Tak uzbrojeni, osadnicy będą mogli zapaść się w rozległy las i mieć szansę wydostania się z niego bez szwanku.

Nie ma potrzeby dodawać, że dla Pencroffa, Harberta i Naba takie uzbrojenie było szczytem szczęścia, chociaż Cyrus Smith kazał im obiecać, że nie będą strzelać bez potrzeby.

O szóstej rano piroga została zepchnięta na wodę. Wszyscy, łącznie z Topem, wsiedli do niej i skierowali się w stronę ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Przyptyw trwał dopiero od pół godziny, zatem jeszcze przez najbliższe kilka godzin mogli korzystać z jej siły, podczas gdy później odpływ utrudni im poruszanie się pod prąd rzeki. Siła przyptywu była już dość znaczna, ponieważ za trzy dni miała

nadejść pełnia księżycy, dlatego też piroga, którą tylko należało utrzymywać w nurcie, płynęła szybko między wysokimi brzegami. Nie było zatem potrzeby zwiększania jej prędkości przy pomocy wiosel.

Po paru minutach badacze dotarli do zakola Rzeki Dziękczynienia, a dokładniej w miejsce, gdzie siedem miesięcy wcześniej Pencroff zbudował swoją pierwszą tratwę z drewnem.

Za tym dość ostrym zakrętem rzeka zataczała łuk, kierując się na południowy zachód, i płynęła w cieniu wysokich, wiecznie zielonych drzew iglastych.

Brzegi Mercy River wyglądały przepięknie. Cyrus Smith i jego towarzysze mogli tylko z podziwem patrzeć na piękne efekty, jakie osiąga natura, wykorzystując jedynie wodę i drzewa. W miarę jak posuwali się naprzód, zmieniały się gatunki drzew. Na prawym brzegu rosły wspaniałe okazy rodziny wiązowatych, te cenne wiązy, tak poszukiwane przez konstruktorów statków ze względu na to, że mogą długo przebywać w wodzie, nie gnijąc. Dalej dostrzec można było skupiska drzew należących do tej samej rodziny, między innymi wiązowce południowe¹, rodzące owoce, z których wytłacza się bardzo użyteczny olej. Nieco dalej Harbert zauważył również kilka roślin z rzędu *Lardizabalales*², których giętkie pędy, wymoczone w wodzie, mogą służyć do produkcji wytrzymałych lin, oraz dwa lub trzy pnie hebanowców³ o pięknej czarnej korze kapryśnie poprzecinanej żyłkami.

¹ *Wiązowiec południowy* (*Celtis australis*) – drzewo lub krzew z rodziny wiązowatych, dostarcza wysokogatunkowego, twardego drewna; owocem jest mały, czarny, jadalny pestkowiec; rośnie na półkuli północnej, w krajach śródziemnomorskich.

² *Lardizabalales* – u J. Verne’a: *Lardizabales*, rząd roślin zwanych krępieńiowcami, rosnących w południowo-wschodniej Azji i Chile, charakteryzujący się długimi (do 10 m) pędami.

³ *Hebanowiec* (hurma, *Diaspyros*) – drzewa i krzewy z rodziny hebankowatych, występujące głównie w międzyzwrotnikowej i podzwrotnikowej części

Od czasu do czasu, w pewnych miejscach, gdzie przybicie do brzegu było dość łatwe, łódka się zatrzymywała. Wówczas Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff z fuzjami w rękach, poprzędzani przez Topa, przeszukiwali brzeg rzeki. Nie licząc zwierzyny, napotkali kilka bardzo pożytecznych roślin, którymi nie należało wcale pogardzać. Młody przyrodnik był zachwycony, odkrywając rodzaj dzikiego szpinaku z rodziny *Chenopodiaceae*¹ i liczne okazy z rodziny krzyżowych², które bez wątpienia przez przesadzanie można by „ucywilizować”. Były to: rzeżucha, chrzan, rzepa oraz roślina o małych rozłożystych łodyżkach pokrytych meszkiem, wysokich na metr, rodzących prawie brązowe nasionka.

– Czy wiesz, co to za roślina? – spytał Harbert marynarza.

– Tytoń! – zawołał Pencroff, który, co oczywiste, nigdy nie widział swej szczególnie ulubionej rośliny, jak tylko w główce swej fajki.

– Nie, Pencroff! – odpowiedział Harbert. – To nie jest tytoń, lecz gorczyca!

– Niech będzie gorczyca! – zgodził się marynarz. – Gdybyś jednak przypadkiem, mój chłopcze, natknął się na tytoń, absolutnie nie zechciej nim pogardzać!

– Pewnego dnia go znajdziemy! – zapewnił Gedeon Spilett.

– Z pewnością! – zawołał Pencroff. – Tak więc tego dnia powiem, że niczego mi nie brak na naszej wyspie!

Azji Południowo-Wschodniej; niektóre gatunki dostarczają bardzo cennego, czarnego, ciężkiego i odpornego na butwienie drewna zwanego hebanem; wiele gatunków ma też jadalne owoce, zwane kaki lub persymona.

¹ *Chenopodiaceae* – komosowate, dawniej osobna rodzina w rzędzie goździkowców, obecnie włączona do rodziny szarłatowatych (*Amaranthaceae*).

² *Rodzina krzyżowych* – obecnie nazywana rodziną kapustowatych (*Brassicaceae*); rodzina roślin zielnych, rzadziej drzew i krzewów, należąca do rzędu kapustowców (*Brassicales*); 381 rodzajów i ok. 3700 gatunków.



– Czy wiesz, co to za roślina? – spytał Harbert marynarza.

Wszystkie te różne rośliny, które zostały starannie wykopane z korzeniami, zostały przeniesione na pirogę, której nie opuszczał Cyrus Smith, ciągle zagłębiany w swoich myślach.

Reporter, Harbert i Pencroff wysiadali kilkakrotnie raz na prawym, raz na lewym brzegu Mercy River. Jeden był zdecydowanie mniej stromy, natomiast drugi bardziej zalesiony. Inżynier mógł stwierdzić, posługując się kieszonkową busolą, że rzeka od pierwszego zakrętu wyraźniej kierowała się z północnego wschodu na południowy zachód i płynęła niemal w linii prostej na długości około trzech mil. Można było przypuszczać, że nieco dalej kierunek ten się zmieniał i że Mercy płynęła następnie na północny zachód, w stronę zboczy Góry Franklina, skąd brała swój początek.

Podczas jednej z tych wycieczek na brzeg Gedeonowi Spillettowi udało się złapać dwie pary żywych kuraków. Ptaki te obdarzone były długimi, cienkimi dziobami i wydłużonymi szyjami, miały krótkie skrzydła i pozbawione były wyraźnego ogona. Harbert poprawnie nazwał je tinamu¹, po czym wspólnie postanowiono, że będą pierwszymi mieszkańcami przydomowego podwórka.

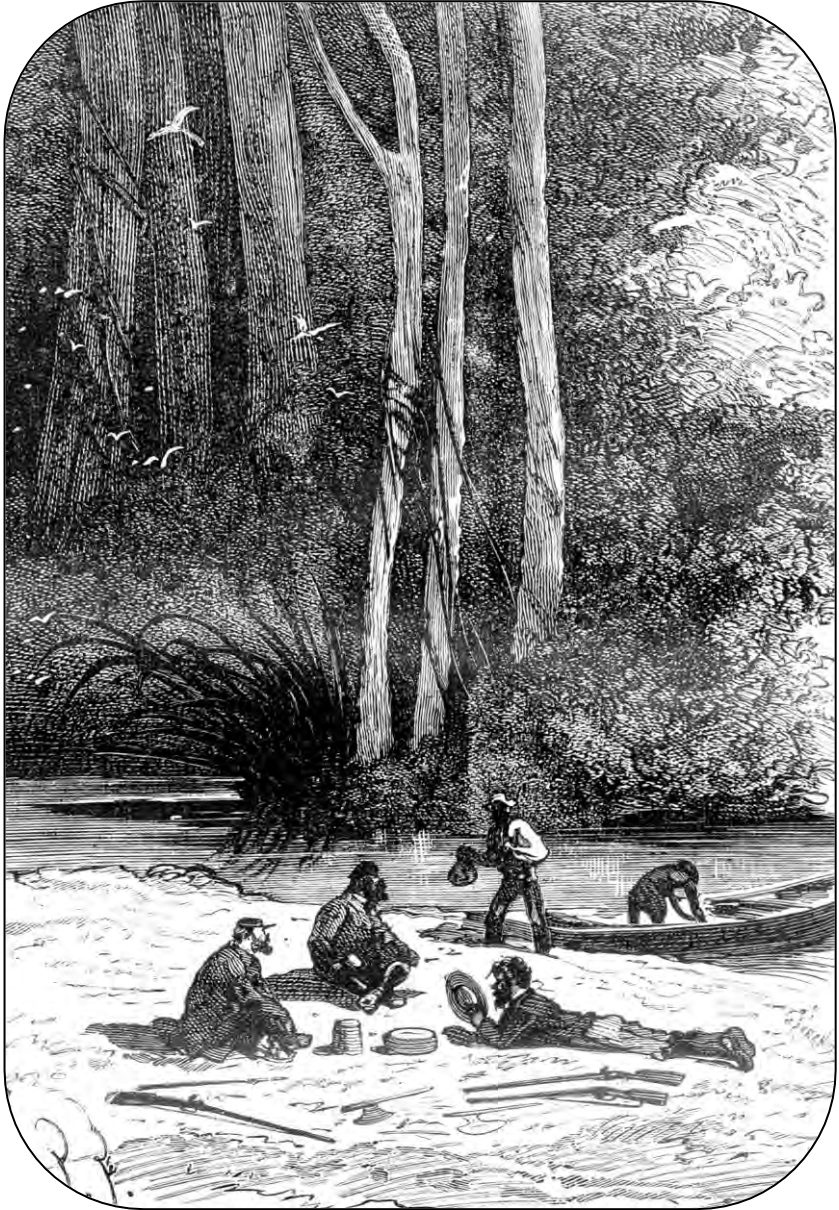
Do tej pory jednak nie przemówiła żadna broń palna i pierwszy huk wystrzału, który rozbrzmiał w tym Lesie Dzikiego Zachodu, sprowokowany został pojawieniem się pięknego ptaka, pod względem anatomicznym podobnym do zimorodka.

– Poznaję go! – zawołał Pencroff i można uznać, że wystrzelił niemal mimo woli.

– Co pan poznaje? – spytał reporter.

– Ptaka, który nam umknął podczas naszej pierwszej wyprawy i na cześć którego nazwaliśmy tę część lasu!

¹ *Tinamu* (kusacze) – rząd (*Tinamiformes*) oraz rodzina (*Tinamidae*) ptaków lądowych, naziemnych, przypominających nieco kuraki, zamieszkujących obszar od Patagonii po Meksyk.



Zatrzymano się w tym miejscu na śniadanie,
a postój w cieniu wielkich i pięknych drzew trwał ponad pół godziny.

– Jakamar! – zawołał Harbert.

Faktycznie był to jakamar, piękny ptak, którego dość sztywne upierzenie ma metaliczny połysk. Kilka ziarenek śrutu strąciło go na ziemię i Top przyniósł go do łodzi razem z tuzinem turaków¹, ptaków wspinających się, wielkości gołębia, o jaskrawozielonkawych skrzydłach, z lotkami karmazynowej barwy i prostym czubie ozdobionym białą lamówką. Zaszczyt zestrzeżenia tych ptaków przypadł młodemu chłopcu i z tego powodu rozpierała go duma, turaki stanowiły bowiem lepszą zwierzynę niż jakamar, którego mięso jest nieco łykowate, choć trudno było przekonać Pencroffa, że nie upolował króla ptaków jadalnych.

Była dziesiąta rano, gdy piroga dotarła do drugiego zakrętu Rzeki Dziękczynienia, znajdującego się około pięciu mil od jej ujścia. Zatrzymano się w tym miejscu na śniadanie, a postój w cieniu wielkich i pięknych drzew trwał ponad pół godziny.

Rzeka nadal miała sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stóp szerokości, a jej koryto było głębokie na jakieś sześć stóp. Inżynier zaobserwował, że liczne dopływy powiększały jej nurt, lecz były to zwykle, niespławne *rios*. Jeśli chodzi o lasy, to zarówno Las Jakamara, jak i Lasy Far Westu rozciągały się jak okiem sięgnąć. Nigdzie, ani pośród wysokich drzew, ani pod drzewami rosnącymi przy brzegach Mercy River nic nie świadczyło o obecności człowieka. Eksploratorzy nie wpadli na żaden podejrzany trop i było oczywiste, że nigdy siekiera drwała nie ścięła tutejszych drzew, nigdy żaden nóż pioniera nie przeciął lian rozciągających się pomiędzy drzewami wśród gęstych zarośli i wysokich traw. Jeśli jacyś rozbitkowie przybyli do brzegu

¹ *Turaki* (szyszaki, bananojady, *Musophagidae*) – rodzina ptaków z rzędu kukułkowatych (*Cuculiformes*), obejmująca 20 gatunków; występują w Afryce, w lasach tropikalnych w dżungli i na sawannach.

na tej wyspie, na pewno nie opuścili jeszcze wybrzeża i to nie w tej gęstwinie należało szukać pozostałych przy życiu po przypuszczalnej katastrofie statku.

Inżynier starał się więc, by jak najszybciej dotrzeć do zachodniego wybrzeża Wyspy Lincoln, według jego szacunku odległego przynajmniej o pięć mil. Podjęto dalszą żeglugę i chociaż, sądząc po obecnym kierunku, rzeka zdawała się kierować nie w stronę wybrzeża, lecz raczej ku Górze Franklina, postanowiono, że będą korzystać z pirogi tak długo, dopóki pod jej dnem nie zabraknie wody do pływania. Dzięki temu oszczędzą sobie jednocześnie sporo trudu, a także czasu, ponieważ na ładzie musieliby torować sobie toporami drogę przez gęstwinę.

Jednak wkrótce prąd przestał ich popychać, być może zaczął się odpływ – co rzeczywiście o tej godzinie mogło nastąpić – lub znajdowali się już za daleko od ujścia Mercy River. Trzeba więc było chwycić za wiosła. Nab i Harbert usiedli na ławeczce, Pencroff przy śrubówce i ruszyli dalej w górę rzeki.

Po pewnym czasie wydawało się im, że od strony Lasów Far Westu gęstwiną zaczęła się nieco przerzedzać. Drzewa nie rosły tak gęsto, a często widać było nawet stojące pojedynczo. Ale właśnie dlatego, że między nimi było więcej miejsca, pełniej korzystały z czystego i świeżego, krążącego wokół nich powietrza i były naprawdę wspaniałe.

Cóż to były za nadzwyczajne okazy flory tej szerokości geograficznej! Bez wątpienia sama ich obecność wystarczyłaby botanikowi, żeby bez wahania określić równoleżnik przechodzący przez Wyspę Lincoln.

– Eukaliptusy! – zawołał Harbert.

Były to rzeczywiście owe okazałe rośliny, ostatnie olbrzymie strefy podzwrotnikowej, krewniacy eukaliptusów z Australii i Nowej Zelandii, ziem położonych na tej samej szerokości

geograficznej co Wyspa Lincoln. Niektóre osiągały wysokość dwustu stóp, a ich pnie u podstawy mierzyły w obwodzie dwadzieścia stóp, kora zaś, gruba na pięć cali, była poprzecinana siecią rowków pachnącej żywicy. Nie było nic piękniejszego, ale na dodatek także osobliwszego, jak te należące do rodziny mirtowatych okazy, których liście ustawiały się bokiem do światła, pozwalając promieniom słonecznym przenikać aż do samej ziemi!

U stóp eukaliptusów ziemię okrywała soczysta trawa; z jej kępek podrywały się do lotu małe ptaszki, mieniać się w promieniach słońca niczym skrzydlate karbunkuły¹.

– Co za drzewa! – wykrzyknął Nab. – Ale czy one do czegoś się nadają?

– Ba! Z wielkimi roślinami musi być tak jak z olbrzymimi ludźmi – powiedział Pencroff. – Nadają się tylko do pokazywania na jarmarkach!

– Sądzę, że jest pan w błędzie, Pencroff – odparł Gedeon Spilett. – Drewno eukaliptusa coraz częściej wykorzystuje się z dużym powodzeniem w stolarstwie artystycznym.

– Dodam jeszcze – odezwał się chłopiec – że eukaliptusy należą do rodziny, w której jest wielu pożytecznych członków: guajawa rodząca owoce o tej samej nazwie; goździkowiec rodzący goździki; granatowiec rodzący owoce zwane granatami; *Eugenia cauliflora*, z której owoców produkuje się całkiem znośne wino; mirt *ugni* dający wspaniały sok z zawartością alkoholu; mirt *caryophyllus*, z którego kory otrzymujemy ceniony przez wszystkich cynamon; *Eugenia pimenta* dostarczający ziela angielskiego; mirt zwyczajny, którego jagody mogą zastąpić pieprz; *Eucalyptus robusta*, z którego otrzymuje się rodzaj do-

¹ *Karbunkul* – kamień szlachetny barwy czerwonej, np. rubin, granat, z łac. „węgielek”.

skonanej manny; *Eucalyptus gunnii*, którego sok przez fermentację zmienia się w piwo; wreszcie te wszystkie drzewa znane jako „drzewa życia” lub „drzewa żelazne”, również należące do tej rodziny mirtowatych, liczącej czterdzieści sześć rodzajów i tysiąc trzysta gatunków!¹

¹ *Guajawa* (gruszla, gwajawa, gujawa, *Psidium*) – rodzaj obejmujący ok. 100 gatunków roślin tropikalnych, pochodzących z rejonu Karaibów, Ameryki Środkowej i północnej części Ameryki Południowej; *goździkowiec* (*eugenia*, *Eugenia* lub częściowo *Syzygium*) – rodzaj wiecznie zielonego tropikalnego drzewa lub krzewu, z ok. 1000 gatunków, pochodzącego ze strefy równikowej (głównie Ameryka Południowa); goździków dostarcza najcenniejszy i szeroko uprawiany goździkowiec korzenny (*Syzygium aromaticum*, *Eugenia caryophyllus*); *granatowiec* (*Punica*) – rodzaj rośliny (dwa gatunki); niskie drzewo lub krzew z rodziny krwawnicowatych (nie należy do rodziny mirtowatych, lecz do rzędu mirtowców); *Eugenia cauliflora* lub *Myrciaria cauliflora* – niewielkie drzewo nazywane jaboticaba lub winorośl brazylijska, rosnące w Ameryce Południowej, rodzi (bezpośrednio na pniu lub gałęziach) czarnopurpurowe owoce wielkości 3-4 cm, o białym lub różowym miąższu, jadalne na surowo lub w przetworach, przerabiane na soki i wina; *mirt ugni* (*Myrtus ugni*) – rodzaj krzewu, nazywanego gujawą chilijską (także nowozelandzką żurawiną), rosnącego w Chile i przyległych regionach Argentyny; krzew wysoki do 70 cm, o wiecznie zielonych liściach, rodzi czerwone, purpurowe lub białe jagody o wielkości do 1 cm, wykorzystywane na drzemy i likiery; *mirt caryophyllus* – pomyłka J. Verne’a: ten rodzaj mirtu daje goździki, cynamon zaś otrzymuje się z kory cynamonowców (*Cinnamomum*), należących do rodziny wawrzynowatych; *Eugenia pimenta* – synonim łacińskiej nazwy korzennika lekarskiego, zwanego też drzewem pimentowym (*Pimenta dioica*), wiecznie zielonego drzewa dorastającego do 10 m, występującego w tropikalnych rejonach Ameryki Środkowej i północnych rejonach Ameryki Południowej; *mirt zwyczajny* (*Myrtus communis*) – wonne, wiecznie zielone drzewo do 5 m wysokości, rodzi ciemnoniebieskie, smaczne jagody; *Eucalyptus robusta* – nazwa rodzajowa eukaliptusa mocnego, zwanego też mahoniem błotnym, drzewa o wysokości do 30 m, rosnącego na terenach błotnistych we wschodniej Australii, drewno bardzo odporne na szkodniki; *Eucalyptus gunnii* – u J. Verne’a: *Gunei*, nazwa rodzajowa eukaliptusa tasmańskiego, zwanego też drzewem jabłecznikowym, rosnącego wyłącznie na Tasmanii; drzewo dorastające do 37 m wysokości; produkuje smaczny sok, który po sfermentowaniu smakuje jak jabłecznik (napój alkoholowy); *drzewa żelazne* – na-

Koloniści pozwolili młodzieńcowi, by z wielkim zapałem wygłosił małą lekcję botaniki. Cyrus Smith słuchał go, lekko się uśmiechając, a Pencroff z uczuciem niedającej się opisać dumy.

– Dobrze, Harbercie – powiedział marynarz – ale mógłbym jednak przysiąc, że tamte wszystkie przydatne okazy, o których wspomniałeś, nie są tak olbrzymie jak te oto!

– Faktycznie, Pencroff.

– Jest to więc dowód na to, co powiedziałem – odparł marynarz – a mianowicie, że te giganty do niczego się nie nadają!

– Myli się pan, Pencroff – odezwał się inżynier – gdyż dokładnie te olbrzymie eukaliptusy, które teraz nas chronią, do czegoś się jednak przydają.

– A to do czego?

– Do uzdrawiania krain, w których rosną. Czy wie pan, jak się je nazywa w Australii i Nowej Zelandii?

– Nie, panie Cyrusie.

– Nazywają je „drzewami gorączkowymi”.

– Bo ją wywołują?

– Nie, zwalczają ją!

– Dobrze. Muszę to zanotować! – powiedział reporter.

– Zapisz to zatem, mój kochany panie Spilett, ponieważ wydaje się dowiedzione, że obecność eukaliptusów wystarczy, żeby zneutralizować bagienne miazmaty. Próbowano tego środka ochronnego w niektórych okolicach o niezdrowej glebie na południu Europy i na północy Afryki i po jakimś czasie stwierdzono, że stan zdrowia mieszkańców tych terenów zaczął się

zwa stosowana wobec wielu gatunków drzew, wyróżniających się bardzo twardym drewnem; gatunki te należą do różnych rodzin, pochodzących głównie z tropikalnych i subtropikalnych rejonów; z rodziny mirtowatych zalicza się do nich gatunki z rodzaju eukaliptus; *tysiąc trzysta gatunków* – obecnie w rodzinie mirtowatych wyróżnia się 127 rodzajów i ok. 3850 gatunków drzew i krzewów.

powoli poprawiać. Tam, gdzie zasadzono lasy drzew mirtowatych, febra ustąpiła całkowicie. Nie ma więc wątpliwości, że jest to szczęśliwa okoliczność również dla nas, kolonistów z Wyspy Lincolna.

– Ach! Cóż to za wyspa! Błogosławiona wyspa! – wykrzykiwał Pencroff. – Mówię wam, niczego na niej nie brakuje... oprócz...

– To się stanie, Pencroff, kiedy to znajdziemy – odparł inżynier – ale teraz płynimy dalej tak długo, jak rzeka będzie mogła unosić naszą pirogę!

Eksplokacja była więc kontynuowana przez co najmniej dwie mile poprzez krainę porośniętą eukaliptusami, które dominowały nad wszystkimi drzewami tej części wyspy. Obszar, jaki pokrywały, rozciągał się poza granice widzenia po obu stronach Rzeki Dziękczynienia, której koryto, dość kręte, wiło się między wysokimi brzegami pokrytymi zielenią. Łożysko bywało często zatłkane wysokimi trawami, a nawet ostrymi skałami, które czyniły żeglugę dość uciążliwą. Czasami wiosłowanie było niemożliwe, i Pencroff musiał popychać pirogę żerdzią. Czuło się, że dno z wolna się podnosi i że niebawem nastąpi chwila, gdy z braku wody łódź będzie musiała się zatrzymać. Słońce zachodziło powoli za horyzont, rzucając na ziemię długie cienie drzew. Cyrus Smith, widząc, że tego dnia nie zdołają dotrzeć na zachodnie wybrzeże wyspy, postanowił rozbić obóz dokładnie w miejscu, gdzie z powodu płyiczny siłą rzeczy skończy się żegluga. Oceniał, że znajdują się wciąż pięć lub sześć mil od wybrzeża, a odległość ta była zbyt duża, by pokonać ją nocą, posuwając się przez nieznany las.

Podróżnicy pchali więc bez wytchnienia łódź po płytkiej wodzie przez las, który powoli stawał się coraz gęstszy i wydawał się bardziej zamieszkały, ponieważ, jeśli marynarza nie zawiódł

wzrok, dostrzegł stada małą przemykające się w gęstwinie. Kilkakrotnie nawet dwa lub trzy te zwierzęta zatrzymały się nieopodal pirogi i patrzyły na osadników bez okazywania najmniejszego strachu, jakby po raz pierwszy widziały ludzi i nie nauczyły się jeszcze, że należy się ich obawiać. Łatwo byłoby upolować te czwororękie zwierzęta strzałami z fuzji, ale Cyrus Smith sprzeciwił się tej niepotrzebnej masakrze, którą próbował urządzić nieco rozzłoszczony Pencroff. Było to roztropne, gdyż małpy, energiczne i obdarzone wyjątkową zwinnością, mogły stać się groźne i lepiej było nie prowokować ich zupełnie zbędną agresją.

Prawdą było, że marynarz spoglądał na małpy jedynie z czysto spożywczego punktu widzenia, i rzeczywiście te zwierzęta, które są wyłącznie roślinożerne, mają doskonałe mięso. Skoro jednak zapasy żywności były wystarczająco duże, zbyteczne byłoby marnowanie na próżno amunicji.

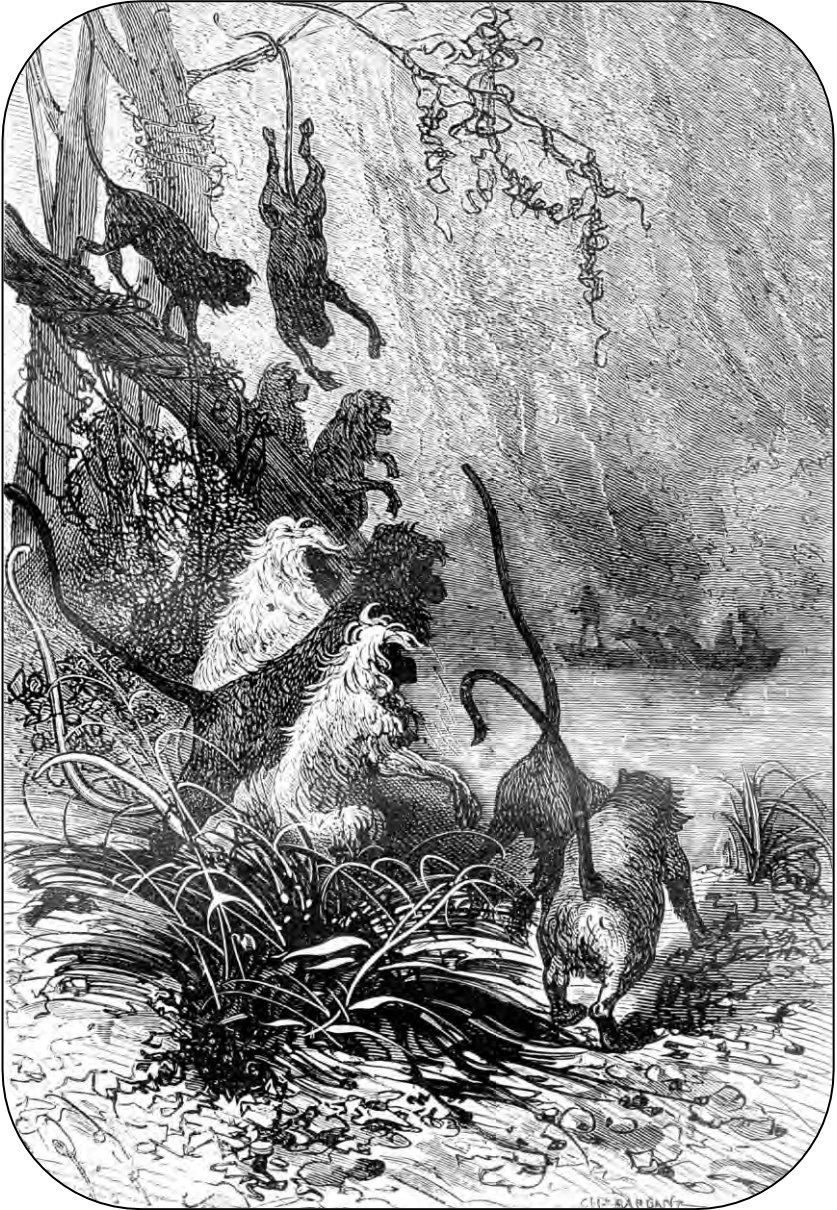
Okolo czwartej żegluga Rzeką Dziękczynienia stała się bardzo trudna, gdyż jej bieg hamowały rozliczne wodne rośliny i kamienie. Brzegi wznosiły się coraz wyżej, a łóżysko rzeki wdzierało się już na pierwsze przypory Góry Franklina. Nie mogło być już daleko do jej źródeł, skoro zasilaty je wszystkie wody spływające po południowych pochyłościach góry.

– Za niespełna kwadrans będziemy zmuszeni się zatrzymać, panie Cyrusie – powiedział marynarz.

– Zatem zatrzymamy się, Pencroff, i rozbijemy obozowisko na noc.

– W jakiej odległości możemy się znajdować od Granite House? – spytał Harbert.

– Mniej więcej siedmiu mil – odparł inżynier – lecz biorąc pod uwagę liczne zakręty rzeki, które wyniosły nas na północny zachód.



Kilkrotnie nawet dwa lub trzy te zwierzęta zatrzymały się nieopodal pirogi i patrzyły na osadników bez okazywania najmniejszego strachu.

– Popłyniemy dalej? – spytał reporter.

– Owszem, tak długo, jak to będziemy mogli robić – odpowiedział Cyrus Smith. – Jutro o świcie zostawimy pirogę i w dwie godziny, mam nadzieję, pokonamy odległość, jaka nas dzieli od wybrzeża; będziemy zatem mieli cały dzień na jego zbadanie.

– Naprzód! – zawołał Pencroff.

Wkrótce jednak piroga zaczęła skrobać kamieniste dno rzeki, której szerokość nie przekraczała w tym miejscu dwudziestu stóp. Powyżej jej koryta gęste sklepienie zieleni tworzyło jakby altanę, pogrążając je w półmroku. Słysząc było dość wyraźny hałas wodospadu, co wskazywało na obecność naturalnej zapory kilkaset kroków dalej.

Rzeczywiście za ostatnim zakrętem rzeki, pomiędzy drzewami ukazał się wodospad. Łódź uderzyła o dno łożyska i kilka chwil później była już przywiązana do pnia przy prawym brzegu.

Było około piątej po południu. Ostatnie promienie słońca wślizgiwały się pod gęstą koronę drzew i padały ukośnie na niewielki wodospad, którego rozpryskujące się krople mieniły się wszystkimi kolorami rozszczepionymi w pryzmacie. W oddali Rzeka Dziękczynienia znikwała pod niskimi drzewami, gdzie musiało znajdować się jej ukryte źródło. Rozmaite *rios*, które dołączały do niej na przebywanej przestrzeni, tworzyły poniżej prawdziwą rzekę, ale tutaj był to tylko płytki strumyczek o przejrzystej wodzie.

Obozowisko założono w tym właśnie, niezwykle uroczym miejscu. Osadnicy wyładowali pirogę i rozpalili ognisko pod koronami kępy wiązowców, w których konarach Cyrus Smith i jego towarzysze mogli w razie potrzeby znaleźć schronienie na noc.


Kolację prawie pożarto, gdyż wszyscy byli bardzo głodni i myśleli jedynie o tym, by jak najprędzej ułożyć się do snu.

Jednak wraz z nastaniem zmierzchu dały się słyszeć podejrzone odgłosy natury, dołożono zatem drewna do ognia, tak by chronił on śpiących swymi jasnymi płomieniami. Nab oraz Pencroff nawet czuwali po kolei, nie żałując drewna. Chyba się nie mylili, gdy zdawało im się, że dostrzegają cienie zwierząt krążących wokół obozowiska, wśród zarośli i drzew. Noc minęła jednak bez żadnych incydentów i nazajutrz, trzydziestego pierwszego października, o piątej rano wszyscy byli już na nogach, gotowi do drogi.



Rozdział IV

- Posuwając się ku wybrzeżu – Kilka stad czwororękich
- Nowy ciek wodny – Dlaczego tu nie wyczuwa się prądu
- Las na wybrzeżu – Cypel Gada – Gedeon Spilett wzbudza w Harbercie zazdrość – Detonacje bambusowych petard

 szóstej rano, zaraz po zjedzeniu śniadania, koloniści ruszyli w drogę, zamierzając dotrzeć najkrótszą drogą do zachodniego wybrzeża wyspy. Ile czasu będą potrzebowali, by tam się dostać? Cyrus Smith powiedział, że dwie godziny, ale oczywiście zależało to od rodzaju przeszkód, na jakie napotkają. Ta część Lasów Dzikiego Zachodu wydawała się porośnięta gęstym lasem, składającym się z rozmaitych gatunków drzew. Było więc prawdopodobne, że będą musieli torować sobie drogę przez trawy, zarośla i liany, idąc cały czas z siekierą w rękę – a bez wątpienia także z fuzjami, jeśli brać pod uwagę odgłosy dzikich zwierząt usłyszane w nocy.

Dokładne położenie obozowiska można było ustalić przez odniesienie do Góry Franklina: skoro wulkan wznosił się na północy w odległości niespełna trzech mil, wystarczyło ruszyć prosto na południowy zachód, aby dotrzeć do zachodniego wybrzeża wyspy.

Wyruszyli więc, uprzednio upewniwszy się starannie, że piroga została porządnie przycumowana. Pencroff i Nab zabrali zapasy, które miały wystarczyć na nakarmienie małej gromadki przez co najmniej dwa dni. Nie było mowy o polowaniu, a inżynier nawet polecił swym towarzyszom, by unikali nieopatrznych strzałów, które mogłyby zdradzić ich obecność w pobliżu wybrzeża.

Topory przydały się po raz pierwszy w zaroślach pośród krzewów pistacji kleistej¹, nieco powyżej wodospadu, a Cyrus Smith z busolą w ręku wskazywał dalszą drogę.

Las w tym miejscu składał się z drzew, których okazy w większości były im już znane z okolic i Płaskowyżu Rozległego Widoku. Były tu cedry himalajskie, douglasy, kazuaryny, drzewa gumowe, eukaliptusy, smokowce, hibiskusy, cedry i wiele innych drzew, na ogół niezbyt wysokich, ponieważ ich ilość utrudniała rozwój. Koloniści mogli więc tylko powoli poruszać się tą drogą, którą torowali sobie podczas marszu, a która zdaniem inżyniera powinna się połączyć z drogą przy Czerwonym Potoku.

Od chwili wyruszenia w drogę schodzili niskimi zboczami, które stanowiły system orograficzny wyspy. Ziemia była sucha, lecz bujna roślinność pozwalała domyślać się bądź istnienia podziemnej sieci hydrograficznej bądź obecności gdzieś w pobliżu strumienia. Jednakże Cyrus Smith nie przypominał sobie, żeby podczas wyprawy na krater zauważył inny ciek wodny niż Czerwony Potok i Rzekę Dziękczynienia.

W pierwszych godzinach wyprawy ponownie napotykali stada małp, które wydawały się okazywać ogromne zdziwienie na widok ludzi, będący dla nich czymś nowym. Gedeon Spilett zapytał żartem, czy przypadkiem te zwinne i silne czwororękie zwierzęta nie uważały jego oraz jego towarzyszy za swoich zdegenerowanych braci! Szczerze mówiąc, zwykli piechurzy, na każdym kroku krępowani przez zarośla, powstrzymywani przez liany i zmuszeni przekraczać pnie drzew, nie błyszczeli przy tych zwinnych zwierzętach skaczących z gałęzi na gałąź,

¹ *Pistacja kleista* (drzewo mastyksowe, *Pistacia lentiscus*) – wiecznie zielony krzew z rodzaju pistacja; dziko rosnący i uprawiany w obszarze Morza Śródziemnego, dostarcza aromatycznej żywicy zwanej mastyksem.

ponieważ nic ich nie było zdolne powstrzymać. Małp było całe mnóstwo, ale na wielkie szczęście nie wykazywały wrogich zamiarów.

Zauważyli również kilka dzików, aguti, kangurów i innych gryzoni, a także dwa lub trzy *koulas*, które Pencroff chętnie poczęstowałby kilkoma ładunkami ołowiu.

– Ponieważ polowanie jeszcze nie zostało zaczęte – powiedział – więc uciekajcie, przyjaciele, skaczcie i latajcie sobie spokojnie! Pogadamy sobie w drodze powrotnej!

O wpół do dziesiątej przed południem drogę, która prowadziła bezpośrednio na południowy zachód, zagroził nagle nieznany im ciek wodny, szeroki na trzydzieści czy czterdzieści stóp, który spływając wartkim nurtem z pochyłego zbocza, z głuchym pomrukiem rozbryzgiwał się o liczne skały. Wody *creeku* były głębokie i czyste, lecz absolutnie niezdatne do żeglugi.

– Zostaliśmy odcięci! – wykrzyknął Nab.

– Nie – odparł Harbert – to tylko strumień i damy radę pokonać go wpraw.

– Po co? – zapytał Cyrus Smith. – To oczywiste, że ten strumień płynie w stronę morza. Pozostanemy po jego lewej stronie i posuwajmy się brzegiem. Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nie doprowadził nas szybko do wybrzeża. W drogę!

– Chwileczkę, a co z nazwą tego *creeku*, moi przyjaciele? – spytał reporter. – Nie pozwólmy, by nasz spis nazw geograficznych był niekompletny.

– Słusznie! – przyznał Pencroff.

– Nadaj mu nazwę, moje dziecko – powiedział inżynier do młodego chłopca.

– Czy nie lepiej będzie poczekać, aż poznamy go do samego ujścia? – zauważył Harbert.

– Zgoda – odparł Cyrus Smith. – Chodźmy dalej wzdłuż niego i nie zatrzymujmy się więcej.

– Jeszcze chwilka! – powiedział Pencroff.

– O co chodzi? – spytał reporter.

– Jeśli nie wolno polować, to przypuszczam, że wolno łowić ryby – stwierdził marynarz.

– Nie mamy czasu do stracenia – zaprotestował inżynier.

– Och, tylko pięć minut! – poprosił Pencroff. – Proszę jedynie o pięć minut, w interesie naszego obiadu!

Pencroff położył się przy brzegu, zanurzył obie ręce w wartkim nurcie i po chwili wyrzucił na brzeg kilka tuzinów pięknych raków, które roily się między skałami.

– Oto coś wspaniałego! – zawołał Nab, przychodząc marynarzowi z pomocą.

– Przecież mówię wam, że oprócz tytoniu na tej wyspie jest wszystko! – szepnął Pencroff z westchnieniem.

Nie potrzeba było nawet pięciu minut, żeby dokonać wspaniałego połowu, w *creeku* bowiem aż się roilo od raków. Napelnili worek skorupiakami o błękitnym jak kobalt pancerzu i rostrum¹ uzbrojonym w mały kolec, a następnie ruszyli w drogę.

Od czasu jak posuwali się brzegiem tego nowego cieklu wodnego, kolonistom szło się o wiele łatwiej i szybciej. Brzegi nie nosiły żadnych śladów bytności człowieka. Od czasu do czasu natrafiali jedynie na tropy pozostawione przez duże zwierzęta, które zapewne przychodziły zaspokajać pragnienie w strumieniu, lecz dodać trzeba, że to jeszcze nie w tej części Far Westu pekari zostało ugodzone ziarnkiem ołowiu, co kosztowało Pencroffa ząb trzonowy.

Tymczasem, obserwując bystry nurt wody zdążającej do morza, Cyrus Smith był skłonny przypuszczać, że on i jego towarzysze znajdowali się o wiele dalej od zachodniego wybrzeża,

¹ *Rostrum* – tu: dziób z przodu głowy skorupiaków połączony z karapaksem (górną skorupą).

niż początkowo sądzili. Faktycznie, o tej porze na wybrzeżu podnosił się przyptyw, który powinien cofnąć prąd *creeku*, gdyby jego ujście znajdowało się zaledwie kilka mil stąd. Nic takiego jednak się nie działo, a strumień płynął zgodnie z ukształtowaniem terenu. Inżynier był więc bardzo zdziwiony i często spoglądał na busolę, by się upewnić, że jakiś zakręt rzeki nie prowadzi ich w głąb Lasów Dzikiego Zachodu.

Tymczasem *creek* powoli stawał się coraz szerszy, a wody mniej wzburzone. Drzewa na jego prawym brzegu rosły równie stłoczone jak te na lewym i nie sposób było przebić się przez nie wzrokiem, ale leśne masywy bez wątpienia nie były zamieszkałe, gdyż Top nie czekał. Inteligentne zwierzę na pewno zasygnalizowały obecność jakiegokolwiek obcego w pobliżu tego ciek.

O wpół do jedenastej, ku wielkiemu zaskoczeniu Cyrusa Smitha, Harbert, który wysunął się nieco do przodu, zatrzymał się nagle i zawołał:

– Morze!

Kilka chwil później koloniści znaleźli się na skraju lasu, a przed ich oczyma rozciągało się zachodnie wybrzeże wyspy.

Jakiż jednak kontrast panował między tym a wschodnim wybrzeżem, na które najpierw rzucił ich przypadek! Nie było tu granitowej kurtyny, żadnych raf podwodnych na pełnym morzu ani nawet piaszczystej plaży! Wybrzeże tworzył las, a ostatnie drzewa, chłostane falami, pochylały się nad wodą. Nie było to wybrzeże, jakie zwykle tworzy natura, bądź rozpościerając szerokie dywany z piasku, bądź budując skalisty brzeg, ale małowniczy skraj lasu o najpiękniejszych na świecie drzewach. Brzeg był dość wysoki, tak że nie dosięgały go nawet najwyższe przyptywy, a w żyznej glebie spoczywającej na granitowym podłożu piękne okazy drzew wyglądały na zakorzenione równie silnie, jak te rosnące w głębi wyspy.



Kilka chwil później koloniści znaleźli się na skraju lasu,
a przed ich oczyma rozciągało się zachodnie wybrzeże wyspy.

Wędrowcy znajdowali się wówczas na łuku małej, nieistotnej zatoczki, w której zmieściłyby się zaledwie dwie lub trzy łodzie rybackie, i która stanowiła jakby gardziel nowego *creeku*. Co ciekawe, jego wody, zamiast wpadać do morza po łagodnie nachylonym zboczu, spadały z wysokości ponad czterdziestu stóp – co wyjaśniało, dlaczego w porze podnoszenia się przyływu nurt strumienia nie kierował się w stronę swego górnego biegu. Rzeczywiście, przyływy Oceanu Spokojnego, nawet przy swym najwyższym podniesieniu, nigdy nie osiągały poziomu rzeki, której koryto tworzyło naturalną śluzę. Potrzeba będzie jeszcze milionów lat, by wody wydrążyły dno granitowej śluzy i utworzyły naturalne ujście. Dlatego też koloniści po krótkiej naradzie nazwali ten ciek wodny Rzeką Wodospadu (Falls River).

Wybrzeże leśne ciągnęło się w kierunku północnym jeszcze na przestrzeni około dwóch mil, następnie drzewa nie rosły już tak gęsto, a od północy ku południowi rysowały się niemal prostą linią malownicze wzniesienia. Natomiast przeciwnie, w części wybrzeża zawartej między Rzeką Wodospadu a Cyplem Gada ciągnęła się jednolita masa wspaniałych drzew, prostych i chylących się, których korzenie obmywały długie morskie fale. Otóż poszukiwania należało skierować właśnie tam, to znaczy ku Półwypowi Serpenty, gdyż tylko ta partia wybrzeża oferowała schronienie, ponieważ druga jego część, dzika i jałowa, ewidentnie nie dawała żadnego ratunku rozbitkom, kimkolwiek oni byli.

Pogoda była piękna, powietrze przejrzyste, i z wysokości falezy, na której Nab i Pencroff zadysponowali drugie śniadanie, można było ogarnąć wzrokiem rozległą przestrzeń. Horyzont był idealnie czysty i na pełnym morzu nie widać było żadnego żagla. Na całym wybrzeżu, tak daleko jak tylko można było

sięgnąć wzrokiem, nie dostrzeżono żadnego statku ani nawet wraku. Inżynier oszajmiał jednak, że nabierze przekonania dopiero wtedy, gdy poznają całe wybrzeże, aż do krańca Półwyspu Serpentyńy.

Szybko zakończono śniadanie i o wpół do dwunastej Cyrus Smith dał sygnał do wymarszu. Zamiast iść bądź to grzbietem falezy, bądź piaszczystym brzegiem, koloniści musieli się posuwać pod osłoną drzew wzdłuż wybrzeża.

Odległość, jaka dzieliła ujście Rzeki Wodospadu od Cypla Gada, wynosiła około dwunastu mil. Gdyby wyspiarze szli plażą, nie napotykaliby większych przeszkód, mogliby bez pośpiechu pokonać tę odległość w ciągu czterech godzin; potrzebowali jednak dwa razy więcej czasu na dotarcie do celu, ponieważ zatrzymywało ich bezustanne obchodzenie drzew, wycinanie krzewów oraz lian, i to zbaczanie z drogi znacznie ją wydłużało.

Ponadto nic nie wskazywało na to, że niedawno jakiś statek rozbił się na tym wybrzeżu. Co prawda, na co zwrócił uwagę Gedeon Spilett, morze mogło zagarnąć wszystkie szczątki, nie można więc było mieć pewności, że żaden statek nie został wyrzucony na brzeg w tej części Wyspy Lincolna.

Rozumowanie reportera było uzasadnione, a poza tym incydent z ziarnkiem ołowiu stanowił nieodparty dowód na to, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy na wyspie oddano strzał z broni palnej.

Była już piąta po południu, a kraniec Półwyspu Serpentyńy był odległy jeszcze o dwie mile od miejsca, gdzie obecnie znajdowali się koloniści. Było oczywiste, że po dotarciu do Cypla Gada Cyrus Smith i jego towarzysze nie będą mieli dość czasu, by przed zachodem słońca powrócić do obozowiska, które założyli w pobliżu źródeł Rzeki Dziękczyńienia. Stąd wynikła konieczność spędzenia nocy na cyplu. Na szczęście nie bra-

kowało im zapasów, ponieważ zwierzyny pokrytej sierścią nie znaleźli na skraju lasu, gdyż właściwie było to już wybrzeże morskie. Roilo się za to od ptaków: jakamarów, trogonów, trago-panów, kuraków leśnych, lor, papug kakadu, bażantów, gołębi i setki innych. Nie było ani jednego drzewa bez gniazda, ani też gniazda, w którym nie trzepotałyby skrzydełka!

Okolo siódmej wieczorem wycieńczeni koloniści dotarli na Cypel Gada, podobnego do ślimacznicy dziwnie wcinającej się w morze. Tu kończył się nadbrzeżny las, a wybrzeże od całej południowej strony zaczynało przypominać typowy brzeg morza ze skałami, rafami i piaszczystą plażą. Było więc możliwe, że jakiś uszkodzony statek dotarł w pobliże tej części wyspy, ale zbliżała się noc i należało odłożyć poszukiwania na dzień następny.

Pencroff i Harbert natychmiast zaczęli szukać miejsca dogodnego do rozbicia obozowiska. Rosły tu ostatnie drzewa Lasów Dzikiego Zachodu, wśród których młodzieniec rozpoznał gęste kępy bambusów.

– Pięknie! – powiedział. – To cenne odkrycie.

– Cenne? – zdziwił się Pencroff.

– Oczywiście – odpowiedział Harbert. – Przecież nie muszę ci mówić, Pencroff, że kora bambusa, pocięta na elastyczne pasy, służy do wyrobu koszyków i kobiałek; że ta sama kora, rozbita na miazgę i wymoczona, służy w Chinach do wyrobu papieru; że z łądyg, w zależności od ich grubości, robi się laski, cybuchy do fajek, a nawet rury doprowadzające wodę; że większe bambusy stanowią doskonały budulec, lekki i solidny, którego nie atakują żadne insekty. Nie muszę dodawać, że jeśli przepiłuje się kolanka bambusów w taki sposób, że nie uszkodzi się warstwy poprzecznej, otrzymamy wytrzymałe i wygodne na-

czynia, jakich powszechnie używają Chińczycy! Oczywiście wiem, że ta informacja cię nie zadowoli. Natomiast...

– Natomiast...?

– Natomiast powiem ci, jeśli o tym nie wiesz, że w Indiach jada się bambusy zamiast szparagów.

– Szparagi wysokie na trzydzieści stóp! – zawołał marynarz. – Czy są dobre?

– Doskonale – potwierdził Harbert. – Tylko nie jada się łądyg wysokich na trzydzieści stóp, lecz młode pędy bambusa.

– Doskonale, mój chłopcze, doskonale! – odpowiedział Pencroff.

– Dodam także, że mięsz młodych łądyżek zamarynowany w occie jest wysoko ocenianą przyprawą.

– Coraz lepiej, Harbercie.

– Na koniec powiem, że między kolankami bambusy wydzielają słodki sok, z którego można przyrządzić pyszny napój.

– To już wszystko? – spytał marynarz.

– Wszystko!

– A czy przypadkiem nie da się ich palić?

– Niestety nie, mój biedny Pencroff!

Harbert i marynarz nie musieli długo szukać dogodnego miejsca na nocleg. Skały wybrzeża, mocno zniszczone z powodu bicia w nie gwałtownych fal morskich wzbudzanych wiatrami z południowego zachodu, miały liczne wgłębienia, pozwalające schronić się przed niepogodą i spokojnie pospać. Gdy jednak mieli już wejść do jednego z tych wydrążeń, zatrzymały ich straszliwe ryki.

– Do tyłu! – wykrzyknął Pencroff. – W naszych fuzjach mamy tylko ziarenka śrutu, a bestie, które tak głośno ryczą, przejmowałyby się nimi tak samo jak ziarnkami soli!

Marynarz, chwyciwszy Harberta za ramię, pociągnął go za sobą między skały, w chwili gdy u wejścia do jaskini ukazało się wielkie zwierzę.

Był to jaguar, rozmiarem co najmniej dorównujący swemu pobratymcowi z Azji, to znaczy mierzył ponad pięć stóp od czubka głowy do nasady ogona. Na płowej sierści widniały regularne rzędy czarnych plamek, odcinających się na tle białego brzucha. Harbert rozpoznał w nim drapieżnego rywala tygrysa, znacznie bardziej niebezpiecznego niż kuguar¹, który może jedynie rywalizować z wilkiem!

Jaguar ruszył do przodu, rozejrzał się wokół siebie ze zjeżoną sierścią i płonącym wzrokiem, jak gdyby nie po raz pierwszy wyczuł człowieka.

W tej samej chwili zza wysokiej skały wyszedł reporter, a Harbert, myśląc, że ten nie spostrzegł jaguara, chciał się rzucić w jego stronę. Tymczasem Gedeon Spilett dał mu znak ręką i szedł dalej. Nie był to jego pierwszy dziki kot; zbliżył się na odległość dziesięciu kroków do zwierzęcia, stanął nieruchomo z fuzją przy ramieniu. Ani jeden mięsień mu nie drgnął.

Jaguar sprężył się i skoczył na myśliwego, lecz w tej samej chwili kula trafiła go między oczy i padł martwy na ziemię.

Harbert i Pencroff rzucili się ku jaguarowi. Nab i Cyrus Smith nadbiegli z drugiej strony i wszyscy stali chwilę, przyglądając się rozciągniętemu na ziemi zwierzęciu, którego wspaniała skóra miała stać się niebawem ozdobą głównej sali Granitowego Pałacu.

– Ach, panie Spilett! Podziwiam pana i jednocześnie zazdroszczę! – zawołał Harbert w przypływie całkiem zrozumiałego entuzjazmu.

¹ *Kuguar* (pantera florydzka, lew górski) – inne nazwy pumy (*Puma concolor*, *Felis concolor*), zwierzęcia z rodziny kotowatych, zamieszkującego Amerykę od Kanady po Patagonię, największego po jaguarze przedstawiciela kotowatych w Ameryce.



Jaguar sprężył się i skoczył na myśliwego, lecz w tej samej chwili kula trafiła go między oczy i padł martwy na ziemię.

– Cóż, mój chłopcze – odparł reporter – na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

– Ja!? Z taką zimną krwią...!?

– Wyobraź sobie, Harbercie, że jaguar jest zającem, a ustrzelisz go najspokojniej w świecie.

– Otóż to! – wtrącił się Pencroff. – To żadna sztuka!

– A teraz – powiedział Gedeon Spilett – skoro jaguar opuścił swoją norę, nie widzę powodu, dlaczego, moi przyjaciele, nie mielibyśmy zająć jej na noc.

– Ale inne mogą tu przyjść! – zawołał Pencroff.

– Wystarczy rozpalic ogień u wejścia do jaskini – stwierdził reporter – i żadne zwierzę nie odważy się przekroczyć jej progu.

– A więc do domu jaguarów! – rzekł marynarz, ciągnąc za sobą trupa zwierzęcia.

Osadnicy skierowali się do opuszczonej nory, i podczas gdy Nab zaczął zdierać skórę z jaguara, jego towarzysze ułożyli przed wejściem stos suchego drewna, którego w lesie nie brakowało.

Cyrus Smith, dostrzegłszy kępę bambusów, poszedł naciąć sporą ich ilość i dorzucił do stosu drewna zgromadzonego na ognisko.

Gdy wszystko już zostało przygotowane, wyspiarze skryli się w grotcie, gdzie w piasku wałało się pełno kości. Na wypadek nagłej napaści nabili strzelby, potem zjedli kolację i nim udali się na spoczynek, zapalili ogień pod stosem drewna przed wejściem do jaskini.

Natychmiast w powietrzu rozległy się detonacje petard! To bambusy, które zajęły się płomieniem, wybuchały niczym sztuczne ognie! Już sam ten hałas wystarczył, by odstraszyć najodważniejsze drapieżniki!

Ten sposób wywoływania silnych detonacji nie był wynalazkiem inżyniera, gdyż – według Marca Polo¹ – Tatarzy w Azji Środkowej od wielu wieków używali z powodzeniem tego sposobu do odstraszenia niebezpiecznych zwierząt.



¹ *Marco Polo* (1254-1324) – wenecki kupiec i podróżnik, w wieku 17 lat z ojcem Niccolem i stryjem Matteo wyruszył Jedwabnym Szlakiem z Wenecji na dwór Kubilaj-chana, gdzie dotarł w roku 1275; w Chinach spędził 17 lat w służbie chana, po powrocie do Wenecji w roku 1295 wzięty do niewoli podczas wojny z Genuą, w więzieniu napisał swe sławne dzieło *Opisanie świata*, będące sprawozdaniem z odbytej podróży i zawierające mnóstwo wiadomości o Chinach i Azji.

Rozdział V

Propozycja powrotu wybrzeżem południowym – Konfiguracja
wybrzeża – W poszukiwaniu domniemanego wraku
– Szczątki w przestworzach – Odkrycie małego naturalnego
portu – O północy nad brzegami Mercy River
– Dryfująca łódka

Cyrus Smith i jego towarzysze jak niewinne świstaki prze-
spali całą noc spokojnie w pieczarze, którą jaguar uprzej-
mie pozostawił do ich dyspozycji.

O wschodzie słońca wszyscy byli już na brzegu, na samym krańcu cypla, a ich spojrzenia skierowały się jeszcze ku temu horyzontowi, który widoczny był przed nimi w dwóch trzecich swego okręgu. Inżynier jeszcze raz mógł stwierdzić, że żaden żagiel, żaden wrak statku nie widniał na morzu i nawet przez lunetę nie widać było nic podejrzanego.

Nie było też żadnych śladów na wybrzeżu, a przynajmniej na tej jego części, która rozciągała się po południowej stronie półwyspu na długości trzech mil, ponieważ dalej wygięcie linii brzegowej zasłaniało resztę wybrzeża, tak że nawet z krańca Półwyspu Serpentyńy nie można było dostrzec Przyładka Pazura, zakrytego przez wysokie skały.

Do zbadania pozostawało więc jedynie południowe wybrzeże wyspy. Czy teraz powinni spróbować przedsięwziąć tę wyprawę i poświecić na nią cały dzień drugiego listopada?

Nie mieli tego w swym pierwotnym planie. Istotnie, kiedy zostawiali pirogę u źródeł Rzeki Dziękczynienia, ustalili, że po zbadaniu zachodniego wybrzeża wrócą po nią, a następnie udadzą się rzeką z powrotem do Granitowego Pałacu. Cyrus Smith

sądził wówczas, że zachodnie wybrzeże mogło dać schronienie bądź to jakiemuś uszkodzonemu statkowi, bądź okrętowi odbywającemu regularną żeglugę, ale gdy się okazało, że nie ma możliwości przybicia do tego brzegu, trzeba było szukać na południu wyspy tego, czego nie udało się znaleźć na jej zachodzie.

To właśnie Gedeon Spilett był tym, który zaproponował kontynuowanie badania, by raz na zawsze wyjaśnić kwestię przypuszczalnego rozbicia się statku. Zapytał też, jak daleko od krańca półwyspu mógł się znajdować Przylądek Pazura.

– Jakieś trzydzieści mil – odparł inżynier – jeśli wziąć pod uwagę łamańce linii brzegowej.

– Trzydzieści mil! – powtórzył Gedeon Spilett. – To cały dzień bardzo forsownego marszu. Myślę jednak, że powinniśmy wrócić do Granitowego Pałacu, posuwając się wzdłuż południowego wybrzeża.

– Ale z Przylądka Pazura do Granitowego Pałacu trzeba będzie pokonać jeszcze co najmniej dziesięć mil – zauważył Harbert.

– Przyjmijmy, że razem będzie czterdzieści, ale nie wahajmy się je przejść – podsumował reporter. – Zobaczymy przynajmniej nieznane dotąd wybrzeże i nie będziemy musieli rozpoczynać kolejnej wyprawy.

– Bardzo słusznie – odezwał się Pencroff – ale co z pirogą?

– Pozostawiliśmy na jeden dzień pirogę u źródeł Rzeki Dziękczynienia, to równie dobrze poczeka i dwa dni! – odpowiedział Gedeon Spilett. – Na razie nie możemy powiedzieć, że wyspa została najechana przez złodziei.

– Mimo to, kiedy przypomnę sobie historię z żółwiem – rzekł marynarz – to jakoś nie mam zaufania...

– Żółw! Żółw! – zawołał reporter. – Czy nie wie pan, że to morze go odwróciło?

– Kto wie? – szepnął inżynier.

– Ale... – zaczął Nab.

Było oczywiste, że chciał coś powiedzieć, bo już otwierał usta. Jednak milczał.

– Co chciałeś powiedzieć, Nabie? – spytał inżynier.

– Jeżeli będziemy wracali wzdłuż wybrzeża aż do Przyładka Pazura – odpowiedział Nab – to po jego obejściu drogę zagrodzi nam...

– Rzeka Dziękczynienia! – rzekł Harbert. – Rzeczywiście, nie będziemy mieli ani mostu, ani łodzi, żeby się przez nią przeprawić!

– Zgoda, panie Cyrusie – odparł Pencroff – ale kilka pływających pni rozwiąże ten problem.

– A jednak – powiedział Gedeon Spilett – przydałby się nam most, jeśli chcemy mieć łatwy dostęp do Lasów Dzikiego Zachodu!

– Most! – zawołał Pencroff. – No cóż, czy pan Smith nie jest z zawodu inżynierem? Kiedy będziemy potrzebowali mostu, to on go zbuduje! Co do przeprawy dzisiejszego wieczora na drugi brzeg Mercy River, i to bez zmoczenia jednej nitki waszej odzieży, to ja się tym zajmę. Mamy jeszcze zapasy na jeden dzień i tylko tyle nam potrzeba, a zresztą może nie zabraknie zwierzyny tak jak wczoraj. W drogę!

Propozycja reportera, bardzo entuzjastycznie popierana przez marynarza, zyskała ogólną aprobatę, gdyż każdemu z nich zależało na rozwianiu wszelkich wątpliwości, a powrót przez Przyładek Pazura oznaczał, że badania będą kompletne. Nie mieli jednak ani chwili do stracenia, gdyż czterdziestomilowy etap był długi i nie mogli zbyt liczyć na dotarcie do Granitowego Pałacu przed nocą.

O szóstej rano mała gromadka wyruszyła w drogę. W przewidywaniu niemiłych spotkań ze zwierzętami na dwóch lub

czterech nogach fuzje zostały nabite kulami, a Top, który biegł na przedzie, otrzymał rozkaz przeszukiwania skraju lasu.

Po opuszczeniu krańca cypla tworzącego ogon półwyspu brzeg zakręcał na odcinku pięciu mil. Szybko pokonali tę odległość, lecz mimo drobiazgowych poszukiwań nie dostrzegli najmniejszego śladu dawnego lub niedawnego przybijania do lądu ani też wraku, pozostałości po obozowisku, popiołu po wygasłym ognisku czy śladu stóp!

Koloniści dotarli do kąta, na którym kończyło się wygięcie linii brzegowej, która później podążała w kierunku północno-wschodnim, tworząc Zatokę Waszyngtona. Stąd mogli objąć wzrokiem południowe wybrzeże na całej jego rozciągłości. Dwaścieścia pięć mil dalej brzeg kończył się Przylądkiem Pazura, ledwo majaczącym w porannej mgle, a zjawisko mirażu¹ sprawiało, że wydawał się jakby zawieszony między ziemią a wodą. Od miejsca, w którym znajdowali się koloniści, aż po najdalszą część zatoki rozciągała się szeroka plaża, jednolita i płaska, obramowana w głębi drzewami. Dalej wybrzeże stawało się bardzo nieregularne, wcinało się ostrymi cyplami w morze, wreszcie kilka czarnych skał grupowało się w malowniczym nieładzie na samym końcu Przylądka Pazura.

Tak wyglądała owa część wyspy, którą osadnicy ogarnęli wzrokiem po raz pierwszy, zatrzymując się na chwilę.

– Każdy statek, który by się tu zapuścił, byłby zgubiony – powiedział wówczas Pencroff. – Łachy piasku ciągnące się aż na pełne morze, a dalej podwodne rafy! Niebezpieczne wody!

– Ale przynajmniej coś by po nim zostało – zauważył reporter.

¹ *Miraż* (fatamorgana) – zjawisko optyczne obserwowane w atmosferze ziemskiej; polega na powstawaniu obrazów (wskutek załamывania się promieni świetlnych w nierównomiernie nagrzanej warstwie powietrza) przedmiotów oddalonych od obserwatora i zwykle normalnie niewidocznych.

– Pozostałyby kawałki drewna na rafach, ale nic na piasku – stwierdził marynarz.

– A to dlaczego?

– Ponieważ te piaski, jeszcze bardziej niebezpieczne niż skały, pochłaniają wszystko, co się na nich znajdzie, i wystarczy kilka dni, by kadłub statku o pojemności kilkuset ton zniknąłby w nich całkowicie!

– Zatem, Pencroff, gdyby jakiś statek zagubił się na tych ławicach, to nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie został po nim teraz żaden ślad? – spytał inżynier.

– Tak, panie Smith, z pomocą czasu i burzy. Jednakże byłbym zdziwiony nawet w takim przypadku, że jakieś szczątki masztów czy belki nie zostały wyrzucone na brzeg, poza zasięg morza.

– Kontynuujmy więc nasze poszukiwania – odparł Cyrus Smith.

O pierwszej po południu koloniści dotarli w głąb Zatoki Waszyngtona i w tym właśnie momencie pokonali odległość dwudziestu mil.

Zatrzymali się na posiłek.

Tu zaczynało się bardziej nieregularne wybrzeże, dziwnie poszarpane i zamknięte przez długą linię tych podwodnych skał, które następowały po ławicach piasku, w tej chwili zakrytych, lecz które odpływ wkrótce miał odsłonić. Morze łagodnie faloowało, rozbijając się o wierzchołki skał i tworząc długie frędzle piany. Od tego punktu aż do Przylądka Pazura wybrzeże było węższe i wtłoczone między skały a skraj lasu.

Wędrówka stała się więc trudniejsza z powodu niezliczonych skał, którymi zatłoczone było wybrzeże. Granitowa ściana zaczynała się wznosić coraz wyżej i widać było tylko zielone wierzchołki rosnących za nią drzew, których nie poruszał nawet najłżejszy wietrzyk.

Po półgodzinnym odpoczynku koloniści ruszyli ponownie w drogę, przeszukując wzrokiem każdy punkt na rafach i na wybrzeżu. Pencroff i Nab wchodzili nawet pomiędzy podwodne skały za każdym razem, gdy coś podejrzanego przyciągnęło ich uwagę. Nigdzie jednak nie znaleźli żadnych szczątków wraku, myliło ich tylko dziwne ukształtowanie skał. Mogli za to stwierdzić, że plaża obfitowała w jadalne mięczaki, z których jednak będzie można korzystać dopiero po stworzeniu pomostu łączącego oba brzegi Rzeki Dziękczynienia i po udoskonaleniu środków transportu.

Tak więc nie znaleziono niczego, co by miało jakikolwiek związek z domniemanym rozbiciem się statku na wybrzeżu, a przecież zauważyliby jakiś ważny element, na przykład kadłub statku czy też jego szczątki wyrzucone na brzeg, podobnie jak zauważyli tę skrzynię, którą znaleźli jakieś dwadzieścia mil od tego miejsca. Tu jednak nie było niczego.

Około trzeciej Cyrus Smith i jego towarzysze dotarli do niewielkiej, niemal zamkniętej zatoczki, do której nie dopływał żaden ciek wodny. Tworzyła ona prawdziwy, mały, naturalny port, niewidoczny od strony pełnego morza, do którego można było się dostać wąskim przesmykiem pomiędzy rafami.

W głębi tej zatoczki jakiś gwałtowny wstrząs musiał rozerwać skalisty brzeg i wyrwa wydrążona w łagodnym stoku tworzyła dostęp na górny płaskowyż, usytuowany mniej niż dziesięć mil od Przylądka Pazura, a zatem cztery mile w linii prostej od Płaskowyżu Rozległego Widoku.

Gedeon Spilett zaproponował swoim towarzyszom, by zatrzymać się w tym miejscu. Wszyscy się zgodzili, ponieważ marsz wyostrzył każdemu apetyt i chociaż nie była to jeszcze pora obiadu, nikt nie odmówił pokrzepienia się kawałkiem dziczyzny. Posiłek ten miał pozwolić im dotrzeć do kolacji w Granitowym Pałacu.

Kilka minut później koloniści, siedząc pod kępą wspaniałych morskich sosen, pałaszowali zapasy, które Nab wyciągnął ze swego tobołka.

Miejsce to wznosiło się jakieś pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp nad poziomem morza. Mogli zatem objąć wzrokiem znaczny obszar i sięgnąć spojrzeniem ponad ostatnie skały cypla, gubiące się w Zatoce Unii. Nie widać było jednak jeszcze ani wysepki, ani Płaskowyzu Rozległego Widoku, gdyż ukształtowanie terenu i zasłona z wysokich drzew maskowały horyzont od północy.

Nie trzeba dodawać, że chociaż osadnicy mogli ogarnąć wzrokiem znaczną część morza, a luneta inżyniera przeczesła punkt po punkcie całą półkolistą linię, gdzie niebo łączyło się z wodą, nie dostrzeżono żadnego statku.

Przyjrzeni się także z takim samym staraniem przez lunetę całej połaci wybrzeża, które pozostawało jeszcze do zbadania, od plaży po rafy, lecz w polu widzenia instrumentu nie pojawiły się nawet najmniejsze szczątki statku.

– Cóż – odezwał się Gedeon Spilett – trzeba podjąć decyzję i pocieszyć się myślą, że nikt nie podważy naszych praw własności do Wyspy Lincoln!

– Ale co z tym ziarenkiem ołowiu?! – zapytał Harbert. – Jak sądzę, nie było naszym urojeniem!

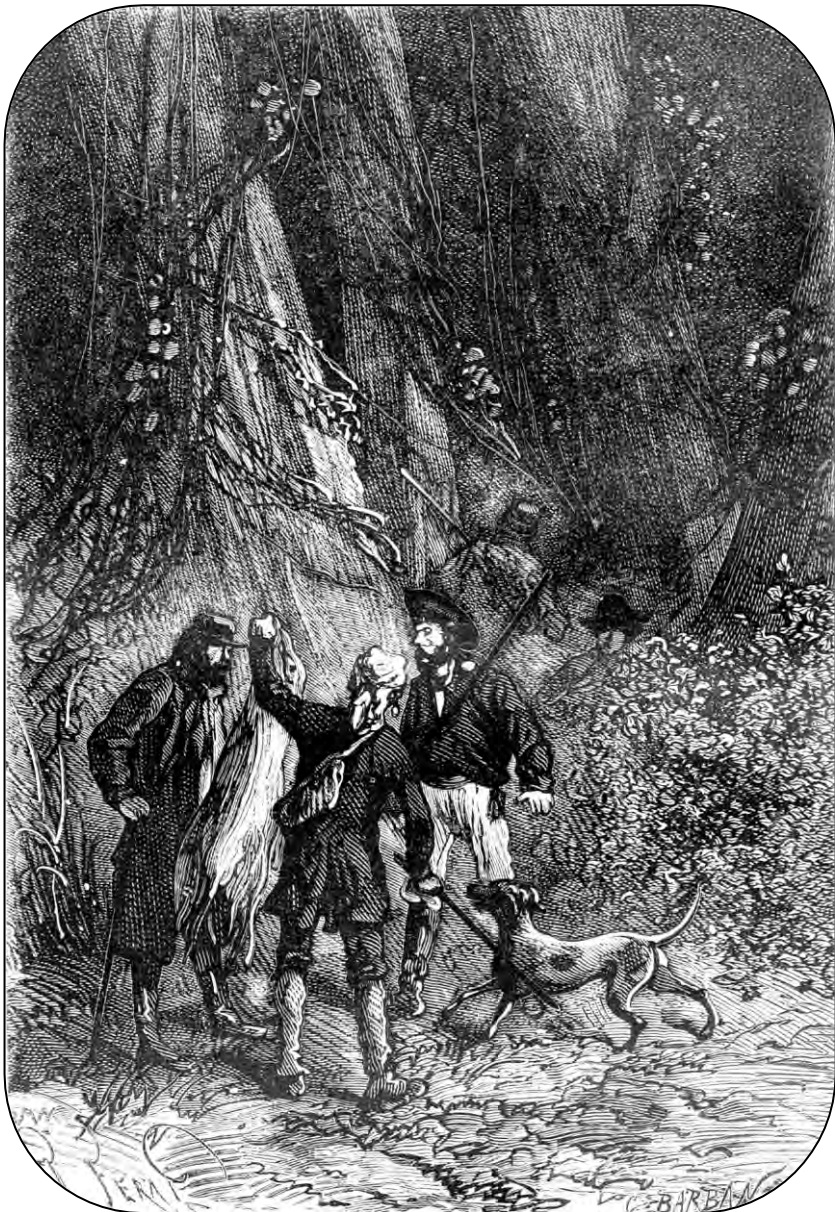
– Do tysiąca diabłów, nie! – zawołał Pencroff, myśląc o brakującym zębie trzonowym.

– Zatem jaki z tego wniosek? – spytał reporter.

– Taki – odparł inżynier – że maksymalnie przed trzema miesiącami jakiś statek dobrowolnie lub nie przybił...

– Co? Przypuszcza pan, Cyrusie, że zatonął bez pozostawienia żadnego śladu?! – wykrzyknął reporter.

– Nie, mój drogi Gedeonie, ale proszę zauważyć, że jeżeli jest pewne, iż jakiś człowiek postawił stopę na tej wyspie, to nie mniej pewne wydaje się, że już ją opuścił.



Nab wyrwał łachman z pyska psa. Był to kawałek mocnego płótna.

– Zatem, jeśli dobrze pana rozumiem, panie Cyrusie – powiedział Harbert – statek miałby odpłynąć?

– Oczywiście.

– A my bezpowrotnie straciliśmy możliwość powrotu do kraju? – spytał Nab.

– Obawiam się, że bezpowrotnie.

– No cóż! Skoro straciliśmy okazję, to w drogę! – rzekł Pencroff, którego już ogarnęła nostalgia za Granite House.

Jednak zaledwie się podniósł, dało się słyszeć głośnie szczekanie Topa, który wybiegł z lasu, trzymając w pysku zabłocony kawałek tkaniny.

Nab wyrwał łańchman z pyska psa. Był to kawałek mocnego płótna.

Top wciąż szczekał, biegając tam i z powrotem, czym wydawał się zapraszać swego pana, by poszedł za nim do lasu.

– Jest tam coś, co może wyjaśnić sprawę mojego ziarenka śrutu! – zawołał Pencroff.

– Rozbitek! – zakrzyknął Harbert.

– Może ranny! – rzekł Nab.

– Albo martwy! – dorzucił reporter.

Wszyscy rzucili się pospiesznie za psem pomiędzy wielkimi sosnami tworzącymi pierwszą linię lasu. Na wszelki wypadek Cyrus Smith i jego towarzysze trzymali broń w pogotowiu.

Musieli się zagłębić dość daleko w las, lecz ku swemu wielkiemu rozczarowaniu nie dostrzegli żadnego śladu stóp. Zarośla i liany były nietknięte i trzeba było ciąć je siekierami, jak to się robi w najgęstszych ostępach lasu. Trudno więc było sobie wyobrazić, że jakaś istota ludzka mogła tędy ostatnio przechodzić, a jednak Top wciąż biegał naprzód, potem zawracał, nie jak pies, który szuka czegoś na los szczęścia, ale jak istota obdarzona wolą, która postępuje według określonej myśli.

Po siedmiu czy ośmiu minutach marszu Top się zatrzymał. Koloniści dotarli na coś w rodzaju niewielkiej polanki otoczonej wysokimi drzewami, rozejrzeli się wokół siebie i nie zobaczyli absolutnie nic: ani wśród krzewów, ani między pniami drzew.

– O co chodzi, Top? – spytał Cyrus Smith.

Top szczeakał jeszcze głośniej, skacząc przy pniu olbrzymiej sosny.

Nagle Pencroff zakrzyknął:

– Och, jest! Och, wspaniale!

– Ale co jest? – spytał Gedeon Spilett.

– Szukaliśmy szczątków na morzu i na lądzie!

– No i co?

– To, że one znajdują się w powietrzu!

Marynarz wskazał na ogromną białawą płachtę zawieszoną na szczycie sosny, której znaleziony na ziemi kawałek przyniósł im Top.

– Przecież to nie są żadne szczątki! – zawołał Gedeon Spilett.

– Przepraszam bardzo! – obruszył się Pencroff.

– Jak to? Czyżby to...

– To wszystko, co pozostało z naszego powietrznego statku, z naszego balonu, który osiadł tam, w górze, na wierzchołku tego drzewa!

Pencroff się nie mylił i wydawszy wspaniały okrzyk „hurra!”, dodał:

– Oto mamy doskonałe płótno! Uszyjemy z niego bieliznę, która wystarczy nam na wiele lat! Możemy z niego zrobić chustki i koszule! Hej, panie Spilett, co pan powie na wyspę, na której koszule rosną na drzewach?

Była to istotnie pomyślna okoliczność dla kolonistów z Wyspy Lincolna, że aerostat po zrobieniu ostatniego skoku w powietrzu ponownie spadł na wyspę i że im udało się go szczę-

śliwie odnaleźć. Mogli teraz zachować powłokę, gdyby chcieli ponownie spróbować ucieczki drogą powietrzną albo wykorzystać do innych celów te kilkaset łokci bawełnianej materii dobrej jakości, po usunięciu z niej lakieru. Łatwo się domyślić, że radość Pencroffa żywo podzielali wszyscy pozostali.

Trzeba było jednakże zdjąć powłokę balonu z drzewa, na którym ona wisiała, i umieścić w bezpiecznym miejscu, a nie była to łatwa robota. Nab, Harbert i marynarz, wspiąwszy się na szczyt drzewa, musieli dokonywać cudów zręczności, by uwolnić pozbawiony powietrza olbrzymi aerostat.

Operacja ta trwała blisko dwie godziny, dopóki nie tylko powłoka z zaworem, sprężynami i mosiężnym okuciem, ale także siatka, czyli niezliczona ilość lin i sznurów, obręcz podtrzymująca oraz kotwica balonu znalazły się na ziemi. Powłoka balonu zachowała się w dobrym stanie, z wyjątkiem rozdarcia w jednym miejscu i postrzępionego rękawa.

Była to fortuna, która spadła im z nieba.

– Jednakże, panie Cyrusie – powiedział marynarz – jeśli kiedyś zdecydujemy się opuścić wyspę, to chyba nie balonem, prawda? Te statki powietrzne nie lecą tam, gdzie się chce, a my już coś o tym wiemy! Widzi pan, jeżeli mi pan wierzy, my zbudujemy dobry statek o pojemności dwudziestu ton, a z tego kawałka płótna pozwoli mi pan wyciąć grotżagiel i fokżagiel¹. Jeśli chodzi o resztę, to zużyjemy ją na ubiory!

– Zobaczymy, Pencroff – odparł Cyrus Smith. – Zobaczymy.

– Na razie musimy to wszystko umieścić w bezpiecznym miejscu – powiedział Nab.

Rzeczywiście, nie było nawet co myśleć o przetransportowaniu do Granitowego Pałacu tego ładunku płótna, sznurów i osprzę-

¹ *Grotżagiel* – żagiel na grotmaszcie, to jest głównym maszcie; *fokżagiel* – tutaj: żagiel rozpięty na przednim sztaku (sztaksel), czyli linie stabilizującej osmasztowanie w płaszczyźnie symetrii żaglowca.



Trzeba było jednakże zdjąć powłokę balonu z drzewa, na którym ona wisiała, i umieścić w bezpiecznym miejscu, a nie była to łatwa robota.

tu, których ciężar był bardzo znaczny. Nie mogli też zostawić takiego bogactwa na pastwę kolejnego huraganu, do czasu aż wrócą po znalezisko z odpowiednim środkiem transportu. Koloniści, połączywszy swoje siły, zdołali wszystko przeciągnąć na wybrzeże, gdzie znajdowała się spora pieczara, do której – dzięki jej położeniu – nie mógł się wdrzeć ani deszcz, ani wiatr, ani morskie fale.

– Koniecznie potrzebowaliśmy szafy i oto mamy szafę – powiedział Pencroff. – Ponieważ jednak nie jest zamykana na klucz, powinniśmy jakoś zamaskować wejście. Nie mówię tego ze względu na złodziei dwunożnych, tylko o tych z czterema łapami!

O szóstej wieczorem wszystko było zmagazynowane w pieczarze, a nadawszy małej zatoczce bardzo usprawiedliwioną nazwę „Portu Balonu”, ruszono w dalszą drogę w stronę Przyładka Pazura. Pencroff i inżynier rozmawiali o różnych projektach, które trzeba będzie zrealizować bez żadnej zbędnej zwłoki. Przede wszystkim należało przerzucić most przez Rzekę Dziękczynienia, by ułatwić komunikację z południem wyspy; następnie powinni wrócić z wózkiem po resztki aerostatu, gdyż nie dałoby się przetransportować ich łódką. Potem trzeba będzie zbudować szalupę z pokładem, jeszcze później Pencroff osprzętuje ją jak kuter¹, dzięki czemu będą mogli wyruszać na wyprawy... dookoła wyspy, potem zaś... i tak dalej.

Tymczasem zbliżała się noc, a niebo było już ciemne, gdy koloniści dotarli do Cypla Szczątka, w to samo miejsce, gdzie odkryli cenną skrzynię. Jednak i tutaj, podobnie jak gdzie indziej,

¹ *Kuter* – tu: jednomasztowy jacht żaglowy mający dwa albo trzy przednie żagle (sztaksle); maszt na kutrze jest zazwyczaj usytuowany bliżej środka łodzi (mniej wysunięty ku przodowi) niż na słupie, co pozwala na postawienie większej liczby sztaksli.

nie było żadnego śladu wskazującego na rozbitcie się statku i trzeba było się pogodzić z wnioskami poprzednio sformułowanymi przez Cyrusa Smitha.

Od Cypla Szczałka do Granitowego Pałacu pozostawały jeszcze cztery mile drogi, które bardzo szybko pokonali. Było już dobrze po północy, gdy idąc wzdłuż brzegu Rzeki Dziękczynienia w kierunku jej ujścia, osadnicy dotarli do pierwszego zakola rzeki.

Koryto w tym miejscu było szerokie na osiemdziesiąt stóp, co czyniło rzekę nie do przejścia, lecz Pencroff postanowił pokonać tę trudność, więc czym prędzej zabrał się do roboty.

Należy przyznać, że koloniści byli wykończeni. Wyprawa była długa, a zdarzenie z balonem nie pozwoliło wypocząć ani ich nogom, ani rękom. Spieszno im było powrócić do Granitowego Pałacu, zjeść kolację i zasnąć. Gdyby most był gotowy, w ciągu kwadransa znaleźliby się w domu.

Noc była bardzo ciemna. Pencroff starał się dotrzymać obietnicy i dlatego budował coś w rodzaju tratwy, która pozwoliłaby im się przedostać przez Rzekę Dziękczynienia. Razem z Nabem, uzbrojeni w siekiery, wybrali na brzegu dwa sąsiadujące ze sobą drzewa z których chcieli tę tratwę zbudować, i zaczęli rąbać je u nasady.

Cyrus Smith i Gedeon Spilett, siedząc na brzegu, czekali na moment w którym będą mogli pomóc swym towarzyszom, tymczasem Harbert spacerował, zbytnio się od nich nie oddalając.

Nagle chłopiec, który uszedł kawałek w górę rzeki, wrócił biegiem i wskazując na Rzekę Dziękczynienia, zawołał:

– Coś tam płynie!

Pencroff przerwał pracę i dostrzegł ruchomy obiekt mglistości wyłaniający się z mroku.

– Łódka! – krzyknął.

Wszyscy zbliżyli się do brzegu i ku swemu najwyższemu zaskoczeniu ujrzeli spływającą z prądem łódź.

– Ahoj! Łódź! – zawołał marynarz pchnięty zawodowym przyzwyczajeniem, nie zastanawiając się, że może należało zachować milczenie.

Odpowiedzi nie było. Łódka płynęła dalej i znajdowała się już tylko około dziesięciu kroków od nich, gdy marynarz zawołał:

– Ależ to nasza piroga! Zerwała cumę i spłynęła tutaj z prądem! Trzeba przyznać, że pojawiła się w samą porę!

– Nasza piroga...? – szepnął inżynier.

Pencroff miał rację. Była to na pewno ich piroga, której cuma bez wątpienia się zerwała i która sama wracała od źródeł Rzeki Dziękczynienia! Należało ją teraz złapać, zanim zostanie porwana przez szybki nurt rzeki za ujściem, co też Nab i Pencroff uczynili za pomocą długiej żerdzi.

Łódka przybiła do brzegu. Inżynier pierwszy wsiadł do niej, złapał cumę i upewnił się dotykiem, że lina rzeczywiście przebrała się samoistnie przez ocieranie się o skały.

– No proszę – rzekł do niego cicho reporter – to się nazywa zbieg okoliczności...

– Dziwny... – odparł Cyrus Smith.

Dziwny czy też nie, był dla nich bardzo szczęśliwy! Harbert, reporter, Nab i Pencroff kolejno wsiadali do łodzi. Zupełnie nie podawali w wątpliwość, że lina się zużyła, ale naprawdę zadziwiające w tej sprawie było to, że piroga pojawiła się dokładnie w chwili, gdy koloniści mogli ją przechwycić, ponieważ kwadrans później łódź zagubiłaby się w morzu.

Gdyby to się działo za czasów opiekuńczych duchów, to ten incydent dałby prawo myśleć, że wyspa była nawiedzana przez nadprzyrodzoną istotę, która oddawała swoją moc na usługi rozbitków!

Wystarczyło kilka pchnięć wiosłem i koloniści dotarli do ujścia Rzeki Dziękczynienia. Łódkę wyciągnięto na brzeg i zaciągnięto aż pod Kominy, a wszyscy ruszyli ku drabinie wiodącej do Granitowego Pałacu.

W tejże chwili Top gniewnie zaszczekał, a Nab, który szukał stopą pierwszego szczebla, wydał z siebie okrzyk... Drabiny nie było!



Rozdział VI

Nawoływania Pencroffa – Noc w Kominach – Strzała Harberta – Plan Cyrusa Smitha – Nieoczekiwane rozwiązanie – Co się wydarzyło w Granite House – Jak nowy służący wstąpił na służbę do kolonistów

Cyrus Smith zatrzymał się, nie mówiąc ani słowa. Jego towarzysze przeszukiwali w ciemnościach zarówno ścianę, na wypadek gdyby wiatr przesunął drabinę, jak również podnóże zbocza, gdyby spadła na ziemię... ale drabina zupełnie zniknęła. Jeśli chodzi o stwierdzenie, czy przypadkiem jakiś nagły podmuch wiatru nie rzucił jej na pierwszy podest, to też nie było możliwe pośród panujących głębokich ciemności.

– Jeśli to jakiś żart, to bardzo kiepski! – zawołał Pencroff. – Wrócić do domu i nie móc znaleźć schodów prowadzących do swego pokoju, to nie jest zdarzenie mogące rozśmieszyć zmęczonych ludzi!

Tymczasem Nab ciągle coś wykrzykiwał.

– Przecież tego nie mógł zrobić wiatr! – zauważył Harbert.

– Zaczynam myśleć, że na Wyspie Lincolna dzieją się bardzo osobliwe rzeczy! – orzekł Pencroff.

– Osobliwe? – wyraził zdziwienie Gedeon Spilett. – Ależ nie, Pencroff, nie ma nic bardziej naturalnego. Ktoś przyszedł tu podczas naszej nieobecności, zajął mieszkanie i wciągnął do niego drabinę!

– Ktoś! – wykrzyknął marynarz. – Kto taki...?

– To jasne że myśliwy od ziarnka śrutu! – odpowiedział reporter. – Jakież może być inne wyjaśnienie tej naszej niemiłej przygody?

– No cóż, jeśli ktoś jest tam, na górze – odparł Pencroff i zaklął, ponieważ zaczęła go już ogarniać niecierpliwość – spróbuję go wywołać, a on będzie musiał mi odpowiedzieć!

Marynarz grzmiącym głosem wydał z siebie przeciągły okrzyk: „Ahoj!”, a echo powtórzyło go z wielką siłą.

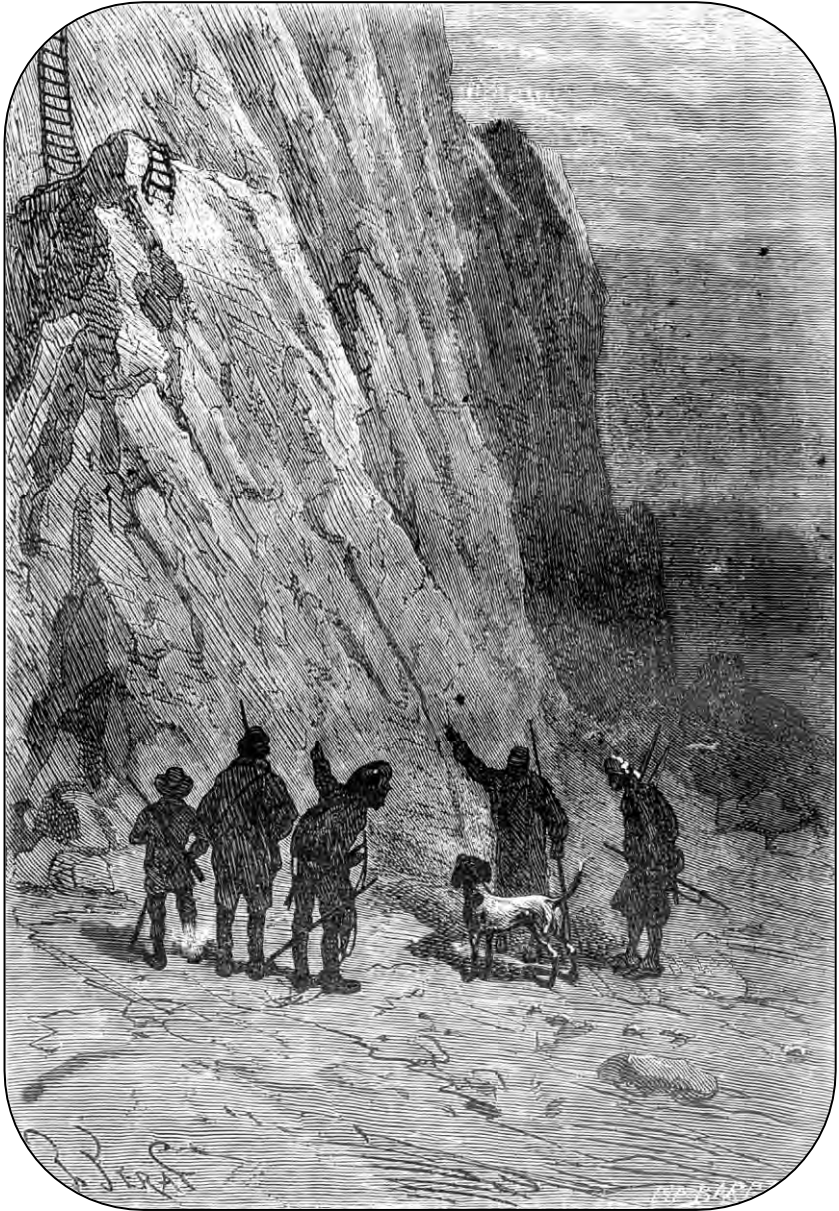
Koloniści nasłuchiwali i przez chwilę zdawało im się, że z wysokości Granitowego Pałacu dobiega do ich uszu rodzaj szyderczego śmiechu, którego pochodzenia nie potrafili rozpoznać. Żaden jednak głos nie odpowiedział na okrzyk Pencroffa, który daremnie powtarzał swe głośnie wołania.

To naprawdę było coś takiego, co mogłoby zdziwić nawet najobojętniejszego człowieka na ziemi, a przecież koloniści do takich nie należeli. W ich sytuacji każde zdarzenie miało swoją wagę, i bez wątplenia żadne z tych, które przeżyli w ciągu siedmiu miesięcy pobytu na wyspie, nie było równie zadziwiające jak to.

Jakkolwiek było, zapominając o zmęczeniu, przejęci osobliwym wydarzeniem, stali u podnóża Granitowego Pałacu, nie wiedząc, co mają myśleć, nie wiedząc, co mają czynić, zadając sobie pytania bez możliwości odpowiedzi na nie, mnożąc hipotezy, jedne bardziej nieprawdopodobne od drugich. Nab la-mentował, bardzo zawiedziony, że nie może wrócić do swojej kuchni, zwłaszcza że zapasy z podróży się wyczerpały i na razie nie było sposobu na ich uzupełnienie.

– Moi przyjaciele – odezwał się w końcu Cyrus Smith – możemy uczynić tylko jedno: poczekać do nadejścia dnia i dopiero wówczas zacząć działać odpowiednio do okoliczności. Na razie jednak chodźmy do Kominów. Tam się schronimy, a jeśli nie zjemy kolacji, to przynajmniej będziemy mogli się wyspać.

– Ale jakież to zuchwalec spletał nam takiego figła? – jeszcze raz zapytywał Pencroff, nie mogąc zrozumieć, o co w tej awanturze chodzi.



Tymczasem Top otrzymał nakaz, by pozostać pod oknami Granitowego Pałacu.

Kimkolwiek był ten „zuchwalec”, jedyną rzeczą do zrobienia, jak to już powiedział inżynier, było udanie się do Kominów i oczekiwanie tam, aż zrobi się dzień. Tymczasem Top otrzymał nakaz, by pozostać pod oknami Granitowego Pałacu, a kiedy Top otrzymywał jakiś rozkaz, to zawsze wykonywał go bez czynienia jakichkolwiek uwag. Dzielny pies został więc u stóp ściany, podczas gdy jego pan z towarzyszami schronili się pośród skał.

Powiedzieć, że koloniści, mimo zmęczenia, dobrze spali na piasku w kominach, byłoby mijaniem się z prawdą. Byli nie tylko mocno zaniepokojeni tym nowym incydentem, który mógł nieść za sobą poważne konsekwencje, ale też zastanawiali się, czy to jedynie przypadek, którego przyczynę poznają w świetle dnia, czy też było to dziełem człowieka. Na dodatek znajdowali się w kiepskim położeniu. Cokolwiek się stało, ich domostwo było w tej chwili zajęte i nie mogli do niego wejść.

Otóż Granitowy Pałac był dla nich przecież czymś więcej niż tylko domem, był też ich magazynem. Znajdował się tam cały dobytek kolonii: broń, instrumenty, narzędzia, amunicja, zapasy żywności, itd. Gdyby to wszystko zostało złupione, to osadnicy musieliby się od nowa urządzać, wytwarzać broń i narzędzia. Byłaby to bardzo poważna sprawa! Dlatego też, dręczeni wielkim niepokojem, co chwila wychodzili – to jeden, to któryś inny – żeby sprawdzić, czy Top dobrze wszystkiego pilnuje. Jedynie Cyrus Smith czekał z właściwą sobie cierpliwością, choć jego rozum burzył się w obliczu absolutnie niewytłumaczalnego zjawiska. Inżynier zżymał się, czując wokół siebie, a może nad sobą, działanie sił, których nie potrafił nazwać. Gedeon Spilett podzielał całkowicie jego uczucia w tym względzie i obaj wielokrotnie rozmawiali, ale półgłosem, o tych wszystkich niewytłumaczalnych okolicznościach, które podważały zarówno ich sposób rozumowania, jak i doświadczenie. Bez żadnej wątpliwości wyspa ta

skrywała w sobie jakąś tajemnicę, ale w jaki sposób ją odkryć? Harbert mógł tylko poddać się wyobraźni i chętnie zasypałby pytaniami Cyrusa Smitha, natomiast Nab powiedział sobie, że to nie jest jego zmartwienie i jest to sprawa jego pana, i gdyby się nie bał, że urazi swoich towarzyszy, dzielny Murzyn spałby tej nocy równie spokojnie jak na swoim posłaniu w Granitowym Pałacu!

Wreszcie bardziej niż inni wściekał się Pencroff i szczerze mówiąc, był wprost rozjuszony.

– To chyba jakaś farsa! – mówił. – Ktoś z nas zażartował! Mówię zatem, że ja nie lubię takich żartów i biada figlarzowi, jeśli tylko dostanę go w swe ręce!

Gdy tylko na wschodzie ukazały się pierwsze brzaski dnia, koloniści, odpowiednio uzbrojeni, udali się na wybrzeże, w pobliże raf. Granitowy Pałac, bezpośrednio wystawiony na promienie wschodzącego słońca, niebawem powinien rozblysnąć w blasku poranka; istotnie, przed piątą ukazały się za zasłoną listowia zamknięte okiennice.

Od tej strony wszystko było w porządku, jednak z piersi osadników wyrwał się okrzyk, w momencie gdy zobaczyli, że drzwi, które zamknęli przed wyruszeniem w podróż, były otwarte na oścież.

Ktoś wdarł się do Granitowego Pałacu. Co do tego nie mogli mieć już żadnych wątpliwości.

Wyższa drabinka, zazwyczaj przytwierdzona do podestu drzwi, znajdowała się na swoim miejscu, lecz niższa została usunięta i wciągnięto ją aż na sam próg. To było bardziej niż oczywiste, że intruzi chcieli się zabezpieczyć przed wszelkimi niespodziankami.

Na razie nie dało się stwierdzić, jak wielu ich było ani kim są, bo żaden jeszcze się nie ujawnił.

Pencroff znów zaczął nawoływać.

Nie padła żadna odpowiedź.

– Dranie! – wykrzyknął marynarz. – Pewnie śpią sobie spokojnie, jakby byli u siebie! Ahoj! Piraci, bandyci, korsarze, synowie Johna Bulla¹!

Nazywając kogoś „synem Johna Bulla”, Pencroff, jako Amerykanin, posuwał się do użycia najgorszej obelgi.

Obecnie zrobiło się zupełnie widno i fasada Granitowego Pałacu rozblęsnęła w promieniach słońca. Jednak zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz panowały cisza i spokój.

Osadnicy zaczęli się zastanawiać, czy w Granitowym Pałacu ktoś istotnie jest, czy też nie ma nikogo, jakkolwiek wciąż gnięta drabina potwierdzała niezbitą czyjąś obecność i było wręcz pewne, że intruzi, kimkolwiek byli, nie mogli stamtąd uciec! Ale jak się do nich dostać?

Harbert wpadł wtedy na pomysł, by przywiązać linę do strzały i wystrzelić ją tak, by przeleciała pomiędzy pierwszymi szczeblami drabinki, która zwisała przy progu drzwi. Wówczas można by za pomocą sznura ściągnąć drabinkę na plażę i przywrócić połączenie między ziemią a wnętrzem Granitowego Pałacu.

Nie mieli lepszego pomysłu, a przy odrobinie zręczności mogło się to udać. Na szczęście łuki i strzały były złożone w jednym z korytarzy Kominów, gdzie leżało również jakieś dwadzieścia sążni lekkiej linki z włókien hibiskusa. Pencroff rozwinął linę, której jeden koniec przywiązał do strzały dobrze wyważonej piórami. Następnie Harbert umieścił strzałę na cięciwie i z największą starannością wycelował w zwisający koniec drabinki.

¹ *Jonh Bull* – przezwisko nadawane Anglikom; typowy albo przeciętny Anglik, postać mająca być uosobieniem narodu angielskiego w satyrze *Historia Johna Bulla* szkockiego lekarza i pisarza Johna Arbuthnota (1667-1735).

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Pencroff i Nab odsunęli się od skalnej ściany, by lepiej widzieć to, co będzie się działo w oknach Granitowego Pałacu. Reporter z karabinem przy ramieniu celował w drzwi.

Harbert zwolnił cięciwę, strzała świsnęła, pociągając za sobą sznur, i przeleciała pomiędzy dwoma ostatnimi szczeblami.

Operacja się powiodła.

Harbert natychmiast uchwycił drugi koniec liny, lecz w chwili gdy miał nią szarpnąć, by ściągnąć drabinkę na ziemię, pomiędzy muru a drzwi wysunęło się żywo jakieś ramię, chwyciło ją i wciągnęło do wnętrza Granitowego Pałacu.

– Potrójny draniu! – zawołał marynarz. – Jeśli jedna kulka może uczynić cię szczęśliwym, to nie będziesz długo na nią czekał!

– Ale kto to był? – spytał Nab.

– Kto? Nie rozpoznałeś...?

– Nie.

– To małpa, makak, kapucynka, koczokodan, orangutan, babuin, goryl, uistiti!¹ Do naszego mieszkania wtargnęły małpy, które wspięły się po drabince podczas naszej nieobecności!

¹ *Makak (Macaca)* – rodzaj naziemnych małp wąskonosych, żyjących od Afryki Północnej po Japonię; długość do 70-80 cm, waga do 10 kg, ogon krótki; *kapucynki (Cebus)* – rodzaj niewielkich ssaków naczelnych z rodziny płaksowatych, wysokość do 50 cm, waga do 4,5 kg, zamieszkuje tropikalne lasy Ameryki Południowej i Środkowej; *koczokodany (Cercopithecus)* – różne gatunki małp z rodziny makakowatych o długości do 1 m i wadze do 13 kg, ogon długi, żyją w Afryce; *orangutan (Pongo)* – rodzaj dużych małp człekokształtnych, zamieszkujących jedynie Sumatrę i Borneo; wysokość do 1,8 m; waga do 120 kg; *babuin (pawian zielony, Papio cynocephalus)* – małpa z rodziny makakowatych, wysokość do 1 m, waga do 40 kg, długi ogon, zamieszkuje sawanny Afryki; *goryl (Gorilla)* – rodzaj największych spośród współcześnie żyjących małp naczelnych zaliczany do rodziny człowiekowatych, wysokość do 175 cm, waga ponad 200 kg; zamieszkuje lasy Afryki Środkowej; *uistiti (marmozeta, Callithrix jacchus)* – małpa szerokonosa z rodziny płaksowatych, długość ciała do 15 cm, ogona do 35 cm, waga do 0,4 kg; żyje w lasach północnej części Ameryki Południowej.

Właśnie w tej samej chwili, jakby na potwierdzenie słów marynarza, trzy lub cztery czwororękie stworzenia pojawiły się w oknach, otwarłszy uprzednio okiennice, i pozdrowiały prawdziwych właścicieli tego miejsca tysiącami wygibasów i grymasów.

– Dobrze wiedziałem, że to tylko jakiś żart! – wykrzyknął Pencroff. – Ale jeden z tych figlarzy zapłaci za wszystkich innych!

Marynarz szybko przyłożył strzelbę do ramienia, wycelował natychmiast w jedną z małp i strzelił. Wszystkie zniknęły, wyjąwszy jedną z nich, która ugodzona śmiertelnie, spadła na wybrzeże.

Była to duża małpa z pierwszego rzędu czwororękich, i co do tego nie można było mieć żadnych wątpliwości. Czy był to szympan, orangutan, goryl czy gibbon, z pewnością należał do człekokształtnych, ze względu na swoje podobieństwo do osobników rasy ludzkiej. Zresztą Harbert oświadczył, że jest to orangutan, a jak wiadomo, chłopiec był nieźle zorientowany w zoologii.

– Wspaniałe zwierzę! – zawołał Nab.

– Wspaniałe, skoro tak twierdzisz – odpowiedział Pencroff – ale ciągle nie widzę, jak zdołamy się dostać do naszego domu!

– Harbert jest dobrym strzelcem – rzekł reporter – i mam ze sobą łuk! Gdyby jeszcze raz spróbował...

– Dobrze, ale te małpy są przebiegłe! – zawołał Pencroff. – Na pewno nie pojawią się już w oknach i nie uda nam się ich zabić. Kiedy pomyślę o spustoszeniu, jakiego mogą tam dokonać w pokojach i w magazynie...

– Cierpliwości – uspokajał Cyrus Smith. – Te zwierzęta nie mogą nas długo trzymać w szachu!

– Będę tego pewny dopiero wówczas, gdy znajdą się na ziemi – odparł marynarz. – Tymczasem, panie Smith, czy pan wie, ile tuzinów tych figlarzy się tam znajduje?

Trudno było odpowiedzieć Pencroffowi na to pytanie, a jeśli chodzi o kolejną próbę młodego chłopca ze strzałą, nie była to taka prosta sprawa, gdyż dolny kraniec drabiny został wciągnięty do wnętrza, a gdy pociągnęli ponownie za linkę, ta się zerwała i drabinka nie spadła.

Wydarzenie stawało się doprawdy kłopotliwe. Pencroff się wściekał. Sytuacja była nieco komiczna, choć on ze swej strony nie widział w niej nic śmiesznego. Było oczywiste, że w końcu zdołają się dostać do Granitowego Pałacu i wypędzić intruzów, ale kiedy i w jaki sposób? Tego nie potrafili jeszcze powiedzieć.

Minęły dwie godziny, podczas których mały wcale się nie pokazywały, ale jednak ciągle tam były i kilkakrotnie jakiś pysk albo łapa pojawiały się w drzwiach lub w oknie. Za każdym razem witano je strzałami z broni.

– Schowajmy się – powiedział wówczas inżynier. – Może mały uwierzą, że poszliśmy sobie, i ponownie się ukażą. Pan Spilett i Harbert niech się zaczają za skałami i niech strzelają do wszystkiego, co się pojawi.

Oczywiście wykonano polecenia inżyniera i podczas gdy reporter oraz chłopiec, dwaj najrzęczniejsi strzelcy, ustawili się w odpowiedniej odległości do oddania celnego strzału, ale tak, by nie zostali zauważeni przez mały, Nab, Pencroff i Cyrus Smith wspięli się na płaskowyż i poszli do lasu, by upolować jakąś zwierzynę, zbliżała się bowiem pora posiłku, a z ich zapasów żywności nic już nie pozostało.

Po upływie pół godziny myśliwi wrócili z kilkoma skalnymi gołębiami, które jako tako udało im się upiec. Żadna mała ponownie się nie pojawiła.

Gedeon Spilett i Harbert także poszli zjeść swoją część posiłku, a tymczasem Top ciągle czuwał pod oknami. Posiliwszy się, obaj wrócili na swoje posterunki.

Dwie godziny później sytuacja w żaden sposób nie uległa zmianie. Czwororękie stworzenia nie dawały żadnych oznak życia, można więc było sądzić, że po prostu zniknęły; najbardziej jednak prawdopodobne wydawało się, że wystraszone śmiercią jednego z ich towarzyszy, przerażone hukami broni palnej, siedziały w głębi pokojów Granitowego Pałacu, lub nawet w magazynie. A kiedy koloniści pomyśleli o bogactwach, jakie znajdowały się w tym magazynie, cierpliwość, do której wciąż nakłaniał ich inżynier, przerodziła się w gwałtowną irytację, i szczerze mówiąc, nie była ona pozbawiona podstaw.

– Stanowczo to bardzo głupia sytuacja! – odezwał się w końcu reporter. – Doprawdy nie mamy sposobu, by z nią skończyć!

– Musimy jednak coś zrobić, by te nicponie się stamtąd wyniosły! – zawołał Pencroff. – Doprowadzimy sprawę do końca, nawet jeśli siedzi ich tam ze dwadzieścia, ale by to zrobić, musimy z nimi walczyć wręcz! Ach, czy nie ma jakiegoś sposobu, by się do nich dostać?

– Jest jeden – odparł wtedy inżynier, któremu do głowy przyszła pewna myśl.

– Jeden? – zapytał Pencroff. – No cóż, dobre i to, skoro nie ma innych! Jaki to sposób?

– Spróbujmy wejść do Granitowego Pałacu przez stary przelew wody z jeziora – odparł inżynier.

– Och, do tysięcy diabłów! – zawołał marynarz. – O czymś takim nie pomyślałem!

Był to rzeczywiście jedyny sposób, by wejść do wnętrza Granitowego Pałacu, a tam rozprawić się z bandą małp i je wypędzić. Prawdą było, że otwór odpływu został zamknięty murem ze spojonych cementem kamieni, który trzeba by zniszczyć, ale osadnicy byli gotowi zrobić to powtórnie. Na szczęście Cyrus Smith nie zrealizował jeszcze swojego projektu ukrycia tego



Kolejne wypadały na zewnątrz, zabijały się, łamiąc sobie karki przy upadku.

otworu poprzez ponowne zatopienie pod wodami jeziora, ponieważ wówczas dostanie się do wewnątrz zajęłoby im więcej czasu.

Minęło już południe, kiedy koloniści, dobrze uzbrojeni i zapatrzeni w kilofy oraz oskardy, opuścili Kominy i przeszli pod oknami Granitowego Pałacu, rozkazując Topowi, żeby został na swoim posterunku. Zaczęli piąć się w górę lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia, żeby się dostać na Płaskowyż Rozległego Widoku.

Nie zdążyli jeszcze zrobić pięćdziesięciu kroków w tym kierunku, gdy usłyszeli wściekłe szczekanie psa. Brzmiało niczym rozpaczliwe wołanie.

Zatrzymali się.

– Biegnijmy! – zawołał Pencroff.

Wszyscy popędzili w dół stoku, ile mieli sił w nogach.

Kiedy dobiegli do zakrętu, ujrzeni, że sytuacja raptownie się zmieniła.

Faktycznie, małpy, wyraźnie nagle strwożone z jakiegoś nieznanego powodu, starały się uciekać. Dwie lub trzy biegały i skakały od jednego okna do drugiego ze zwinnością klaunów. Nie próbowały nawet rozwinąć ponownie drabinki, po której łatwo byłoby zejść na ziemię. Ogarnięte przerażeniem, może zapomniały o tym sposobie ucieczki. Wkrótce pięć czy sześć małp znalazło się w zasięgu strzału, toteż koloniści wycelowali do nich i strzelili. Jedne ranne, głośno piszcząc, inne zaś martwe – wpadły do środka. Kolejne wypadały na zewnątrz, zabijały się, łamiąc sobie karki przy upadku. Po upływie pewnego czasu można było przypuszczać, że w Granitowym Pałacu nie pozostała już ani jedna czwororęka istota.

– Hurra! – wykrzyknął Pencroff. – Hurra! Hurra!

– Nie ma co jeszcze krzyczeć „hurra!” – stwierdził Gedeon Spilett.

– Dlaczego? Przecież już wszystkie są martwe – zdziwił się marynarz.

– Zgoda, ale to jeszcze nie daje nam sposobu powrotu do mieszkania.

– Chodźmy do przelewu! – zaproponował Pencroff.

– Można i tak – rzekł inżynier – ale lepiej byłoby...

W tej chwili, jakby w odpowiedzi na uwagę Cyrusa Smitha, zobaczyli ześlizgującą się od progu drzwi drabinę, która następnie rozwinęła się i upadła na ziemię.

– Och, do tysięcy fajek! To coś niezwykłego! – zawołał marynarz, spoglądając na Cyrusa Smitha.

– Zbyt niezwykłego! – szepnął inżynier, który pierwszy wszedł na drabinę.

– Niech pan uważa, panie Cyrusie! – zawołał Pencroff. – Jeśli w środku siedzą jeszcze jakieś małpiszony...

– Wkrótce zobaczymy – odparł inżynier, nie zatrzymując się.

Wszyscy jego towarzysze podążyli za nim i po minucie znaleźli się przy drzwiach.

Przeszukano każdy zakątek. Nikogo nie było ani w pokojach, ani w magazynie, do którego na szczęście banda czwororękich nie wtargnęła.

– Coś takiego! A drabina? – dziwił się marynarz. – Kim był ten dżentelmen, który nam ją zrzucił?

Wtem dało się słyszeć krzyk i wielka małpa, która skryła się w korytarzu, rzuciła się pospiesznie do sali, ścigana przez Naba.

– Ach, ty bandyto! – zawołał Pencroff i już miał rozwalić łeb zwierzęcia trzymaną w rękę siekierą, gdy Cyrus Smith zatrzymał go i powiedział:

– Oszczędź ją, Pencroff.

– Mam okazać miłosierdzie temu czarnuchowi?

– Tak, bo przecież to ona zrzuciła nam drabinę!

Inżynier powiedział to tak dziwnym głosem, że trudno było rozpoznać, czy mówił poważnie, czy żartował.

Mimo to wszyscy rzucili się na małpę, która po bohater-skiej obronie została powalona na ziemię i skrepowana.

– Uff! – zawołał Pencroff. – Co z nią teraz zrobimy?

– Zrobimy z niej służącego! – odparł Harbert.

Mówiąc tak, chłopiec zupełnie nie żartował, wiedział bowiem, ile pożytku może przynieść to czwororękie zwierzę.

Koloniści zbliżyli się wówczas do małpy i uważnie się jej przyglądali. Należała rzeczywiście do rodziny człowiekowatych, u których kąt twarzowy bardzo mało się różni od tego, jaki mają rdzenni mieszkańcy Australii czy Hotentoci¹. Był to orangutan, zwierzę niemające drapieżności babuina, nierozwagi makaka, niechlujstwa uistiti ani niecierpliwości magota, ani złych instynktów pawiana. Małpy człekokształtne mają wiele cech świadczących o niemal ludzkiej inteligencji. W domu potrafią usługiwać przy stole, sprzątać mieszkanie, czyścić ubrania, woskować trzewiki, zręcznie posługiwać się nożem, łyżką i widelcem, a nawet pić wino... równie dobrze jak najlepsi służący na dwóch stopach i bez piór. Wiadomo, że Buffon² posiadał jedną

¹ *Kąt twarzowy* (wg Campera) – kąt zawarty pomiędzy dwiema płaszczyznami, z których jedna wychodzi od najbardziej wydatnej części czoła do przednich zębów, druga od otworu usznego do przedniego otworu nozdrzy; u człowieka rasy białej wynosi 80-90 stopni, u Murzynów powyżej 70 stopni, natomiast u małp 40-65 stopni; *Hotentoci* (nazwa własna Khoi Khoisan) – afrykański lud zamieszkujący południowe i środkowe tereny RPA, posługujący się językiem hotentockim z rodziny języków khoisan; nazwę „Hotentotów” nadali im Holendrzy, którym ich język, pełen charakterystycznych mlasków, kojarzył się z „jąkałami” – hotentotami.

² Georges Leclerc de *Buffon* (1707-1788) – francuski przyrodnik i filozof, członek m.in. Francuskiej Akademii Nauk, brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego; wywarł istotny wpływ na rozwój przyrodzoznawstwa w XVIII wieku; współautor wielotomowego dzieła *Historia naturalna*, w którym dokonał próby przedstawienia pełnego obrazu całej przyrody.



Mimo to wszyscy rzucili się na małpę, która po bohaterskiej obronie została powalona na ziemię i skrepowana.

z takich małp, która przez długie lata była mu wiernym i gorliwym sługą.

Ta małpa, która teraz znajdowała się skrupowana w sali Granitowego Pałacu, była olbrzymim zwierzęciem, wysokim na sześć stóp, o niezwykle proporcjonalnej budowie, szerokiej klatce piersiowej, głowie średniej wielkości o kącie twarzowym sięgającym sześćdziesięciu pięciu stopni, zaokrąglonej czaszce, wystającym nosie, skórze pokrytej gładkim i lśniącym włosiem; słowem: był to doskonały okaz człekokształtnej istoty. Jej oczy, nieco mniejsze od ludzkich, błyszczały żywą inteligencją, spod warg wyłaniały się białe zęby, a mała kręcona bródka miała kolor orzecha laskowego.

– Śliczny chłopak! – stwierdził Pencroff. – Gdybyśmy tylko znali jego język, moglibyśmy sobie z nim pogadać!

– A więc to na poważnie, mój panie? – spytał Nab. – Weźmiemy go na służącego?

– Tak, Nabie – odparł z uśmiechem inżynier. – Ale nie bądź zazdrosny!

– Mam nadzieję, że okaże się doskonałym służącym – dodał Harbert. – Wygląda na to, że jest młody, więc jego edukacja będzie łatwa i jednocześnie, by go sobie podporządkować, nie będziemy zmuszeni ani używać przemocy, ani wrywać mu kłów, jak się to zwykło robić w podobnych okolicznościach! Z pewnością przywiąże się do swych panów, którzy będą dla niego dobrzy.

– I tak się stanie – odparł Pencroff, który już puścił w niepamięć urazę wobec „figlarzy”, a następnie, zbliżywszy się do orangutana, powiedział:

– No cóż, mój chłopcze, jak się miewasz?

Orangutan odpowiedział krótkim chrząknięciem, w którym nie wyczuwało się złego humoru.

– Chcemy więc stanowić część kolonii? – spytał marynarz. – Chcemy dostać się na służbę do pana Cyrusa Smitha?

Małpa wydała kolejne, jakby potakujące chrząknięcie.

– I zadowolimy się jedynie pożywieniem za całe nasze wynagrodzenie?

Trzecie potakujące chrząknięcie.

– Rozmowa z nim wydaje się nieco monotonna – zauważył Gedeon Spilett.

– To dobrze! – odpowiedział Pencroff. – Najlepsi służący to tacy, którzy jak najmniej mówią. Poza tym nie żądają poborów! Słyszysz mnie, mój chłopcze? Na początek nie damy ci wynagrodzenia, ale jeśli będziemy z ciebie zadowoleni, podwoimy je!

Oto w jaki sposób kolonia powiększyła się o nowego członka, który miał im oddać niejedną przysługę. Jeśli chodzi o imię, jakim miano go nazywać, marynarz poprosił, żeby na cześć innej małpy, którą niegdyś znał, orangutan zwał się Jupiter¹, zdrobniale zaś Jup.

Właśnie w taki sposób, bez dodatkowych ceregieli, Jup zamieszkał w Granitowym Pałacu.



¹ *Jupiter* (Jowisz) – w mitologii rzymskiej syn Saturna, bóg nieba, burzy i deszczu, najwyższy władca nieba i ziemi, ojciec bogów; pospolicie utożsamiany z greckim Zeusem, z czasem przejął jego cechy; atrybutami Jowisza były piorun i orzeł.

Rozdział VII

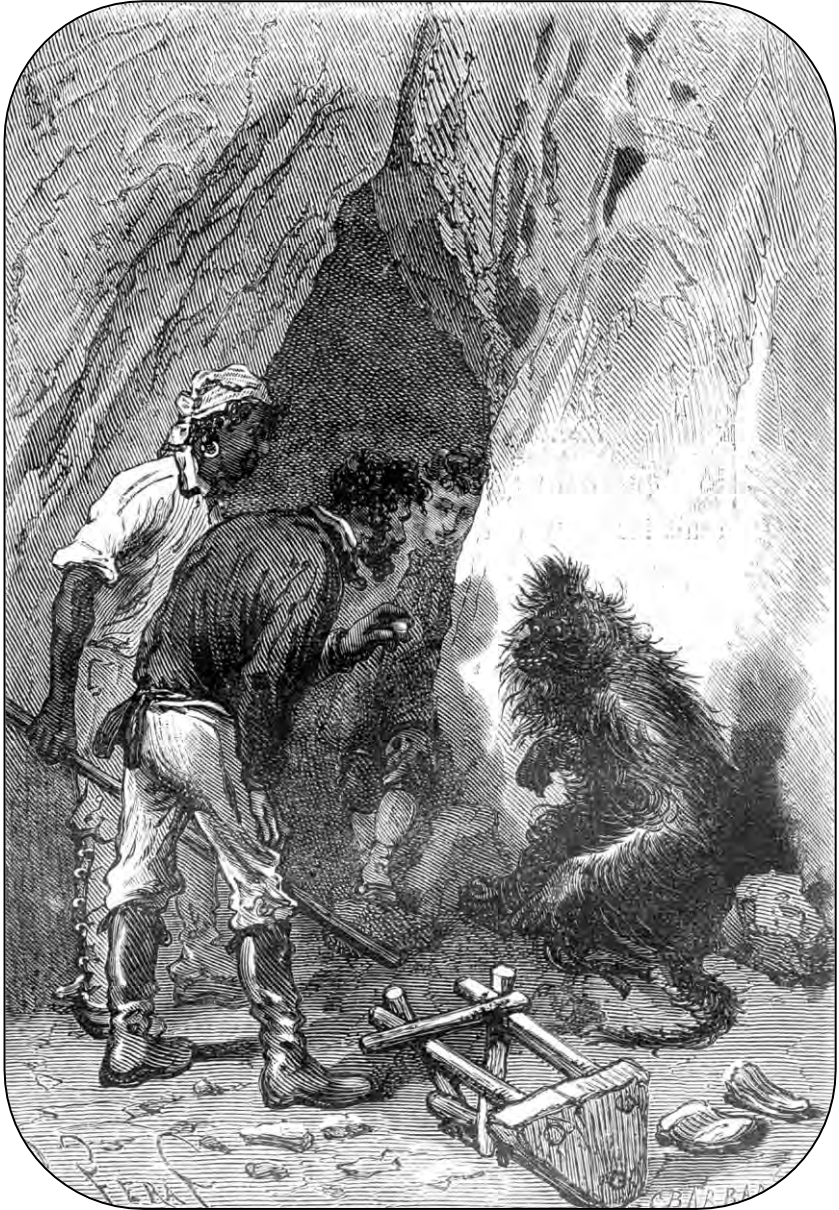
- Plany do zrealizowania – Most na Mercy River
– Przekształcenie Płaskowyżu Rozległego Widoku w wyspę
– Most zwodzony – Zbiór plonów – Strumień – Mostki
– Ptaszarnia – Gołębnik – Dwa onagry¹ – Wózek
z zaprzęgiem – Wyprawa do Portu Balonu

Koloniści z Wyspy Lincolna odzyskali więc swoją siedzibę bez konieczności dostawania się tam przez dawny przelew, dzięki czemu zaoszczędzili sporo murarskiej roboty. Doprawdy szczęśliwie się złożyło, że w chwili, gdy już zamierzali się zabrać do tej pracy, gromada małp, ogarnięta równie nagłym co niewytłumaczalnym strachem, wybiegła z Granitowego Pałacu. Czyżby zwierzęta te przeczuwały, że ktoś będzie próbował je zaatakować od innej strony? Było to jedyne sensowne wyjaśnienie ich ucieczki.

Podczas ostatnich kilku godzin tego dnia przeniesiono trupy małp do lasu, gdzie je zakopano. Następnie osadnicy musieli się zająć porządkowaniem bałaganu, jaki pozostawili po sobie intruzi – bałaganu, a nie zniszczeń – chociaż bowiem meble w pokojach zostały przewracane, to jednak niczego nie połamali. Nab rozpalił w piecach, a zapasy ze spiżarni dostarczyły im pożywnego posiłku, na który wszyscy rzetelnie zasłużyli.

Nie zapomniano też o Jupie, który z apetytem zjadał orzeszki pinii i kłacza, dostarczone mu w dużych ilościach. Pencroff rozwiązał mu ręce, lecz uznał za stosowne, by jeszcze na nogach

¹ *Onager* (osioł azjatycki, *Equus hemionus*) – ssak z rodziny koniowatych, z grupy osłów, dzikich osłów azjatyckich; zamieszkuje pustynie Azji; jest zagrożony wyginięciem.



Pencroff rozwiązał mu ręce, lecz uznał za stosowne, by jeszcze na nogach pozostawić mu pęta do czasu, gdy będzie można uznać, że pogodził się z losem.

pozostawić mu pęta do czasu, gdy będzie można uznać, że pogodził się z losem.

Przed położeniem się spać Cyrus Smith i jego towarzysze, siedząc wokół stołu, rozmawiali o pracach, którymi należało się pilnie zająć.

Najważniejszą i najpilniejszą z nich było zbudowanie mostu nad Rzeką Dziękczynienia, aby połączyć południową część wyspy z Granitowym Pałacem. Potem należało zbudować zagrodę dla muflonów i innych zwierząt dających wełnę, które zamierzali złapać.

Jak można zauważyć, te dwa projekty zdążyły do rozwiązania kwestii odzieży, która stawała się najpoważniejszą sprawą. Istotnie, most pozwoliłby im na łatwiejsze przetransportowanie powłoki balonu, z której uszyją bieliznę, a *corral*¹ miał dostarczać im wełny, z której wykonają ubrania.

Jeśli chodzi o *corral*, to Cyrus Smith miał zamiar założyć go u samych źródeł Red Creek, tam, gdzie przeżuwacze znalazłyby pastwiska, które dostarczałyby im świeżego i obfitego pokarmu. Droga między Płaskowyżem Rozległego Widoku i źródłami została już częściowo utorowana, a wózek, solidniej zbudowany niż ten pierwszy, ułatwiłby transport, zwłaszcza jeśli udałoby się złapać jakieś zwierzę pociągowe.

Jeśli jednak nie widziano żadnych niedogodności w tym, żeby *corral* znajdował się daleko od Granitowego Pałacu, to inaczej było z pomieszczeniem dla ptactwa domowego, na co Nab zwrócił uwagę kolonistom. Rzeczywiście, istotne było, żeby ptaki znajdowały się pod ręką kuchmistrza, a żadne miejsce nie wydawało się dogodniejsze do założenia wspomnianego pomieszczenia niż część łądu granicząca z dawnym przelewem wód z jeziora. Ptaki wodne będą się tam czuły równie dobrze jak

¹ *Corral* (ang., hiszp.) – zagroda.

wszystkie inne, a para tinamu pojmana w czasie ostatniej wyprawy miała zostać poddana pierwszym próbom oswojenia.

Następnego dnia – czwartego¹ listopada – rozpoczęły się nowe prace i zaczęto od budowy mostu. Przy tak ważnej robocie potrzebne były ramiona wszystkich kolonistów. Na plecy osadników, którzy przekwalifikowali się teraz na cieśli, załadowano piły, siekiery, dłuta i młotki. Tak obciążeni zeszli na wybrzeże.

Tam Pencroff wypowiedział taką uwagę:

– A jeśli podczas naszej nieobecności mistrza Jupa znowu najdzie fantazja, by wciągnąć drabinkę, którą wczoraj tak uprzejmie nam spuścił?

– Przyczepmy ją za dolny koniec – zaproponował Cyrus Smith.

Tak też zrobili, używając dwóch pali, które mocno wbito w piasek. Następnie koloniści ruszyli wzdłuż lewego brzegu Rzeki Dziękczynienia i wkrótce dotarli do jej zakola.

Zatrzymali się tam, chcąc sprawdzić, czy most mógłby zostać przerzucony właśnie w tym miejscu. Wydawało się ono odpowiednie.

Rzeczywiście, od tego miejsca do Portu Balonu, odkrytego dwa dni wcześniej na południowym wybrzeżu, odległość wynosiła trzy i pół mili, a od mostu do Portu Balonu łatwo dało się uutorować przejezdną drogę, po której można było utrzymywać komunikację między Granitowym Pałacem a południową częścią wyspy.

Następnie Cyrus Smith przedstawił swoim towarzyszom projekt zarazem prosty do wykonania, jak i bardzo korzystny, nad którym przemyślał już od dłuższego czasu. Chodziło mu o całkowite odcięcie Płaskowyżu Rozległego Widoku, żeby uchronić się przed wszelkimi atakami czworonożnych i czworo-

¹ *Czwartego* – u J. Verne’a: trzeciego.

rękich zwierząt. Tym sposobem Granitowy Pałac, Kominy, ptaszarnia i cała wyższa część płaskowyżu, przeznaczona pod uprawy, byłaby chroniona przed spustoszeniami czynionymi przez zwierzęta.

Wcielenie tego projektu w życie nie nastęczało żadnych trudności, a inżynier planował zrobić to w ten oto sposób.

Płaskowyż był już chroniony z trzech stron przez wody, czy to sztucznie poprowadzone, czy też naturalne:

Na północnym zachodzie – przez brzeg Jeziora Granta, od załomu przy ujściu dawnego odpływu aż po wycięcie we wschodnim brzegu, którym odpływała obecnie woda z jeziora.

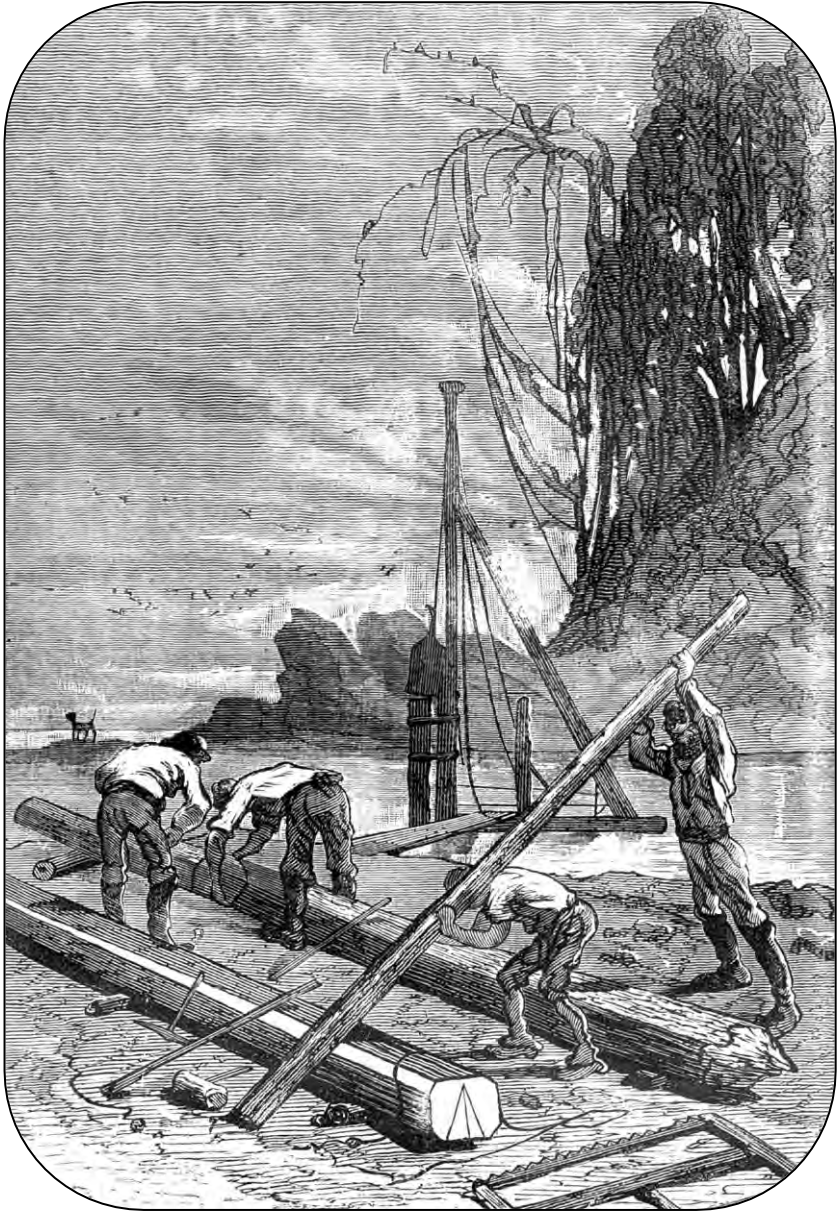
Na północy, od tego samego wycięcia – przez nowy ciek wodny, biegnący aż do morza, który wydrążył sobie koryto w płaskowyżu i na wybrzeżu poniżej i powyżej wodospadu – tu wystarczyło tylko pogłębić łożysko *creeku*, by uczynić przejście dla zwierząt niemożliwym.

Na całym wschodnim skraju przez samo morze, od ujścia wspomnianego potoku aż po ujście Rzeki Dziękczynienia.

Wreszcie na południu – od tego ujścia aż po zakole Rzeki Dziękczynienia, gdzie miał zostać zbudowany most.

Pozostawała zatem jeszcze kwestia zachodniej części płaskowyżu, pomiędzy zakolem rzeki a południowym krańcem jeziora, na odcinku nie większym niż jedna mila, na który każdy przybywający miał łatwy dostęp. Nie było jednak nic łatwiejszego jak wydrążyć rów, jednocześnie szeroki i głęboki, który wypełni się wodą z jeziora, a jej nadmiar nowym wodospadem będzie spływać do koryta Rzeki Dziękczynienia. W wyniku tego nowego odpływu wód poziom jeziora obniżyłby się nieco, ale Cyrus Smith sprawdził, że wydajność Czerwonego Potoku była na tyle znaczna, by pozwolić na wykonanie jego projektu.

– Tak więc – dodał inżynier – Płaskowyż Rozległego Widoku stanie się prawdziwą wyspą, otoczoną ze wszystkich stron



Łatwo można sobie wyobrazić, że była to żmudna robota i nawet poprowadzona sprawnie, wymagała znacznej ilości czasu.

wodą i połączoną z resztą naszej posiadłości jedynie mostem, który przerzucimy przez Rzekę Dziękczynienia, dwoma mostkami już istniejącymi powyżej i poniżej wodospadu oraz dwoma kolejnymi mostkami, które zbudujemy nad planowaną przez nas fosą i nad Rzeką Dziękczynienia. Otóż jeśli most i mniejsze mostki można będzie dowolnie podnosić, to Płaskowyż Rozległego Widoku chroniony będzie przed wszelkimi niespodziankami.

Cyrus Smith chcąc, by towarzysze lepiej zrozumieli jego plan, naszkicował mapę płaskowyżu, a jego koncepcja została w lot zrozumiana i przez wszystkich zaakceptowana, Pencroff zaś, wymachując swoją siekierką ciesielską, wykrzyknął:

– Najpierw bierzemy się do mostu!

Była to najbardziej pilna ze wszystkich spraw. Wybrano odpowiednie drzewa, ścięto je, okorowano i wycięto z nich belki, dyle i deski. Miał to być most o części stałej, opartej na prawym brzegu Rzeki Dziękczynienia, i ruchomej w części łączącej go z lewym brzegiem, tak aby mógł się podnosić wskutek przeciwwagi, jak niektóre mosty w śluzach.

Łatwo można sobie wyobrazić, że była to żmudna robota i nawet poprowadzona sprawnie, wymagała znacznej ilości czasu, gdyż Rzeką Dziękczynienia była szeroka na jakieś osiemdziesiąt stóp. Należało wbić w łożysko rzeki pale, których zadaniem było podpieranie nieruchomej części mostu; w tym celu musieli skonstruować kafar¹ do wbijania tych pali, zamierzali bowiem zbudować most opierający się na dwóch przęsłach łukowych, by mógł udźwignąć większe ciężary.

¹ *Kafar* – urządzenie służące do wbijania pionowych pali w ziemię lub w dno zbiornika wodnego; wykorzystuje się je podczas palowania – robót budowlanych wykonywanych najczęściej na grząskich lub niedostatecznie stabilnych gruntach oraz w budowlach nawodnych.

Na szczęście nie brakowało im ani narzędzi do obróbki drewna, ani żelaznych elementów do wzmocnienia konstrukcji, ani też pomysłowości człowieka, który świetnie znał się na tych pracach, ani w końcu gorliwości jego towarzyszy, którzy w ciągu tych siedmiu miesięcy doskonale wprawili ręce do takiej pracy. Trzeba też zaznaczyć, że Gedeon Spilett wcale nie ustępował innym zręcznością i nawet walczył o palmę pierwszeństwa z samym marynarzem, „który nie spodziewał się tak wiele po zwykłym dziennikarzu”.

Budowa mostu na Rzece Dziękczynienia trwała pełne trzy tygodnie, wypełnione rzetelną robotą. Obiad spożywano na miejscu prac, a ponieważ panowała piękna pogoda, dopiero na kolację wracano do Granitowego Pałacu.

W tym samym czasie można było stwierdzić, że mistrz Jup doskonale się zaaklimatyzował i przyzwyczajał do swych nowych panów, którym nadal przyglądał się z niezmierną ciekawością. Tymczasem Pencroff, tak na wszelki wypadek, nie pozostawiał mu jeszcze pełnej wolności ruchów, chcąc nie bez racji poczekać na chwilę, gdy w wyniku ich prac płaskowyz zostanie odgraniczony. Top i Jup żyli w najlepszej zgodzie i chętnie wspólnie baraszkowali, chociaż Jup wszystko traktował z pełną powagą.

Dwudziestego listopada most został ukończony. Jego ruchoma część, zrównoważona przez przeciwwagę, bardzo łatwo się poruszała, i żeby ją podnieść, nie trzeba było dużego wysiłku. Pomiędzy zawiasem a ostatnią poprzeczną belką, na której się opierała, gdy ją zamykano, istniał odstęp o szerokości około dwudziestu stóp, który był dostatecznie duży, by zwierzęta nie mogły go pokonać.

Pozostawała jeszcze kwestia przywiezienia powłoki aerostatu, którą osadnicy pragnęli jak najszybciej umieścić w bez-

piecznym miejscu. Jednak by ją przetransportować, musiano zaciągnąć wózek aż do Portu Balonu, a zatem niezbędne było utorowanie drogi przez gęste masywy Lasów Far Westu. Wymagało to trochę czasu. Nab i Pencroff najpierw przeprowadzili rozpoznanie aż do portu i stwierdziwszy, że „stock¹ płótna” w żaden sposób nie ucierpiał w grocie, w której został zmagazynowany, postanowiono, że prace związane z Płaskowyżem Rozległego Widoku będą prowadzone bez żadnych przerw.

– Pozwoli to założyć naszą ptaszarnię w najlepszych warunkach, skoro nie będziemy musieli się obawiać ani wizyt lisów, ani napadów innych zwierząt mogących czynić szkody – zauważył Pencroff.

– Nie wspominając już o tym – dodał Nab – że będziemy mogli wykarczować ziemię na płaskowyżu i przesadzić w nią dzikie rośliny...

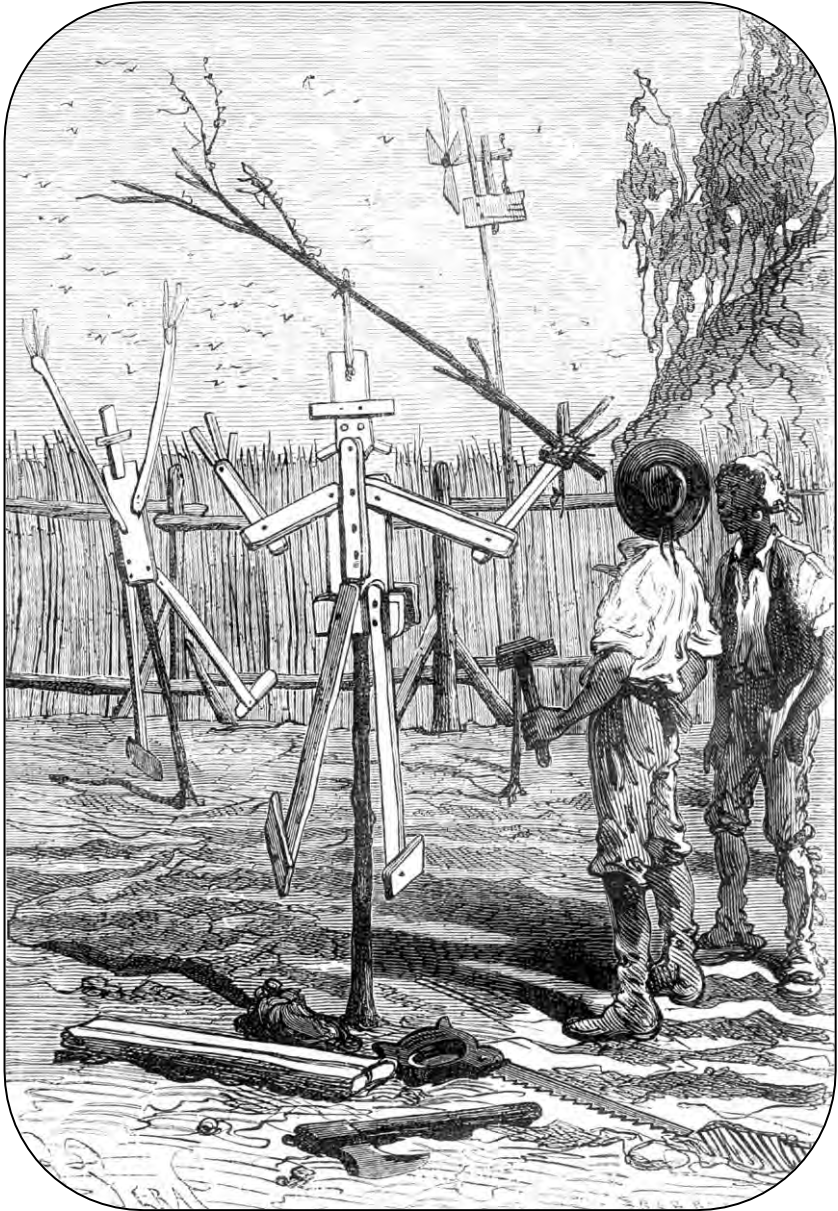
– Oraz przygotować glebę pod drugie pole na zboże! – zawołał marynarz z triumfalną miną.

Rzeczywiście, pierwsze pole, na którym zasiano jedno jedyne ziarno zboża, dzięki staraniom Pencroffa dało wspaniałą plon. Tak jak to zapowiedział inżynier, zaowocowało dziesięcioma kłosami, a ponieważ każdy z nich zawierał osiemdziesiąt ziaren, kolonia wzbogaciła się o osiemset ziaren zboża w ciągu zaledwie sześciu miesięcy, co zapowiadało dwa zbiory w ciągu roku.

Te osiemset ziaren, pomniejszone o pięćdziesiąt, które zostały przezornie odłożone, mieli zasiać na nowym polu i pielęgnować z nie mniejszą troską niż wcześniej pojedyncze ziarenko.

Pole zostało przygotowane, a następnie otoczone mocno palisadą, wysoką, z ostro zakończonymi palami, prawie nie do pokonania dla czworonożnych stworzeń. Jeśli chodzi o ptaki, to do

¹ *Stock* (ang.) – zapas.



Jeśli chodzi o ptaki, to do ich odstraszania wystarczyły hałaśliwe kołowrotki i straszliwe manekiny powstałe w fantazyjnej wyobraźni Pencroffa.

ich odstraszenia wystarczyły hałaśliwe kołowrotki i straszliwe manekiny powstałe w fantazyjnej wyobraźni Pencroffa. Siedemset pięćdziesiąt ziaren zostało następnie zasianych w równych rowkach. Resztę musiała dokończyć natura.

Dwudziestego pierwszego listopada Cyrus Smith zaczął rysować plan fosy, która miała zamknąć płaskowyż od zachodu, od południowego krańca Jeziora Granta aż do zakola Rzeki Dziękczynienia. Leżało tu dwie do trzech stóp żyznej gleby, a pod nią granitowa skała. Trzeba więc było ponownie wyprodukować nieco nitrogliceryny, która dała oczywiście spodziewany skutek. W niespełna dwa tygodnie w twardym gruncie płaskowyżu została wydrążona fosa, szeroka na dwanaście stóp i głęboka na sześć. W ten sam sposób powstała kolejna szczelina w skalistym brzegu jeziora, dzięki czemu woda rzuciła się do nowego łożyska, tworząc niewielki ciek wodny, któremu nadano nazwę Gliceryn Creek (Glicerynowy Potok) i który stał się dopływem Mercy River. Tak jak to przewidział inżynier, poziom wód w jeziorze obniżył się, lecz bardzo niewiele. Wreszcie, aby całkowicie odciąć płaskowyż, znacznie poszerzono łożysko strumienia na plaży, a napór piasku powstrzymano, budując podwójną palisadę.

Prace te ostatecznie zakończono w pierwszej połowie grudnia, a płaskowyż Rozległego Widoku, przypominający teraz nieregularny pięciokąt o obwodzie około czterech mil, został otoczony wodnym pasem, niemal całkowicie zabezpieczającym przed wszelką agresją z zewnątrz.

Grudzień był miesiącem bardzo upalnym, jednakże osadnicy nie chcieli odkładać na później zaplanowanych prac, a ponieważ najpilniejsze było urządzenie ptaszarni, przystąpili do jej budowy.

Nie trzeba chyba dodawać, że wraz z całkowitym odizolowaniem płaskowyżu mistrz Jup został uwolniony. Nadal jed-

nak nie opuszczał swych panów ani na chwilę i nie przejawiał najmniejszych chęci do ucieczki. Było to bardzo łagodne, a zarazem bardzo silne zwierzę o wprost zadziwiającej zręczności. Och, gdy chodziło o wspinanie się po drabinie do Granitowego Pałacu, nikt nie mógł z nim współzawodniczyć! Powierzano mu już pewne prace, takie jak ciągnięcie ładunku drewna czy wywożenie kamieni z koryta Glicerynowego Potoku.

– Nie jest to jeszcze murarz, ale już prawie mała! – żartował Harbert, mając na myśli przezwisko, którego używają murarze wobec swych terminatorów. Nigdy jeszcze to przezwisko nie było tak właściwie użyte!

Ptaszarnia zajęła obszar dwustu jardów kwadratowych¹, usytuowany na południowo-wschodnim brzegu jeziora. Otoczono ją ogrodzeniem i wybudowano przeróżne schronienia dla zwierząt, które miały tam zamieszkać. Były to szałas wykonane z gałęzi i podzielone na przegródki, które tylko czekały na swoich lokatorów.

Jako pierwsze znalazły się tam dwa tinamu, które wkrótce postarały się o liczne pisklęta. Do towarzystwa miały sześć kaczek, przyzwyczajonych do życia na brzegu jeziora. Kilka z nich należało do gatunku kaczek chińskich, których skrzydła otwierają się niczym wachlarz i które barwnym upierzeniem mogą rywalizować ze złocistymi bażantami. Kilka dni później Harbert złapał parę kuraków o zaokrąglonych ogonach – wspaniałych *Alectoris*², które bardzo szybko się zadomowiły. Jeśli chodzi o pelikany, zimorodki i kurki wodne, to te bardzo szybko same przybyły do ptaszarni. Po kilku kłótniach cały ten mały światek,

¹ Dwieście jardów kwadratowych – około 170 m².

² *Alectoris* – nazwa łacińska góropatw, rodzaju ptaków należących do rodziny kurowatyh, przypominających nieco swoim pokrojem kuropatwy, zamieszkujących Alpy, Apeniny i Góry Dynarskie.

gruchający, gdaczący i piszczący, w końcu doszedł do porozumienia i zaczął się rozmnażać w proporcjach zapewniających kolonii zaopatrzenie w żywność.

Cyrus Smith, pragnąc także mieć swój udział w tym dziele, założył w rogu ptaszarni gołębnik. Umieszczono w nim tuzin tych gołębi, które nawiedzały wysokie skalne ściany płaskowyzu. Ptaki te przyzwyczyły się do tego, by wieczorem wracać do swego nowego domu, i wykazywały większą skłonność do oswojenia niż grzywacze, ich pobratymcy, które rozmnażają się tylko na wolności.

Wreszcie nadeszła chwila, żeby zabrać się do szycia bielizny z powłoki aerostatu, ponieważ koloniści doszli do wniosku, że przechowywanie jej w niezmienionym stanie, żeby pewnego dnia zaryzykować lot nad wodami, że tak powiem niemającymi granic, w balonie wypełnionym gorącym powietrzem, nie było dopuszczalne dla ludzi, którzy mało co posiadali. Cyrus Smith, człowiek pragmatyczny, nawet o tym nie myślał.

Aby przewieźć powłokę balonu do Granitowego Pałacu, osadnicy musieli przerobić swój ciężki wózek na bardziej zwrotny i lżejszy. O ile jednak pojazd był już do dyspozycji, o tyle nadal brakowało motoru! Czyżby na wyspie nie było jakiegoś zwierzęcia z rodziny przeżuwaczy rodzimego gatunku, który by zastąpił konia, osła, wołu albo krowę? Musieli się o tym przekonać.

– Doprawdy – twierdził Pencroff – zwierzę pociągowe bardzo by nam się przydało, zanim pan Cyrus zechce skonstruować wózek parowy albo nawet lokomotywę, ponieważ z pewnością któregoś dnia będziemy posiadali linię kolejową biegnącą od Granitowego Pałacu do Portu Balonu, z odgałęzieniem do Góry Franklina!

Pocziwy marynarz, mówiąc tak, sam wierzył w swoje słowa! Och, jaka jest siła wyobraźni, gdy dołączy do niej wiara!

Nie popadając jednak w przesadę, nawet zwykły czworonóg, którego można by zaprzęgać do wozu, zadowoliłby Pencroffa, a że Opatrzność miała do niego słabość, nie kazała mu długo czekać.

Pewnego dnia – było to dwudziestego trzeciego grudnia – naraż dało się słyszeć wołanie Naba i jednocześnie szczekanie Topa. Koloniści, zajęci pracą w pobliżu Kominów, natychmiast nadbiegli, obawiając się jakiegoś przykrego wydarzenia.

I cóż zobaczyli? Dwa piękne, duże zwierzęta, które nieopatrzenie zapuściły się na płaskowyż, ponieważ mostki były jeszcze opuszczone. Można było mówić o dwóch koniach, albo przynajmniej osłach, samcu i samicy o smukłych sylwetkach, izabelowatych¹, o białych ogonach i nogach, z czarnymi pasami na głowach, szyjach i tułowiu. Szły spokojnie, nie okazując lęku, byстрым wzrokiem przyglądając się ludziom, w których jeszcze nie mogły rozpoznać swoich przyszłych panów.

– To onagry! – zawołał Harbert. – Gatunek czworonogów, coś pomiędzy zebłą a kwagą²!

– Dlaczego nie osły? – spytał Nab.

– Bo nie mają takich długich uszu, a ich kształty są zgrabniejsze!

– Osły czy konie – stwierdził Pencroff – są „silnikami”, jakby powiedział pan Smith, i jako takie warto je schwycić!

Marynarz, starając się nie spłoszyć obu zwierząt, prześlizgnął się pośród traw aż do mostka na Glicerynowym Potoku, podniósł go, i tym sposobem onagry zostały uwięzione.

Czy teraz powinni złapać je siłą i poddać przymusowemu udomowieniu? Bynajmniej. Zdecydowano, że przez parę dni

¹ *Izabelowaty* – koń maści złotawo-kremowej.

² *Kwagga* (*Equus quagga quagga*) – wymarły ssak z rodziny koniowatych, wytopiony wskutek polowań w XIX wieku; zamieszkiwał południową Afrykę; długość ciała do 180 cm, wysokość w kłębie 135 cm; ostatnia kwagga padła w ZOO w Amsterdamie w 1883 roku.

pozwoili im się swobodnie biegać po płaskowyżu, gdzie była obfitość traw, inżynier zaś natychmiast zarządził budowę stajni przy ptaszarni, w której onagry miały znaleźć świeżą, porządną ściółkę i schronienie na noc.

Tak więc pozostawiono tej wspaniałej parze zwierząt całkowitą swobodę ruchów, a koloniści starali się do nich nie podchodzić, żeby ich nie płoszyć. Tymczasem kilka razy onagry zdawały się odczuwać potrzebę opuszczenia płaskowyżu, dla nich, przyzwyczajonych do rozległych przestrzeni oraz leśnych ostępów, zbyt ograniczonego. Wtedy brodziły wzdłuż pasa wody stanowiącego dla nich barierę nie do przebycia, ryczały żałośnie, potem puszczały się galopem wśród traw, a gdy się wreszcie uspokajały, całymi godzinami spoglądały ku lasom, do których nigdy nie miały powrócić¹!

Tymczasem przygotowano uprząż i lejce, które sporządzono z włókien roślinnych, i kilka dni po schwytaniu onagrów nie tylko wózek był zaprzężony, ale i prosta droga, a raczej przecinka prowadziła przez Lasy Dzikiego Zachodu, od zakola Rzeki Dziękczyńnienia aż do Portu Balonu. Można więc było pojechać tam wozem. Po raz pierwszy wypróbowano zaprzęg onagrów w końcu grudnia.

Pencroff już na tyle dobrze usposobił zwierzęta, że te przychodziły jeść mu z ręki i pozwalały mu się do siebie zbliżyć bez żadnych kłopotów. Jednak po założeniu im uprzęży stawały dęba i tylko z wielkim wysiłkiem marynarzowi udało się je poskromić. Mimo to wkrótce przyzwyczały się do nowej roli, gdyż onagry, mniej buntownicze niż zebry, często zaprzęga się w górzystych częściach Afryki południowej, a także udało się je nawet zaaklimatyzować w stosunkowo chłodnych strefach Europy.

Tego dnia wszyscy mieszkańcy kolonii, z wyjątkiem Pencroffa, który szedł przed swoimi zwierzętami, wsiedli do wóz-

¹ Onagry są dzikimi osłami półpustynnymi, nie leśnymi.

ka i ruszyli w stronę Portu Balonu. To, że na tej ledwie zarysowanej drodze straszliwie trzęsło, to się rozumie samo przez się, ale pojazd dotarł bez przeszkód do wyznaczonego celu i nawet jeszcze tego samego dnia można było załadować na wózek powłokę oraz różny osprzęt aerostatu.

O ósmej wieczorem wózek znów minął most na Rzece Dziękczynienia, zjechał na lewy brzeg rzeki i zatrzymał się na wybrzeżu. Onagry zostały wyprężone, następnie odprowadzone do stajni, a Pencroff przed położeniem się spać wydał tak głośne westchnienie satysfakcji, że to rozniosło się echem po Granitowym Pałacu.



Rozdział VIII

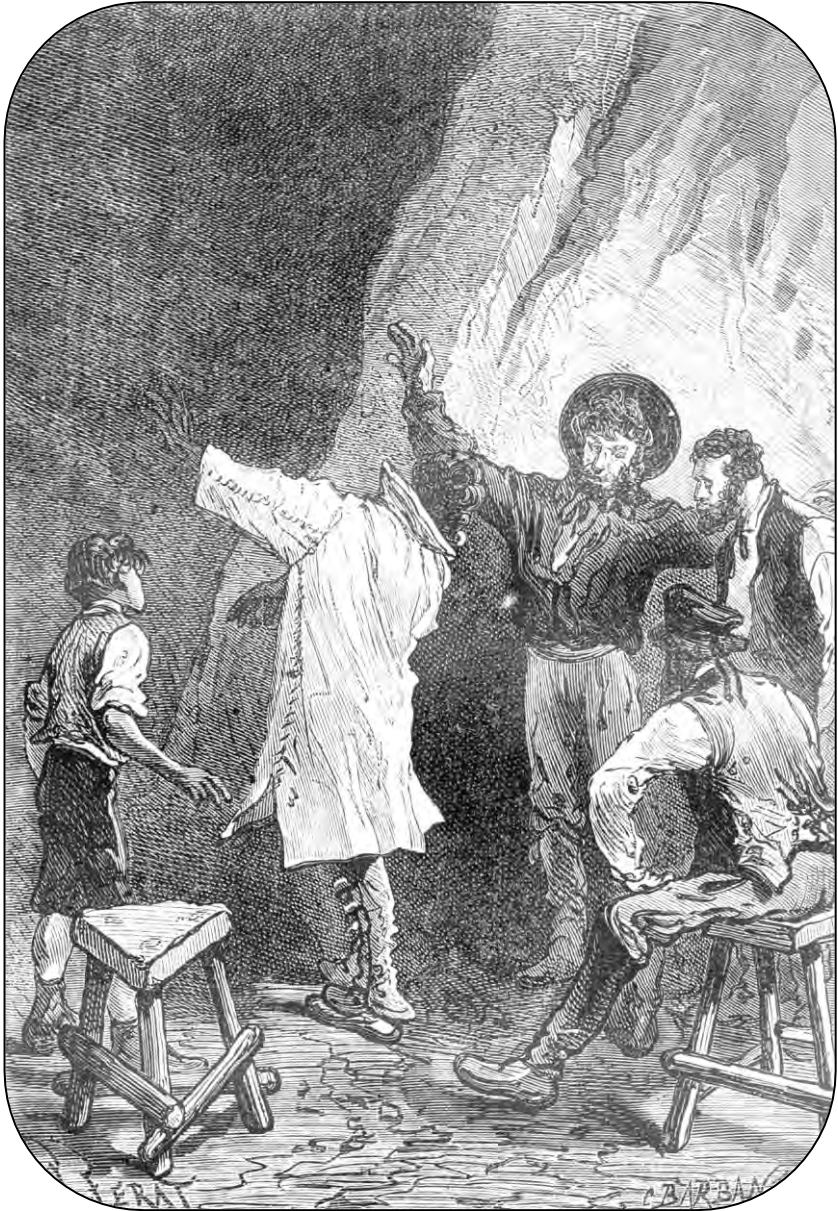
Bielizna – Buty z foczej skóry – Fabrykowanie piroksyliny
– Różne zasiewy – Połów – Żółwie jaja – Postępy mistrza
Jupa – *Corral* – Polowanie na muflony – Nowe bogactwa
roślinne i zwierzęce – Wspomnienia o ojczystym kraju

Pierwszy tydzień stycznia poświęcono na szycie bielizny niezbędnej dla mieszkańców kolonii. Igły znalezione w skrzyni śmigły w palcach może nie najdelikatniejszych, ale za to wprawnych, i trzeba przyznać, że wszystko zostało uszyte bardzo solidnie.

Nici nie brakowało, a to dzięki pomysłowi, jaki wpadł do głowy Cyrusowi Smithowi, to znaczy, żeby wykorzystać te, które zostały użyte do pozszywania pasów powłoki balonu. Gedeon Spilett i Harbert spruli pasy z godną podziwu cierpliwością, Penicroff wszakże zmuszony był zaniechać tej pracy, która nadmiernie go irytowała, ale gdy przyszło do szycia, nie miał sobie równych. Nikt nie może zaprzeczyć temu, że marynarze posiadają wyjątkowe zdolności krawieckie.

Płótno, z którego zrobiona była powłoka balonu, zostało następnie odtłuszczone za pomocą sody i potasu otrzymanych ze spalania roślin w taki sposób, że pozbawiona lakieru bawełna odzyskała swą naturalną miękkość i elastyczność, następnie zaś, po odbarwieniu przez działanie powietrza i słońca, zrobiła się nieskazitelnie biała.

Uszytych zostało kilka tuzinów koszul i skarpet – te ostatnie oczywiście nie sposobem dziewiarskim, lecz ze zszytych kawałków materiału. Cóż to była za przyjemność móc włożyć ponownie białą bieliznę, bez wątpienia nieco szorstką w doty-



Cóż to była za przyjemność móc włożyć ponownie białą bieliznę,
bez wątpienia nieco szorstką w dotyku.

ku, ale któż by się przejmował taką błahostką, a także spać w pościeli, dzięki której posłania w Granitowym Pałacu stały się zupełnie przyzwoitymi łózkami.

Mniej więcej w tym samym czasie wykonali też buty z foczych skór, którymi zastąpili obuwie pochodzące jeszcze z Ameryki. Trzeba przyznać, że nowe buty były obszerne i długie, przez co w żaden sposób nie uwierały stóp wędrowców!

Z początkiem 1866 roku utrzymywały się uciążliwe upały, lecz nie przeszkadzały one w polowaniach pod koronami drzew. Aguti, pekari, kapibary, kangury – doprawdy wprost roiło się od zwierzyny pokrytej sierścią lub pierzem, a Gedeon Spilett i Harbert byli zbyt dobrymi myśliwymi, by zmarnować choć jeden strzał.

Cyrus Smith napominał ich zawsze, by oszczędzali amunicję, i podjął działania mające zastąpić proch i ołów znalezione w skrzyni, które chciał zachować na później. Któż mógł przewidzieć, gdzie któregoś dnia rzuci ich los w przypadku, jeśli zdecydują się opuścić swoją posiadłość? Trzeba się było przygotować na wszelkie możliwe potrzeby nieznanego i oszczędzać amunicję, zastępując ją innymi substancjami, które łatwo przyjdzie im odnawiać.

By zastąpić ołów, którego żadnego śladu Cyrus Smith nie znalazł na wyspie, inżynier zastosował bez większego uszczerbku żelazny śrut, który łatwo mogli wyprodukować. Ziarna te nie były tak ciężkie jak śrut ołowiany, więc musiał je robić większe i każdy ładunek zawierał mniejszą ich ilość, ale myśliwi nadrabiali te braki swoimi umiejętnościami. Jeśli chodzi o proch, to Cyrus Smith mógłby go zrobić, miał bowiem wszystkie składniki do jego produkcji: saletrę, siarkę i węgiel; produkcja prochu wymagała jednak niezwyklej ostrożności, a bez specjalistycznych urządzeń trudno byłoby wytworzyć proch dobrej jakości.

Cyrus Smith wolał zatem produkować piroksylinę, to znaczy bawełnę strzelniczą, substancję, do której bawełna nie jest w istocie niezbędna, gdyż występuje tam jedynie jako celuloza. Celuloza jest zaś niczym innym jak tylko podstawowym włóknem roślinnym i znajduje się ją w stanie mniej więcej czystym nie tylko w bawełnie, lecz również we włóknach lnu i konopi, w papierze, starym płótnie, rdzeniu czarnego bzu, itd. Otóż na wyspie właśnie bzy rosły w dużych ilościach przy ujściu Czerwonego Potoku, osadnicy zaś wykorzystywali jako namiastkę kawy jagody tego krzewu, należącego do rodziny *Caprifoliaceae*¹.

Tak więc trzeba było tylko zbierać rdzenie dzikiego bzu dla otrzymania celulozy, a co do innej substancji niezbędnej do wyrobu piroksyliny, chodziło o dymiący kwas azotowy². Otóż Cyrus Smith, mając do swej dyspozycji kwas siarkowy, mógł bardzo łatwo uzyskać kwas azotowy, działając nim na saletrę, której dostarczała mu natura.

Postanowił więc wytwarzać i użytkować piroksylinę, aczkolwiek zdawał sobie sprawę z jej poważnych mankamentów, to znaczy dużej nierównomierności działania, nadmiernej łatwopalności, skoro zapala się ona już przy stu siedemdziesięciu stopniach zamiast przy dwustu czterdziestu, a wreszcie zbyt szybkiego spalania, które może być przyczyną uszkodzenia broni palnej. W zamian za to zaletą piroksyliny jest odporność na wilgoć, nie brudzi ona również lufy strzelby, a jej siła miotająca jest czterokrotnie większa niż zwykłego prochu.

Aby otrzymać piroksylinę, wystarczy zanurzyć na kwadrans celulozę w dymiącym kwasie azotowym, a następnie przepłu-

¹ *Caprifoliaceae* – łacińska nazwa rodziny przewiertniowatych; według nowego podziału bez należy do rodziny piżmaczkowatych (*Adoxaceae*); obie rodziny należą do rzędu szczeciowców (*Dipsacales*).

² *Dymiący kwas azotowy* – kwas azotowy o stężeniu powyżej 86%.

kać ją w dużej ilości wody i wysuszyć. Jak widać, nie ma nic prostszego.

Cyrus Smith miał do dyspozycji jedynie zwykły kwas azotowy, a nie dymiący, czyli monohydrat, który w zetknięciu z wilgotnym powietrzem wydziela białawe opary; zastąpiwszy jednak ten ostatni kwasem azotowym zwykłym wymieszanym w proporcji trzy do pięciu ze stężonym kwasem siarkowym, inżynier zamierzał otrzymać taki sam rezultat, co rzeczywiście nastąpiło. Wkrótce myśliwi korzystali z doskonale przygotowanej substancji wybuchowej, której odpowiednie stosowanie zapewniało znakomite rezultaty.

Mniej więcej w tym czasie osadnicy wykarczowali na Płaskowyzu Rozległego Widoku trzy akry ziemi, a pozostałą część pozostawili nienaruszoną, gdyż miała ona służyć za pastwisko dla onagrów. Zorganizowano także kilka wypraw do Lasu Jakamara i Lasów Far Westu, skąd myśliwi przynieśli mnóstwo dzikich warzyw: szpinak, rukiew wodną¹, chrzan i rzepę, które przez odpowiednią hodowlę chcieli wkrótce zmienić w rośliny uprawne, a tym samym wzbogacić dietę i obniżyć ilość spożywanego do tej pory białka. Przetransportowali także znaczne zapasy drewna i węgla. Każda wyprawa była jednocześnie okazją do poprawienia stanu drogi, która ubijała się powoli pod kołami wózka.

Królikarnia wciąż dostarczała swój kontyngent królików do spiżarni Granitowego Pałacu. Ponieważ szczęśliwie położona była po drugiej stronie Glicerynowego Potoku, jej mieszkańcy nie mogli się zapuszczać na chroniony wodami płaskowyz i niszczyć nowo założonych plantacji. Jeśli chodzi o ławicę ostryg, która znajdowała się pośród skał na plaży i której zasoby szybko

¹ *Rukiew wodna* (*Nasturtium officinale*) – gatunek rośliny należący do rodziny kapustowatych (*Brassicaceae*), hydrofit, zarasta płytkie, wolno płynące wody, rowy, starorzecza, źródlika oraz tereny okresowo zalewane.

się odnawiały, dostarczała ona codziennie świeżych, doskonałych mięczaków. Poza tym połowy ryb, czy to w wodach Jeziora Granta czy też Rzeki Dziękczynienia, bardzo szybko stały się bardzo obfite, ponieważ Pencroff zmajstrował i pozakładał w wodach wędki głębinowe uzbrojone w żelazne haczyki, na które często łapały się piękne pstrągi i inne ryby, niezmiernie smaczne, o posrebrzanych bokach pokrytych małymi żółtymi plamkami. Dlatego też Nab, zobowiązany do zajmowania się kuchnią, mógł dzięki temu urozmaicać menu każdego posiłku. Na stole kolonistów brakowało już tylko chleba, a jak już wspominaliśmy, bardzo odczuwali jego brak.

O tej porze roku zaczęto także polować na żółwie morskie, które odwiedzały plaże na Przylądku Szczęki. W tym miejscu piaszczyste wybrzeże było najeżone niewielkimi kopczykami, w których żółwie składały swoje idealnie kuliste jaja o białej i twardej skorupce. Ich białko nie ścinało się tak, jak w ptasich jajach. Dojrzewały i wylęgały się ogrzewane promieniami słońca, a było ich mnóstwo, wiadomo bowiem, że każda żółwica może ich złożyć każdego roku do dwustu pięćdziesięciu.

– Prawdziwe pole jajek – zauważył Gedeon Spilett. – Wystarczy tylko przyjść i zbierać.

Jednak ich nie zadowolili same jaja. Polowano także na ich wytwórców, a polowanie to pozwoliło na przyniesienie do Granitowego Pałacu tuzina tych *Cheloniidae*¹, naprawdę zasługujących na uznanie z punktu widzenia walorów spożywczych. Rosół z żółwia, doprawiony aromatycznymi ziołami i dodatkiem kilku roślin z rodziny krzyżowych², ściągnął zasłużone pochwały na mistrza Naba, który go przygotowywał.

¹ *Cheloniidae* – łacińska nazwa rodziny żółwi morskich.

² *Rodzina krzyżowych (Cruciferae)* – obecnie rodzina kapustowatych (*Brassicaceae*) z klasy dwuliściennych; 370 rodzajów z 3200 gatunkami, występujących głównie w umiarkowanej i zimnej strefie półkuli północnej; w Polsce

Trzeba w tym miejscu przytoczyć szczęśliwy przypadek, który pozwolił kolonistom na zrobienie dodatkowych zapasów na zimę. Otóż do Rzeki Dziękczynienia napłynęły całe ławice łososi i płynęły w górę rzeki na przestrzeni kilku mil. Był to czas, kiedy samice szukają odpowiedniego miejsca na tarło, wyprzedzają samce i czynią wielki harmider, płynąc w słodkich wodach. Blisko tysiąc ryb o długości dwóch i pół stopy wtoczyło się do rzeki, więc wystarczyło postawić kilka zapór, żeby przechwycić znaczną ich ilość. Złapali ich tym sposobem dobre kilkaset sztuk, zasolili i złożyli w spiżarni na czasy, gdy mróz zetnie wody i uniemożliwi wszelkie połowy.

W tym samym okresie bardzo inteligentny Jup został awansowany do roli kamerdynera. Ubrano go w kubrak, krótkie spodnie z białego płótna i w fartuszek z kieszeniami, z których cieszył się niezmiernie, ponieważ ciągle trzymał w nich ręce i nikomu nie pozwalał w nich szperać. Zręczny orangutan został wspaniale wyszkolony przez Naba, i można by powiedzieć, że Murzyn i małpa, kiedy ze sobą rozmawiali, doskonale się rozumieli. Jup czuł zresztą do Naba niekłamaną sympatię, którą Murzyn odwzajemniał. Kiedy nie potrzebowano jego usług, czy to przy zwożeniu drewna, czy wspinaniu się na czubek drzewa, Jup większość czasu spędzał w kuchni, starając się naśladować Murzyna we wszystkim, co ów czynił. Nauczyciel okazywał zresztą niesłychaną cierpliwość i nadzwyczajną gorliwość w edukacji swego ucznia, a uczeń wykazywał się godną uwagi inteligencją, korzystając z lekcji, których udzielał mu jego mistrz.

Nietrudno odgadnąć, jaką przyjemność sprawił pewnego dnia mistrz Jup mieszkańcom Granitowego Pałacu, stając niespo-

rośnie ponad 100 gatunków, np. z rodzaju rzeżucha, brukiew, czosnaczek, urzet; wiele gatunków w uprawie polowej i ogrodowej (np. kapusta, rzodkiewka, brukiew, rzepak, chrzan), a także jako ozdobne (np. lewkonia, smagliczka); liczne kapustowate są chwastami (np. tasznik, tobołki).



Jup większość czasu spędzał w kuchni,
starając się naśladować Murzyna we wszystkim, co ów czynił.

dzianie z serwetką przewieszoną na ramieniu, gotów podawać do stołu. Zręczny, uważny, wywiązywał się świetnie ze swego zadania, zmieniając talerze, przynosząc dania, nalewając napoje; wszystko to czynił z taką powagą, że rozbawił osadników do łez, a Pencroffa wprowadził w zachwyt.

– Jup, zupa!

– Jup, trochę aguti!

– Jup, talerz!

– Jup! Dzielny Jup! Poczciwy Jup!

Nie było słychać nic innego, a Jup, nigdy nie dając się zbić z tropu, reagował na wszystko i potrząsał swoją inteligentną głową, kiedy Pencroff, powtarzając swój żart z pierwszego dnia ich znajomości, mówił do niego:

– Jup, trzeba będzie zdecydowanie podwoić wam wynagrodzenie!

Nie musimy dodawać, że orangutan był już wtedy całkiem zadomowiony w Granitowym Pałacu i że często towarzyszył swoim panom w wyprawach do lasu, nie zdradzając nigdy ochoty do ucieczki. Trzeba było go widzieć, jak szedł zabawnym krokiem, z laską, którą zrobił dla niego Pencroff i którą niósł na ramieniu niczym strzelbę! Gdy zachodziła potrzeba zerwania jakiegoś owocu ze szczytu drzewa, w mgnieniu oka wspinał się na nie! Gdy kółko wózka utknęło w błocie, Jup jednym ruchem ramienia stawiał wózek na dobrą drogę.

– Co za zuch! – wykrzykiwał często Pencroff. – Gdyby był równie zły, jak jest dobry, nie dałoby się z nim wytrzymać!

Zbliżał się koniec stycznia, kiedy koloniści rozpoczęli wielkie roboty w środkowej części wyspy. Zadecydowano, że w pobliżu źródeł Czerwonego Potoku, przy Górze Franklina, założą *corral* przeznaczony dla zwierząt przeżuujących, których obecność byłaby uciążliwa w pobliżu Granitowego Pałacu. Przeznaczono

go przede wszystkim dla muflonów, które miały dostarczyć wełny przeznaczonej do wyrobu zimowych ubrań.

Każdego ranka koloniści, czasami w komplecie, lecz najczęściej jedynie w osobach Cyrusa Smitha, Harberta i Pencroffa, wyruszyli do źródeł *creeku*, a dzięki pomocy onagrów wyprawa była jedynie pięciomilowym spacerem pod kopułą zielonych drzew po wytyczonej drodze, której nadano nazwę „Droga do Corralu”.

Tam, na południowym, odwrotnym stoku góry, wybrano dość rozległy teren. Była to łąka porośnięta kępami drzew, położona u stóp zbocza zamykającego ją z jednej strony. Niewielki strumyczek mający swoje źródło na pochyłości góry, spływający ukosem ze zbocza, nawadniał łąkę, a następnie gubił się w wodach Czerwonego Potoku. Trawa była świeża, a rosące gdzieś niedługo drzewa pozwalały swobodnie krążyć powietrzu ponad jej powierzchnią. Wystarczyło jedynie otoczyć wspomnianą łąkę kolistą palisadą, która z każdego krańca opierałaby się na stoku, wystarczająco wysoką, żeby nawet najzwinniejsze zwierzęta nie mogły jej przeskoczyć. W zagrodzie miało się zmieścić jednocześnie około stu sztuk bydła rogatego: muflonów, dzikich kóz oraz ich młodych, które powinny wkrótce się tu urodzić.

Obwód *corralu* został więc wytyczony przez inżyniera i teraz należało przystąpić do wycinki drzew niezbędnych do budowy palisady. Ponieważ budowa drogi wymagała już wycięcia wielu pni, przywleczono je na miejsce zagrody i wykorzystano do zrobienia setki pali, które następnie solidnie wbito w ziemię.

W przedniej części palisady zrobiono dość szerokie wejście zamykane bramą o dwóch skrzydłach, wykonaną z solidnych dyli, wzmocnionych na zewnątrz poprzeczkami.

Konstruowanie całego *corralu* zajęło kolonistom prawie trzy tygodnie, gdyż oprócz ogrodzenia Cyrus Smith zbudował z desek duże szopy, w których będą mogły się schronić zwierzęta. Poza tym konstrukcje te musiały być bardzo solidne, gdyż muflony są silnymi zwierzętami i należało się obawiać ich pierw-

szych gwałtownych reakcji na pozbawienie wolności. Pale, ostro zakończone na swych górnych końcach, które wzmocniono, opalając je w ogniu, zostały połączone za pomocą poprzecznych belek przymocowanych sworzniami, a w pewnych odległościach także podstemplowano, co zapewniało znakomitą trwałość całej konstrukcji.

Kiedy *corral* został już całkowicie ukończony, teraz należało pomyśleć o zorganizowaniu wielkiej nagonki na pastwiskach przy Górze Franklina, uczęszczanych przez zwierzęta przeżuwające. Akcja ta została przeprowadzona siódmego lutego, w piękny letni dzień. Wszyscy wzięli w niej udział. Dwa onagry, dość dobrze już ujeżdżone i dosiadane przez Gedeona Spilletta i Harberta, w tej sytuacji bardzo się kolonistom przydały.

Cała operacja polegała na tym, żeby otoczyć muflony oraz kozice i zacieśniając stopniowo pierścień, zapędzić je do *corralu*. Dlatego też Cyrus Smith, Pencroff, Nab i Jup ustawili się w różnych miejscach w lesie, podczas gdy dwaj jeźdźcy i Top galopowali w promieniu około pół mili wokół *corralu*.

W tej części wyspy przebywało dużo muflonów. Te piękne zwierzęta wielkości daniela, o rogach silniejszych niż u barana i szarawym runie pomieszanym z sierścią złożoną z długich włosów przypominały argali¹.

Jakiż bardzo wyczerpujący był dzień poświęcony na polowanie! Ileż to razy trzeba było przejść tam i z powrotem, ile się musieli nabiegać i nakrzyczeć! Na sto otoczonych muflonów ponad dwie trzecie wymknęły się naganiaczom, lecz w ostatecznym rozrachunku trzydzieści tych przeżuwaczy i jakieś dziesięć dzikich kóz, powoli spychanych w kierunku *corralu*,

¹ *Argali (Ovis ammon argali)* – największa dzika owca, z rodziny krętorogich; wysokość w kłębie do 1,25 m, masa do 120 kg, rogi masywne; zamieszkuje góry środkowej i wschodniej Azji; uważana za jednego z przodków owcy domowej.

którego szeroko otwarte wrota zdawały się im oferować możliwość ucieczki, rzuciło się w tym kierunku i w ten sposób udało się je uwieźć.

Ogólnie rzecz biorąc, wynik był zadawalający i koloniści nie mieli powodów do narzekań. Większość muflonów okazała się samicami, z których część miała wkrótce urodzić młode. Było więc pewne, że stado wkrótce się rozmnoży i oprócz wełny dostarczy im także dużej ilości skór.

Tego wieczora myśliwi wrócili do Granitowego Pałacu wyćieńczeni. Mimo to nazajutrz ponownie udali się do *corralu*. Oczywiście więźniowie starali się sforsować palisadę, ale ponieważ zwierzęta nie dały rady tego uczynić, więc po pewnym czasie stały się spokojniejsze.

W lutym nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Codzienne prace posuwały się metodycznie do przodu zgodnie z planem, a w tym samym czasie, kiedy poprawiano drogi do *corralu* i do Portu Balonu, rozpoczęto także wytyczanie trzeciej trasy, biegnącej od zagrody w stronę zachodniego wybrzeża. Nieznana do tej pory część Wyspy Lincolna porośnięta była lasem na całym obszarze Półwyspu Serpenty, gdzie chroniły się dzikie zwierzęta, od których Gedeon Spilett zamierzał uwolnić wyspę.

Przed nadejściem pory zimowej nieustannie zajmowano się także uprawami dzikich roślin przeniesionych z lasu i przesadzonych na Płaskowyżu Rozległego Widoku. Prawie nie było żadnej wyprawy, z której Harbert nie przyniósłby kilku wielce użytecznych roślin. Jednego dnia były to okazy z podrodziny *Cichorioideae*¹, z których ziaren można wytłaczać doskonały olej, innego był to szczaw zwyczajny, którego właściwości przeciwschorbutowe nie były do pogardzenia; następnie znów kilka

¹ *Cichorioideae* – łacińska nazwa podrodziny z rodziny złożonych (obecnie rodziny astrowatych).

cennych bulw, które od dawna uprawiano w Ameryce Południowej. Były to ziemniaki, których dzisiaj znamy ponad dwieście odmian. Ogród warzywny, obecnie starannie pielęgnowany, dobrze podlewany i chroniony przed ptakami, został podzielony na niewielkie grządki, na których rosła sałata, różowa odmiana ziemniaka, szczaw, chrzan i inne warzywa z rodziny krzyżowych. Gleba na płaskowyżu była wyjątkowo urodzajna i dlatego należało mieć nadzieję, że zbiory będą bardzo obfite.

Nie brakowało także różnych napojów i – pod warunkiem, że nie domagano się wina – nawet najbardziej wybredni zupełnie nie mieli na co narzekać. Do herbaty Oswego otrzymywanej z pysznogłówki dwoistej i sfermentowanego napoju z korzeni smokowca Cyrus Smith dodał także prawdziwe piwo, nawarzone z młodych pędów *abies nigra*¹, które po ugotowaniu i fermentacji dają smaczny i wyjątkowo zdrowy napój, zwany przez Amerykanów *spring beer*, czyli piwo świerkowe².

Pod koniec lata na wybiegu dla drobiu znajdowała się już piękna para dropi należących do gatunku hubara³, cechujących się czymś w rodzaju płaszczyka z piór, a także tuzin płaskonosów⁴, których górna część dzioba poszerzona jest z każdej strony przez błoniaste wyrostki, oraz przepiękne koguty o czarnych

¹ *Abies nigra* – nazwa gatunkowa jodły czarnej.

² *Piwo świerkowe* – piwo alkoholowe lub bezalkoholowe produkowane z pączków, igieł lub też żywicy świerku czarnego (*Picea mariana*) i czerwonego (*Picea rubens*); J. Verne trochę poplątał pojęcia, użył bowiem francuskiego wyrazu *sapin*, które w botanice oznacza jodłę, ale w mowie potocznej świerk; *spring beer* (ang.) znaczy „piwo wiosenne”, natomiast „piwo świerkowe” to *spruce beer*.

³ *Hubara* (*Chlamydotis undulata*) – duży ptak z rodziny dropiowatych, zamieszkujący północną Afrykę i Azję.

⁴ *Płaskonos* (*Anas clypeata*, *Spatula clypeata*) – średni lub duży wędrowny ptak wodny z rodziny kaczkowatych; zamieszkuje Eurazję poza północnymi skrajami i basenem Morza Śródziemnego oraz Amerykę Północną; na zimę zalatuje nawet do Australii i Ameryki Południowej.

grzebieniach, czarnych koralach i skórze, przypominające kogu-ty z Mozambiku¹. Wszystkie ptaki spacerowały sobie brzegiem jeziora.

Tak więc wszystko znakomicie się udawało dzięki działaniu tych dzielnych i inteligentnych ludzi. Bez wątpienia Opatrzność dużo dla nich uczyniła, ale wierni mądrej zasadzie, najpierw sami starali się sobie radzić, a dopiero później Niebo przychodziło im z pomocą.

Po skończonej pracy, u schyłku tych ciepłych letnich dni, gdy z wieczora zrywał się morski wietrzyk, wyspiarze lubili zasiadać na skraju Płaskowyżu Rozległego Widoku w rodzaju atlanki porośniętej pnącymi się roślinami, którą własnoręcznie wybudował Nab. Rozmawiali wtedy, wzajemnie się instruowali, snuli plany, a rubaszny humor marynarza bawił bezustannie całą tę niewielką grupkę przyjaciół, wśród których panowała niezmiennie pełna harmonia.

Wspominali także swoją ojczyznę, drogą, odległą Amerykę. Jak się potoczyła wojna secesyjna? Z pewnością wreszcie się skończyła! Richmond niewątpliwie wkrótce po ich wyjeździe dostał się w ręce generała Granta! Ostatnim epizodem tej niszczycielskiej wojny musiało być zdobycie stolicy konfederatów! Zwycięstwo w słusznej sprawie na pewno przypadło Północy! Ach, jak wiele wygnańcy z Wyspy Lincoln daliby za jakąś gazetę! Przez jedenaście miesięcy nie istniała żadna łączność między nimi i cywilizowanym światem, a niebawem, dwudziestego czwartego marca, przypadnie pierwsza rocznica dnia, gdy balon rzucił ich na to nieznane wybrzeże! Wówczas byli jedynie rozbitkami, nie wiedzieli nawet, czy zdołają wygrać z żywiołami

¹ Chodzi tu o odmianę ptactwa domowego nazywaną „kurami jedwabistymi”, które charakteryzują się upierzeniem wyglądającym jak jedwabiste futro (białe lub czarne), czarną skórą i czarnym mięsem; pochodzą z Azji, gdzie nazywane są *silkie* (*silky*).

walkę o własne nędzne życie. A teraz, dzięki wiedzy swojego przywódcy, dzięki własnej inteligencji, stali się prawdziwymi osadnikami, wyposażonymi w broń, narzędzia i przyrządy, którzy potrafili wykorzystać na własny użytek zwierzęta, rośliny oraz minerały wyspy, to znaczy trzy królestwa przyrody!

Tak! Rozmawiali często o tych wszystkich sprawach i tworzyli jeszcze wiele projektów na niedaleką przyszłość!

Jeśli chodzi o Cyrusa Smitha, to najczęściej milczał i tylko przysłuchiwał się rozmowom swoich towarzyszy. Czasami uśmiechał się, słysząc jakąś uwagę Harberta czy też żart Pencroffa, lecz ani na chwilę nie przestał rozmyślać o pewnych niewytłumaczalnych wydarzeniach, o przedziwnej zagadce, której tajemnicy nie potrafił jeszcze rozwikłać!



Rozdział IX

Zła pogoda – Winda hydrauliczna – Wytwarzanie szyb i szklanych naczyń – Drzewo chlebowe – Częste wizyty w *corralu* – Powiększenie się stada – Pytanie reportera
– Dokładne współrzędne Wyspy Lincoln
– Propozycja Pencroffa

W pierwszym tygodniu marca pogoda bardzo się zmieniała. Na początku miesiąca była pełnia księżyca i utrzymywały się wielkie upały. Czuć było, że atmosfera jest przesycona elektrycznością i z pewnością należało się obawiać dłuższego lub krótszego okresu burzowego.

Rzeczywiście drugiego marca zagrzmiało z ekstremalną gwałtownością. Wiatr wiał od wschodu, więc grad bezpośrednio zaatakował fasadę Granitowego Pałacu tłukąc ją jak kule wystrzelone z kartaczoownicy. Trzeba było szczelnie zamknąć drzwi i okiennice, bo w przeciwnym razie zostałyby zalane wnętrza pomieszczeń.

Widząc spadające kulki gradowe, z których część była wielkości gołębih jaj, Pencroff myślał tylko o jednym, o tym, że jego poletko zbożowe znalazło się w bardzo poważnym niebezpieczeństwie!

Marynarz natychmiast pobiegł na to swoje pole, gdzie kłosa zaczynały już unosić swe małe zielone główki, i korzystając z dużej płóciennej płachty, zdołał ochronić roślinki. Sam omal nie został ukamienowany gradem, ale wcale z tego powodu nie narzekał.

Zła pogoda potrwała przez cały tydzień, podczas którego niemal nieustannie w głębinach nieba przetaczały się grzmoty.

W przerwach między burzami słychać było ich huk jeszcze poza granicami horyzontu, zanim następnie uderzyły z nową wściekłością. Niebo przecinały błyskawice, a pioruny uderzały w drzewa na wyspie, między innymi w olbrzymią sosnę rosnącą w pobliżu jeziora, na skraju lasu. Dwa lub trzy razy elektryczny fluid uderzył także w piaszczyste wybrzeże, stapiając piasek i zmieniając go w szklistą masę. Odnajdując później te fulguryty¹, inżynier doszedł do przekonania, że byłoby możliwe wyposażenie okien w grube i solidne szyby, mogące stawić czoła wiatrowi, deszczowi i gradowi.

Osadnicy, nie mając żadnych pilniejszych prac, które trzeba by wykonywać na zewnątrz, skorzystali z panującej niepogody i zajmowali się pracami wewnątrz Granitowego Pałacu, którego wyposażenie z dnia na dzień stawało się coraz lepsze. Inżynier zainstalował prostą tokarkę, pozwalającą mu wytoczyć przybory toaletowe oraz kuchenne, a przede wszystkim guziki, których brak coraz dotkliwiej odczuwano. Ustawiono też stojak na broń, o którą wszyscy bardzo dbali. Półki i szafy nie pozostawiały wiele do życzenia. Zatem piłowano, heblowano, szlifowano oraz toczono i przez cały okres niepogody słychać było tylko szczeń narzędzi lub warkot tokarki, którym wtórował huk grzmotów.

Oczywiście nie zapomniano także o mistrzu Jupie, któremu przydzielono osobny pokój w pobliżu głównego magazynu, swego rodzaju kabinę z wiszącym łóżkiem zawsze napełnionym dobrą ściółką, która mu idealnie pasowała.

– Nasz poczciwy Jup nigdy nie narzeka – powtarzał często Pencroff. – Nigdy nie odpowiada niestosownie! Cóż to za wspaniałe służący, Nabie, co za wspaniałe służący!

¹ *Fulguryt* – szklisty utwór w kształcie sopła, rurki lub gałązki, powstający w wyniku stopienia piasku lub gleby przez uderzający w ziemię piorun.



Marynarz natychmiast pobiegł na to swoje pole,
gdzie kłosa zaczynały już unosić swe małe zielone główki.

– To mój uczeń – odpowiadał Nab – i niebawem mi dorówna!

– Nawet cię przewyższy! – ripostował, śmiejąc się, marynarz. – Ponieważ ty gadasz, Nabie, a on nie!

Nie trzeba dodawać, że Jup był już dobrze zaznajomiony ze swymi obowiązkami. Czyścił ubrania, obracał rożnem, zamiatał pokoje, podawał do stołu, układał drewno i – drobiazg, który oczarował Pencroffa – nigdy nie kładł się spać, nie otuliwszy wcześniej pościelą leżącego w swoim łóżku marynarza.

Jeśli chodzi o zdrowie członków kolonii, dwunożnych albo dwurękich, czwororękich czy czworonożnych, nie pozostawiało ono nic do życzenia. Żyjąc na świeżym powietrzu, na tej czystej ziemi, w klimacie umiarkowanym, pracując fizycznie i umysłowo, nie wierzyli, że jakakolwiek choroba może ich kiedykolwiek dotknąć.

Faktycznie wszyscy czuli się znakomicie. Harbert w ciągu roku urósł już o dwa cale. Jego sylwetka stopniowo się formowała i stawała się coraz bardziej męska; zanosilo się na to, że wyrośnie na mężczyznę wspaniałego zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym. Młodzieniec wykorzystywał wszystkie wolne chwile, jakie mu pozostawały po pracy fizycznej, na czytanie książek, które znalazł w skrzyni, a po zajęciach praktycznych, jakich wymagała jego pozycja w kolonii, znajdował w osobie inżyniera, jeśli chodzi o nauki ścisłe, a w osobie reportera, jeśli chodzi o języki – wspaniałych nauczycieli, którzy z przyjemnością uzupełniali jego wykształcenie.

Zamiarem inżyniera było przekazać młodemu chłopcu wszystko to, co on sam wiedział, nauczać go przykładem tak samo jak słowem, a Harbert w pełni korzystał z lekcji, jakich udzielał mu jego profesor.

„Jeśli umrę – myślał Cyrus Smith – to on mnie zastąpi!”.

Burze zakończyły się około dziewiątego marca, lecz niebo przez ten ostatni miesiąc lata wciąż było pokryte chmurami.

Atmosfera, gwałtownie zmacona przez wyładowania elektryczne, nie mogła powrócić do swej pierwotnej przezroczystości i niemal bez przerwy padał deszcz lub utrzymywały się mgły, z wyjątkiem tylko trzech czy czterech dni, które sprzyjały wszelkiego rodzaju wyprawom.

Wtedy to właśnie samica onagra wydała na świat młode, tej samej płci co jego matka, które urodziło się bez żadnych komplikacji. W *corralu* powiększyło się również stado muflonów, a liczne jagnięta beczwały w szopach, ku wielkiej uciechu Naba i Harberta, którzy mieli wśród nowo narodzonych zwierzątek swoich ulubieńców.

Próbowano również udomowić pekari – i ta próba całkowicie się powiodła. W pobliżu ptaszarni zbudowano dla nich chlewnię i wkrótce można było tam zobaczyć kilka prosiaczków nabierających ogłady, to znaczy tuczących się dzięki staraniom Naba. Mistrz Jup, obarczony przynoszeniem im codziennie pożywienia, czyli pomyj i resztek z kuchni, sumiennie wywiązywał się z tego zadania. Czasami zdarzało mu się zabawić kosztem swych małych pensjonariuszy i ciągnąć je za ogony, lecz były to tylko figle, nie złośliwość, ponieważ małe zakrętaski bawiły go jak zabawki, małpa bowiem miała instynkt dziecka.

Pewnego marcowego dnia Pencroff w rozmowie z inżynierem przypomniał mu obietnicę, której Cyrus Smith nie miał jeszcze czasu spełnić.

– Wspominał pan o urządzeniu, dzięki któremu można by zlikwidować długie drabinki do Granitowego Pałacu, panie Cyrusie – powiedział. – Czy któregoś dnia je pan zainstaluje?

– Chodzi panu o swego rodzaju windę? – odparł Cyrus Smith.

– Możemy to nazywać windą, jeśli pan sobie życzy – odparł marynarz. – Nazwa niczego nie zmienia, bylebyśmy mogli wracać bez zmęczenia do naszego domostwa.

– Nic łatwiejszego, Pencroff, ale czy to nam na pewno potrzebne?

– Bez wątpienia, panie Cyrusie. Mamy już wszystko, co niezbędne, pomyślmy teraz trochę o wygodzie. Dla ludzi będzie to luksus, jeśli pan tak uważa, ale dla przedmiotów to rzecz niezbędna! Niewygodnie wspinać się po długiej drabinie, gdy dźwiga się ciężki ładunek!

– No cóż, Pencroff, spróbuję jakoś pana zadowolić – odpowiedział Cyrus Smith.

– Ale przecież nie ma pan maszyny do swojej dyspozycji.

– Zrobimy ją.

– Maszynę parową?

– Nie, wodną.

Rzeczywiście, aby móc manewrować taką maszyną, do dyspozycji inżyniera pozostawała naturalna siła, którą mógł spożytkować bez zbytnich trudności.

By to zrealizować, wystarczyło tylko zwiększyć natężenie przepływu strumyka wypływającego z jeziora, który dostarczał wody do wnętrza Granitowego Pałacu. Otwór wśród kamieni i traw, w miejscu dawnego odpływu, został powiększony, co sprawiło, że w głębi korytarza powstał niewielki wodospad, z którego nadmiar wody wypływał przez wewnętrzną studnię. Poniżej tego spadku wód inżynier zainstalował walec z łopatkami, połączony na zewnątrz z kołem owiniętym mocną liną, która wciągała pleciony kosz wiklinowy. W ten sposób, przy pomocy długiego sznura opadającego aż do ziemi i który pozwalał na włączanie lub wyłączanie silnika hydraulicznego, można było unieść się w koszu aż do drzwi Granitowego Pałacu.

Siedemnastego marca po raz pierwszy uruchomiono windę, ku wielkiej satysfakcji wszystkich. Od tej pory wszelkie ciężary: drewno, węgiel, żywność oraz samych kolonistów wciągał na

górze ten tak prosty system, zastąpiwszy prymitywną drabinę, której nikt nie miał wcale zamiaru żałować. Szczególnie oczarowany tym ulepszeniem okazał się Top, ponieważ nie miał i nie mógł mieć zręczności mistrza Jupa, by wdrapywać się po szczeblach drabinki. Często musiał być wręcz wnoszony do Granitowego Pałacu na plecach Naba albo samego orangutana.

Mniej więcej w tym samym czasie Cyrus Smith podjął się próby wytworzenia szkła. Musiał najpierw przystosować dawny piec garncarski do nowego przeznaczenia. Już ta czynność przysporzyła mu sporo trudności, ale po kilku nieudanych próbach udało mu się w końcu stworzyć warsztat szklarski, którego Gedeon Spilett i Harbert, jego dwaj naturalni pomocnicy, nie opuszczali przez kilka dni.

Jeśli chodzi o substancje wchodzące w skład szkła, jest to wyłącznie piasek, kreda i soda (węgieln lub siarczan sodu). Otóż piasek znajdował się na wybrzeżu, kredę otrzymywało się z wapna, rośliny morskie były źródłem sody, piryty zaś dostarczały kwasu siarkowego, natomiast ziemia dawała węgiel kamienny do ogrzania pieca do żądanej temperatury. Cyrus Smith miał zatem wszystko, czego potrzebował, i mógł przystąpić do pracy.

Przedmiotem, którego wyrób sprawił mu najwięcej trudności, był cybuch szklarza, żelazna rura długości pięciu do sześciu stóp, służąca do czerpania jednym końcem masy szklanej, która musi być utrzymywana w stanie roztopionym. Jednak Pencroffowi udało się zrobić odpowiedni cybuch z cienkiego i długiego pasa blachy zwiniętego na kształt lufy strzelby, więc wkrótce można było przystąpić do pracy.

Dwudziestego ósmego marca silnie rozgrzano piec. Sto miarek piasku, trzydzieści pięć kredy, czterdzieści siarczanu sodu wymieszano z dwiema lub trzema miarkami zmielonego węgla. Substancję tę umieszczono w tyglach z ogniotrwałej gliny. Gdy

wysoka temperatura w piecu doprowadziła mieszaninę składników do stanu płynnego, a raczej do stanu ciągliwej masy, Cyrus Smith „nabrał” cybuchem pewną jej ilość i zaczął obracać na wszystkie strony na uprzednio przygotowanej metalowej płytce w taki sposób, aby nadać jej odpowiedni kształt przez dmuchanie. Następnie przekazał cybuch Harbertowi, nakazując mu dmuchać w jego górny koniec.

– Tak jak się puszcza bańki mydlane? – spytał chłopiec.

– Właśnie tak – odparł inżynier.

Harbert nadał policzki i tak mocno dmuchał w cybuch, kręcąc nim bez ustanku, że pod jego oddechem masa szklana zaczęła pęcznieć. Do pierwszej partii masy dodano kolejne i w rezultacie otrzymano bańkę o średnicy jednej stopy. Wówczas Cyrus Smith ponownie wziął cybuch z rąk Harberta i wprawiając go w ruch wahadłowy, wydłużył wciąż plastyczną bańkę, nadając jej cylindryczno-stożkowaty kształt.

Operacja wydmuchiwania dawała więc szklany walec zakończony dwoma półkolistymi kopolkami, które z łatwością odcięto za pomocą metalowego ostrza zamoczonego w zimnej wodzie. Potem zaś, postępując w ten sam sposób, przecięto walec wzdłuż i podgrzawszy go ponownie, żeby stał się plastyczny, ułożono na podstawie i rozprasowano drewnianym wałkiem.

Pierwsza szyba została więc sfabrykowana, trzeba było jeszcze tylko powtórzyć całą operację pięćdziesiąt razy, żeby otrzymać kolejne pięćdziesiąt szyb okiennych. Wkrótce w okna Granitowego Pałacu wprawione zostaną tafle szkła, może nie za bardzo przezroczyste, lecz przepuszczające wystarczającą ilość światła.

Jeśli chodzi o wykonanie szklanej galanterii, czyli szklanek i butelek, było to już tylko czystą zabawą. Akceptowano je zresztą takimi, jakie wychodziły z końca cybucha. Także Pencroff poprosił o możliwość „dmuchania”, gdyż sprawiało mu to wiel-



Jeśli chodzi o wykonanie szklanej galanterii, czyli szklanek i butelek, było to już tylko czystą zabawą.

ką przyjemność, ale dmuchał tak silnie, że jego „wyroby” przyjmowały najbardziej zabawne kształty, lecz mimo to zyskały jego podziw.

Podczas jednej z wycieczek, które w tym czasie podejmowano, odkryto nowe drzewo, którego owoce pomnożyły jeszcze zasoby spiżarni kolonii.

Cyrus Smith i Harbert, cały czas polując, zapuścili się pewnego dnia do Lasów Far Westu rozciągających się na lewym brzegu Rzeki Dziękczynienia, i chłopak jak zwykle zadawał inżynierowi tysiące pytań, na które tamten odpowiadał z wielkim zaangażowaniem. Jednak podczas polowania, jak podczas niemal każdego zajęcia, jeśli nie włoży się w nie odpowiednio dużo energii, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że się zupełnie nie powiedzie. Tak więc, ponieważ Cyrus Smith nie był myśliwym, a Harbert rozmawiał o chemii i fizyce, tamtego dnia wiele kangurów, kapibar czy aguti przemknęło obok nich w odległości strzału, a strzelba Harberta nie wyrządziła im krzywdy. Rezultat był taki, że nadchodził zmierzch, a dwaj myśliwi byli bliscy uznania, iż tym razem wyprawa się nie powiodła, gdy niespodziewanie Harbert przystanął.

– Ach, panie Cyrusie! Czy pan widzi to drzewo?! – zawołał radośnie, wskazując na krzew raczej niż drzewo, ponieważ zbudowany był z jednej łodygi pokrytej łuszczącą się korą i liśćmi poprzecinanymi pierzastymi drobnymi żyłkami.

– Cóż to za drzewo, które jest podobne do małej palmy? – spytał Cyrus Smith.

– To *Cycas revoluta*¹, mam jego rycinę w naszym słowniku historii naturalnej!

– Ale nie widzę na tym drzewku żadnych owoców.

¹ *Cycas revoluta* – nazwa gatunkowa cykasa odwiniętego (sagowca odwiniętego), rosnącego w naturze w południowej Japonii.

– Nie, panie Cyrusie – odpowiedział Harbert. – Za to jego pień zawiera mąkę, której natura dostarcza nam w już zmielonej formie.

– Czyżby to było drzewo chlebowe?

– Tak, drzewo chlebowe!

– A zatem, moje dziecko – rzekł inżynier – to naprawdę cenne odkrycie, które pozwoli nam spokojnie czekać na zbiory pszenicy. Biermy się do roboty i niech Niebo sprawi, że się nie pomyliłeś!

Harbert się nie pomylił. Rozłupał pień *cycasa*, który składał się z gruczołowej tkanki, zawierającej mączysty rdzeń ze zdrewniałymi włóknami, rozdzielonymi pierścieniami z tej samej substancji, ułożonymi koncentrycznie. Mączka była pomieszana z kleistym sokiem o nieprzyjemnym smaku, którego jednak bez trudu powinni móc się pozbyć przez wyciskanie. Gąbczasta pozostałość stanowiła prawdziwą, najwyższej jakości mączkę, tak niezmiernie pożywną, że swego czasu prawo japońskie zabraniało jej eksportowania¹.

Cyrus Smith i Harbert dokładnie zbadali tę część Lasów Far Westu, gdzie rosły *cycasy*, zaznaczyli charakterystyczne miejsca i wróciwszy do Granitowego Pałacu, opowiedzieli o swoim odkryciu.

Nazajutrz koloniści ruszyli na „żniwa”, a Pencroff, coraz bardziej entuzjastycznie nastawiony do wyspy, mówił do inżyniera:

– Panie Cyrusie, czy uważa pan, że istnieją wyspy dla robotników?

¹ Jest to tzw. sago – mączka skrobiowa, lekkostrawna, pozyskiwana z rdzenia niektórych palm: sagownicy (palma sagowa, *Metroxylon*), arengi pierzastej (palma cukrowa, słoza cukrowa, *Arenga pinnata*) i niektórych sagowców; zawiera prawie wyłącznie węglowodany oraz małe ilości białka, witamin i niektórych minerałów; wykorzystywana w różny sposób w kuchni krajów rejonu Pacyfiku.

– Co pan przez to rozumie, Pencroff?

– Mam na myśli wyspy stworzone specjalnie po to, by móc się na nich bezpiecznie rozbić, i na których nieszczęśnicy zawsze będą w stanie sobie poradzić!

– To jest możliwe – odparł, uśmiechając się, inżynier.

– To pewne, proszę pana – odparł Pencroff – i jestem przekonany, że Wyspa Lincoln jest jedną z nich!

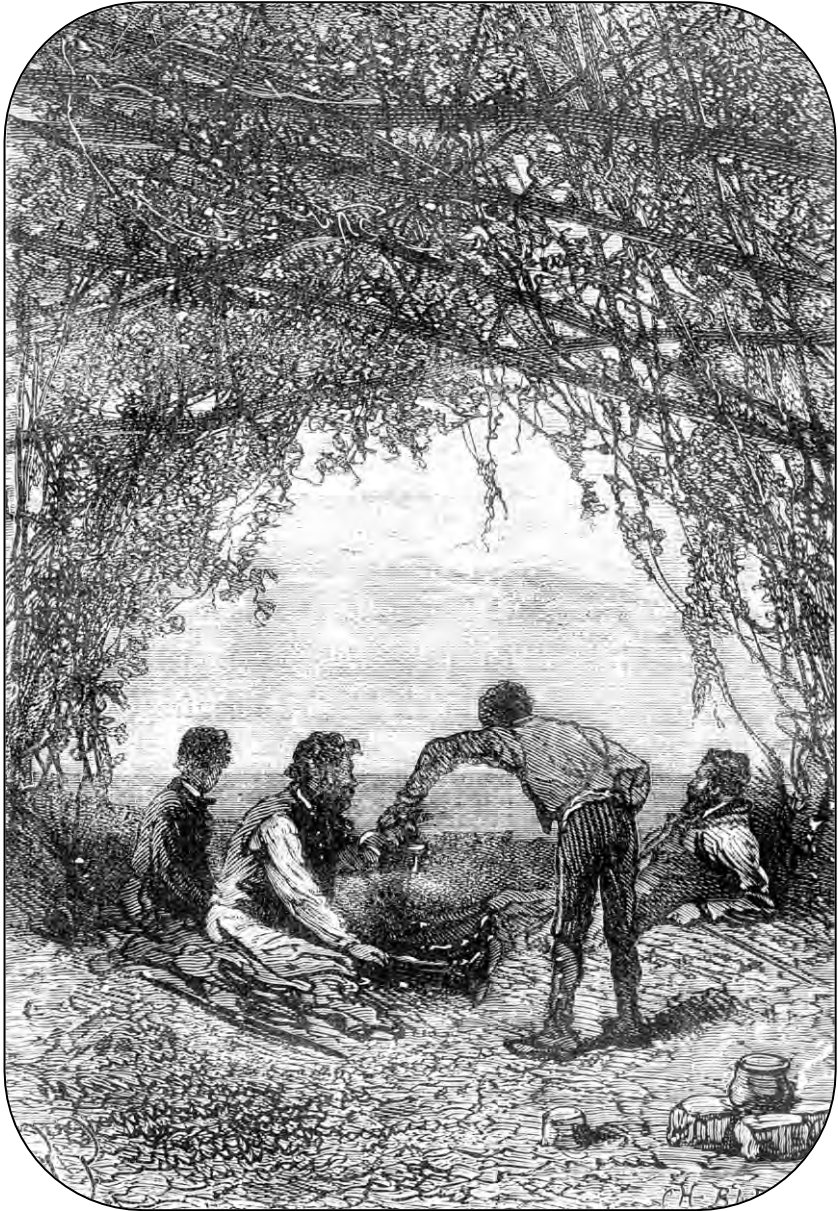
Powrócono do Granitowego Pałacu z porządnym zapasem pni *cycasa*. Inżynier zbudował prasę, żeby usunąć niesmaczny sok zmieszany z mięszem, i otrzymał znaczną ilość mąki, która w rękach Naba zamieniła się w ciasta i puddingi¹. Nie był to jeszcze prawdziwy pszenny chleb, lecz niewiele się od niego różnił.

Również w tym czasie onagry, kozy i owce z *corralu* dostarczały codziennie mleka w ilościach wystarczających dla całej kolonii. Dlatego też wózek, a raczej rodzaj lekkiej bryczki, która go zastąpiła, często podróżował do *corralu*, a kiedy to Pencroff miał zrobić objazd, zabierał z sobą Jupa i uczył go powozić, małpa zaś, trzaskając biczem, wywiązywała się z tego z właściwym sobie sprytem.

Oto więc zarówno w zagrodzie, jak i w Granitowym Pałacu wszystko rozwijało się pomyślnie i gdyby nie to, że byli daleko od swojej ojczyzny, osadnicy nie mieliby powodów do narzekań. Świetnie zresztą wdrożyli się w to życie, przyzwyczaili do wyspy i chyba nie bez żalu opuszczaliby jej gościnną ziemię.

Tymczasem jednak umiłowanie ojczyzny tak głęboko wypełnia serce człowieka, że gdyby jakiś statek nieoczekiwanie pojawił się na wysokości wyspy, dawaliby mu sygnały, przyzywali, i odpłynęli na nim... Czekając na takie wydarzenie, wiedli szczęśliwy żywot i odczuwali raczej obawę, że jakies wydarzenie go przerwie, niż pragnienie, żeby nadeszło.

¹ *Pudding* – potrawa kuchni angielskiej o konsystencji stałej lub budyniu, sporządzana z kaszy, mąki, mleka, jaj, mięsa, owoców, z dodatkiem przypraw.



Pod wieczór, po kolacji, wszyscy zebrali się w altance na skraju Płaskowyżu Rozległego Widoku i wpatrywali się w zapadający na horyzoncie zmrok.

Któż jednak mógłby się przechwalać, że jego los jest przesądzony i wszelkie przeciwności go ominą?!

Jakkolwiek było, ta Wyspa Lincoln, na której mieszkali już od roku, była bezustannie tematem ich rozmów, i pewnego dnia padło stwierdzenie, mające w przyszłości pociągnąć za sobą poważne skutki.

Było to pierwszego kwietnia, w niedzielę, Niedzielę Wielkonoctną, którą Cyrus Smith i jego towarzysze uczcili odpoczynkiem i modlitwą. Dzień był przepiękny, jak to czasami bywa w październikowy dzień na półkuli północnej.

Pod wieczór, po kolacji, wszyscy zebrali się w altance na skraju Płaskowyżu Rozległego Widoku i wpatrywali się w zapadający na horyzoncie zmrok. Nab podał kilka filiżanek naparu z ziaren czarnego bzu, który zastępował im kawę. Kiedy toczyła się rozmowa o wyspie oraz jej samotnym położeniu na Oceanie Spokojnym, Gedeon Spilett niespodziewanie spytał:

– Mój drogi Cyrusie, czy od czasu, jak posiada pan sekstant, który znaleźliśmy w skrzyni, próbował pan ponownie określić położenie naszej wyspy?

– Nie – odparł inżynier.

– Może warto by to zrobić, posługując się przyrządem znacznie doskonalszym niż ten, który wcześniej użyłeś.

– Po co? – spytał Pencroff. – Wyspa jest tam, gdzie jest!

– Bez wątpienia – podjął na nowo Gedeon Spilett – ale mogło się zdarzyć, że niedoskonałość przyrządów mogła wpłynąć na dokładność pomiarów, a skoro teraz możemy to łatwo sprawdzić...

– Ma pan rację, drogi panie Spilett – odparł inżynier – i powinienem był wcześniej to sprawdzić, chociaż, jeśli się pomyliłem, różnica w pomiarach nie powinna przekraczać pięciu stopni ani w długości, ani w szerokości geograficznej.

– Och, kto wie? – odparł reporter. – Kto wie, czy nie znajdujemy się znacznie bliżej jakiegoś zamieszkanego lądu, niż sądziliśmy?

– Dowiemy się tego jutro – odparł Cyrus Smith. – Gdyby nie inne zajęcia, przez które zupełnie nie miałem wolnego czasu, już byśmy to wiedzieli.

– Dobrze! – powiedział Pencroff. – Pan Cyrus jest zbyt wytrawnym badaczem, żeby się pomylić, i o ile wyspa nie poruszyła się z miejsca, jest dokładnie tam, gdzie on ją umieścił.

– Zobaczymy.

Następnego dnia inżynier dokonał za pomocą sekstantu niezbędnych obserwacji, które miały na celu sprawdzenie wcześniejszej już obliczonych współrzędnych geograficznych. A oto ich rezultat.

Jego pierwsza obserwacja dawała taką pozycję Wyspie Lincoln:

w długości geograficznej zachodniej: między 150 a 155 stopniem,

w szerokości geograficznej południowej: między 30 a 35 stopniem.

Druga obserwacja dała taki wynik:

w długości geograficznej zachodniej: $150^{\circ} 30'$,

w szerokości geograficznej południowej: $34^{\circ} 57'$.

Tak więc, mimo niedoskonałości przyrządów, Cyrus Smith dokonał pomiaru z taką dokładnością, że błąd nie przekroczył pięciu stopni.

– Teraz – powiedział Gedeon Spilett – skoro nie tylko posiadamy sekstant ale również atlas, zobaczmy, drogi Cyrusie, jakie jest położenie Wyspy Lincoln na Pacyfiku.

Harbert poszedł po atlas, który jak wiadomo, został wydany we Francji, a więc wszystkie nazwy były podane po francusku.

Otworzyli go na mapie Pacyfiku, a inżynier z cyrklem w dłoni zabrał się do określania położenia.

Nagle cyrkiel zadrżał mu w dłoni.

- Ależ istnieje już wyspa w tej części Pacyfiku! – zawołał.
 - Wyspa? – zdumiał się Pencroff.
 - Oczywiście nasza? – stwierdził Gedeon Spilett.
 - Nie – zaprzeczył Cyrus Smith. – Ta wyspa znajduje się na 153 stopniu długości i 37 stopniu 11 minut szerokości geograficznej, czyli dwa i pół stopnia bardziej na zachód i ponad dwa stopnie na południe od Wyspy Lincoln.
 - Co to za wyspa? – dopytywał się Harbert.
 - Wyspa Tabor.
 - Czy jest duża?
 - Nie, to wysepka zagubiona pośród Pacyfiku, na której być może nikt jeszcze nie był!
 - A zatem my ją odwiedzimy! – powiedział Pencroff.
 - My?
 - Tak, panie Cyrusie. Zbudujemy łódź z pokładem, a ja podejmę się ją poprowadzić. W jakiej odległości znajdujemy się od wyspy Tabor?
 - Jakieś sto pięćdziesiąt mil na północny wschód – odpowiedział Cyrus Smith.
 - Sto pięćdziesiąt mil! Tylko tyle? – zdziwił się Pencroff. – Z dobrym wiatrem dotrzemy tam w czterdzieści osiem godzin!
 - Ale po co? – spytał reporter.
 - Tego nie wiadomo, ale koniecznie trzeba sprawdzić!
- Po takiej odpowiedzi postanowiono więc, że zostanie zbudowana łódź, którą będzie można wypłynąć na morze w październiku przyszłego roku, kiedy znowu nastanie piękna pora roku.



Rozdział X

Budowa łodzi – Drugie zbiory – Polowanie na leniwce
– Nowa roślina bardziej przyjemna niż pożyteczna – Wieloryb
w zasięgu wzroku – Harpun z Vineyard – Ćwiartowanie
walenia – Wykorzystanie fiszbinów – Koniec maja – Pencroff
nie ma więcej pragnień

Gdy Pencroffowi wpadał do głowy jakiś projekt, to nigdy nie spoczywał i nie zaznawał spokoju, dopóki go nie zrealizował. Otóż teraz zamierzał odwiedzić wyspę Tabor, a ponieważ na taką wyprawę trzeba było zbudować dość dużą łódź, więc taką łódź należało zbudować.

Oto jaki plan przygotował inżynier w porozumieniu z marynarzem.

Łódź miała by mierzyć trzydzieści pięć stóp w kilu, a największa długość poprzecznej belki mierzona pomiędzy burtami w połowie długości statku – dziewięć, co uczyni z niej szybką jednostkę, jeżeli linia dna oraz linia wodna zostaną dobrze wyprofilowane i nie będzie się zanurzała na więcej niż sześć stóp, co zabezpieczy statek przed dryfowaniem. Na całej długości zostanie położony pokład, w którym zostaną wykonane dwa luki prowadzące do dwóch kabin przedzielonych przepierzeniem. Stateczek będzie otaklowany jak słup, czyli będzie miał jeden maszt oraz grot i fok, żagle bardzo wygodne w użyciu, które szybko można zwinąć w razie nagłego szkwału i bardzo sprzyjające przy kursach na wiatr. Wreszcie kadłub miał być zrobiony w taki sposób, żeby deski oblamowania się stykały, a nie nachodziły na siebie. Jeśli chodzi o szkielet statku, to wręgi

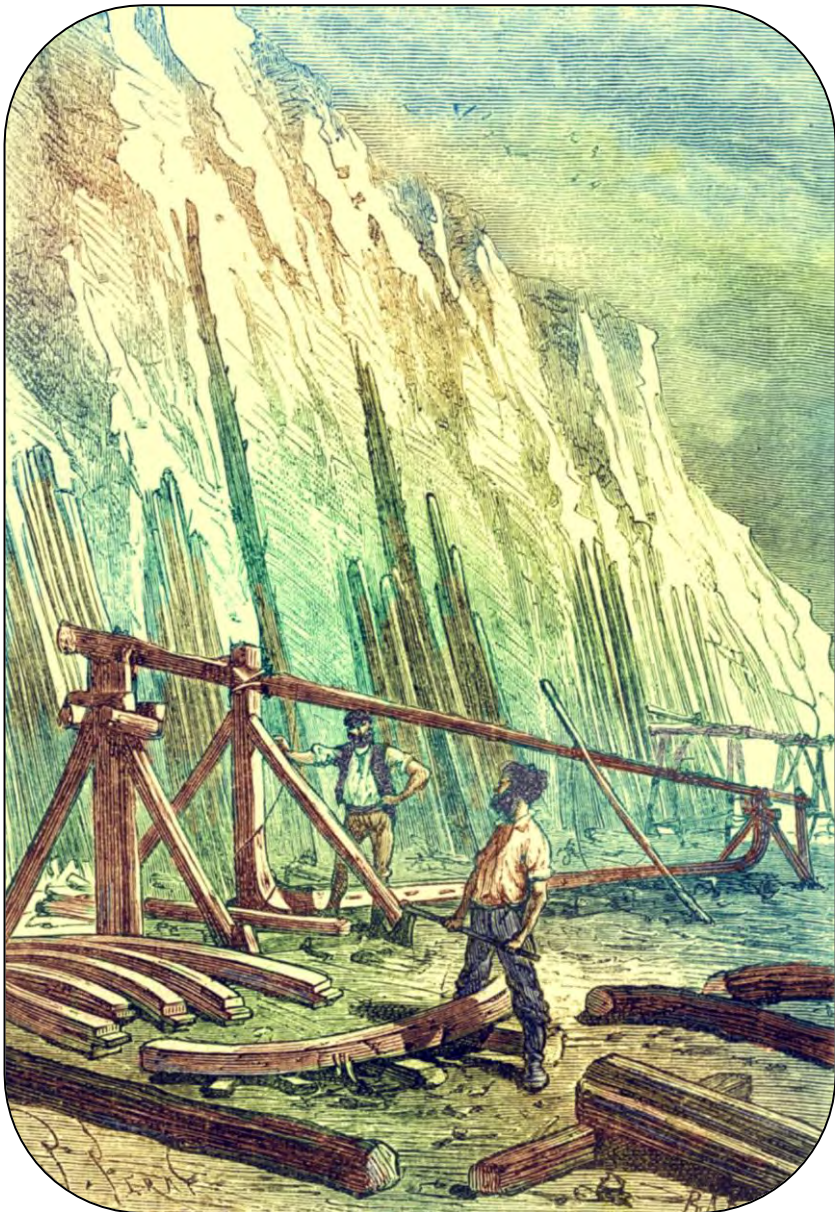
dopasuje się na gorąco po ułożeniu pokładników, które będą umocowane na wzdłużnikach¹.

Jakiego drewna należałoby użyć do budowy tej łodzi? Wiązu czy świerku, których mnóstwo rośnie na wyspie? Zdecydowano się na świerk, bo chociaż jego drewno trochę się „łupie”, jeśli możemy użyć tu wyrażenia cieśli, to jest łatwe w obróbce i równie dobrze jak wiąz wytrzymuje działanie wody.

Po ustaleniu tych szczegółów zostało postanowione, że skoro lato nadejdzie dopiero za sześć miesięcy, Cyrus Smith i Pen-croff będą sami pracować przy budowie łodzi. Gedeon Spilet i Harbert nadal mają się zajmować polowaniem, ani zaś Nab, ani mistrz Jup, jego pomocnik, nie porzucą prac domowych, które zostały im przydzielone.

Natychmiast więc wybrano drzewa, ścięto je, okrzęsano i okorowano, pocięto na deski tak świetnie, jak gdyby zrobili to zawodowi trzecie. Tydzień później w zagłębieniu, jakie istniało między Kominami a granitową ścianą, przygotowano „stoczninę”, w której na piasku została położona stępka o długości trzy-

¹ *Kil* – belka biegnąca wzdłuż statku, na której opiera się jego konstrukcja; *linia wodna* – linia wyznaczana na kadłubie przez poziom spokojnej wody przy określonym stopniu załadowania jednostki pływającej; *dryfowanie* – zboczenie statku z obranego kursu pod wpływem wiatru czy prądu morskigo; *luk* – zamykany otwór w pokładzie statku lub jego nadbudówki, służący do ładowania i wyładowywania towarów, schodzenia w głąb kadłuba statku, oświetlenia i wietrzenia pomieszczeń pod pokładem; *otaklowanie* – wyposażenie statku we wszelki sprzęt związany z napędem żaglowym; *slup* – typ żaglowca, który posiada jeden maszt (grotmaszt) i dwa żagle – bermudzki lub gaflowy grot oraz fok podnoszony na sztaku przed masztem; *szkwał* – gwałtowny, krótkotrwały (do kilku minut) wzrost prędkości wiatru o co najmniej 8 m/s; *wręgi* – wygięte belki albo sztaby, przymocowane do kilu i stanowiące szkielet kadłuba, do którego przymocowane jest poszycie; *pokładniki* – belki wzmacniające szkielet statku, łączące przeciwległe wręgi powyżej linii wodnej; *wzdłużniki* – belki biegnące równoległe do kilu, łączące ze sobą poszczególne wręgi.



Tydzień później w zagłębieniu, jakie istniało między Kominami a granitową ścianą, przygotowano „stocznię”.

dziestu pięciu stóp, zaopatrzona od tyłu w tylnicę, a od przodu w dziobnicę¹.

Cyrus Smith nie działał bynajmniej po omacku w tej nowej robocie. Znał się na budownictwie okrętowym, jak niemal na wszystkich rzeczach, a zatem wymiary ich projektowanej łodzi sprawdził najpierw na papierze. Poza tym wielce pomocny we wszystkim był Pencroff, który przez kilka lat pracował w stoczni w Brooklynie, gdzie dobrze poznał to rzemiosło. Tak więc dopiero po dokładnych obliczeniach i po wielu przemyśleniach umieścili na kilu wręgi.

Pencroff, jak łatwo odgadnąć, był cały w ogniu, pragnąc jak najszybciej doprowadzić do końca swoje nowe przedsięwzięcie, i nawet na chwilę nie chciał przerwać pracy.

Tylko jedno zajęcie uzyskało taki przywilej, że zdołało go wyciągnąć ze stoczni – ale zaledwie na jeden dzień. Był to mianowicie drugi zbiór pszenicy, który przeprowadzono piętnastego kwietnia. Był równie udany jak pierwszy i przyniósł zapowiadaną wcześniej ilość ziaren zboża.

– Pięć korców², panie Cyrusie! – oznajmił Pencroff, po dokładnym pomiarze ich bogactwa.

– Pięć korców po sto trzydzieści tysięcy ziaren przypadających na korzec – rzekł inżynier – to nam daje sześćset pięćdziesiąt tysięcy ziaren.

– A więc tym razem znów wszystko zasiejemy, pozostawiając sobie małą rezerwę! – powiedział marynarz.

– Tak jest, Pencroff, a jeśli kolejny zbiór przyniesie równie bogaty plon, będziemy mieli cztery tysiące korców.

¹ *Tylnica* (stewa tylna) i *dziobnica* (stewa przednia) – elementy konstrukcyjne statku łączące jego obie burty i będące przedłużeniem kilu (stępki) i części rufowej (dziobowej) statku.

² *Korzec* – dawna miara ciał sypkich (głównie zbóż), wynosząca we Francji 12,5 l, w krajach anglosaskich ok. 36 l (buszel), a w Polsce po roku 1819 – 128 l.

- I będziemy jeść chleb?
- Tak, będziemy jeść chleb.
- Ale w takim razie musimy zbudować młyn!
- Zbudujemy go.

Trzecie pole ze zbożem było bez porównania większe od dwóch poprzednich, a ziemia, przygotowana z wielką starannością, przyjęła cenne nasiona. Ukończywszy to, Pencroff powrócił do swego zajęcia.

W tym czasie Gedeon Spilett i Harbert polowali w okolicy i zapuszczali się dość głęboko na nieznanne jeszcze tereny Lasów Dzikiego Zachodu, mając zawsze w pogotowiu strzelby nabite kulami na wypadek jakiegoś nieprzyjemnego spotkania. Przepiękne drzewa rosły tam gęsto, tworząc nieprzebytą gęstwinię, ściśnięte jedne przy drugich, jak gdyby brakowało im przestrzeni. Badanie tej gęstwiny było wyjątkowo uciążliwe i reporter, który nigdy nie zdawał się los szczęścia, zawsze zabierał ze sobą kompas, ponieważ słońce z trudnością przebijało się przez korony drzew, co mogłoby im uniemożliwić odnalezienie powrotnej drogi. Naturalnie zdarzało się, że nie napotykali na swej drodze żadnej zwierzyny, która nie miała tam dostatecznej swobody ruchów. Mimo to w drugiej połowie kwietnia udało im się upolować trzy duże okazy roślinożerców. Były to leniwce, które koloniści już kiedyś widzieli na północ od jeziora; zwierzęta w niemądry sposób dały się ustrzelić między gałęziami drzewa, na których szukały schronienia. Ich skóry zostały przyniesione do Granitowego Pałacu i poddane garbowaniu za pomocą kwasu siarkowego, dzięki czemu stały się zdatne do użytku.

Podczas jednej z tych wycieczek dokonano, tym razem z innego punktu widzenia, bardzo ważnego odkrycia, a to dzięki Gedeonowi Spilettowi.

Było to trzydziestego kwietnia. Dwaj myśliwi zagłębili się w południowo-zachodnią część Lasów Far Westu, kiedy re-

porter, wyprzedzający Harberta o jakieś pięćdziesiąt kroków, przybył na coś w rodzaju polanki, na której drzewa, rosnące tu w większych odstępach, pozwalały na przenikanie promieni słonecznych.

Gedeona Spiletta przede wszystkim zaskoczył zapach, jaki wydzielają rośliny o prostych łodygach, cylindrycznych i rozgałęzionych, rodzących kwiaty, które układały się w grona i dawały maleńkie nasiona. Reporter ułamał kilka łodyg, powrócił do chłopca i rzekł do niego:

– Zobacz, co to jest, Harbercie.

– Gdzie pan znalazł tę roślinę, panie Spilett?

– Tam, na polance, gdzie obficie rośnie.

– No cóż, panie Spilett – rzekł Harbert – jest to odkrycie, które zapewni panu dozgonną wdzięczność Pencroffa!

– Czyżby to był tytoń?

– Tak, nawet jeśli nie pierwszej jakości, tym niemniej jest to tytoń!

– Ach, nasz poczciwy Pencroff! Ależ będzie uradowany! Ale, do diabła, nie wypali chyba wszystkiego i zostawi dla nas jeszcze sporą część!

– Ach, mam pomysł, panie Spilett! – powiedział chłopak. – Nie mówmy nic Pencroffowi. Będziemy mieli trochę czasu na przygotowanie tych liści, a pewnego pięknego dnia podamy mu nabitą fajkę!

– Zgoda, Harbercie! Tego dnia nasz zacny przyjaciel już nie będzie miał żadnych innych życzeń na tym świecie!

Reporter i Harbert zrobili spory zapas cennej rośliny i wrócili do Granitowego Pałacu, do którego „chyłkiem” wnieśli zdołbycz z taką ostrożnością, jak gdyby Pencroff był najbardziej surowym inspektorem urzędu celnego.

Cyrus Smith i Nab zostali wtajemniczeni w całą sprawę, lecz marynarz niczego się nie domyślał przez cały dość długi czas,

niezbędny do wysuszenia wąskich liści, rozdrobnienia ich i pewnego rodzaju wyprażenia na gorących kamieniach. Wymagało to dwóch miesięcy, ale wszystkie te czynności udało się wykonać w tajemnicy przed Pencroffem, ponieważ marynarz, zajęty budową statku, wracał do Granitowego Pałacu jedynie na odpoczynek.

Tymczasem pierwszego maja jego ulubioną pracę jeszcze raz przerwała przygoda rybacka, w której musieli wziąć udział wszyscy koloniści.

Już od kilku dni można było zauważyć na oceanie dwie lub trzy mile od brzegu ogromne zwierzę, które pływało w wodach Wyspy Lincoln. Był to olbrzymi wieloryb, należący prawdopodobnie do gatunku żyjącego w morzach południowych, nazywany „wielorybem przyładkowym”¹.

– Gdyby tylko udało nam się go upolować! – wykrzyknął marynarz. – Och, gdybyśmy tak mieli odpowiednią łódź i harpun² w dobrym stanie, powiedziałbym: „Ruszajmy na to zwierzę, ponieważ jest warte zachodu, by je pozyskać!”.

– Ejże, Pencroff! – powiedział Gedeon Spilett. – Chciałbym zobaczyć, jak pan manewruje harpunem. To musi być ciekawe!

– Bardzo ciekawe i niepozbawione niebezpieczeństwa – rzekł inżynier – ale skoro nie mamy środków by zaatakować to zwierzę, zbyteczne jest się nim zajmować.

– Dziwię się temu – powiedział reporter – że widzę wieloryba na tej dość wysokiej szerokości geograficznej.

¹ *Wieloryb przyładkowy* (wieloryb biskajski południowy, wal biskajski południowy, fr. *Baleine de Cap*, *Eubalaena australis*) – gatunek ssaka z rzędu waleni występujący między 30 a 50 stopniem szerokości geograficznej południowej; długość do 18 m, waga do 90 ton; podobny do innych wielorybów tego rodzaju; jego głowa stanowi 1/3 długości całego ciała.

² *Harpun* – miotana broń łowiecka w postaci grotu z zadziornami, używana do polowania na duże zwierzęta morskie, głównie wieloryby.

– A to dlaczego, panie Spilett? – zaoponował Harbert. – Znajdujemy się akurat w tej części Pacyfiku, którą angielscy i amerykańscy rybacy nazywają Whale Field¹, i to tutaj właśnie, pomiędzy Nową Zelandią i Ameryką Południową, spotyka się najwięcej wielorybów na półkuli południowej.

– Nie ma nic bardziej prawdziwego – potwierdził Pencroff. – Co mnie zaskakuje, to fakt, że nie zauważyliśmy ich więcej, ale skoro nie możemy się do nich zbliżyć, to nie ma znaczenia!

Pencroff powrócił więc do swojego zajęcia, westchnąwszy jednak z żalem, jako że każdy marynarz jest też poniekąd rybakiem, a ponieważ przyjemność z połowu rośnie proporcjonalnie do wielkości zwierzęcia, można sobie wyobrazić, co odczuwa wielorybnik w obecności wieloryba!

I gdyby to była tylko przyjemność! Nie da się ukryć, że tak wielka zdobycz byłaby wielce przydatna dla całej kolonii, gdyż olej, tłuszcz i fiszbiny można by wykorzystać w różnych celach!

Tymczasem okazało się, że zasygnalizowany wieloryb wcale nie zamierzał opuszczać wód wyspy. Tak więc czy to z okien Granitowego Pałacu, czy też z Płaskowyzu Rozległego Widoku Harbert i Gedeon Spilett – gdy akurat nie byli na polowaniu – a Nab kręcąc się przy swoich piecykach, nieustannie obserwowali przez lunety każdy ruch zwierzęcia. Waleń zapuścił się w głąb Zatoki Unii i szybko pływał od Przylądka Szczęki po Przylądek Pazura, odpychając się swą potężną płetwą ogonową, której napęd pozwalał mu poruszać się z prędkością sięgającą niekiedy dwunastu mil na godzinę. Czasami podpływał tak blisko do wysepki, że można go było podziwiać w całej okazałości. Był to rzeczywiście wieloryb południowy, który jest całkiem czarny, o głowie bardziej spłaszczonej niż u wielorybów północnych.

¹ *Whale Field* (ang.) – Wielorybie Pole.

Widać było, jak wyrzuca ze swoich nozdrzy na dużą wysokość obłok pary... czy też wody, gdyż – choć może się to wydawać dziwne – przyrodnicy i wielorybnicy wciąż nie uzgodnili swej opinii na ten temat, czy zwierzę wypuszcza tym sposobem powietrze czy też wodę. Na ogół przyjmuje się, że jest to para, która skrapla się przy zetknięciu z zimnym powietrzem i opada pod postacią deszczu¹.

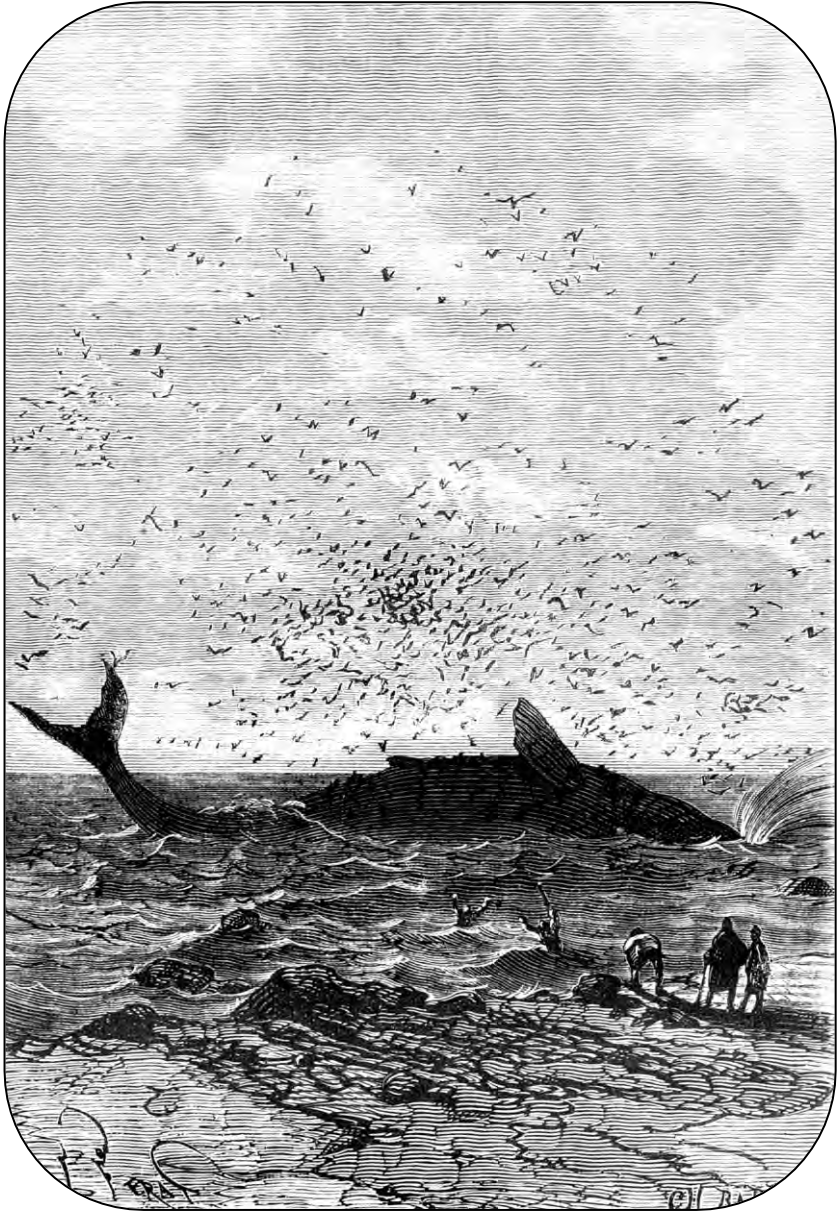
Tymczasem obecność tego morskiego ssaka ciągle absorbowała kolonistów. Szczególnie drażniło to Pencroffa i czyniło go mocno roztargnionym podczas pracy. Doszło do tego, że zapragnął mieć wieloryba, tak jak dziecko domagające się przedmiot, którego mu się odmawia. Nocami mówił o nim we śnie i niewątpliwie gdyby tylko miał możliwość zaatakować zwierzę, gdyby tylko ich łódka zdołała się utrzymać na morzu, nie zawahałby się przed ruszeniem w pościg za wielorybem.

Jednak to, czego osadnicy nie dali rady zrobić sami, uczynił za nich przypadek: trzeciego maja krzyki Naba stojącego przy kuchennym oknie obwieściły, że wieloryb został wyrzucony na wybrzeże wyspy.

Harbert i Gedeon Spilett, którzy już mieli wyruszać na polowanie, porzucili strzelby, Pencroff upuścił siekiere, a Cyrus Smith i Nab dołączyli do towarzyszy i wszyscy podążyli jak najszybciej ku miejscu, gdzie znajdował się wieloryb.

Podczas przypływu zwierzę osiadło na piasku przy Cyplu Szczałka, trzy mile od Granitowego Pałacu. Było więc prawdopodobne, że waleniovi nie uda się tak łatwo uwolnić z pułapki. W każdym razie trzeba się było spieszyć, żeby odciąć mu drogę odwrotu. Pobiegli z kilofami i oszczepami uzbrojonymi w żelazne ostrza, przebiegli przez most na Rzece Dziękczynienia, potem w dół rzeki prawym brzegiem, a dalej wzdłuż plaży

¹ Obecnie przyjmuje się, że jest to mieszanina wody i gazów wyrzucana w czasie wydechu na wysokość do 8 m.



– Ależ potwór! – wykrzyknął Nab.

i w ciągu niespełna dwudziestu minut znaleźli się przy olbrzymim zwierzęciu, nad którym roilo się już od ptactwa.

– Ależ potwór! – wykrzyknął Nab.

Określenie to było nader trafne, gdyż wieloryb południowy był to prawdziwy olbrzym, długi na osiemdziesiąt stóp, który musiał ważyć co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy funtów!

Tymczasem potwór, wyrzucony na wybrzeże, nie poruszał się już i nie próbował, szamocząc się, dotrzeć z powrotem do wody, choć wciąż jeszcze trwał przyplływ. Wkrótce koloniści uzyskali wyjaśnienie powodu jego bezruchu, gdy w czasie odpływu obeszlili zwierzę wokół. Waleń był martwy, a z jego lewego boku wystawał harpun.

– Czyżby w naszej okolicy pojawiły się statki wielorybnicze? – zapytał natychmiast Gedeon Spilett.

– Skąd taki wniosek? – spytał marynarz.

– Skoro w jego ciele tkwi jeszcze harpun...

– Ech, panie Spilett, to jeszcze niczego nie dowodzi! – odparł Pencroff. – Widziano już wieloryby pokonujące tysiące mil z harpunem w ciele, a ten mógł zostać trafiony w północnej części Atlantyku i przyplłynąć tu, żeby umrzeć na południowym Pacyfiku. Nie byłoby w tym nic dziwnego!

– Jednak... – powątpiewał Gedeon Spilett, którego nie zadowolilo wyjaśnienie Pencroffa.

– To jest najzupełniej możliwe – odparł Cyrus Smith – ale przyjrzyjmy się lepiej temu harpunowi. Może, jak to jest w dość rozpowszechnionym zwyczaju, wielorybnicy wyryli na nim nazwę swego statku?

Rzeczywiście, gdy Pencroff wyszarpnął harpun z boku zwierzęcia, dostrzegł na nim napis:

MARIA STELLA
VINEYARD¹

¹ *Vineyard* – miejscowość położona na niewielkiej (długość ok. 33 km) wyspie Martha's Vineyard na Atlantyku, u wybrzeży amerykańskiego stanu

– Statek z Vineyard! Statek z mego kraju! – zawołał. – „Maria Stella”! Na honor, piękny statek wielorybiczny! Znam go doskonale! Ach, moi przyjaciele, statek z Vineyard, statek wielorybiczny z Vineyard!

Marynarz, wywijając harpunem, nie bez wzruszenia powtarzał w kółko tę nazwę, tak bliską jego sercu, nazwę swego rodzinnego kraju!

Ponieważ jednak nie mogli czekać, aż „Maria Stella” przypłynie domagać się zwrotu ugodzonego harpunem zwierzęcia, postanowili je poćwiartować, zanim zacznie się rozkładać. Drapieżne ptaki, które od kilku już dni czatowały na ten cenny łup, chciały się rzucić na wieloryba i rozpędziło je dopiero kilka wystrzałów z broni palnej.

Wieloryb okazał się samicą, której piersi dostarczały dużej ilości mleka, zgodnie ze zdaniem przyrodnika Dieffenbacha¹ przypominającego mleko krowie; istotnie, nie różniło się od niego ani smakiem, ani gęstością, ani też barwą².

Pencroff służył niegdyś na statku wielorybicznym i mógł pokierować metodycznie operacją ćwiartowania – było to dość nieprzyjemne zajęcie, które trwało trzy dni. Nikt jednak się od niego nie uchylał, nawet Gedeon Spilett, który – jak mówił marynarz – w końcu nauczył się, jak być „całkiem dobrym rozbitkiem”.

Tłuszcz, pocięty na równoległe poście o szerokości dwóch i pół stopy, a następnie podzielony na kawałki, które mogły ważyć tysiąc funtów każdy, został przetopiony w wielkich glinianych kadziach, które przetransportowano na miejsce ćwiartowania,

Massachusetts, będącej do lat siedemdziesiątych XIX wieku ważnym ośrodkiem wielorybicznym.

¹ Johann Karl Ernst *Dieffenbach* (1811-1855) – niemiecki lekarz, geolog i przyrodnik, badacz Nowej Zelandii, napisał m.in. *Podróże po Nowej Zelandii* (1843); pod koniec życia wykładowca geologii na uniwersytecie w Giessen.

² Mleko waleni zawiera jednak znacznie więcej tłuszczu niż krowie (do 40%).

koloniści nie chcieli bowiem zanieczyszczać okolic Granitowego Pałacu. W wyniku tej operacji tłuszcz stracił przynajmniej jedną trzecią swojej wagi, ale i tak było go wciąż pod dostatkiem: sam język dał sześć tysięcy funtów oleju, a dolna warga cztery tysiące. Oprócz tłuszczu, który na długo miał zapewnić osadnikom zapas stearyny i gliceryny, zabrano także fiszbiny – niewątpliwie do czegoś się przydadzą, choć mieszkańcy Granitowego Pałacu nie nosili ani parasoli, ani gorsetów. W górnej części paszczy walenia, po obu stronach, znajdowało się osiemset rogowych płytek, bardzo elastycznych, zaostzonych po brzegach niczym dwa wielkie grzebienie, których zęby, długie na sześć stóp, służyły do zatrzymywania tysięcy żyjatek, małych rybek i mięczaków, stanowiących pożywienie wielorybów.

Po zakończeniu operacji, ku wielkiej satysfakcji robotników, resztki zwierzęcia pozostawiono ptakom, które miały je uprzątać do ostatniego kawałeczka; koloniści zaś powrócili do swych codziennych obowiązków w Granitowym Pałacu.

Nim jednak znów zaczęli budować statek, Cyrus Smith wpadł na pomysł zrobienia pewnych przyrządów, które wzbudzały niezmierną ciekawość jego towarzyszy. Inżynier wziął tuzin fiszbinów wieloryba, pociął je na sześć jednakowych części i zaostrzył na końcach.

– Panie Cyrusie – spytał Harbert, gdy inżynier zakończył robotę – do czego miałyby nam to służyć?

– Do zabijania wilków, lisów, a nawet jaguarów – odpowiedział inżynier.

– Teraz?

– Nie, zimą, gdy będziemy mieli do dyspozycji lód.

– Nie bardzo rozumiem... – rzekł Harbert.

– Wkrótce zrozumiesz, moje dziecko – zapewnił inżynier. – To urządzenie nie jest moim wynalazkiem, ale jest ono często

wykorzystywane przez aleuckich¹ myśliwych z rosyjskiej części Ameryki². Te fiszbiny, moi przyjaciele, które tu widzicie, gdy chwyci mróz, ja je wygnę i będę polewał wodą tak długo, aż je pokryje całkowicie warstwa lodu, przez co wygięcie będzie trwałe i samo się utrzyma. Następnie rozrzucę je po śniegu po uprzednim pokryciu warstwą tłuszczu. Zatem, co się stanie, jeżeli wygłodzone zwierzę połknie jedną z tych przynęt? Ciepło jego żołądka roztopi lód, fiszbiny się wyprostują i przebiją wnętrzości zwierzęcia swymi ostrymi końcami.

– To bardzo przemyślny sposób! – stwierdził Pencroff.

– Dzięki temu zaoszczędzimy proch i kule – dodał Cyrus Smith.

– To lepsze niż wnyki! – dorzucił Nab.

– Zatem poczekajmy na zimę!

– Byle do zimy!

Tymczasem budowa stateczku posuwała się naprzód i pod koniec miesiąca był już do połowy obity deskami. Wyraźnie widać już było, że będzie miał doskonałe kształty, aby utrzymywać się na wodzie.

Pencroff pracował z bezprzykładną gorliwością i tylko dzięki swej tężyznie fizycznej był w stanie opierać się zmęczeniu. Tymczasem przyjaciele szykowali dla niego w tajemnicy nagrodę za wszystkie trudy i trzydziestego pierwszego maja miał doświadczyć jednej z największych radości w swoim życiu.

¹ *Aleuty* (Wyspy Aleuckie, Aleutian Islands) – archipelag na Oceanie Spokojnym, w USA, w stanie Alaska; ciągnie się równoleżnikowo na długości 1930 km, w przedłużeniu półwyspu Alaska, ogranicza od południa Morze Beringa; powierzchnia 17,7 tys. km²; główne grupy wysp: Lisie (Fox), Andrejanowa (Andreanof), Szczurze (Rat), Bliskie (Near).

² Mowa tu o Alasce, która od 1741 do 1867 roku należała do Rosji; w roku 1867 rząd carski sprzedał Alaskę Stanom Zjednoczonym za 38 mln franków (ponad 7 mln dolarów).

Tego dnia po zjedzeniu kolacji, w chwili gdy mieli już wstawać od stołu, Pencroff poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu.

Była to ręka Gedeona Spilett, który powiedział:

– Chwileczkę, mistrzu Pencroff, nie odchodzi się tak od stołu! Zapomniał pan o deserze?

– Dziękuję, panie Spilett – odparł marynarz – ale wracam do pracy.

– Może filiżankę kawy, przyjacielu?

– Nie, dziękuję.

– A może fajkę?

Pencroff poderwał się na równe nogi, a jego poczciwa wielka twarz zbladła, gdy ujrzał, że reporter podaje mu nabitą fajkę, a Harbert żarzący się węgielek.

Marynarz bezskutecznie próbował wydusić z siebie jakieś słowa; chwycił więc tylko fajkę i uniósł ją do ust, następnie przyłożył węgielek i zaciągnął się pięć czy sześć razy.

Otoczyła go niebieskawa, pachnąca chmurka, z głębi której dał się słyszeć rozanielony głos:

– Tytoń! Prawdziwy tytoń!

– Tak, Pencroff – odparł Cyrus Smith – a nawet doskonały tytoń!

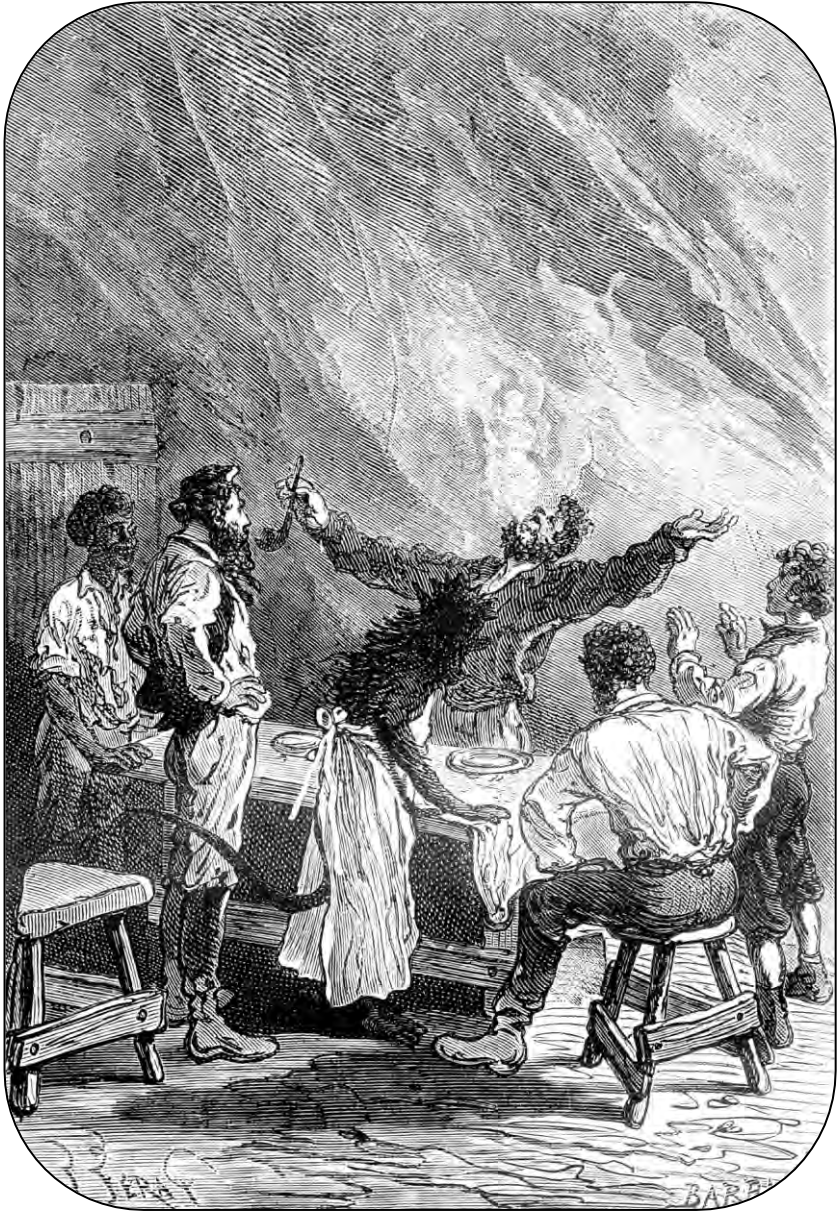
– O, Boska Opatrzności! Święty Stwórco Wszechrzeczy! – zawołał marynarz. – Niczego już zatem nie brakuje na naszej wyspie!

I Pencroff palił i palił, i palił!

– Kto dokonał tego odkrycia? – spytał w końcu. – Zapewne ty, Harbercie?

– Nie, Pencroff, to pan Spilett.

– Pan Spilett! – zawołał marynarz, przyciskając do piersi reportera, który nigdy jeszcze nie zaznał takiego uścisku.



– Tytoń! Prawdziwy tytoń!

– Uff! – jęknął Gedeon Spilett, po dłuższej chwili próbując złapać oddech. – Pencroff, część pańskiej wdzięczności należy się Harbertowi, który rozpoznał tę roślinę, Cyrusowi, który odpowiednio ją przygotował, i Nabowi, który miał dużo kłopotu z dochowaniem naszej tajemnicy!

– Cóż, moi przyjaciele, któregoś dnia się wam odwdzięczę! – odparł marynarz. – Teraz to już na śmierć i życie...



Rozdział XI

Zima – Folowanie¹ wełny – Młyn – Natrętna myśl Pencroffa
– Fiszbiny – Do czego może służyć albatros? – Paliwo
przyszłości – Top i Jup – Burze – Zniszczenia w ptaszarni
– Wyprawa na bagna – Cyrus Smith zostaje sam
– Badanie studni

Tymczasem wraz z początkiem czerwca nadeszła zima, jak to się dzieje na półkuli północnej w grudniu, więc głównym zajęciem wyspiarzy stało się wyrabianie ciepłych i solidnych ubrań.

Muflony z *corralu* zostały ogolone z wełny, a teraz chodziło jedynie o to, by przekształcić ten niezwykle cenny materiał w tkaninę.

Nie trzeba tu dodawać, że Cyrus Smith, nie mając do dyspozycji ani gręplarki, ani czesarki, gładziarki, rozciągarki czy skręcarki, jak też innych maszyn do przedzenia wełny – tak zwanych *mule-jenny* czy *self-acting*² – ani warsztatu tkackiego, musiał działać w prostszy sposób, by zaoszczędzić czas na przedzeniu i tkaniu. W istocie zwyczajnie wykorzystał pewną właściwość, jaką mają włókna wełny, kiedy się je zgniata we wszystkich kierunkach, by się splątały i przez proste połączenie

¹ *Folowanie* – wstępna obróbka tkanin i dzianin wełnianych oraz mieszanych zawierających wełnę; proces ten ma na celu częściowe spłśnianie i zagęszczenie struktury włókna wykorzystywanego do produkcji sukna oraz tkanin płaszczowych.

² *Mule-jenny* – przędzarka napędzana hydraulicznie, wynaleziona w Anglii w 1779 roku przez Samuela Cromptona; *self-acting* – automatyczna przędzarka („samoprzędzarka”) opatentowana w 1825 roku przez Richarda Roberta.

wytworzyły materiał, który jest nazywany filcem. Filc można otrzymać przez proste spilśnienie, operację, która wprowadzie zmniejsza elastyczność tkaniny, lecz znacznie zwiększa zdolność do utrzymywania ciepła. Otóż wełna dostarczona przez muflony składała się z krótkich włosków, które idealnie nadały się do spilśnienia.

Inżynier, wspomagany przez swoich towarzyszy, łącznie z Pencroffem – który znowu musiał porzucić swój stateczek! – zaczął wstępne przygotowania, mające na celu pozbycie się z wełny substancji olejowej i tłuszczu, którymi jest ona przesiąknięta, czyli tak zwanego tłuszczopotu¹. Odtłuszczanie odbywało się w wielkich kadziach wypełnionych wodą podgrzaną do temperatury siedemdziesięciu stopni, w której zanurzano wełnę na dwadzieścia cztery godziny; następnie prano ją dokładnie w wodzie z sodą. Potem ta wełna, gdy już była dostatecznie wysuszona poprzez odciskanie, nadawała się do spilśniania, to znaczy do wyrobu mocnej, lecz bez wątpienia zgrzebnej tkaniny, która co prawda w ośrodkach przemysłowych Europy czy Ameryki nie miałyby większej wartości, jednak była wysoko ceniona na „rynkach Wyspy Lincoln”.

Zrozumiałe jest, że ten rodzaj materiału musiał być znany już w bardzo dawnych czasach, gdyż pierwsze na świecie tkaniny wełniane produkowane były właśnie przy użyciu metody, której zamierzał użyć Cyrus Smith.

Zawód inżyniera przydał się Cyrusowi Smithowi podczas konstruowania maszyny do folowania wełny, gdyż wiedział, jak w zręczny sposób skorzystać z siły mechanicznej – do tej pory niespożytkowanej – jaką posiadał wodospad na wybrzeżu, by poruszać folusz.

¹ *Tłuszczopot* – mieszanina łoju i potu, nieustannie wydzielanych przez gruczoły skórne (łojowe i potowe) owiec; ma znaczenie podobne jak łój skórny; z tłuszczopotu otrzymuje się lanolinę.

Urządzenie było niezwykle proste: pień drzewa wyposażony w krzywki¹, które podnosiły i opuszczały na przemian pionowe ubijaki zwane stęporami, koryta na wełnę zwane stępami, do których opadały ubijaki, oraz solidna drewniana konstrukcja wspierająca i łącząca cały system. Taka właśnie była ta opisana wyżej maszyna i tak musiała wyglądać od wieków, aż do chwili, kiedy ktoś wpadł na pomysł, by ubijaki zastąpić walcami ugniatającymi i poddawać materiał już nie ubijaniu, lecz prawdziwemu walcowaniu.

Cała operacja, dobrze nadzorowana przez Cyrusa Smitha, poszła zgodnie z ich życzeniem. Wełna, uprzednio nasączona roztworem mydlanym, co miało z jednej strony zapewnić większy poślizg, zmiękczyć i ułatwić zbijanie się włókien, a z drugiej zapobiec ich uszkodzeniu podczas ubijania, wychodziła z folusza w postaci grubej płachty filcu. Prążki i nierówności charakterystyczne dla włókien wełny tak mocno się splątały i zazębiły jedno o drugie, że utworzyły materiał, z którego szyć można było równie dobrze ubrania, jak i koce. Nie był to oczywiście merynos ani też muślin czy kaszmir szkocki, ani ryps, ani atlas chiński lub orleański, ani alpaka, ani sukno czy flanela! Był to „filc linkolnijski”, a Wyspa Lincoln wzbogaciła się o jeszcze jedną gałąź przemysłu.

Osadnicy mieli wreszcie ciepłe ubrania oraz grube koce i bez obaw mogli oczekiwać nadejścia sezonu zimowego na przełomie 1866 i 1867 roku².

¹ *Krzywka* – mimośrodowy element konstrukcji mechanicznej, zazwyczaj o specjalnym kształcie (symetrycznym lub asymetrycznym); wykorzystywany w rozmaitych mechanizmach do chwilowej zmiany położenia jednej części względem innej; zmiana położenia może być zarówno jednorazowa, jak też okresowa.

² *Sezon zimowy 1866-1867* – odniesienie J. Verne'a do półkuli północnej; na półkuli południowej była to oczywiście zima 1866 roku.

Silne mrozy dały się naprawdę we znaki około dwudziestego czerwca i Pencroff, ku swemu wielkiemu żalowi, musiał zawiesić prace przy konstrukcji łodzi, która miała być gotowa na najbliższą wiosnę.

Marynarz wbił sobie do głowy, że musi zobaczyć wyspę Tabor, chociaż Cyrus Smith nie popierał tej podróży, wynikającej jedynie z ciekawości Pencroffa, gdyż nie należało się niczego spodziewać na tym pustynnym i zapewne jałowym skrawku lądu. Podróż na odległość stu pięćdziesięciu mil stosunkowo niewielką łodzią po nieznanym wodach miała prawo wzbudzać obawy. A jeśli łódź, kiedy już znajdzie się na pełnym morzu, nie będzie w stanie dotrzeć do wyspy Tabor i nie zdoła też wrócić na Wyspę Lincolna, to co stanie się z nią na wodach Pacyfiku, które są miejscem tak licznych katastrof morskich?

Cyrus Smith często dyskutował z Pencroffem o jego pomysły i ciągle spotykał się z dziwnym uporem marynarza pragnącego odbyć tę podróż, uporem, z którego tamten być może sam nie zdawał sobie do końca sprawy.

– Pragnę zwrócić ci uwagę, mój przyjacielu – rzekł do niego pewnego dnia inżynier – że tyle dobrego mówił pan zawsze o Wyspie Lincolna, tyle razy wyrażał pan żal na samą myśl, że trzeba będzie ją kiedyś opuścić, a teraz pierwszy chce pan to uczynić.

– Opuzczę ją tylko na kilka dni, panie Cyrusie! – odparł Pencroff. – Tylko na czas podróży tam i z powrotem, by zobaczyć, co to za wysepka!

– Przecież ona nie może się równać z Wyspą Lincolna!

– Jestem tego pewny!

– Więc po co chce pan ryzykować?

– Chcę się dowiedzieć, co się dzieje na wyspie Tabor!

– Ależ nic się tam nie dzieje! Tam nie może się nic dziać!

– Kto wie?

– A jeśli złapie pana jakaś burza?

– W porze letniej nie należy się tego obawiać – odparł Pencroff. – Ale, panie Cyrusie, należy wszystko przewidywać, ośmielę się prosić o pozwolenie na zabranie w tę podróż Harberta.

– Pencroff – rzekł inżynier, kładąc rękę na ramieniu marynarza – gdyby przydarzyło się jakieś nieszczęście panu i temu chłopcu, którego przypadek uczynił naszym synem, czy sądzi pan, że kiedykolwiek moglibyśmy znaleźć pocieszenie?

– Panie Cyrusie – odpowiedział Pencroff z niewzruszoną pewnością siebie – nie sprawimy wam tego bólu. Zresztą porozmawiamy jeszcze o tej podróży, kiedy nadejdzie na nią pora. Poza tym myślę, że gdy pan ujrzy nasz stateczek dobrze osprzętowany, o pięknym kadłubie, kiedy zobaczy pan, jak się sprawuje na wodzie, gdy będziemy nim opływali dookoła wyspę – bo zrobimy to razem – podejrzewam, że nie będzie pan dłużej się wahał i pozwoli mi odpłynąć! Nie ukrywam, że pański stateczek będzie prawdziwym arcydziełem!

– Niech pan przynajmniej powie: nasz stateczek, Pencroff! – odparł inżynier, chwilowo zupełnie rozbrojony.

Tak zakończyła się ta rozmowa, ale później do niej powracali, lecz ani inżynier, ani marynarz nie przekonał drugiej strony do swoich racji.

Pierwsze śniegi spadły pod koniec czerwca. Wcześniej *corral* został obficie zaopatrzony i nie wymagał codziennych wizyt, postanowiono jednak, że przynajmniej raz w tygodniu będą się tam pojawiać.

Ponownie zastawiono pułapki i po raz pierwszy wypróbowano przyrządy wykonane przez Cyrusa Smitha. Wygięte fiszbinny, uwięzione w lodowym pokrowcu i pokryte grubą warstwą tłuszczu, zostały umieszczone na skraju lasu, w miejscu, gdzie zazwyczaj przechodziły zwierzęta udające się w stronę jeziora.

Ku wielkiej satysfakcji inżyniera wynalazek ten, zapożyczony od aleuckich rybaków, doskonale się sprawdził. Tuzin lisów, kilka dzików, a nawet jeden jaguar dały się złapać. Zwierzęta znajdowano martwe, z żołądkami przebitymi odprężonymi i wyprostowanymi fiszbinami.

W tym czasie podjęto pewne działania, o których należy wspomnieć, ponieważ była to pierwsza próba dokonana przez kolonistów w celu nawiązania kontaktu z bliźnimi.

Gedeon Spilett od dawna już przemyślał nad tym, czyby nie wrzucić do morza butelki zawierającej notatkę o ich położeniu, którą prąd poniosłby może ku zamieszkanym lądom, albo też nie powierzyć tej misji gołębiom. Czyż jednak można było naprawdę przypuszczać, że gołębie albo butelka pokonają odległość tysiąca dwustu mil, dzielącą wyspę od najbliższego lądu? Wszak byłoby to niedorzecznością.

Tymczasem trzydziestego czerwca udało im się z niemałym trudem złapać albatrosa, którego Harbert lekko postrzelił w łapę. Był to wspaniały ptak z rodziny tych wielkich żeglarzy, których skrzydła osiągają rozpiętość dziesięciu stóp, i które bez trudu mogą przelatywać nad tak ogromnymi wodami jak Ocean Spokojny.

Harbert bardzo pragnął zatrzymać tego wspaniałego ptaka, którego rana bardzo szybko się zagoiła, a nawet chciał go oswoić, ale Gedeon Spilett wytłumaczył mu, że nie można poминаć takiej okazji do próby nawiązania łączności z lądami nad Pacyfikiem przez tego gońca. Harbert musiał się poddać, ponieważ gdyby albatros przybył z zamieszkanego przez ludzi regionu, z pewnością wróci tam, gdy tylko zostanie uwolniony.

Być może w głębi duszy Gedeon Spilett, w którym czasami pojawiał się instynkt reportera, zamyślał przesłanie na los szczęścia jakiegoś porywającego artykułu opisującego przygody osad-



Mały woreczek zawieszono na szyi albatrosa, a nie na jego łapie, gdyż ptaki te mają zwyczaj odpoczywać na powierzchni wody.

ników na Wyspie Lincoln! Jak wielki byłby to sukces dla reportera „New York Herald” i dla samej gazety zawierającej taką historię, gdyby tylko dotarła ona w ręce wielce szanownego Johna Benetta¹, dyrektora gazety.

Gedeon Spilett zredagował więc zwięzłą notatkę, która została włożona do woreczka z mocnego, nagumowanego płótna, z gorącą prośbą do znalazcy, kimkolwiek by był, żeby przesłał ją do biura „New York Herald”. Mały woreczek zawieszono na szyi albatrosa, a nie na jego łapie, gdyż ptaki te mają zwyczaj odpoczywać na powierzchni wody. Następnie zwrócono wolność temu szybkiemu powietrznemu gońcowi i nie bez pewnych emocji koloniści patrzyli za nim, jak znika w oddali pośród mgieł na zachodzie.

– Gdzie on poleciał? – zastanawiał się Pencroff.

– W stronę Nowej Zelandii – odparł Harbert.

– Szczęśliwej podróży! – wykrzyknął marynarz, który nie oczekiwał zbyt wiele po tego rodzaju korespondencji.

Zimą z powrotem podjęto prace wewnątrz Granitowego Pałacu: reperowano ubrania, wytwarzano różne drobne przedmioty, a między innymi szyto żagle dla łodzi, wykrojone ze zdawało się niewyczerpywalnej powłoki aerostatu...

W lipcu nadeszły tęgie mrozy i nie oszczędzono ani drewna, ani węgla. Cyrus Smith zainstalował drugi kominek w dużej sali i od tej pory tam spędzali długie zimowe wieczory. Czas płynął im z zyskiem dla wszystkich na rozmowach przy pracy lub na lekturze, gdy ich ręce były wolne.

¹ *John Benett* (właśc. James Gordon Bennett, 1841-1918) – syn Jamesa Gordona seniora, amerykański dziennikarz i wydawca prasowy; od 1872 roku właściciel dziennika „New York Herald”; pionier sportu motorowego i lotniczego, fundator międzynarodowych nagród w żeglarsztwie, sportach motorowych i balonowych (np. Puchar Gordona Bennetta).



Cyrus Smith zainstalował drugi kominek w dużej sali i od tej pory tam spędzali długie zimowe wieczory.

Jakaż to była rozkosz, kiedy siadali w dobrze oświetlonej świeczkami i ogrzanej węglem sali po wzmacniającej kolacji, z dymiącą filiżanką kawy z owoców czarnego bzu, otoczeni kłębami wonnego dymu z fajek, słuchając huczącej na zewnątrz burzy! Odczuwaliby pełnię szczęścia, gdyby tylko mogli czuć się szczęśliwi z dala od bliskich i bez możliwości porozumiewania się z nimi. Zawsze rozmawiali o swoim kraju, o przyjaciółach, których pozostawili, o tej wielkiej Republice Amerykańskiej, której znaczenie mogło tylko rosnąć. Cyrus Smith, od zawsze zaangażowany w sprawy Unii, opowiadał ciekawe historie i dzielił się ze słuchaczami swoimi przemyśleniami i przewidywaniami.

Zdarzyło się, że pewnego dnia Gedeon Spilett zwrócił się do inżyniera z pytaniem:

– Ależ, drogi Cyrusie, ta cała rewolucja przemysłowa i handlowa, której stały postęp pan przewiduje, czy nie pociąga ona za sobą zagrożenia, że zostanie prędzej czy później całkowicie zahamowana?

– Zahamowana! A to dlaczego?

– Gdy wyczerpią się złoża węgla, który można nazwać najcenniejszym z minerałów!

– Tak, rzeczywiście najcenniejszym – odpowiedział inżynier – i wydaje się, że natura potwierdziła to, tworząc diamenty, które nie są niczym innym, jak tylko czystym, skryształizowanym węglem.

– Chyba nie chce pan powiedzieć, panie Cyrusie – wtrącił się Pencroff – że w paleniskach kotłów zamiast węglem kamiennym będzie się palić diamentami?

– Nie, mój przyjacielu – odpowiedział Cyrus Smith.

– Mimo to upieram się – ciągnął Gedeon Spilett. – Nie zaprzecza pan, że któregoś dnia zapasy węgla całkowicie się wyczerpią?

– Och! Jego złoża są jeszcze naprawdę ogromne, a sto tysięcy robotników, którzy wydobywają rocznie sto milionów kwintali metrycznych¹, nie tak prędko je wyczerpie!

– Przy wzrastającym zużyciu węgla kamiennego – odpowiedział Gedeon Spilett – można przewidywać, że z tych stu tysięcy robotników zrobi się wkrótce dwieście tysięcy i tym sposobem wydobywanie zostanie podwojone?

– Bez wątplenia, ale oprócz złóż w Europie, które dzięki nowoczesnym maszynom można będzie eksploatować z większych głębokości, kopalnie w Ameryce i Australii jeszcze długo będą dostarczać węgiel na potrzeby przemysłu.

– Jak długo? – spytał reporter.

– Co najmniej dwieście pięćdziesiąt lub trzysta lat.

– To dla nas pocieszające – rzekł Pencroff – ale bardzo niepokojące dla naszych potomków!

– Znajdzie się coś innego – powiedział Harbert.

– Trzeba mieć taką nadzieję – odparł Gedeon Spilett – bo bez węgla nastąpi koniec maszyn, a bez maszyn – koniec kolei żelaznych, statków parowych, fabryk, koniec wszystkiego, czego wymaga postęp współczesnego życia!

– Ale co znajdziemy w zamian? – spytał Pencroff. – Czy umie sobie pan to wyobrazić, panie Cyrusie?

– Mniej więcej, mój przyjacielu.

– Czy zatem będzie się paliło zamiast węgla?

– Wodą – odparł Cyrus Smith.

– Wodą?! – wykrzyknął Pencroff. – Woda do napędzania statków parowych i lokomotyw, woda do grzania wody?!

– Tak, lecz woda rozłożona na tworzące ją pierwiastki – odparł Cyrus Smith – i to rozłożona bez żadnych wątpliwości za

¹ *Kwintal metryczny* – pozaukładowa jednostka masy, wynosząca 100 kg, obecnie stosowana czasami w rolnictwie.

pomocą elektryczności, która stanie się wówczas potężną siłą i wygodną w użyciu, gdyż wszystkie wielkie odkrycia, dzięki jakiemś niewytłumaczalnemu prawu, zdają się w odpowiednim momencie nawzajem uzupełniać. Tak, moi przyjaciele, wierzę, że pewnego dnia woda będzie używana jako paliwo, że wodór i tlen, które się na nią składają, używane razem lub osobno, staną się niewyczerpanym źródłem ciepła i światła, i to znacznie silniejszym niż może być węgiel kamienny. Któregoś dnia do ładowni na statkach parowych i do tendrów¹ parowozów zamiast węgla będzie się ładować te dwa sprężone gazy, które będą się spalać w paleniskach, posiadając ogromną wydajność kaloryczną. Tak więc nie ma się czego obawiać. Dopóki Ziemia będzie zamieszkana, ludziom nie zabraknie nigdy światła ani ciepła, tak jak nie zabraknie plonów z królestwa roślin, zwierząt i minerałów. Wierzę, że gdy wyczerpią się złoża węgla, będziemy podgrzewać i grzać wodą. Woda to węgiel przyszłości.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedział marynarz.

– Za wcześnie się urodziłeś, Pencroff – odpowiedział Nab i były to jedyne słowa, jakie wypowiedział w dyskusji.

Jednak to nie wypowiedź Naba zakończyła tę rozmowę, ale głośnie szczekanie Topa, które ponownie wybuchło z tą samą dziwną intonacją, która już wcześniej zastanowiła inżyniera. Jednocześnie Top znów zaczął krążyć wokół otworu studni mieszczącej się na końcu wewnętrznego korytarza.

– Dlaczego Top znów tak szczeka? – zastanawiał się Pencroff.

– A Jup jakoś dziwnie pochrząkuje? – dodał Harbert.

Rzeczywiście, orangutan przyłączył się do psa i dawał niedwuznaczne oznaki poruszenia, przy czym – rzecz szczególnie – zwierzęta zdawały się raczej zaniepokojone niż zdenerwowane.

¹ *Tender* – wagon połączony na stałe z parowozem, zawierający zapas wody, paliwo i narzędzia potrzebne do obsługi lokomotywy.

– Oczywiście jest – powiedział Gedeon Spilett – że studnia łączy się bezpośrednio z morzem i że od czasu do czasu jakieś morskie zwierzę podpływa do niej, by zaczerpnąć powietrza.

– Tak chyba faktycznie jest – zgodził się marynarz – nie ma na to bowiem innego wytłumaczenia... Uciszyć się, Top! – dodał, zwracając się do psa. – A ty, Jup, marsz do swego pokoju!

Małpa i pies zamilkły. Jup poszedł się położyć, ale Top został w salonie i przez cały wieczór ciągle było słychać jego głucho powarkiwania.

Nie mówiono więcej o tym wydarzeniu, jednak czoło inżyniera spochmurniało.

Przez resztę lipca na przemian padał deszcz lub chwytały mrozy. Temperatura nie spadła tak nisko jak poprzedniej zimy i jej maksimum nie przekroczyło ośmiu stopni Fahrenheita (około trzynastu stopni Celsjusza poniżej zera), ale choć tej zimy było nieco cieplej, o wiele bardziej dawały się we znaki burze i wichury. Kilka razy morze tak gwałtownie zaatakowało, że wdarło się do Kominów. Można było sądzić, że podnoszące się wody, poruszone jakimś podwodnym wstrząsem, tworzyły potworne fale i rzucały nimi o ściany Granitowego Pałacu.

Kiedy osadnicy wychyleni z okien spoglądali na te olbrzymie masy wody, które łamały się przed ich oczyma, mogli jedynie podziwiać ów wspaniały spektakl bezsilnej wściekłości oceanu. Fale zmieniały się w olśniewającą pianę, a całe wybrzeże znikało pod wściekłym zalewem, po czym miało się wrażenie, że skalny masyw sam wynurza się wprost z morza, którego bryzgi unosiły się na wysokość ponad stu stóp.

W czasie burz ciężko, a nawet wręcz niebezpiecznie było pokonać jakąkolwiek trasę na wyspie, gdyż drzewa łamały się i spadały w poprzek drogi. Mimo to koloniści co tydzień chodzili doglądać zagrody. Na szczęście teren ten, ze swymi drze-

wami, szopami i ostrokołem, osłonięty południowo-wschodnim zboczem Góry Franklina, nie ucierpiał zbyt wiele z powodu huraganu. Z kolei ptaszarnia położona na Płaskowyżu Rozległego Widoku, a przez to bezpośrednio wystawiona na porywy wiatru ze wschodu, doznała poważnych uszkodzeń. Gołębnik stracił dwukrotnie dach, zniszczyło się też ogrodzenie. Istniała konieczność wzmocnienia go, gdyż nie ulegało wątpliwości, że Wyspa Lincolnna znajdowała się w okolicy położonej w najgorszym punkcie Pacyfiku. Można było odnieść wrażenie, że tkwiła wręcz w centrum cyklonów, które smagały ją niczym bat uderzający bąka. Tylko tutaj bąk stał nieruchomo, a obracał się wiatr.

W pierwszym tygodniu sierpnia nawałnice powoli zaczęły słabnąć i atmosfera odzyskała spokój, który, jak się wydawało, już na zawsze utraciła. Wraz z uspokojeniem znowu spadła temperatura, chwyciły siarczyste mrozy i słupek termometru zszedł do ośmiu stopni Fahrenheita poniżej zera (dwudziestu dwóch stopni Celsjusza poniżej zera).

Trzeciego sierpnia osadnicy wybrali się na projektowaną od kilku dni wyprawę na południowo-wschodnią część wyspy, w stronę Bagien Oharów. Myśliwych kusiło wszelkie ptactwo wodne, które urządziło tam swoje zimowe kwatery. Na bagnach aż się roiło od dzikich kaczek, kszyków, rożeńców, cyranek i perkozów dwuczubych¹, dlatego też postanowili, że jeden dzień poświęcą polowaniu na te ptaki.

Nie tylko Gedeon Spilett i Harbert, ale także Pencroff i Nab wzięli udział w tej ekspedycji. Jedynie Cyrus Smith, wymawia

¹ *Cyranek* (*Anas querquedula*) – średni wędrowny ptak wodny z rodziny kaczkowatych, zamieszkujący niemal całą Eurazję; *perkozy* (*Podicipedidae*) – rodzina ptaków obejmująca gatunki zamieszkujące stojące wody śródlądowe, rzadziej wolno płynące rzeki (poza sezonem lęgowym niektóre gatunki widuje się na morzu); występują na całym świecie poza najwyższymi szerokościami geograficznymi.



Cyrus Smith zszedł jeszcze głębiej, oświetlając sobie dokładnie skałę wokół siebie. Nie dostrzegł jednak nic podejrzanego.

jąc się jakąś pracą, nie dołączył do nich i pozostał w Granitowym Pałacu.

By udać się na bagna, myśliwi ruszyli więc drogą wiodącą do Portu Balonu, obiecawszy uprzednio, że wrócą wieczorem. Towarzyszyli im Top i Jup. Gdy tylko przeszli przez most na Mercy River, inżynier podniósł go i wrócił do Granitowego Pałacu z zamiarem zrealizowania swego projektu, dla którego właśnie chciał zostać sam.

Otóż ten projekt polegał na drobiazgowym zbadaniu wewnętrznej studni, której wylot znajdował się na poziomie korytarza Granitowego Pałacu i która łączyła się z morzem, skoro niegdyś służyła jako odpływ wody z jeziora.

Dlaczego Top tak często krążył wokół tego otworu? Z jakiego powodu wydawał takie dziwaczne poszczekiwanie, gdy zbliżał się do studni? Dlaczego Jup również podzielał jego niepokój? Czyżby ta studnia miała inne odgałęzienia oprócz tego prowadzącego pionowo do morza? Czy jakimiś kanałami prowadziła także ku innym częściom wyspy? Oto czego zamierzał się dowiedzieć Cyrus Smith, a przede wszystkim chciał to zrobić sam. Postanowił więc spróbować zgłębić tajemnicę studni podczas nieobecności towarzyszy, a odpowiednia ku temu okazja właśnie się nadarzyła.

Łatwo było zejść aż do dna studni, używając sznurowej drabinki, bezużytecznej, odkąd skonstruował windę, i której długość wydawała się dostateczna. Tak też inżynier uczynił. Zaciągnął drabinkę do otworu, którego średnica miała około sześciu stóp, i zrzucił ją w studnię, uprzednio porządnie przyczepiwszy ją za górny koniec. Następnie zapalił latarnię, wziął rewolwer oraz kordelas, który zatknął sobie za pasek, i zaczął schodzić po pierwszych szczeblach.

Wokół była lita ściana; jedynie od czasu do czasu widać było niewielkie występy skalne, po których zręczne stworzenie bez

trudu mogłoby się rzeczywiście wspiąć aż do górnego wylotu studni.

Takie było spostrzeżenie inżyniera, ale po dokładniejszych oględzinach tych występów przy świetle latarni nie znalazł żadnego śladu, żadnego zadraśnięcia świadczącego o tym, żeby ktoś – dawniej albo ostatnio – się po nich wdrapywał.

Cyrus Smith zszedł jeszcze głębiej, oświetlając sobie dokładnie skałę wokół siebie. Nie dostrzegł jednak nic podejrzanego.

Kiedy inżynier dotarł do ostatnich szczebli drabinki, poczuł pod sobą powierzchnię wody, która w tej chwili była całkowicie spokojna. Ani na jej poziomie, ani w żadnej innej części studni nie odchodził jakiś boczny korytarz, który mógłby prowadzić w głąb masywu. Ściana, w którą Cyrus Smith uderzył raz czy drugi ręką, została kordelasa, zabrzmiała czystym dźwiękiem. Był to zwarty granit, przez który żadnej żywej istocie nie udało się utorować przejścia. Żeby dotrzeć na samo dno studni i wspiąć się ponownie do jej wylotu, trzeba było przejść przez kanał zawsze zalany wodą, kanał łączący studnię z morzem poprzez dolne warstwy nadbrzeżnych skał. Mogły go więc pokonywać jedynie morskie stworzenia. Jeśli chodzi o pytanie, gdzie kończył się ów tunel, do jakiego miejsca na wybrzeżu prowadził i na jaką głębokość, tego nie dało się niestety rozstrzygnąć.

Zakończywszy swoje badania, Cyrus Smith wyszedł na górę, wyciągnął drabinkę, przykrył ponownie otwór i bardzo zamyślony wrócił do salonu w Granitowym Pałacu, mówiąc do siebie:

– Niczego nie zauważyłem, a przecież coś tam musi być!



Rozdział XII

Otaklowanie łodzi – Atak lisów – Jup ranny – Jup pielęgnowany – Jup wyleczony – Ukończenie łodzi – Triumf Pencroffa – „Bonadventure” – Pierwszy próbny rejs na południe od wyspy – Nieoczekiwany dokument

Wieczorem myśliwi wrócili z udanego polowania obładowani zwierzyną, niosąc jej tyle, ile tylko mogło udźwignąć czterech mężczyzn. Top niósł na szyi wianuszek rożeńców, a Jup był opasany sznurem z nawleczonymi kszycami.

– Zobacz, mój panie – zawołał Nab – oto zajęcie na najbliższe dni! Konserwy, pasztety – będziemy mieli wspaniałe zapasy! Ktoś jednak musi mi w tym pomóc. Liczę na ciebie, Pencroff.

– Nie, Nabie – odparł marynarz. – Muszę się zająć otaklowaniem stateczku, będziesz musiał się obyć beze mnie.

– A pan, panie Harbercie?

– Ja, Nabie, muszę się jutro udać się do *corralu* – odparł młodzieniec.

– A może pan mi pomoże, panie Spilett?

– Zrobię to dla ciebie, Nabie – odrzekł inżynier – ale uprzedzam cię, że jeśli zdradzisz mi swoje przepisy, to ja je opublikuję.

– Jak pan sobie życzy, panie Spilett! – odparł Nab. – Jak pan sobie życzy!

Tak oto nazajutrz Gedeon Spilett, stawszy się pomocnikiem Naba, znalazł się w jego kulinarnym laboratorium. Wcześniej jednak inżynier zapoznał go z wynikami badań, które poczynił poprzedniego dnia, i w tej kwestii reporter podzielał opinię Cyrusa Smitha, że chociaż nic nie udało się znaleźć, tajemnica wciąż istniała!

Silne mrozy trzymały jeszcze przez tydzień i osadnicy opuszczali Granitowy Pałac jedynie po to, by zajrzeć do ptaszarni. We wszystkich pomieszczeniach unosiły się smakowite zapachy, będące skutkiem uczonych manipulacji Naba i reportera w kuchni. Jednak nie cały plon polowania na bagnach został przetworzony na konserwy, a ponieważ zwierzyna doskonale dała się przechowywać przy silnych mrozach, dzikie kaczkę i inne ptaki zostały zjedzone na świeżo i uznane za wyborne wśród innych zwierząt wodnych znanego świata.

Podczas tego tygodnia Pencroff, wspomagany przez Harberta, który zręcznie posługiwał się igłą żaglomistrza, pracowali z takim zapałem, że ukończyli szycie żagli dla łodzi. Nie brakowało konopnych lin, które znaleziono wraz z powłoką balonu. Sznury i osprzęt siatki balonu zrobione były ze sznurów doskonałej jakości, więc marynarz chętnie z nich korzystał. Żagle zostały obszyte solidnymi liklinami¹, a lin pozostało jeszcze tyle, że było z czego sporządzić także fały, wanty, szoty² itd. Natomiast co do bloków, to za radą Pencroffa wykonał je Cyrus Smith przy użyciu skonstruowanej przez siebie tokarki. Okazało się, że takielunek był zupełnie gotowy, jeszcze zanim cała łódź została skończona. Pencroff uszył nawet niebiesko-czerwono-białą flagę, do której farb dostarczyły rośliny barwierskie rosnące obficie na wyspie. Tylko do trzydziestu siedmiu gwiazdek reprezentujących trzydzieści siedem stanów Unii, jaśniejących na flagach Stanów Zjednoczonych marynarz dodał

¹ *Liklina* – lina wszyta w lik (czyli krawędź) żagla; służy wzmocnieniu brzegu żagla, przeciwdziałając jego rozciągnięciu oraz chroniąc przed pęknięciem czy rozdarciem.

² *Fały* – liny służące do podnoszenia (opuszczania) m.in. żagli; *wanty* – liny utrzymujące maszt w płaszczyźnie prostopadłej do osi statku; *szoty* – liny olinowania ruchomego służące do manewrowania żagle, czyli ustawiania go w pożądanym położeniu w stosunku do wiatru.

jeszcze jedną, trzydziestą ósmą gwiazdę¹ „Stanu Lincoln”, ponieważ uważał, że wyspa już została przyłączona do wielkiej republiki.

– Jeśli jeszcze się tak nie stało, to jest już przyłączona w naszych sercach! – powtarzał.

W oczekiwaniu, aż znajdzie się na łodzi, flaga została zatknięta w głównym oknie Granitowego Pałacu, a koloniści powitali ją trzykrotnym okrzykiem „hurra!”.

Tymczasem zbliżał się koniec pory zimowej i wydawało się, że ta druga zima na wyspie minie bez poważniejszych incydentów, kiedy w nocy z jedenastego na dwunasty sierpnia Płaskowyż Rozległego Widoku mógł zostać niemal całkowicie zdewastowany.

Po dniu wypełnionym różnymi pracami koloniści twardo spali, gdy około czwartej nad ranem nagle obudziło ich ujadanie Topa.

Tym razem pies nie czekał przy otworze studni, lecz u progu drzwi, i rzucał się, jakby chciał je wyważyć. Jup z kolei wydawał z siebie cienkie piski.

– Co z tobą, Top?! – zawołał Nab, który przebudził się jako pierwszy.

Pies jednak wciąż czekał z coraz większą wściekłością.

– Co się dzieje? – spytał Cyrus Smith.

Wszyscy ubrali się pospiesznie, podbiegli do okien i szeroko je otworzyli.

Przed ich oczami rozciągała się warstwa śniegu, zaledwie bieląca się w głębokich ciemnościach nocy. Koloniści niczego nie dostrzegli, lecz usłyszeli dobiegające z mroku osobliwe szczekanie. Stało się oczywiste, że na wybrzeżu pojawiła się pewna liczba zwierząt, których nie dało się jeszcze rozpoznać.

¹ Obecnie na fladze Stanów Zjednoczonych widnieje pięćdziesiąt gwiazdek.

- Cóż to takiego?! – krzyknął Pencroff.
- Wilki, jaguary albo małpy! – odparł Nab.
- Do diabła! Mogą się przedostać na szczyt płaskowyżu! – zaniepokoił się reporter.
- Nasza ptaszarnia! – zawołał Harbert. – I co z naszymi uprawami...?
- Którędy mogły przejść? – zastanawiał się Pencroff.
- Przeszły przez mostek na wybrzeżu – odparł inżynier – który jeden z nas zapomniał podnieść.
- Rzeczywiście – przytaknął Gedeon Spilett – chyba zostawiłem otwartą drogę...
- Piękną robotę pan tam zrobił, panie Spilett! – wykrzyknął marynarz.
- Co się stało, to się nie odstanie – rzekł Cyrus Smith. – Pomyślmy o tym, co należy zrobić!

Takie oto padały pytania i odpowiedzi szybko wymieniane między Cyrusem Smithem a jego towarzyszami. Nie było wątpliwości, że zwierzęta przedostały się przez mostek i znalazły drogę na wybrzeże. Mogły też wspiąć się lewym brzegiem Rzeki Dziękczynienia i dotrzeć aż na Płaskowyż Rozległego Widoku. Trzeba było je wyprzedzić i w razie potrzeby walczyć z nimi.

– Ale co to za zwierzęta? – spytał ktoś po raz kolejny, w chwili gdy szczerkanie stało się głośniejsze.

Ujądanie sprawiło, że Harbertowi, który przypomniał sobie, że słyszał je już kiedyś podczas pierwszej wizyty u źródeł Czerwonego Potoku, ciarki przebiegły po plecach.

- To lisy falklandzkie, to są lisy! – zawołał.
- Naprzód! – wykrzyknął marynarz.

Uzbroiwszy się w siekiery, karabiny i rewolwery, wszyscy rzucili się pospiesznie do kosza windy i wkrótce znaleźli się na wybrzeżu.

Lisy stają się bardzo niebezpiecznymi zwierzętami, gdy pojawiają się w dużej liczbie i gdy są rozwścieczone głodem. Mimo to koloniści bez wahania rzucili się w środek stada i pierwsze strzały z rewolwerów, przecinające ciemności gwałtownymi błyskami, sprawiły, że najbliżsi napastnicy się cofnęli.

Przede wszystkim najważniejszą sprawą było uniemożliwienie tym rabusiom przedostania się na Płaskowyż Rozległego Widoku, ponieważ pola uprawne i ptaszarnia znalazłyby się wtedy na ich łasce, mogłoby bowiem dojść do olbrzymich spustoszeń, może nie do naprawienia, szczególnie jeśli chodziło o pole ze zbożem. Ponieważ jednak na płaskowyż można było się dostać jedynie od strony lewego brzegu Rzeki Dziękczynienia, wystarczyło przeciwstawić lisom barierę nie do pokonania na tym wąskim pasie linii brzegowej ciągnącym się między rzeką i granitową ścianą.

Wszyscy to doskonale rozumieli i na rozkaz Cyrusa Smitha ruszyli w stronę wskazanego przez niego miejsca, gdy tymczasem lisy kłębiły się w mroku.

Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff i Nab ustawili się w ten sposób, by utworzyć zaporę nie do przejścia. Top z rozwartymi groźnie szczękami wyprzedzał osadników i znalazł się przed Jupem uzbrojonym w sękatą pałkę, którą wywijał niczym maczugą.

Noc była wyjątkowo ciemna. Jedyne w świetle wystrzałów, z których żaden nie chybiał, dało się dostrzec napastników, których musiała być przynajmniej setka i których ślepia błyszcząły niczym rozżarzone węgielki.

– Nie możemy pozwolić im przejść! – zawołał Pencroff.

– Nie przejdą! – zapewnił inżynier.

Chociaż istotnie nie przeszły, to jednak nie znaczyło, że nie próbowały. Ostatnie szeregi popychały zwierzęta stojące na prze-

dzie, i była to nieustanna walka za pomocą rewolwerów i siekier. Ziemia była już usłana trupami lisów, lecz zgraja zdawała się nadal równie liczna, tak że można było pomyśleć, jakby bez przerwy się odnawiała, bo zwierzęta dochodziły wąskim pasem wybrzeża.

Wkrótce koloniści musieli przejść do walki wręcz, nie obyło się też bez kilku ran, na szczęście lekkich. Harbert strzałem z rewolweru ocalił Naba, któremu jeden z lisów wskoczył na plecy niczym jakiś ocelot tygrysi¹. Top bił się z prawdziwą wściekłością, skacząc do gardła lisom i natychmiast je zagryzając. Jup, uzbrojony w swoją pałkę, walił nią na oślep i daremnie próbowano go przekonać, żeby pozostał z tyłu. Obdarzony wzrokiem pozwalającym przenikać panujące ciemności, zawsze znajdował się w centrum walki, wydając od czasu do czasu przenikliwy gwizd, który był u niego wyrazem szczególnej radości. W pewnej chwili zapuścił się nawet tak daleko, że w świetle wystrzału rewolwerowego można było go zobaczyć otoczonego przez pięć czy sześć wielkich lisów, którym stawiał czoła z wyjątkowym opanowaniem.

Tymczasem walka musiała się zakończyć zwycięstwem kolonistów, lecz dopiero po bitwie trwającej dwie długie godziny! Zapewne to pierwszy brzask świtu spowodował odejście napastników, którzy wycofywali się na północ w taki sposób, by przejść przez mostek, który Nab natychmiast za nimi podniósł.

Gdy zrobiło się już dość jasno, żeby obejrzeć pole bitwy, osadnicy doliczyli się pięćdziesięciu trupów porzrzucanych na wybrzeżu.

– A Jup?! – zawołał Pencroff. – Gdzie jest Jup?

¹ *Ocelot tygrysi* (kot tygrysi, *oncilla*, *Leopardus tigrinus*) – gatunek drapieżnego ssaka z rodziny kotowatych; zamieszkuje Amerykę Środkową i Południową od Kostaryki po Paragwaj, południową Brazylię i północną Argentynę.

Jup zniknął. Jego przyjaciel Nab wołał go, lecz po raz pierwszy Jup nie odpowiedział na jego nawoływania.

Wszyscy ruszyli na poszukiwanie Jupa, pełni obaw, czy nie odnajdą go wśród ofiar. Oczyszczono plac z martwych lisów i wreszcie znaleziono go pod stosem napastników, których rozbite głowy i krwawiące żyły świadczyły o tym, że musiały mieć do czynienia z bezlitosną pałką nieprzejednanego orangutana. Biedny Jup trzymał jeszcze w dłoniach trzonek swojej złamanej pałki, ale gdy już nie miał się czym bronić, rzuciła się nań cała gromada i wyryła na jego piersi głębokie rany.

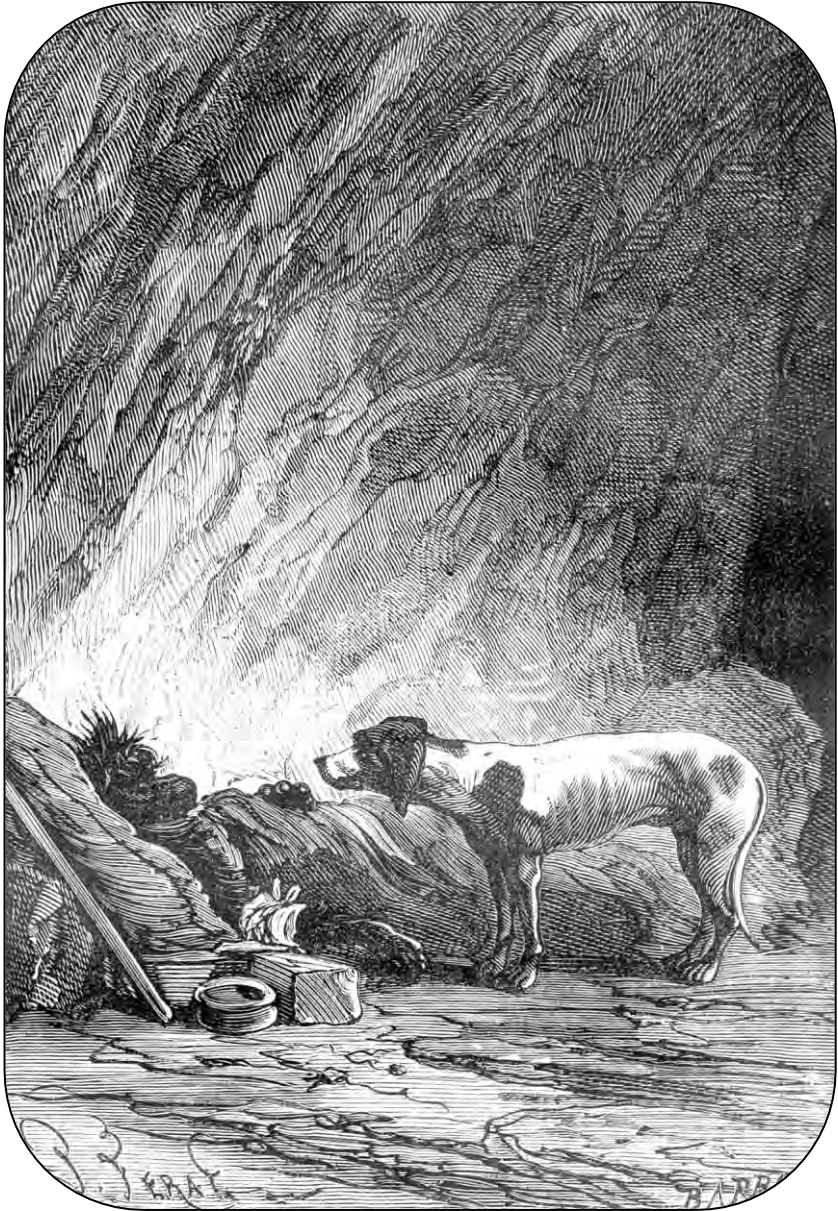
– Wciąż żyje! – zawołał Nab, nachyliwszy się nad małpą.

– Uratujemy go! – zapewnił marynarz. – Będziemy go pielęgnować tak, jakby był jednym z nas!

Wydawało się, że Jup zrozumiał jego słowa, ponieważ oparł głowę na ramieniu Pencroffa, jakby chcąc mu podziękować. Marynarz sam był ranny, lecz jego rany, podobnie jak obrażenia jego towarzyszy, były mało znaczące, gdyż dzięki broni palnej mogli trzymać napastników w odpowiedniej odległości. Tak więc jedynie stan orangutana był ciężki.

Jup, niesiony przez Naba i Pencroffa, dotarł aż do windy, a spomiędzy jego warg wydobywały się tylko ciche jęki. Przewieziono go ostrożnie do Granitowego Pałacu. Tam ułożono go na materacu wyjętym z jednego z posłań i z największą starannością obmyto mu rany. Wyglądało na to, że nie był naruszony żaden z głównych narządów wewnętrznych, ale Jup był bardzo osłabiony z powodu utraty krwi i wkrótce dostał bardzo silnej gorączki.

Po opatrzeniu ran położono go zatem do łóżka i narzucono surową dietę, „zupełnie jak u prawdziwego człowieka”, jak stwierdził Nab, i kazano mu wypić kilka filiżanek orzeźwiającego naparu, do którego składników dostarczyła ziołowa apteczka Granitowego Pałacu.



Od czasu do czasu Top приходził, można by rzec „na palcach”,
odwiedzić swojego przyjaciela.

Jup zasnął z początku bardzo niespokojnym snem, lecz wkrótce jego oddech stał się regularniejszy, więc pozwolono mu odpoczywać w zupełnym spokoju. Od czasu do czasu Top przychodził, można by rzec „na palcach”, odwiedzić swojego przyjaciela i wydawał się aprobować wszystkie zabiegi, jakim poddawano zwierzę. Jedna z łap Jupa zwiisała z materaca, a Top lizał ją z bardzo zasmuconą miną.

Jeszcze tego samego ranka koloniści zakopali głęboko wszystkie lisie zwłoki, które zaciągnęli aż do Lasów Far Westu.

Atak, który mógł mieć niezwykle poważne konsekwencje, stał się dla nich nauzką, i od tej pory nie kładli się spać, dopóki jeden z nich się nie upewnił, że wszystkie mostki zostały podniesione i nie istnieje obawa jakiegokolwiek napaści.

Tymczasem Jup, o którego życie poważnie obawiali się przez kilka dni, dzielnie walczył z chorobą. Mocny organizm zwyciężył, gorączka powoli opadała, i Gedeon Spiletta, który trochę był lekarzem, uznał, że zwierzę wkrótce wróci do zdrowia. Szesnastego sierpnia Jup zaczął jeść. Nab przygotowywał dla niego pyszne słodkie potrawy, które chory degustował z rozkoszą, bo jeśli miał jakąś słabostkę, było nią łakomstwo, a Nab nigdy nie czynił nic, by go wyleczyć z tej przywary.

– Cóż pan chce? – mówił do Gedeona Spiletta, który czasami karcił go za takie rozpuszczanie małpy. – Przecież biedny Jup nie ma innych przyjemności, a ja się cieszę, że mogę mu w ten sposób nagrodzić jego pracę!

Dziesięć dni później, dwudziestego pierwszego sierpnia, mistrz Jup wstał z łóżka. Rany się zabiłiżyły i widać było, że zwierzę szybko odzyska swoją zwykłą zwinność i zwykły wigor. Jak wszystkich rekonwalescentów, opanował go wilczy głód, a reporter pozwalał mu jeść do woli, wierząc w instynkt zwierzęcia, którego zbyt często brakuje istotom rozumnym i który z pew-

nością powstrzyma orangutana od przejedzenia. Nab był zachwycony, widząc, jak jego uczniowi powraca apetyt.

– Jedz, mój Jupie – mówił do niego – bo niczego ci nie będzie brakować! Przełałeś za nas swą krew, więc przynajmniej w ten sposób pomagam ci ją odzyskać!

Wreszcie dwudziestego piątego sierpnia dało się słyszeć głos Naba przywołującego towarzyszy.

– Panie Cyrusie, panie Gedeonie, panie Harbercie, Pencroff! Chodźcie! chodźcie!

Zaalarmowani tym wołaniem osadnicy, którzy siedzieli akurat w salonie, wstali i przybiegli do pokoju zarezerwowanego dla Jupa.

– Co się stało? – spytał reporter.

– Zobaczcie! – odparł Nab, śmiejąc się w głos.

I co ujrzeli? Mistrza Jupa siedzącego na progu Granitowego Pałacu ze skrzyżowanymi po turecku nogami i palącego fajkę ze spokojną i poważną miną!

– Moja fajka! – zawołał Pencroff. – Zabrał moją fajkę! Ach, mój dzielny Jupie, daję ci ją w prezencie! Pal sobie, mój przyjacielu, pal!

Jup wypuszczał z powagą gęste obłoki tytoniowego dymu, co najwyraźniej sprawiało mu niewyobrażalną przyjemność.

Cyrus Smith nie okazywał nadmiernego zdziwienia tym wydarzeniem i przytoczył kilka przykładów oswojonych małp, które na co dzień używały tytoniu.

Poczawszy od tego dnia, mistrz Jup miał własną fajkę, była fajkę marynarza, którą powieszono w jego pokoju razem z zapalem tytoniu. Nabijał ją sam, zapalał od rozżarzonego węgielka i wyglądał wtedy na najszcześniejszego z czwororękich. Można sobie wyobrazić, że ta zbieżność gustów Jupa i Pencroffa jedynie zacieśniła więzy przyjaźni łączące dzielną małpę i poczciwego marynarza.

– Może to jest człowiek? – mawiał czasami Pencroff do Naba. – Zdziwiłbyś się, gdyby któregoś dnia przemówił do nas?

– Doprawdy nie! – odpowiadał Nab. – Bardziej mnie dziwi, że on nie mówi, bo przecież jedynie tego mu brak.

– Jednakże bardzo bym się ubawił – ciągnął marynarz – gdyby pewnego pięknego dnia powiedział do mnie: „Może zamienimy się fajkami, co Pencroff?”.

– Tak – odpowiadał Nab. – Jakie to nieszczęście, że od urodzenia jest niemy!

Z nadejściem września zima na dobre się skończyła i osadnicy z zapalem powrócili do pracy.

Budowa łodzi posuwała się szybko do przodu. Poszycie burtowe było już gotowe i wykańczano ją wewnątrz w taki sposób, by połączyć poszczególne części kadłuba z wręgami, które naginano, nagrzewając je parą wodną, aby idealnie spełniały wszystkie wymagania gabarytowe.

Ponieważ drewna nie brakowało, Pencroff zaproponował inżynierowi, żeby od środka wzmocnić kadłub wodoszczelnymi potnicami¹, co zapewniłoby zwiększenie wytrzymałości łodzi.

Cyrus Smith, nie wiedząc, co zgotuje im przyszłość, zgodził się na pomysł marynarza, by uczynić jego łódkę tak solidną, jak to tylko było możliwe.

Potnice i pokład statku zostały całkowicie ukończone około piętnastego września. Chcąc uszczelnić wszystkie łączenia, wykonano pakuły z suchej trawy morskiej, a następnie poupychano je, pobijając drewnianym młotkiem, między deskami poszycia kadłuba, potnicami i pokładem; następnie łączenia te pokryto wrzącą smołą, której obficie dostarczyły sosny z lasu.

¹ *Potnice* – deski odgradzające przestrzeń ładunkową w ładowni od poszycia burt; zabezpieczają ładunek przed zamknięciem na skutek kontaktu z wodą kondensującą na chłodnym poszyciu.

Wyposażenie łodzi było bardzo skromne. Przede wszystkim została obciążona balastem, który stanowiły kawałki granitu o łącznej wadze około dwunastu tysięcy funtów, zalane zaprawą murarską. Ponad tym balastem ułożono górny pokład, natomiast wewnątrz podzielono na dwa pomieszczenia, wzdłuż których ciągnęły się dwie ławy służące za kufry. Pięta masztu¹ podtrzymywała równocześnie ściankę dzielącą dwie kajuty, do których wchodziło się z pokładu przez dwa luki zaopatrzone w klapy.

Pencroff nie miał żadnego kłopotu, by znaleźć odpowiednie drzewo na maszt. Wybrał młody prosty świerk pozbawiony sęków, który wystarczyło ociosać, dopasowując go do otworu w pokładzie, w który miał być włożony, i zaokrąglić na czubku. Okucia masztu, steru i te przy kadłubie zostały wyprodukowane w kuźni urządzonej w Kominach. Wyglądały dość prymitywnie, ale za to były solidne. Wreszcie, w pierwszym tygodniu października wszystko było gotowe: reje, saling, bom, drzewca² oraz wiosła. Ustalono, że łódź zostanie sprawdzona na przybrzeżnych wodach wyspy, co pozwoli się przekonać, jak zachowuje się na wodzie i w jakiej mierze można na niej polegać.

Przez cały ten czas nie zaniechano jednak codziennych prac. *Corral* ponownie został przebudowany, gdyż stado muflonów i kóz powiększyło się o pewną liczbę młodych, które trzeba było wyżywić i zapewnić im schronienie. Nie brakowało również wizyt kolonistów ani na łowisku ostryg, ani w królikarni, ani

¹ *Pięta masztu* – koniec masztu, na którym on się opiera (dolny koniec masztu, znajdujący się pod pokładem).

² *Saling* – na jednostkach z jednoczłonowymi masztami: sztywna rozpórka zwiększająca kąt pomiędzy olinowaniem stałym a masztem, usztywniająca maszt na wysokości zamocowania want kolumnowych; *bom* – poziome, ruchome drzewce, do którego przymocowana jest dolna część żagla; z jednej strony osadzone w maszcie, z drugiej przytrzymywane szotami; *drzewce* – element omasztowania w żeglarstwie służący do utrzymywania oraz manewrowania ożaglowaniem jednostki pływającej.

przy złożach węgla kamiennego i rudy żelaza, a także w kilku niezbadanych do tej pory partiach Lasów Far Westu, gdzie napotkali moc zwierzyny.

Odkryli także kilka nowych roślin, a chociaż nie nadawały się do natychmiastowego spożycia, to mimo wszystko zasiliły zapasy Granitowego Pałacu. Były to gatunki przypołudników. Niektóre z nich przypominały gatunki rosnące na Przylądku Dobrej Nadziei, o mięsistych jadalnych liściach, inne produkowały ziarna zawierające pewien rodzaj mąki.

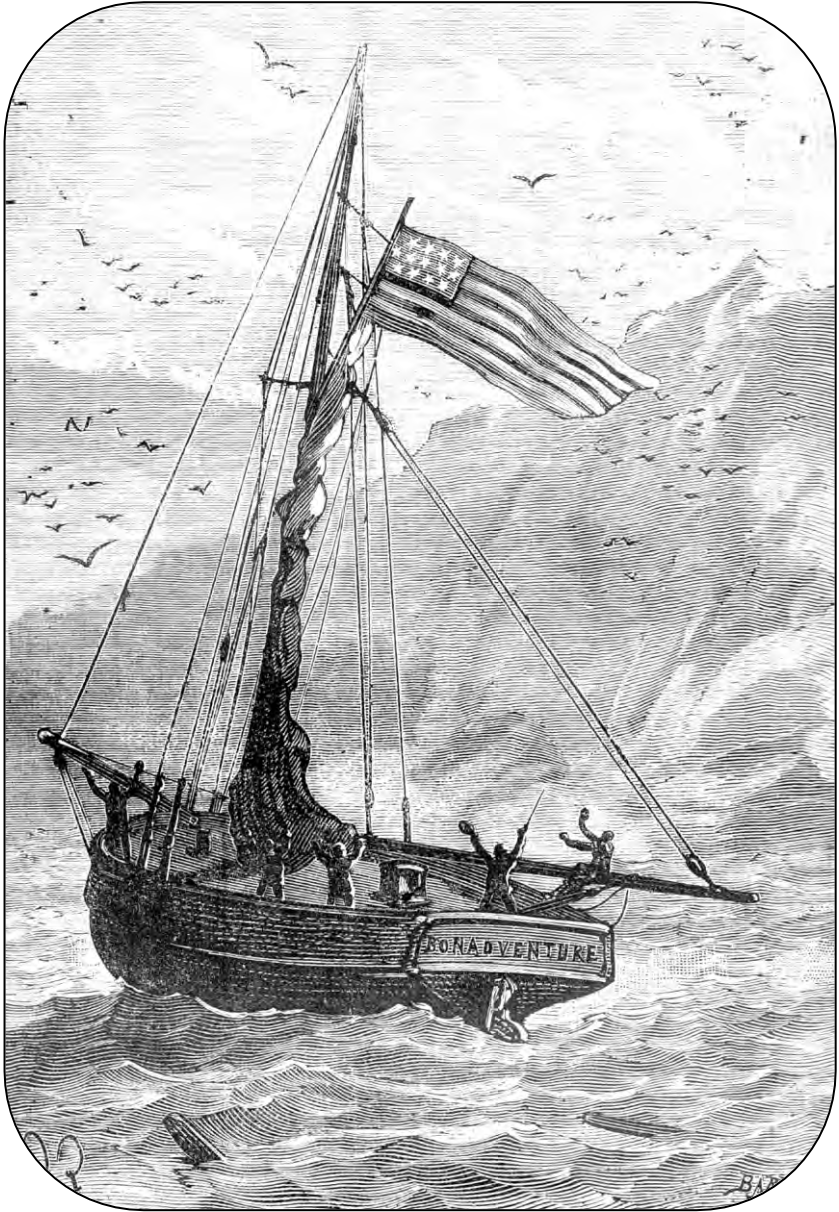
Dziesiątego października *Łódź* została spuszczone na morze. Pencroff promieniał. Operacja udała się wspaniale. Wcześniej *Łódź*, w pełni osprzętowana, została przetoczona na balach na brzeg morza, skąd zabrała ją fala przyptywu przy oklaskach osadników, a zwłaszcza Pencroffa, który przy tej okazji nie okazał żadnej skromności. Rozpierała go duma nie tylko z powodu ukończenia statku, ale też z tego, że po jego zbudowaniu marynarzowi oddano dowodzenie i jednomyślnie przyznano mu stopień kapitana.

Żeby zadowolić kapitana Pencroffa, trzeba było nadać łodzi nazwę i po długich rozważaniach rozmaitych propozycji większością głosów wybrano nazwę „Bonadventure”¹ – imię, jakie pocziwy marynarz otrzymał na chrzcie.

Gdy tylko „Bonadventure” uniosła fala przyptywu, można było zobaczyć, że doskonale utrzymuje się na wodzie i że będzie się wspaniale sprawował przy wszystkich rodzajach manewrów.

Poza tym jeszcze tego samego dnia zamierzano dokonać prób podczas wyprawy na pełne morze. Była piękna pogoda, wiała odświeżająca bryza, morze nadawało się idealnie do żeglugi, szczególnie wzdłuż południowego wybrzeża, gdyż już od godziny wiał wiatr z północnego zachodu.

¹ *Bonadventure* – niezbyt często używana, zanglicyzowana forma imienia (także nazwisko) wywodząca się od teologa, Świętego Bonawentury (1217-1274).



Wciągnięto gaflowy grot, flaga linkolnjska powiewała na topie masztu, i „Bonadventure”, sterowany przez Pencroffa, wypłynął na pełne morze.

– Na pokład! Na pokład! – wołał kapitan Pencroff.

Jednak przed odpłynięciem trzeba było jeszcze zjeść śniadanie, a nawet dobrze było zabrać ze sobą na pokład trochę żywności, na wypadek gdyby wycieczka przedłużyła się aż do wieczora.

Cyrusowi Smithowi spieszno było do wypróbowania tej łodzi, gdyż sam sporządził jej plany, chociaż za poradą marynarza w wielu punktach zmodyfikował swoje projekty. Nie ufał jednak łodzi aż tak bardzo jak Pencroff, a ponieważ ten nie wspominał już więcej o wyprawie na wyspę Tabor, inżynier miał nadzieję, że marynarz porzucił ten pomysł. Niechętnie przystałby na to, żeby dwóch czy też trzech towarzyszy wypływało daleko w morze na tej małej przecież jednostce o wyporności nie większej niż piętnaście ton.

O wpół do jedenastej wszyscy stawili się na pokładzie, nawet Jup i Top. Nab i Harbert podnieśli kotwicę wbitą w piasek w pobliżu ujścia Rzeki Dziękczynienia, wciągnięto gaflowy grot, flaga linkolnajska powiewała na topie masztu, i „Bonadventure”, sterowany przez Pencroffa, wypłynął na pełne morze.

Żeby wydostać się z Zatoki Unii, trzeba było najpierw płynąć z wiatrem w plecy. Dzięki temu można było stwierdzić, że przy takim kursie prędkość statku jest zupełnie zadowalająca.

Minąwszy Cypel Szczątka i Przylądek Pazura, Pencroff musiał płynąć ostro na wiatr, aby posuwać się wzdłuż południowego wybrzeża wyspy i po kilkakrotnej zmianie kursu mógł się przekonać, że „Bonadventure” może płynąć swobodnie na pięć rumbów do wiatru oraz że nie daje się znosić. Bardzo dobrze zachowywał się przy zwrocie przez sztag i miał „zryw”, jak wyrażają się marynarze, gdyż przy zwrocie nawet zyskiwał na prędkości¹.

¹ *Płynąć ostro na wiatr* – płynąć kursem jak najbardziej zbliżonym do kierunku, z którego wieje wiatr; *na pięć rumbów do wiatru* – statek mógł być

Pasażerowie „Bonadventure” byli wręcz oczarowani. Mieli teraz dobrą łódź, która w razie potrzeby mogła im oddać nieocenione przysługi, a przy pięknej pogodzie i dobrym wietrze wycieczka była doprawdy przeurocza.

Pencroff skierował się na pełne morze, jakieś trzy czy cztery mile od brzegu, będąc na trawersie¹ Portu Balonu. Wyspa ukazała się oczom wszystkich w całej swej okazałości i w zupełnie nowym świetle, z malowniczą panoramą jej wybrzeża od Przyładka Pazura po Cypel Gada, lasami iglastymi odcinającymi się na tle młodych jeszcze pąków liści innych drzew, widocznymi na pierwszym planie oraz Górą Franklina z białymi skrawkami śniegu na szczycie, dominującą nad całością.

– Jak tu pięknie! – zawołał Harbert.

– Tak, nasza wyspa jest piękna i dobra – powiedział Pencroff. – Kocham ją, jak kochałem moją biedną matkę! Przyjęła nas na swoje łono, biednych i pozbawionych wszystkiego, a teraz, czy czegoś brak tym pięciu nieborakom, którzy spadli z nieba?

– Niczego! – odparł Nab. – Niczego, kapitanie!

Obaj dzielni mężczyźni wydali trzykrotny okrzyk „hurra!” na cześć ich wyspy!

Tymczasem Gedeon Spilett, oparłszy się o maszt, szkicował widok rozciągający się przed jego oczami.

Cyrus Smith patrzył w milczeniu.

odchylony od linii wiatru o 56 stopni (rumb – jednostka kąta stosowana głównie w nawigacji morskiej, równa 1/32 kąta pełnego); *zwrot przez sztag* – manewr polegający na przeprowadzeniu jednostki z jednej strony linii wiatru (halsu) na drugą przy wietrze wiejącym z przodu; wymaga to przejścia przez tzw. sektor martwy, przez co wytraca się prędkość; utrata prędkości, a w konsekwencji sterowności, grozi przy silnych wiatrach wywróceniem się jednostki.

¹ *Trawers* – kierunek prostopadły do płaszczyzny symetrii statku; tu w takim znaczeniu, że stateczek znajdował się na wysokości Portu Balonu.

– No i cóż, panie Cyrusie? – spytał Pencroff. – Co pan powie o naszym stateczku?

– Wydaje się, że dobrze się sprawuje – odparł inżynier.

– Pięknie! Czy sądzi pan, że obecnie mógłby wypłynąć w jakąś dłuższą podróż?

– W jaką podróż, Pencroff?

– Na przykład na wyspę Tabor?

– Mój przyjacielu – odpowiedział mu Cyrus Smith – sądzę, że gdyby była taka potrzeba, moglibyśmy bez wahania zawieźć „Bonadventure”, nawet gdyby chodziło o dłuższy rejs, ale jak sam pan wie, nie bez żalu patrzyłbym na pana odpływającego w stronę wyspy Tabor, skoro nic nas do tego nie zobowiązuje.

– Dobrze jest poznać swoich sąsiadów – argumentował Pencroff, który wciąż upierał się przy swoim pomysle. – Wyspa Tabor jest naszą sąsiadką, a do tego samotną! Uprzejmość wymaga, by się tam udać i złożyć jej wizytę!

– Do diabła! – odezwał się Gedeon Spilett. – Nasz przyjaciel Pencroff trzyma się konwenansów!

– Niczego się nie trzymam – zripostował marynarz, którego podrażnił nieco sprzeciw inżyniera, choć ten nie zamierzał zrobić mu przykrości.

– Proszę pomyśleć, Pencroff – odparł Cyrus Smith – że sam nie może pan popłynąć na wyspę Tabor.

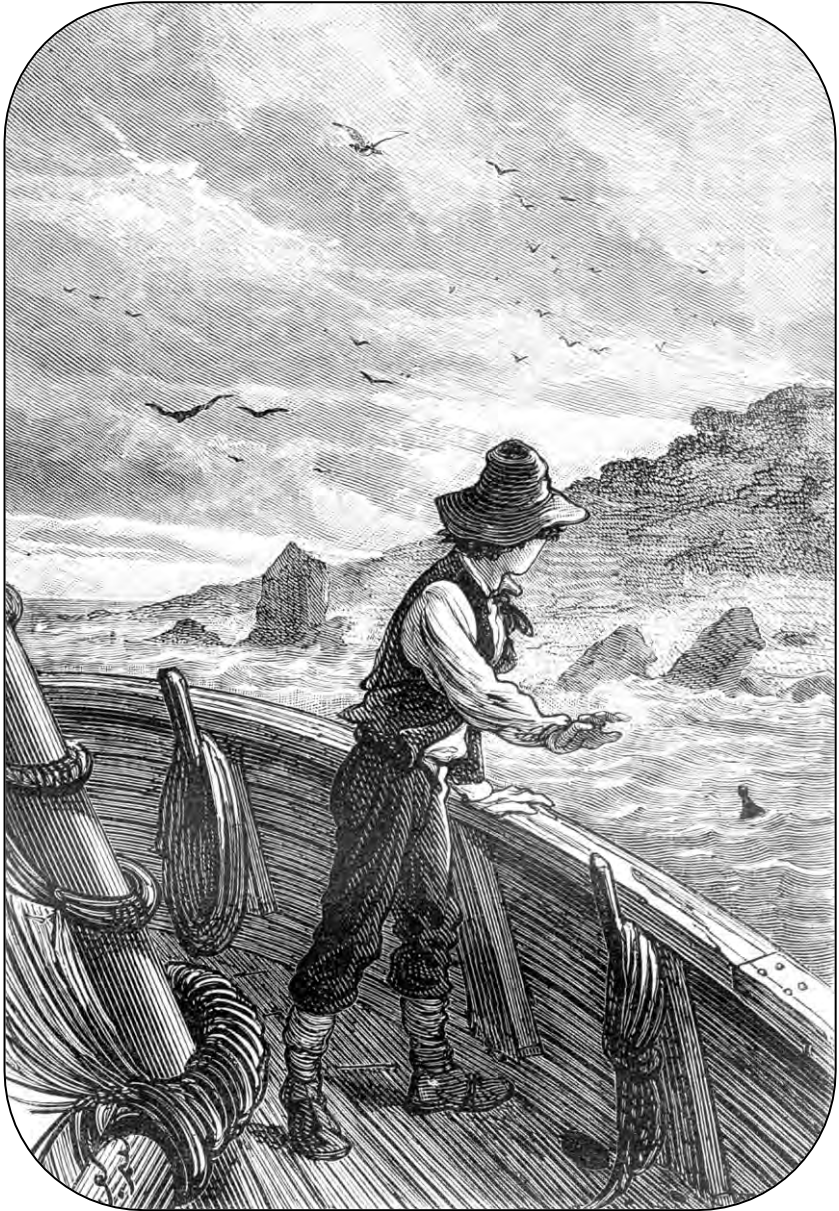
– Wystarczy mi jeden towarzysz.

– Zgoda – odparł inżynier. – Zatem chce pan pozbawić kolonię Wyspy Lincolna dwóch z pięciu kolonistów?

– Z szczęściu! – poprawił go Pencroff. – Zapomina pan o Jupie!

– Z siedmiu! – dodał Nab. – Top jest wart tyle co inni!

– Nie ma żadnego ryzyka, panie Cyrusie – zaczął znowu Pencroff.



– Wyostrz, Pencroff, wyostrz!

– To możliwe, Pencroff, ale powtarzam, że to narażanie się bez potrzeby!

Uparty marynarz nic nie odpowiedział i poniechał dyskusji, bardzo zdecydowany, by kiedyś do niej powrócić. Jednak zupełnie nie podejrzewał, że pewien incydent przyjdzie mu z pomocą i zmieni w akt humanitaryzmu to, co było jedynie jego kontrowersyjnym kaprysem.

Po pewnym okresie pływania z dała od wyspy „Bonadventure” sterował teraz w stronę wybrzeża, kierując się w stronę Portu Balonu. Ważną rzeczą było sprawdzenie przejść między ławicami piasku i rafami, żeby móc w razie potrzeby pozakładać pławy¹, skoro niewielka zatoczka miała być portem macierzystym łodzi.

Znajdowali się już nie dalej niż pół mili od brzegu i trzeba było zręcznie halsować, by płynąć pod wiatr. „Bonadventure” posuwał się z niewielką prędkością, gdyż wiatr, częściowo powstrzymywany przez wysoki brzeg, zaledwie wypełniał żagle, a morze, gładkie jak tafla lodu, marszczyło się tylko przy nagłych podmuchach, jakie niekiedy się pojawiały.

Harbert stał na dziobie, żeby wskazywać wolną drogę w przejściach, kiedy nagle wykrzyknął:

– Wyostrz, Pencroff, wyostrz!

– Co jest? – spytał marynarz, podnosząc się. – Jakaś skała?

– Nie... czekaj... – powiedział Harbert. – Nie widzę dobrze... steruj jeszcze ostrzej do wiatru... dobrze... podpłyn bliżej...

Mówiąc to, Harbert położył się na pokładzie, zanurzył szybko rękę w wodzie, a podnosząc się, powiedział:

– Butelka!

¹ *Pława* (boja) – zakotwiczony pływający znak nawigacyjny w postaci jaskrawo pomalowanego walca, kuli lub stożka, używany do oznaczania torów wodnych i podwodnych przeszkód nawigacyjnych (mielizn, wraków).

Trzymał w dłoni zamkniętą butelkę, która dryfowała w odległości kilku kabli od brzegu.

Cyrus Smith wziął od niego butelkę. Nie mówiąc ani słowa, odkorkował ją i wyjął ze środka wilgotną kartkę, na której widniały takie oto wyrazy:

Rozbitek... wyspa Tabor. 153° O. long. – 37° 11' lat. S¹.



¹ 153° O. long. – 37° 11' lat. S – 153° długości geograficznej zachodniej (*longitude occident*), 37° 11' szerokości geograficznej południowej (*longitude south*).

Rozdział XIII

- Postanowiona podróż – Domysły – Przygotowania
– Trzej pasażerowie – Pierwsza noc – Druga noc – Wyspa
Tabor – Poszukiwania na wybrzeżu – Poszukiwania w lesie
– Nikogo – Zwierzęta – Rośliny – Chatka – Pusto

Rozbitek! – zawołał Pencroff. – Porzucony kilkaset mil stąd, na wyspie Tabor! Ach, panie Cyrusie, teraz chyba nie będzie się pan więcej sprzeciwiał mojej podróży!

– Nie, Pencroff – odparł Cyrus Smith – i wypłynie pan tak szybko, jak to będzie możliwe.

– Już jutro?

– Tak, jutro.

Inżynier trzymał w ręce papier, który wyciągnął z butelki. Przyglądał mu się uważnie przez kilka chwil, wreszcie ponownie zabrał głos:

– Moi drodzy, z tego dokumentu, a nawet z tego, w jakiej formie został sporządzony, można wysnuć wniosek, że po pierwsze rozbitek z wyspy Tabor jest człowiekiem o dość zaawansowanej wiedzy z dziedziny nawigacji, skoro podaje szerokość i długość geograficzną wyspy zgodne z tym, co sami znaleźliśmy w atlasie, z dokładnością do jednej minuty. Po drugie, jest Anglikiem lub Amerykaninem, ponieważ dokument napisany jest w języku angielskim.

– To całkiem logiczne – stwierdził Gedeon Spilett – a ponadto obecność tego rozbitka wyjaśniałaby pojawienie się skrzyni na wybrzeżu naszej wyspy. Skoro jest rozbitek, to musiało dojść do katastrofy statku. Co do tego rozbitka, to kimkolwiek on jest, miał szczęście, że Pencroff wpadł na pomysł zbudowania sta-

teczku i wypróbowania go właśnie dzisiaj, gdyż jeden dzień później, a ta butelka mogła się rozbić na rafach.

– Rzeczywiście – rzekł Harbert – to szczęśliwy zbieg okoliczności, że „Bonadventure” przepływał tędy akurat wtedy, gdy butelka jeszcze unosiła się na wodzie!

– Czy to nie wydaje się panu dziwne? – spytał Cyrus Smith Pencroffa.

– Wydaje mi się to wielce szczęśliwe, ot i wszystko – odparł marynarz. – Co pan widzi w tym nadzwyczajnego, panie Cyrusie? Butelka w końcu musiała gdzieś dopłynąć, dlaczego nie równie dobrze tutaj, jak i gdzie indziej?

– Może ma pan rację, Pencroff – odparł inżynier – a jednak...

– Czy jednak nic nie dowodzi, że butelka od dawna unosi się na falach? – zaciekawiał się Harbert.

– Nic – odparł Gedeon Spilett – a nawet sam dokument też wygląda, jakby został napisany stosunkowo niedawno. Co o tym myślisz, Cyrusie?

– To trudno sprawdzić, zresztą wkrótce się dowiemy! – odpowiedział Cyrus Smith.

W czasie tej rozmowy Pencroff nie zaniedbywał bynajmniej swoich obowiązków. Dokonał zwrotu i „Bonadventure” pod wszystkimi żaglami popłynął szybko w stronę Przylądka Pazura. Każdy rozmyślał o rozbitku z wyspy Tabor. Było to doniosłe wydarzenie w życiu kolonistów! Czy zdążą jeszcze ocalić tego człowieka? Sami kiedyś byli rozbitkami, istniała jednak obawa, że komuś innemu nie poszczęściło się tak jak im. Musieli więc ruszyć na pomoc temu nieszczęśnikowi.

Opłynięto Przylądek Pazura i „Bonadventure” około godziny czwartej po południu zakotwiczył u ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Jeszcze tego samego wieczora ustalono szczegóły nowej wyprawy. Wydawało się, że najrozsądniej będzie, żeby wzięli

w niej udział tylko Pencroff i Harbert, bo tylko oni znali się na manewrowaniu łodzią. Jeśli wyruszą nazajutrz, jedenastego października, to zdołają dotrzeć do celu trzynastego października w ciągu dnia, gdyż płynąc z obecnie panującym wiatrem, potrzebowali nie więcej niż czterdzieści osiem godzin, by pokonać odległość stu pięćdziesięciu mil. Jeden dzień na wyspie, trzy lub cztery na powrót, można więc liczyć, że siedemnastego powrócą na Wyspę Lincolna. Pogoda dopisywała, barometr szedł w górę bez większych wahań, wiatr się ustalił, wszystko więc układało się po myśli tych odważnych ludzi, których humanitarny obowiązek miał odciągnąć daleko od ich wyspy.

Ustalono zatem, że Cyrus Smith, Nab i Gedeon Spilett pozostaną w Granitowym Pałacu. Gedeon Spilett jednak, który nigdy nie zapominał o swoim zawodzie reportera „New York Herald”, zaprotestował głośno, twierdząc, że prędzej popłynie wpływ, niż zrezygnuje z takiej okazji. Pozwolono mu zatem wziąć udział w wyprawie.

Wieczór spędzili na przenoszeniu na pokład „Bonadventure” kilku kompletów pościeli, narzędzi, broni, amunicji, busoli oraz zapasów żywności na mniej więcej tydzień. Po szybkim ukończeniu załadunku koloniści wrócili do Granitowego Pałacu.

Następnego dnia o piątej rano pożegnali się – nie obeszło się przy tym bez wzruszeń z obu stron – i Pencroff, postawiwszy żagle oraz złapawszy wiatr, skierował się w stronę Przylądka Pazura, który musiał opłynąć, by następnie skierować się bezpośrednio na południowy zachód.

„Bonadventure” był już ćwierć mili od wybrzeża, gdy jego pasażerowie dostrzegli na wysokości Granitowego Pałacu dwie postacie, które machały do nich na pożegnanie. Byli to Cyrus Smith i Nab.

– Drodzy przyjaciele! – wykrzyknął Gedeon Spilett. – To nasze pierwsze rozstanie od piętnastu miesięcy!



Pasażerowie dostrzegli na wysokości Granitowego Pałacu dwie postacie, które machały do nich na pożegnanie. Byli to Cyrus Smith i Nab.

Pencroff, reporter i Harbert dali ostatni znak pożegnania i Granitowy Pałac wkrótce zniknął za wysokimi skałami przyładka.

Przez pierwszych kilka godzin „Bonadventure” niezmiennie pozostawał na wysokości południowego wybrzeża Wyspy Lincolna, która wkrótce zaczęła przypominać zielony koszyk, z którego wynurzała się Góra Franklina. Wzniesienia terenu, pomniejszone przez odległość, nadawały wyspie wygląd niezbyt zachęcający, by przyciągać statki na jej przybrzeżne wody.

Około pierwszej po południu minęli Cypel Gada w odległości dziesięciu mil od lądu. Z tej odległości już bardzo niewyraźnie rysowała się linia zachodniego wybrzeża, które ciągnęło się aż po zbocza Góry Franklina. Trzy godziny później wszystko, co stanowiło Wyspę Lincolna, zniknęło za horyzontem.

„Bonadventure” prowadził się doskonale. Z łatwością wspinał się na fale i szybko posuwał się naprzód. Pencroff wciągnął topsel¹ i płynął pod pełnymi żaglami po linii prostej w kierunku wskazywanym przez busolę. Od czasu do czasu Harbert zmieniał go przy sterze, a ręka młodzieńca była tak pewna, że marynarz nie mógł mu zarzucić żadnego zbyt ostrego manewru.

Gedeon Spilett rozmawiał raz z jednym, raz z drugim, a w razie potrzeby pomagał przy manewrach. Kapitan Pencroff był bardzo zadowolony ze swej załogi i wciąż powtarzał, że trzeba będzie ją wynagrodzić, dając „jedną kwartę wina dla wachty każdej burty”²!

¹ *Topsel* – żagiel zaliczany do żagli dodatkowych, górny żagiel przymasztowy, rozpinany pomiędzy gaflem a stengą masztu, używany raczej przy słabych wiatrach; jeżeli w skład żagli wchodził topsel, to stateczek był kutrem, a nie słupem; w jednym z wcześniejszych (pierwszych?) wydań Hetzela przy opisie ożaglowania J. Verne wymienia też inne żagle przednie charakterystyczne dla kutra, które w następnych wydaniach już się nie pojawiają.

² *Wachta* – tu: czas, w ciągu którego jedna zmiana załogi pełni służbę na statku; *wachty każdej burty* – wachtle pełni się przy obu burtach statku, stąd wachta lewej lub prawej burty.

Wieczorem rogalik księżycyca, który dopiero szesnastego miał wejść w pierwszą kwadrę¹, zarysował się na niebie i wkrótce zgasł. Noc był ciemna, lecz niebo było usiane licznymi gwiazdami, co zapowiadało piękną pogodę także na następny dzień.

Pencroff z ostrożności opuścił topsel, nie chcąc go narażać na silny podmuch wiatru, który mógłby zerwać żagiel ustawiony przy szczycie masztu. Być może była to przesadna ostrożność, wzięwszy pod uwagę tak spokojną noc, lecz Pencroff był rozważnym marynarzem i nie można było go za to ganić.

Reporter spał przez część nocy. Pencroff i Harbert zmieniali się co dwie godziny przy sterze. Marynarz ufał Harbertowi jak samemu sobie, a zaufanie to usprawiedliwiała zimna krew i rozsądek młodego chłopca. Pencroff podawał mu kursy niczym dowódca swojemu sternikowi, a Harbert nie pozwalał, by „Bonadventure” zboczył z obranej drogi.

Noc minęła spokojnie, a dzień dwunastego października upłynął w takich samych warunkach. Tego dnia utrzymywano ściśle kurs na południowy zachód i o ile tylko „Bonadventure” nie zostanie pociągnięty przez jakiś nieznany prąd morski, to powinien przybić do lądu dokładnie na wyspie Tabor.

Jeśli chodzi o wody, które łódź obecnie przemierzała, to były one zupełnie puste. Od czasu do czasu duży ptak, albatros lub fregata², mijał ich w odległości strzału i Gedeon Spilett zapytywał siebie, czy nie było wśród owych potężnych powietrznych żeglarzy tego, któremu powierzył swój ostatni artykuł skierowany do „New York Herald”. Te ptaki były jedynymi żywymi

¹ *Kwadra* – faza Księżyca (lub planety), w której oświetlona jest połowa jego tarczy.

² *Fregaty* (*Fregatidae*) – rodzina dużych ptaków z rzędu pełnopłetwych; obejmuje gatunki oceaniczne zamieszkujące Wyspę Wniebowstąpienia, Wyspę Bożego Narodzenia, wschodnią część Oceanu Indyjskiego, Galapagos, wschodni Pacyfik oraz zachodnie wybrzeża Afryki i Wyspy Zielonego Przylądka.

istotami, które wydawały się odwiedzać część oceanu rozciągającą się pomiędzy wyspą Tabor a Wyspą Lincolną.

– A przecież trwa teraz okres połowu wielorybów i statki wielorybnicze kierują się w stronę południowej części Pacyfiku – zauważył Harbert. – Doprawdy, nie sądzę, żeby istniało jakieś morze bardziej bezludne niż to!

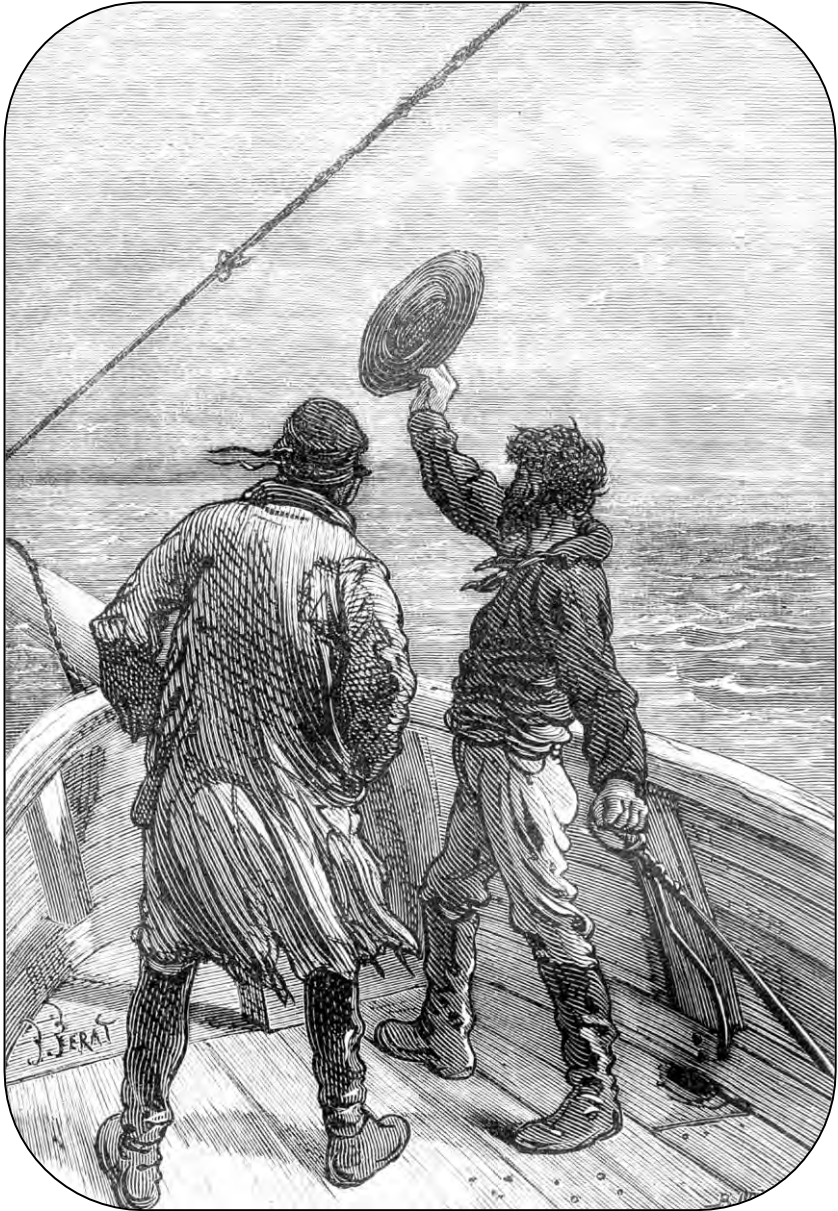
– Ależ ono wcale nie jest takie bezludne! – odpowiedział Pencroff.

– Co pan przez to rozumie? – spytał reporter.

– Przecież my tu jesteśmy! Czy nasz stateczek uważa pan za wrak, a nas za morświny? – rzekł Pencroff i zaśmiał się ze swego żartu.

Od chwili opuszczenia Wyspy Lincolną do wieczora, czyli w ciągu trzydziestu sześciu godzin, „Bonadventure” pokonał, jak szacowali, odległość stu dwudziestu mil, z czego wynikało, że osiągnęli średnią prędkość trzech i jednej trzeciej mili na godzinę. Wiał słaby wiaterek z tendencją do słabnięcia. Mimo to mieli nadzieję, że następnego dnia o świcie, o ile ich obliczenia były poprawne i jeżeli utrzymali dobry kierunek, zawrą znajomość z wyspą Tabor.

Dlatego też ani Gedeon Spilett, ani Harbert, ani Pencroff nie spali w nocy z dwunastego na trzynasty października. W oczekiwaniu na następny dzień nie mogli ukryć żywych emocji. Tyle było niepewności w tym przedsięwzięciu, na które się odważyli! Czy znajdowali się już w pobliżu wyspy Tabor? Czy rozbitek, któremu przybywali z pomocą, wciąż na niej przebywał? Kim był ten człowiek? Czy jego obecność nie spowoduje jakiegoś zamieszania w małej osadzie, do tej pory tak bardzo zjednoczonej? Poza tym czy zgodzi się na zmianę jednego więzienia na drugie? Na wszystkie te pytania mieli nadzieję znaleźć odpowiedź następnego dnia, dlatego też nie mogli usnąć i przy pierwszych braskach dnia kierowali swe spojrzenia na wszystkie punkty zachodniego horyzontu.



– Ziemia! – zawołał Pencroff około szóstej rano.

– Ziemia! – zawołał Pencroff około szóstej rano.

Ponieważ nie do pomyslenia było, żeby Pencroff się mylił, wkrótce ich oczom istotnie ukazała się ziemia.

Trudno sobie wyobrazić radość małej załogi „Bonadventure”! Za kilka godzin staną na wybrzeżu wyspy!

Niski brzeg wyspy Tabor, ledwo wynurzający się spośród fal, znajdował się w odległości nie większej niż piętnaście mil. Kurs „Bonadventure”, który był ustalony nieco na południe od wyspy, został zmieniony bezpośrednio na nią. W miarę jak słońce wznosiło się w górę na wschodzie, tu i ówdzie ukazały się wyraźniej wierzchołki gór.

– To tylko niewielka wysepka, dużo mniejsza od Wyspy Lincoln – zauważył Harbert – i prawdopodobnie, podobnie jak ona, również powstała na skutek jakiegoś podmorskiego wstrząsu.

O jedenastej przed południem „Bonadventure” znajdował się już tylko dwie mile od brzegu, i Pencroff, szukając przejścia, by się do niego dostać, płynął z największą ostrożnością po tych nieznanym wodach.

Obejmowali teraz wzrokiem całą wysepkę, na której rysowały się kępy zielonych drzew gumowych oraz kilka innych olbrzymich drzew, podobnych do tych rosnących na Wyspie Lincoln. Była jednak jedna dziwna rzecz: brakowało widoku unoszącego się dymu, który wskazywałby, że wysepka była zamieszkała przez ludzi, na całym zaś wybrzeżu nie pozostawiono żadnego znaku!

A przecież dokument był precyzyjny: miał tu być rozbitek, więc ten rozbitek powinien wyglądać pomocy!

Tymczasem „Bonadventure” zapuścił się w wąskie, dość kapryśnie wijące się przesmyki pomiędzy rafami pod czujnym okiem Pencroffa, który z natężoną uwagą śledził najmniejsze załamania tego toru wodnego. Ster przekazał Harbertowi, a sam

ustawił się na dziobie i wpatrywał się w wodę, gotów w każdej chwili ściągnąć żagiel, którego fał trzymał w dłoni. Gedeon Spilett, z lunetą przy oczach, obserwował wybrzeże, niczego jednak nie zauważył.

Wreszcie, mniej więcej około południa dziobnica „Bonadventure” dotknęła piaszczystego wybrzeża. Rzucono kotwicę, opuszczono żagle, a załoga małego stateczku zeszła na ląd.

Nie było wątpliwości co do tego, że znajdowali się na wyspie Tabor, ponieważ według najnowszych map w tej części Pacyfiku, pomiędzy Nową Zelandią i wybrzeżem amerykańskim, nie istniała żadna inna wyspa.

Łódź solidnie przycumowano, żeby odpływ nie zdołał jej unieść; następnie Pencroff i jego dwaj towarzysze, odpowiednio uzbrojeni, wspięli się po wybrzeżu, zmierzając w stronę swego rodzaju stożka, wysokiego na dwieście pięćdziesiąt do trzystu stóp, który wznosił się w odległości pół mili.

– Ze szczytu tego wzgórza – powiedział Gedeon Spilett – bez wątpienia będziemy mogli obejrzeć lepiej wyspę, co znacznie ułatwi nasze poszukiwania.

– Zrobimy zatem to samo, co pan Cyrus uczynił najpierw na Wyspie Lincolna, wspinając się na Górę Franklina – stwierdził Harbert.

– Dokładnie tak – rzekł reporter – gdyż jest to najlepszy sposób postępowania!

Cały czas rozmawiając, eksploratorzy szli skrajem łąki, która kończyła się dokładnie u podnóża stożka. Nad nimi latały stada gołębi skalnych i morskich jaskółek, podobnych do tych z Wyspy Lincolna. W pobliżu lasu ciągnącego się wzdłuż lewego krańca łąki usłyszeli szelest w krzakach i zauważyli, że trawy się poruszają, co świadczyłoby o obecności płochliwych zwierząt; wciąż jednak nic nie wskazywało na to, że wyspa jest zamieszkała.

Znalazłszy się u podnóża stożka, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett szybko wspięli się na niego i przebiegli spojrzeniami różne punkty na horyzoncie.

Faktycznie znajdowali się na wysepce niemającej więcej niż sześć mil obwodu. Jej linia brzegowa, niezbyt obfityjąca w przyładki i cypelki, której nie wydrążyły ani zatoki, ani małe zatoczki, miała formę wydłużonego owalu. Wokoło, aż po horyzont, rozciągało się całkiem puste morze. Nigdzie nie było widać żadnego lądu ani też żagla!

Wysepka, zalesiona na całej swej powierzchni, nie oferowała takiej różnorodności widoków jak Wyspa Lincoln, dzika i jałowa z jednej strony, lecz bogata i żyzna z drugiej. Tutaj nad jednolitą masą zieleni dominowały dwa lub trzy niewysokie wzgórza. W poprzek owalu wyspy płynął przez szeroką łąkę strumyk, który wąskim ujściem wpadał do morza od strony zachodniej.

– Niewielka to posiadłość – stwierdził Harbert.

– Istotnie – zgodził się Pencroff – i dla nas mogłaby się okazać zbyt mała!

– Co więcej – dodał reporter – wydaje się niezamieszкана.

– Istotnie, nic tu nie wskazuje na obecność człowieka – powiedział Harbert.

– Zejdźmy – rzekł Pencroff – i poszukajmy.

Marynarz i jego dwa towarzysze wrócili na wybrzeże, do miejsca, gdzie zostawili „Bonadventure”. Postanowili obejść wyspę dookoła na piechotę, zanim następnie ruszą w głąb lądu w taki sposób, żeby nie ominąć podczas swoich poszukiwań żadnego skrawka ziemi.

Posuwanie się wybrzeżem nie nastęczało żadnych trudności, tylko w kilku miejscach przecinały je większe skały, które łatwo dało się omijać. Badacze zeszli na południe, zmuszając do ucieczki liczne gromady ptaków wodnych i stada fok, które widząc ich z daleka, uciekały do wody.

– Te zwierzęta nie po raz pierwszy widzą ludzi – zwrócił uwagę reporter. – Boją się, więc ich znają.

Godzinę później wszyscy trzej dotarli na południowy kraniec wysepki zakończony ostrym przylądkiem i ruszyli ku północy, idąc wzdłuż zachodniego, piaszczystego wybrzeża, również usianego piaskiem i skałami, które obramowywał gęsty las.

Nigdzie nie natrafili na ślad jakiegokolwiek domostwa ani też nie natknęli się na odcisk ludzkiej stopy na całym obwodzie wyspy, którą okrążyli w ciągu czterech godzin.

Było to co najmniej bardzo niezwykle, i trzeba było uwierzyć, że wyspa Tabor już nie jest lub nigdy nie była zamieszкана. Może zresztą dokument pochodził sprzed kilku miesięcy czy też nawet lat, a w takim przypadku albo rozbitek powrócił do swego kraju, albo też zmarł z nędzy i wyczerpania.

Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert, tworząc mniej lub bardziej prawdopodobne hipotezy, szybko zjedli obiad na pokładzie „Bonadventure”, by móc dalej prowadzić poszukiwania i kontynuować je aż do nocy.

Dopiero o piątej po południu zapuścili się w las. Na ich widok uciekały liczne zwierzęta, i były to głównie, a można by powiedzieć, że jedynie, kozy i świnie, które, jak łatwo było zauważyć, należały do gatunków żyjących w Europie. Zapewne jakiś statek wielorybiczny musiał kiedyś przybić do brzegu wyspy i pozostawić kilka tych zwierząt, które następnie szybko się tu rozmnożyły. Harbert obiecywał sobie, że zabierze kilka żywych par i przywiezie na Wyspę Lincolną.

Nie było już zatem wątpliwości, że jacyś ludzie musieli kiedyś odwiedzić tę wysepkę. Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, kiedy idąc przez las, natrafili na wytyczone ścieżki, ścięte siekierą pnie drzew i inne oznaki ludzkiej działalności. Te mur szejące już drzewa musiały być powalone wiele lat wcześniej,

bo miejsca po cięciach siekiery porośnięte były mchem, a na ścieżkach panoszyły się wysokie trawy, tak że trudno było je dostrzec.

– To dowodzi – zauważył Gedeon Spilett – nie tylko tego, że na wyspie wylądowali ludzie, lecz także, że przez jakiś czas tu mieszkali. Nasuwają się kolejne pytania. Kim zatem byli? Ilu ich było? Ilu ich tu zostało?

– W dokumencie jest mowa tylko o jednym rozbitku – rzekł Harbert.

– A zatem, jeśli wciąż znajduje się na wyspie – powiedział Pencroff – to niemożliwe, byśmy go nie znaleźli!

Kontynuowano więc badania. Marynarz i jego towarzysze ruszyli naturalną drogą przecinającą wysepkę po skosie i w ten sposób dotarli nad brzeg strumienia spływającego w stronę morza.

Nie tylko zwierzęta europejskiego pochodzenia i pewne ślady pracy ludzkich rąk świadczyły o tym, że człowiek zawitał kiedyś na tę ziemię, ale także potwierdzało to wiele okazów królestwa roślin. W niektórych miejscach na polankach widać było, że prawdopodobnie dość dawno posadzono tutaj warzywa.

Jakaż wielka była radość Harberta, gdy rozpoznał ziemniaki, cykorię, szczaw, marchewkę, kapustę i rzepę; wystarczyło jedynie zebrać ich nasiona, by wzbogacić nimi uprawy na Wyspie Lincoln!

– Wspaniale! Pięknie! – zawołał Pencroff. – To szczęśliwe znalezisko dla Naba i dla nas samych. Jeśli nie znajdziemy rozbitka, to przynajmniej nasza podróż nie będzie bezowocna. Bóg nas w ten sposób wynagrodził!

– Bez wątplenia – zgodził się Gedeon Spilett. – Widząc jednak stan, w jakim znajdują się te uprawy, można się obawiać, że wysepka już od dawna nie jest zamieszкана.

– Rzeczywiście – dodał Harbert. – Jej mieszkańiec, kimkolwiek był, nie zaniedbałby uprawy tak cennych warzyw!



– Chatka!

Natychmiast wszyscy trzej skierowali się ku wskazanej chatce.

– Tak! – rzekł Pencroff. – Rozbitek musiał już odpłynąć...!
Tak należy przypuszczać...

– Czy zatem należy przyjąć, że dokument został napisany dawno temu...?

– Oczywiście.

– I że ta butelka dotarła do Wyspy Lincoln po długim pływaniu w morzu?

– Dlaczego nie? – odparł Pencroff. – Lecz nadchodzi noc i myślę, że powinniśmy przerwać nasze poszukiwania.

– Wracajmy na pokład, a jutro zaczniemy od nowa – powiedział reporter.

Była to mądra rada i zamierzali się właśnie do niej zastosować, gdy Harbert, wskazując na niewyraźne kształty rysujące się wśród drzew, zawołał:

– Chatka!

Natychmiast wszyscy trzej skierowali się ku wskazanej chatce. W gęstniejącym mroku dostrzegli jeszcze, że chata była zbudowana z desek pokrytych grubym smołowanym płótnem.

Pencroff pchnął na wół przymknięte drzwi i szybkim krokiem wszedł do środka...

Chatka była pusta!



Rozdział XIV

Spis inwentarza – Noc – Kilka liter – Dalsze poszukiwania
– Rośliny i zwierzęta – Harbert narażony na wielkie
niebezpieczeństwo – Na pokładzie – Odpłynięcie – Zła pogoda
– Przebłysek świadomości – Zagubieni na morzu – Ogień
rozpalony w samą porę

Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett stali przez chwilę bez słowa wśród ciemności.

Pencroff zawołał donośnie.

Nie uzyskał żadnej odpowiedzi.

Marynarz skrzesał ogień i zapalił gałązkę. Światło na ułamek sekundy oświetliło niewielkie pomieszczenie, które sprawiało wrażenie całkowicie opuszczonego. W głębi znajdowało się prymitywne palenisko z zimnym już popiołem i wiązką suchego drewna. Pencroff wrzucił tam zapaloną gałązkę, drewno się zajęło i światło zalało pomieszczenie.

Marynarz i jego dwaj towarzysze dostrzegli wtedy niepościelone posłanie, którego wilgotne i pożółkłe koce dowodziły, że od dawna nie były używane; w kącie paleniska znajdowały się dwa pokryte rdzą czajniki i przewrócony kociołek; w szafie kilka na wpół zbutwiałych marynarskich ubrań; na stole cynowe nakrycie i nadgryziona przez wilgoć Biblia; w kącie nieco narzędzi: łopata, oskard, kilof, dwie fuzje myśliwskie, z których jedna była złamana; na desce pełniącej funkcję półki stała nieknięta beczułka prochu, baryłka ołowiu i parę pudełek spłonek; wszystko to pokryte było grubą warstwą kurzu, nagromadzoną najpewniej przez lata.

– Tu nikogo nie ma – rzekł reporter.

– Nikogo! – przyznał Pencroff.

– W tej izbie od dawna nikt nie mieszkał – zauważył Harbert.

– Tak, od bardzo dawna! – przytaknął reporter.

– Panie Spilett – odezwał się wtedy Pencroff – myślę, że zamiast wracać na pokład, lepiej spędzić noc w tej chacie.

– Ma pan rację, Pencroff – zgodził się Gedeon Spilett – a jeśli powróci jej właściciel, no cóż! Może nie będzie miał nam za złe tej wizyty!

– On nie wróci! – rzekł marynarz, kręcąc głową.

– Sądzi pan, że opuścił wyspę? – spytał reporter.

– Gdyby opuścił wyspę, zabrałby z sobą broń i narzędzia – odparł Pencroff. – Wie pan, jakie znaczenie przywiązują robotkowie do przedmiotów, które są ostatnimi pozostałościami z katastrofy. Nie, nie! – powtarzał marynarz z przekonaniem. – Nie! Nie opuścił wyspy! Gdyby odpłynął łódką własnej roboty, tym bardziej nie porzuciłby tych przedmiotów pierwszej potrzeby. Nie, on wciąż jest na wyspie!

– Żywy...? – zapytał Harbert.

– Żywy lub martwy. Ale jeśli nie żyje, nie mógł się sam pogrzebać, jak podejrzewam, i przynajmniej odnajdziemy jego szczątki! – odparł Pencroff.

Zostało więc postanowione, że noc spędzą w porzuconej chatce, w której zapas drewna, jaki znajdował się w jednym z kątów, wystarczył, żeby odpowiednio ją ogrzać. Zamknawszy drzwi, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett usiedli na ławie i tak dotrwali do rana, więcej rozmyślając, niż rozmawiając. Będąc w takim stanie ducha, byli skłonni we wszystko uwierzyć i wszystkiego się spodziewać, nasłuchiwali więc wszelkich odgłosów dochodzących z zewnątrz. Gdyby nagle otworzyły się drzwi i pojawił się w nich mężczyzna, wcale nie byłiby zaskoczeni, chociaż jego chatka wyglądała na opuszczoną. Gotowi byli uścisnąć dłonie

tego człowieka, tego rozbitka, tego nieznanego przyjaciela, na którego czekali jak przyjaciele!

Ale nie było słyhać żadnych odgłosów, drzwi się nie otworzyły i tak mijały godziny.

Jakże długa wydawała się ta noc marynarzowi i jego dwom towarzyszom! Jedyne Harbert zdołał się przespać dwie godziny, ponieważ w jego wieku organizm potrzebuje snu. Spieszno im było wznowić przerwane poprzedniego dnia poszukiwania i spenetrować tę wysepkę aż po najtajniejsze zakamarki! Wnioski, jakie wysnuł Pencroff, były jak najbardziej słuszne, i było rzeczą niemal pewną, że skoro chatka wyglądała na opuszczoną, a narzędzia przybory i broń wciąż się w niej znajdowały, jej gospodarz musiał zginąć. Należało więc odszukać jego szczątki i przynajmniej po chrześcijańsku je pochować.

Wreszcie wstał dzień. Pencroff i jego towarzysze natychmiast przystąpili do oględzin chatki.

Doprawdy, została ona zbudowana w bardzo korzystnym miejscu, naprzeciw niewielkiego wzgórza osłoniętego przez pięć czy sześć wspaniałych drzew gumowych. Przed wejściem ktoś wyrąbał siekierą drzewa, tworząc rozległą polankę, z której rozciągał się widok na morze. Otoczona rozpadającym się ogrodzeniem łączka prowadziła na wybrzeże, gdzie po lewej stronie znajdowało się ujście strumyka.

Chatka została zbudowana z desek pochodzących z kadłuba i pokładu statku, co łatwo dało się zauważyć. Najprawdopodobniej więc jakiś uszkodzony statek został wyrzucony na brzeg wyspy i przynajmniej jeden członek załogi ocalał. Ze szczątków statku i przy użyciu narzędzi mężczyzna ten zbudował sobie domek.

Stało się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy Gedeon Spilett, obchodząc wokół domostwo, ujrzał na desce – prawdopodob-

nie jednej z tych, które tworzyły kiedyś pawęż¹ rozbitego statku – litery tworzące na wpół zatarty napis:

BR TAN A

– „Britannia!” – wykrzyknął Pencroff, którego reporter od razu przywołał. – To często używana nazwa statków i nie umiałbym powiedzieć, czy ten statek był angielski, czy amerykański!

– To bez znaczenia, Pencroff!

– Faktycznie, bez znaczenia – odparł marynarz – a jeśli jakiś członek załogi tego statku jeszcze żyje, uratujemy go, niezależnie od tego, jakiej jest narodowości! Zanim jednak wznowimy poszukiwania, wróćmy najpierw na pokład „Bonadventure”!

Pencroffem targały jakieś złe przecucia tyżące się łodzi. Gdyby wyspa istotnie była zamieszкана i ktoś z jej mieszkańców zawładnął ich stateczkiem... Marynarz wzruszył jednak ramionami na tak nieprawdopodobne przypuszczenie.

Niemniej jednak wolał pójść do łodzi i zjeść śniadanie na jej pokładzie. Droga, zresztą wytyczona na całej długości, nie była długa – mieli do przejścia zaledwie jedną milę. Ruszyli więc, przeczesując spojrzeniami las i krzewy, pośród których biegały setki kóz i świń.

Dwadzieścia minut po opuszczeniu chatki Pencroff i jego towarzysze znowu ujrzeli wschodnie wybrzeże wysepki i „Bonadventure” przytrzymywanego przez kotwicę, głęboko wbitą w piasek.

Pencroff nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi. W końcu ta łódź to było jego dziecko, a prawem ojca jest niepokoić się czasami bardziej, niż nakazywałby rozum.

¹ *Pawęż* (lustro) – jeden ze sposobów zakończenia rufy statku w części nadwodnej; stanowi płaszczyznę prostopadłą, lub lekko pochyłą do powierzchni wody.

Weszli na pokład, zjedli śniadanie na tyle obfite, żeby obiad mógł być przełożony na późniejszą porę. Skończywszy posiłek, znowu wyruszyli na poszukiwania i prowadzili je z największą skrupulatnością.

W sumie było bardzo prawdopodobne, że jedyny mieszkaniec wysypki już nie żyje. Tak więc Pencroff i jego towarzysze wypatrywali raczej zwłok niż żywego człowieka! Ich poszukiwania nie przyniosły jednak żadnych rezultatów; przez pół dnia daremnie przetrząsali leśną gęstwinę pokrywającą wysypkę. Trzeba było zatem przyjąć, że jeśli rozbitek umarł, nie pozostały po nim żadne szczątki, gdyż zapewne jakiś drapieżnik musiał go pożreć aż do ostatniej kosteczki.

– Opuścimy wyspę jutro z samego rana – zapowiedział Pencroff obu swoim towarzyszom, kiedy około drugiej po południu położyli się w cieniu sosen, żeby przez chwilę odpocząć.

– Myślę, że możemy też bez skrupułów zabrać narzędzia, które kiedyś należały do rozbitka – dodał Harbert.

– Też tak uważam – odparł Gedeon Spilett – a jego broń i te narzędzia uzupełnią wyposażenie Granitowego Pałacu. O ile się nie mylę, zapas prochu i ołowiu jest całkiem spory.

– To prawda – potwierdził Pencroff. – Nie zapomnijmy też złapać kilku par tych świń, których brakuje na Wyspie Lincoln...

– Ani zebrać nasion – dodał Harbert – które dadzą nam wszystkie warzywa Starego i Nowego Świata.

– Może byłoby lepiej pozostać jeszcze przez jakiś dzień na wyspie Tabor, żeby zebrać to wszystko, co może się nam przydać – rzekł wówczas reporter.

– Nie, panie Spilett – odpowiedział Pencroff – i proszę, byśmy odpłynęli jutro o wschodzie słońca. Wydaje mi się, że wiatr zaczyna się zmieniać na zachodni. Mieliśmy korzystny wiatr, by tu przyplłynąć, i będziemy mieli dobry, by stąd odpłynąć.

– Nie traćmy więc czasu! – powiedział Harbert, podnosząc się.

– Nie traćmy czasu – poparł go Pencroff. – Ty, Harbercie, zajmij się zbieraniem nasion, na których znasz się lepiej od nas. W tym czasie ja i pan Spilett urządzimy polowanie na świnie. Mam nadzieję, że nawet bez pomocy Topa uda nam się kilka złapać!

Harbert ruszył prosto ścieżką, która powinna go była zaprowadzić do uprawianej części wysepki, podczas gdy marynarz i reporter weszli od razu do lasu.

Uciekały przed nimi liczne okazy świń, a te zwierzęta, wyjątkowo zwinne, nie wykazały żadnego upodobania do tego, by dać się złapać. Jednak po półgodzinnym pościgu myśliwym udało się złapać parkę, która miała swoje legowisko w gęstych zaroślach, gdy wtem z odległości kilkuset kroków, z północnej strony wysepki doleciały jakieś krzyki. Krzyki te mieszały się z okropnym rykiem, który nie miał w sobie nic ludzkiego.

Pencroff i Gedeon Spilett zerwali się, a świnie skorzystały z okazji i uciekły w chwili, gdy marynarz szykował już sznury, by je związać.

– To głos Harberta! – stwierdził reporter.

– Biegnijmy! – krzyknął Pencroff.

Natychmiast też marynarz i Gedeon Spilett pobiegli ile sił w nogach w stronę, skąd dochodziły krzyki.

Dobrze zrobili, spiesząc się, ponieważ za zakrętem ścieżki, w pobliżu polanki, dostrzegli młodego chłopca powalonego na ziemię przez jakieś dzikie stworzenie, zapewne olbrzymią małpę, mającą wobec niego złe zamiary.

Rzucić się na potwora, potem go powalić, oswobodzić Harberta i mocno przytrzymać napastnika, to dla Pencroffa i Gedeona Spiletta było sprawą jednej chwili. Marynarz posiadał istic herkulesową siłę, reporter również był bardzo krzepki, więc mi-

mo oporu bestii, została ona tak porządnie związana, że nie mogła wykonać żadnego ruchu.

– Nic ci nie jest, Harbercie? – spytał Gedeon Spilett.

– Nie! Nie!

– Och, gdyby cię ta małpa zraniła...! – zawołał Pencroff.

– Ależ to nie jest małpa! – odparł Harbert.

Po tych słowach Pencroff i Gedeon Spilett przyjrzeni się osobliwemu stworzeniu, które leżało na ziemi.

Rzeczywiście to wcale nie była małpa! To była ludzka istota, to był człowiek! Ale jaki człowiek! Dzikus w najgorszym tego słowa znaczeniu, tym bardziej przerażający, że jak się wydawało, upadł na ostatni stopień zezwierzęcenia!

Zmierzwione włosy, broda opadająca w nieładzie aż na pierś, niemal nagie ciało, z wyjątkiem jakiegoś łachmana okrywającego mu biodra, dziki wzrok, olbrzymie łapy o niewiarygodnie długich pazurach, skóra ciemna jak mahoń, stwardniałe stopy, jakby zrobione z rogu – tak wyglądała ta nieszczęśliwa istota, którą mimo wszystko trzeba było nazwać człowiekiem! Doprawdy, nie od rzeczy byłoby pytanie, czy w tym ciele kołatała się jeszcze dusza, czy też pozostał w nim tylko instynkt zwierzęcia!

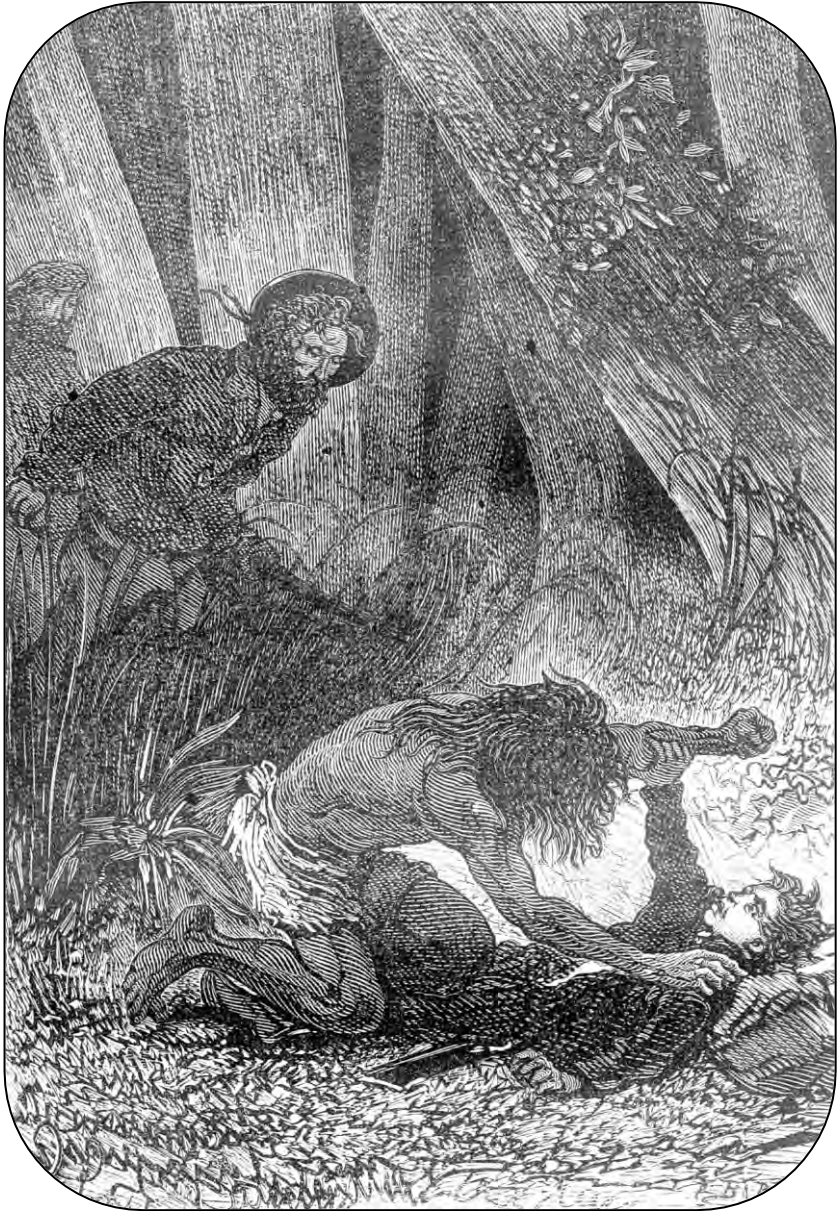
– Jest pan pewny, że to jest człowiek albo że nim kiedyś był? – spytał Pencroff reportera.

– Niestety! Nie mam co do tego żadnych wątpliwości! – odrzekł Spilett.

– Byłby to więc nasz rozbitek? – zapytał Harbert.

– Tak – odparł Gedeon Spilett – ale nieszczęśnik nie ma w sobie już nic z człowieka!

Reporter mówił prawdę. Nie było wątpliwości, że o ile niegdyś rozbitek był istotą cywilizowaną, o tyle osamotnienie uczyniło zeń dzikusa, a może nawet gorzej – leśnego człowieka.



Dostrzegli młodego chłopca powalonego na ziemię przez jakieś
dzikie stworzenie, zapewne olbrzymią małpę, mającą wobec niego złe zamiary.

Z jego gardła wydobywały się chrapliwe dźwięki, a zęby wyostrzyły się niczym zęby drapieżników przyzwyczajonych do rozrywania surowego mięsa. Bez wątpienia już dawno musiała go opuścić pamięć, od dawna też nie umiał się już posługiwać narzędziami i bronią ani rozpalać ognia! Widać było, że jest zwinny, gibki, lecz najwyraźniej wszystkie te fizyczne zalety rozwinęły się u niego kosztem zdolności umysłowych!

Gedeon Spilett przemówił do niego. Wydawał się niczego nie rozumieć ani nawet nie słyszeć... Mimo to reporterowi, gdy popatrzył mu się głęboko w oczy, wydało się, że nie cały rozum w nim wygasł.

Tymczasem więzień się nie szamotał i wcale nie próbował zerwać więzów. Czyżby obezwładniała go obecność tych ludzi, bliźnich? Czy w jakimś zakamarku jego umysłu pojawiło się może przelotne wspomnienie łączące go z ludzkością? Czy gdyby go uwolnić, próbowałby uciec, czy zostałby na miejscu? Trudno było to stwierdzić, a woleli nie ryzykować. Przyjrzawszy się nieszczęśnikowi uważnie, Gedeon Spilett powiedział:

– Kimkolwiek jest, kimkolwiek był i kimkolwiek może się stać, naszym obowiązkiem jest zabrać go na Wyspę Lincolna!

– Tak! Tak! – zgodził się Harbert. – Może przy troskliwej opiece uda nam się rozbudzić w nim promyk inteligencji!

– Dusza nie umiera – rzekł reporter – a wyrwanie tej bożej istoty ze stanu zdziczenia byłoby prawdziwym powodem do dumy!

Pencroff pokiwał głową z miną wyrażającą powątpiewanie.

– W każdym razie trzeba spróbować – stwierdził reporter. – Tak nam nakazuje humanitarność.

Faktycznie był to obowiązek ludzi cywilizowanych i chrześcijan. Wszyscy trzej to zrozumieli i wiedzieli też, że Cyrus Smith poprze taki sposób postępowania.

– Zostawimy go związanego? – spytał marynarz.

– Może szedłby sam, gdybyśmy uwolnili mu nogi? – rzekł Harbert.

– Spróbujmy – zgodził się Pencroff.

Sznury krępujące nogi więźnia zostały poluzowane, lecz ramiona pozostawiono mocno związane. Mężczyzna sam wstał i nie okazywał wcale chęci ucieczki. Wbił ostre spojrzenie w trzech ludzi idących przy nim, lecz nic nie wskazywało na to, żeby sobie przypominał, że jest, a przynajmniej kiedyś był, ich bliźnim. Spomiędzy jego warg wydobywał się przeciągły gwizd, wygląd miał dziki, lecz nie próbował stawiać oporu.

Za radą reportera zaprowadzono nieszczęśnika do jego domostwa. Może widok należących do niego przedmiotów wywrze na nim jakieś wrażenie? Może wystarczy iskierka, by ożywić zamroczone myśli i ponownie rozpaść wygasłą duszę?

Do chatki nie było daleko, więc po kilku minutach do niej dotarli, lecz tam więzień niczego nie rozpoznał i wydawało się, że stracił wszelką świadomość wszystkich tych rzeczy!

Cóż można było wnioskować z tego całkowitego otępienia, w które popadł biedaczyna, jeśli nie to, że jego uwięzienie na wyspie musiało trwać już od bardzo dawna i że przybywszy tu w pełni władz umysłowych, zupełnie zdziaczał wskutek osamotnienia?

Reporter wpadł wówczas na pomysł, że może widok ognia wywoła pożądany efekt i już po chwili na palenisku pojawiły się wspaniałe płomień, które przyciągnęłyby nawet zwierzęta.

Widok płomieni z początku wydawał się zwracać uwagę nieszczęśnika, ale po chwili cofnął się, a jego nieprzytomny wzrok przygasł.

Stało się oczywiste, że przynajmniej na razie nie było innej rady jak zaprowadzić go na pokład „Bonadventure”, co też uczyniono. Tam pozostawiono dzikusa pod strażą Pencroffa.

Tymczasem Harbert i Gedeon Spilett powrócili na wyspę, by zakończyć swoje zadania i po kilku godzinach wrócili na wybrzeże, niosąc narzędzia i broń, zbiór nasion warzyw, kilka sztuk upolowanej zwierzyny i dwie pary świń. Wszystko załadowano na łódź i „Bonadventure” był gotów do podniesienia kotwicy, gdy tylko następnego dnia da się odczuć poranny przypływ.

Więźnia umieszczono w pierwszej kajucie, gdzie siedział spokojny, milczący, zarazem głuchy i niemy.

Pencroff podał mu jedzenie, lecz ten odepchnął pieczone mięso, które zapewne już mu nie odpowiadało. Istotnie, gdy marynarz pokazał mu jedną ze świeżo upolowanych przez Harberta kaczek, dzikus rzucił się na nią ze zwierzęcą chciwością i ją pożarł.

– Sądzi pan, że to się zmieni? – spytał Pencroff, kręcąc głową.

– Być może – odparł reporter. – Nie jest wykluczone, że nasza opieka da w końcu jakieś rezultaty, gdyż skończyło się już przecież odosobnienie, które uczyniło go takim, jakim się stał, a teraz już nie będzie sam!

– Biedak już pewnie od dawna znajduje się w takim stanie! – powiedział Harbert.

– Możliwe – zgodził się Gedeon Spilett.

– Ile może mieć lat? – zapytał chłopiec.

– Trudno powiedzieć – odparł reporter – ponieważ nie widać rysów pod gęstą brodą, która zakrywa mu twarz, ale nie jest już młody i przypuszczam, że może mieć ponad pięćdziesiąt lat.

– Zauważył pan, panie Spilett, jak głęboko pod łukami brwiowymi osadzone są jego oczy? – spytał chłopak.

– Tak, Harbercie, choć muszę powiedzieć, że są one bardziej ludzkie, niżby można sądzić po jego wyglądzie.

– No cóż, zobaczymy – powiedział Pencroff. – Ciekaw jestem, co powie pan Smith na widok naszego dzikusa. Wyłynęliśmy

na poszukiwanie istoty ludzkiej, a przywozimy potwora! Cóż, zrobiliśmy, co się dało!

Minęła noc i choć nikt nie wiedział, czy więzień spał, czy też nie, to w każdym razie, chociaż był rozwiązany, nie poruszył się. Był jak dzikie zwierzę, które w pierwszych chwilach niewoli popada w apatię i dopiero później ogarnia je wściekłość.

Następnego dnia, piętnastego października o świcie, nastąpiła zapowiadana przez Pencroffa zmiana pogody. Zaczęło wiać z północnego zachodu¹, co znacznie ułatwiało powrót „Bonadventure” na Wyspę Lincolna, ale jednocześnie wiatr się wzmacniał i musiał czynić nawigację trudniejszą.

O piątej rano podniesiono kotwicę. Pencroff postawił zrefowany na jeden ref² grotżagiel i obrał kurs wschodnio-północno-wschodni, żeby w ten sposób płynąć prosto ku Wyspie Lincolna.

Pierwszy dzień żeglugi nie zapisał się żadnym szczególnym wydarzeniem. Więzień siedział spokojnie w swojej kajucie na dziobie, a ponieważ musiał niegdyś być marynarzem, wydawało się, że kołysanie morza miało na niego zbawienny wpływ. Może powracało mu wspomnienie jego dawnego zawodu? W każdym razie siedział spokojnie, bardziej zdziwiony niż przybity.

Nazajutrz, szesnastego października, wiatr jeszcze bardziej się wzmógł, a dodatkowo zaczął wiać bardziej od północy, a zatem z kierunku mniej pomyślnego dla kursu „Bonadventure”,

¹ Najbardziej korzystnym byłby wiatr wiejący z południowego zachodu lub z zachodu.

² Przy silnych wiatrach redukuje się powierzchnię żagla (refuje) w celu zmniejszenia siły działającej na żagiel, składając żagiel na bomie i przywiązując go do niego refsejzingami – krótkimi linkami wszytymi w żagiel, rozmieszczonymi równomiernie na całej jego wysokości; w tym wypadku postawiony żagiel miał najmniejszą powierzchnię, gdyż był przywiązany do bomu najwyższej położonymi refsejzingami.

który zaczął podskakiwać na falach. Pencroff zmuszony był wkrótce wyostrzyć do wiatru i chociaż nic nie mówił, coraz bardziej niepokoił się stanem morza, którego wody rozbijały się o dziób jego łodzi. Jeśli wiatr się nie zmieni, to bez wątpienia dotarcie do Wyspy Lincolna zajmie im więcej czasu niż podróż na wyspę Tabor.

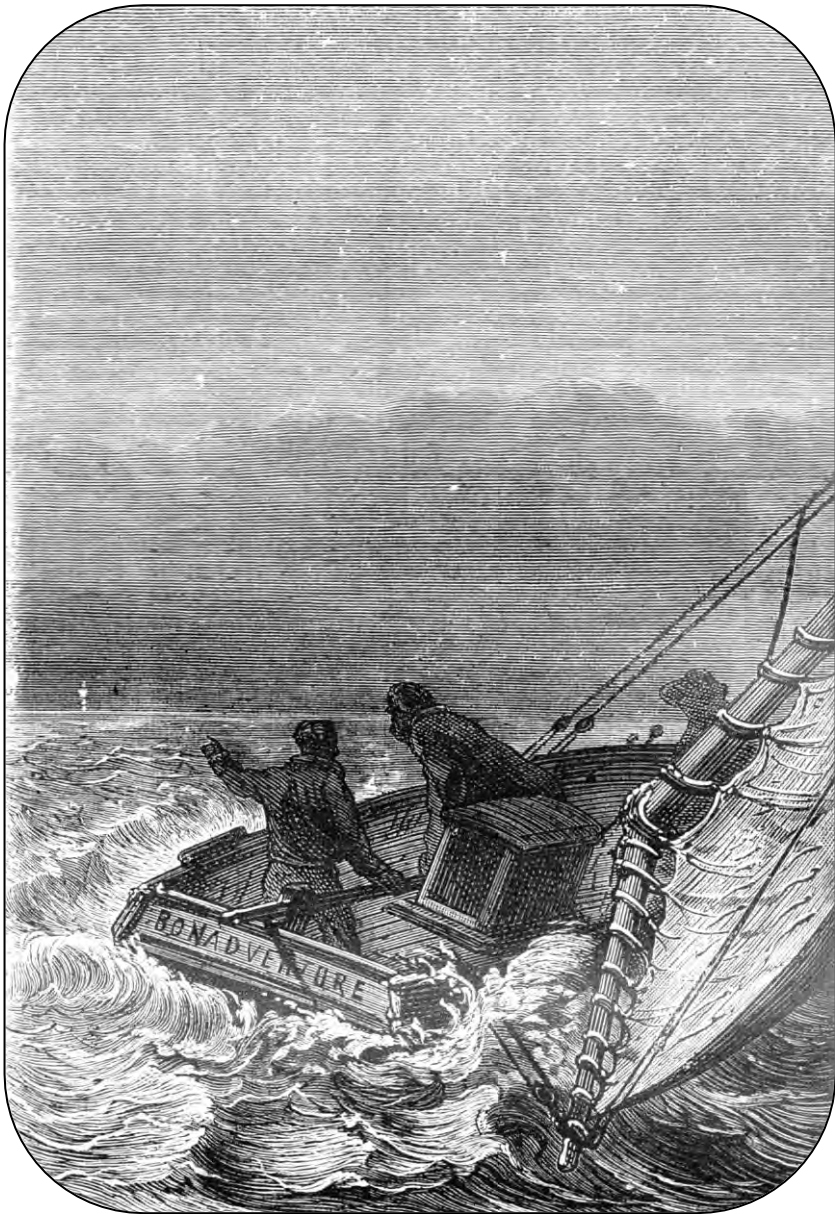
Istotnie, siedemnastego października nad ranem minęło czterdzieści osiem godzin, odkąd „Bonadventure” wypłynął w rejs, i nic nie wskazywało na to, by znajdował się w pobliżu Wyspy Lincolna. Poza tym nie było możliwe oszacowanie pokonanej drogi choćby w dużym przybliżeniu, ponieważ kurs i prędkość często ulegały zmianie.

Dobę później na horyzoncie nie ukazała się żadna ziemia. Wiał teraz przeciwny wiatr, a morze było bardzo wzburzone. Trzeba było ustawicznie i szybko manewrować żaglami łodzi zalewanej falami, refować je i dokonywać częstych zwrotów, płynąc krótkimi zakosami. Zdarzyło się nawet, że osiemnastego października na „Bonadventure” zwała się wielka fala i całkowicie go zakryła. Gdyby członkowie załogi nie podjęli wcześniej środków ostrożności, przywiązując się do pokładu, niechybnie zostaliby porwani przez morze.

Przy tej okazji Pencroffowi i jego towarzyszom, zajęтым wypłatywaniem się z lin, nieoczekiwanie przyszedł z pomocą więzień, który wydostał się przez luk, jak gdyby instynkt żeglarza wziął nad nim górę, i silnym uderzeniem drzewca rozwalił nadburcie¹, by prędzej pozbyć się wody która zalała pokład. Następnie, gdy łódka została uwolniona, bez słowa wrócił do swojej kajuty.

Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert całkowicie osłupiali, pozwolili mu działać.

¹ *Nadburcie* – wystająca ponad pokład część burty, chroniąca ludzi i przedmioty przed wypadnięciem.



– Ogień! Ogień! – zawołał.

Tymczasem sytuacja wciąż była zła i marynarz miał wszelkie podstawy, by uważać, że zgubili się na tym olbrzymim morzu, bez żadnych możliwości odnalezienia właściwej drogi!

Noc z osiemnastego na dziewiętnasty października była ciemna i zimna. Jednak około jedenastej wiatr ucichł, fale stały się mniejsze, a „Bonadventure”, już mniej szarpany, zwiększył prędkość. Zresztą trzeba przyznać, że doskonale trzymał się na morzu!

Ani Pencroff, ani Gedeon Spilett, ani Harbert nie myśleli nawet o chwilowej drzemce. Czuwali z najwyższą uwagą, gdyż albo Wyspa Lincoln nie mogła znajdować się daleko, a wtedy ujrzą ją z nastaniem dnia, albo też mogło się okazać, że „Bonadventure”, uniesiony przez prądy i wiatry, mocno zboczył z drogi, i niemal niemożliwością było obranie dobrego kursu.

Pencroff, w najwyższym stopniu zaniepokojony, mimo to nie tracił nadziei, cechował go bowiem niezwykle hart ducha. Siedział u steru, próbując przebić wzrokiem otaczające go ciemności.

Około drugiej w nocy nagle zerwał się na równe nogi.

– Ogień! Ogień! – zawołał.

Rzeczywiście, jakieś dwadzieścia mil na północnym wschodzie widać było jaskrawy blask. Tam była Wyspa Lincoln, a ogień, oczywiście rozpalony przez Cyrusa Smitha, wskazywał im właściwą drogę.

Pencroff, który żeglował za bardzo na północ, skorygował kierunek i obrał kurs prosto na ogień, błyszczący nad horyzontem niczym gwiazda pierwszej wielkości.



Rozdział XV

Powrót – Dyskusja – Cyrus Smith i nieznajomy – Port Balonu
– Poświęcenie inżyniera – Wzruszające doświadczenie
– Kilka toczących się łez!

Następnego dnia, dwudziestego października o siódmej rano, po czterech dniach¹ podróży „Bonadventure” łagodnie dobił do brzegu u ujścia Rzeki Dziękczynienia.

Cyrus Smith i Nab, bardzo zaniepokojeni złą pogodą i przedłużającą się nieobecnością towarzyszy, już o świcie znaleźli się na Płaskowyżu Rozległego Widoku, skąd wreszcie dostrzegli łódź, której powrót tak bardzo się opóźnił!

– Chwała Bogu! Oto oni! – zawołał Cyrus Smith.

Jeśli chodzi o Naba, to zaczął tańczyć, kręcić się w kółko, klaszcząc w dłonie i krzycząc: „Och, mój panie!”. Ta pantomima była bardziej wymowna niż najpiękniejsza przemowa!

Pierwsza myśl inżyniera, kiedy policzył osoby, które dostrzegł na pokładzie „Bonadventure”, była taka, że Pencroff na wyspie Tabor nie odnalazł rozbitka, lub też, że ów nieszczęśnik odmówił opuszczenia wyspy, nie chcąc zamieniać obecnego więzienia na inne.

Istotnie, Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert byli sami na pokładzie „Bonadventure”.

¹ Z Wyspy Lincolna łódź wyruszyła 11 października rano, a powróciła na nią właściwie 20 października rano, a więc cała podróż trwała dziewięć dni, a może nawet dziesięć, jeżeli przyjąć, że zdarzenie z wielką falą miało miejsce nie 18, a 19 października (tak też można odczytać tekst); w takim przypadku łódź przybiła do Wyspy Lincolna 21 października.

W chwili cumowania łodzi inżynier oraz Nab już czekali na brzegu i zanim pasażerowie zeskoczyli na piasek, Cyrus Smith powiedział:

– Bardzo niepokoił się waszym opóźnieniem, moi przyjaciele! Czy przydarzyło wam się coś złego?

– Nie – odpowiedział Gedeon Spilett – wręcz przeciwnie, wszystko poszło cudownie. Zaraz wam o tym opowiemy.

– Jednak wasze poszukiwania spełzły na niczym – mówił dalej inżynier – skoro jest was tylko trzech, jak w chwili rozpoczęcia podróży.

– Proszę wybaczyć, panie Cyrusie – odparł marynarz – ale jest nas czterech!

– Odnaleźliście rozbitka?

– Tak.

– Przywieźliście go z sobą?

– Tak.

– Żywego?

– Tak.

– Gdzie jest? Kim on jest?

– To jest, a raczej to był człowiek! – odparł reporter. – To wszystko, Cyrusie, co możemy ci o nim powiedzieć!

Inżynier natychmiast został zapoznany z tym, co się wydarzyło w czasie podróży. Opowiedziano mu, w jakich warunkach prowadzili poszukiwania, o opuszczonej od dawna chatce na wysepce, o tym, jak wreszcie udało im się złapać rozbitka, który zdawał się już nie należeć do rodzaju ludzkiego.

– I to do tego stopnia, że mam wątpliwości, czy dobrze zrobiliśmy, przywożąc go tutaj – dodał Pencroff.

– Oczywiście, dobrze pan postąpił, Pencroff! – odparł żywo inżynier.

– Ależ ten nieszczęśnik stracił rozum!

– Możliwe, że obecnie tak jest – powiedział Cyrus Smith – ale zaledwie kilka miesięcy temu ten nieszczęśnik był człowiekiem jak pan i ja. Któż może wiedzieć, co się stanie z ostatnim z nas, który przeżyje na tej wyspie, po długim okresie samotności? Biada temu, kto zostaje sam, moi przyjaciele, i należy sądzić, że izolacja szybko zniszczyła jego rozum, skoro znaleźliście tego biedaka w takim stanie!

– Ale, panie Cyrusie, co pozwala panu sądzić, że ogłupienie tego nieszczęśnika trwa zaledwie od kilku miesięcy? – zapytał Harbert.

– Ponieważ dokument, który znaleźliśmy, został napisany stosunkowo niedawno – odparł inżynier – a tylko ten rozbitek mógł go napisać.

– Chyba że został napisany przez nieżyjącego już dziś towarzysza tego człowieka – zauważył Gedeon Spilett.

– To niemożliwe, mój drogi Gedeonie.

– A to dlaczego? – zapytał reporter.

– Ponieważ dokument wspominałaby o dwóch rozbitkach – odparł Cyrus Smith – a przecież mowa w nim tylko o jednym.

Harbert powiedział w kilku słowach, co się wydarzyło na statku podczas sztormu, szczególnie podkreślając przy tym krótkotrwałe oprzytomnienie umysłowe rozbitka, gdy w chwili największego zagrożenia znowu stał się marynarzem.

– Dobrze, Harbercie – stwierdził inżynier – słusznie przywiązujesz tak dużą wagę do tego wydarzenia. Ten nieszczęśnik nie jest w stanie nieuleczalnym i jedynie rozpacz uczyniła z niego tego, kim dzisiaj jest. Tutaj zapewnimy mu towarzystwo bliźnich, a skoro w nim jeszcze kołocze się dusza, my ją uratujemy!

Rozbitek z wyspy Tabor został wyprowadzony z kajuty, którą zajmował na „Bonadventure”. Jego widok wzbudził litość inżyniera i ogromne zdziwienie Naba. Pierwszym odruchem nieszczęśnika, gdy stanął na ziemi, była chęć ucieczki.

Tymczasem Cyrus Smith podszedł do niego i położywszy mu stanowczym gestem rękę na ramieniu, spojrział na niego z niezwykłą łagodnością. Biedak, jakby uznając jego władzę, nieco się uspokoił, opuścił wzrok, pochylił głowę i nie stawiał już żadnego oporu.

– Biedny porzucony! – szepnął inżynier.

Cyrus Smith baczenie mu się przypatrywał. Sądząc po wyglądzie, nieszczęśnik nie miał w sobie już nic z człowieka, a mimo to Cyrus Smith, jak wcześniej reporter, dostrzegł w jego spojrzeniu jakby nikły błysk inteligencji.

Postanowiono, że porzucony, a raczej nieznamy – tak go bowiem od tej chwili nazywali jego nowi towarzysze – zamieszka w jednym z pokoiów Granitowego Pałacu, z którego zresztą nie będzie miał możliwości uciec. Bez problemu dał się tam zaprowadzić, więc można było mieć nadzieję, że przy troskliwej opiece kogoś dnia stanie się dodatkowym towarzyszem kolonistów z Wyspy Lincoln.

Podczas śniadania, które Nab pospiesznie przygotował, ponieważ reporter, Harbert i Pencroff umierali z głodu, Cyrus Smith kazał sobie opowiedzieć ze szczegółami o wszystkich wydarzeniach, jakie miały miejsce podczas ich podróży na wysepkę. Zgodził się z przyjaciółmi, że nieznamy musiał być Anglikiem lub Amerykaninem, ponieważ wskazywała na to nazwa „Britannia”, a ponadto pod tą rozczochną brodą i zwichrzoną czupryną inżynier dojrzał rysy cechujące Anglosasów.

– Tymczasem – powiedział Gedeon Spilett, zwracając się do Harberta – nie opowiadałeś nam jeszcze, w jakich okolicznościach napotkałeś naszego dzikusa. Nie wiemy nic ponad to, że byłby cię udusił, gdybyśmy szczęśliwie nie nadbiegli w porę, żeby cię obronić!

– Doprawdy – odparł Harbert – niełatwo mi opowiedzieć o tym, co się zdarzyło. Sądzę, że byłem właśnie zajęty zbiera-



Tymczasem Cyrus Smith podszedł do niego i położywszy mu stanowczym gestem rękę na ramieniu, spojrział na niego z niezwykłą łagodnością.

niem nasion, gdy usłyszałem coś jakby huk lawiny spadającej z wysokiego drzewa. Ledwie zdążyłem się odwrócić... a ten nieszczęśnik, który zapewne ukrywał się na drzewie, rzucił się na mnie szybciej, niż teraz wypowiadam te słowa, i gdyby nie pan Spilett oraz Pencroff...

– Moje dziecko! – rzekł Cyrus Smith. – Groziło ci prawdziwe niebezpieczeństwo, ale kto wie, czy gdyby nie to zdarzenie, ten nieszczęśny człowiek nadal by się przed wami nie ukrywał, a my nie mielibyśmy jeszcze jednego towarzysza.

– Ma pan więc nadzieję, Cyrusie, uczynić go na powrót człowiekiem? – zapytał reporter.

– Tak – odpowiedział inżynier.

Po śniadaniu Cyrus Smith i jego towarzysze opuścili Granitowy Pałac i wrócili na wybrzeże. Wyładowali wtedy wszystko z „Bonadventure”, lecz inżynier, obejrzawszy przywiezioną broń i narzędzia, nie zdołał dopatrzeć się niczego, co pomogłoby mu ustalić tożsamość nieznanego.

Uznano, że złapane na wysepce świnię bardzo się przydadzą kolonii, zaprowadzono je więc od razu do chlewika, gdzie wkrótce się zadomowiły.

Dwie beczułki zawierające proch i ołów oraz paczki ze spłonkami również zostały przyjęte z radością. Postanowiono założyć niewielką prochownię bądź poza Granitowym Pałacem, bądź w górnej grocie, gdzie nie należało się obawiać skutków ewentualnej eksplozji. Nadal jednak musieli używać piroksyliny, gdyż substancja ta dawała doskonałe rezultaty i nie było żadnego powodu, by zastępować ją prochem.

Ukończywszy rozładunek łodzi, Pencroff powiedział:

– Panie Cyrusie, uważam, że rozropne byłoby umieszczenie „Bonadventure” w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Czy ujście Rzeki Dziękczynienia nie jest odpowiednie? – spytał Cyrus Smith.

– Nie, panie Cyrusie – odrzekł marynarz. – Przez połowę czasu byłby osadzony w piachu, a to mu szkodzi. To dobra łódź, jak pan widzi, która zachowywała się wspaniale podczas szkwału, jaki nas dopadł w drodze powrotnej.

– Czy nie moglibyśmy zatem trzymać go na wodach rzeki?

– Oczywiście, panie Cyrusie, lecz ujście rzeki nie daje żadnego schronienia, a sądzę, że przy wiatrach od wschodu fale morskie mogłyby uszkodzić „Bonadventure”.

– Więc gdzie pan chce umieścić tę łódź, Pencroff?

– W Porcie Balonu – odparł marynarz. – Ta niewielka, osłonięta skałami zatoczka wydaje mi się właśnie takim portem, jaki jest nam potrzebny.

– Czy to nie trochę za daleko?

– Ba! To przecież nie dalej niż trzy mile od Granitowego Pałacu, a prowadzi tam piękna i prosta droga!

– Zrób tak, Pencroff, zaprowadź tam swojego „Bonadventure” – odparł inżynier – choć wolałbym mieć łódź pod bardziej bezpośrednim nadzorem. Jeśli znajdziemy trochę czasu, trzeba będzie tu wybudować dla niej port.

– Cudownie! – zawołał Pencroff. – Port z latarnią morską, molo i suchym dokiem! Ach, doprawdy, z panem, Cyrusie, wszystko staje się takie proste.

– Zgoda, mój dzielny panie Pencroff – rzekł inżynier – ale pod warunkiem, że pan mi pomoże, ponieważ i tak we wszystkich pracach trzy czwarte roboty spada na pana!

Harbert i marynarz weszli ponownie na pokład „Bonadventure”, podniesiono kotwicę, wciągnięto żagiel, a wiatr od morza szybko popchnął łódź w stronę Przylądka Pazura. Dwie godziny później kołysała się już na spokojnych wodach Portu Balonu.

Czy w czasie tych pierwszych dni spędzonych przez nieznanego w Granitowym Pałacu dał on jakiś dowód, że jego dzi-

ka natura uległa przemianie? Czy w głębi tego zamrozonego umysłu pojawiły się żywsze błyski? Czy wreszcie dusza powracała do ciała? Z pewnością, i to do tego stopnia, że Cyrus Smith oraz reporter zastanawiali się, czy rozum nieszczęśnika na pewno kiedykolwiek przygaśł.

Z początku, przyzwyczajony do przebywania na świeżym powietrzu, do bezgranicznej wolności, jaką cieszył się na wyspie Tabor, nieznajomy okazywał wściekłość, i zaczęto się obawiać, czy nie rzuci się na wybrzeże przez jedno z okien Granitowego Pałacu. Powoli jednak się wyciszał i można było mu pozwolić na większą swobodę ruchów.

Był to powód, by mieć nadzieję, i to dużą. Zapominając już o swych instynktach mięsożernego zwierzęcia, nieznajomy zaakceptował mniej dzikie pożywienie niż to, którym karmił się na wysepce, i pieczyście nie powodowało już u niego odruchu wstrętu, jaki okazywał na pokładzie „Bonadventure”.

Cyrus Smith wykorzystał chwilę jego snu, żeby obciąć mu długie włosy i zmierzwioną brodę, tworzące swego rodzaju grzywę nadającą mu tak dziki wygląd. Ubrał go również porządniej, wyrzuciwszy strzępek materiału, którym do tej pory się okrywał. W wyniku tych zabiegów nieznajomy odzyskał bardziej ludzką powierzchowność i nawet wydawało się, że jego spojrzenie stało się łagodniejsze. Z pewnością w czasach, gdy rozświetlała ją inteligencja, twarz tego człowieka musiała być na swój sposób piękna.

Każdego dnia Cyrus Smith nakazał sobie spędzanie kilku godzin w jego towarzystwie. Przychodził pracować w jego pobliżu, zajmując się przeróżnymi rzeczami, chcąc w ten sposób przyciągnąć jego uwagę. Istotnie mógł wystarczyć jeden impuls, by ponownie rozpalić tę duszę, jedno wspomnienie, jakie

przemknę przez jego mózg, by przywrócić mu rozum. Tak się już zdarzyło na pokładzie „Bonadventure” podczas sztormu!

Inżynier nie poniechał także głośnego mówienia do niego, by w ten sposób pobudzić zarówno zmysł słuchu, jak i wzroku w głębi otępiełego umysłu. Czasami jeden lub drugi z towarzyszy, czasami wszyscy przyłączali się do niego. Rozmawiali najczęściej o sprawach związanych z żeglugą, które mogły bardziej zainteresować marynarza. Chwilami nieznajomy zdawał się słuchać z zaciekawieniem, i koloniści byli niemal pewni, że częściowo ich rozumie. Kilkakrotnie nawet wyraz jego twarzy wyrażał głęboki ból, co świadczyło o wewnętrznym cierpieniu, ponieważ jego fizjonomia nie mogła przecież aż tak mylić. Nadal jednak nic nie mówił, choć czasami można było sądzić, że jakieś słowa zaraz wydobędą się spod jego warg.

Jakkolwiek było, nieszczęśnik pozostawał spokojny i smutny! Czy jego spokój był tylko pozorny? Czy powodem jego smutku było jedynie odosobnienie? Tego nie dało się jeszcze stwierdzić. Widząc tylko kilka przedmiotów, i to w ograniczonym polu, będąc stale w kontakcie z kolonistami, do których musiał się w końcu przyzwyczać, nie miał żadnych pragnień do zaspokojenia, był dobrze odżywiany, lepiej ubrany niż dotąd, nic też dziwnego, że pod względem fizycznym zachodziły w nim pewne zmiany. Czy wstąpiło w niego nowe życie, czy jednak przemiana ta sięgała głębiej, czy też – żeby użyć określenia bardziej do niego pasującego – oswoił się tak jak zwierzę ze swym panem? To było zasadnicze pytanie, na które spieszo było Cyrusowi Smithowi znaleźć odpowiedź, lecz równocześnie nie chciał popędzać chorego. Dla niego nieznajomy był po prostu chory. Czy kiedyś zmieni się w rekonwalescenta?

Inżynier niemal nie spuszczał zeń wzroku! Czatował na jego duszę, jeśli można użyć takiego określenia! Wciąż był gotów ją pochwycić!

Koloniści z prawdziwym wzruszeniem śledzili etapy kuracji przedsięwziętej przez Cyrusa Smitha. Pomagali mu w tym akcie humanitaryzmu i wkrótce wszyscy, może poza niedowiar-kiem Pencroffem, podzielali jego nadzieję i wiarę.

Jak już powiedziano, spokój nieznajomego był głęboki i tylko inżynierowi, który miał na niego widoczny wpływ, okazywał coś w rodzaju przywiązania. Cyrus Smith zdecydował się w końcu wystawić go na próbę, przenosząc w inne otoczenie, czyli na brzeg oceanu, który swego czasu miał w zwyczaju kontem-płować, i na skraj lasu, który miał mu przypominać tyle lat jego życia!

– Czy możemy mieć nadzieję, że gdy zostanie uwolniony, to nie ucieknie? – zastanawiał się Gedeon Spilett.

– Na tym właśnie polega ten eksperyment – rzekł inżynier.

– Pięknie! – powiedział Pencroff. – Gdy tylko nasz zuch zobaczy przed sobą otwartą przestrzeń i poczuje świeże powietrze, ucieknie co sił w nogach!

– Nie wierzę w to – odparł Cyrus Smith.

– Spróbujmy – powiedział Gedeon Spilett.

– Spróbujmy – przytaknął inżynier.

Był to dzień trzydziestego października, a zatem rozbitek z wyspy Tabor od dziewięciu dni pozostawał więźniem w Granite House. Było ciepło, a piękne słońce zalewało promieniami całą wyspę.

Cyrus Smith i Pencroff poszli do pokoju, który zajmował nieznajomy, i zastali go leżącego przy oknie i spoglądającego w niebo.

– Chodź, mój przyjacielu – powiedział do niego inżynier.

Nieznajomy natychmiast się podniósł. Wzrok miał utkwiony w Cyrusa Smitha i poszedł za nim, podczas gdy marynarz kroczył z tyłu, nie bardzo wierząc w wynik eksperymentu.



Niezajomy zdawał upajać ich przenikliwą wonią napelniającą atmosferę,
a z jego piersi wydobyło się długie westchnienie.

Gdy dotarli do drzwi, Cyrus Smith i Pencroff polecieli nieznanomemu, żeby zajął miejsce w koszu windy, a Nab, Herbert i Gedeon Spilett czekali już na nich u stóp Granitowego Pałacu. Kosz zjechał w dół i po chwili wszyscy byli już na wybrzeżu.

Koloniści odeszli kilka kroków od nieznanomego, by w ten sposób zostawić mu pewną swobodę.

Ten zrobił kilka kroków, posuwając się w stronę morza, a jego spojrzenie bardzo się ożywiło, ale nie okazywał najmniejszej chęci do ucieczki. Wpatrywał się w niewielkie fale, które łamały się przy brzegu wysepki, a potem zamierały na piasku.

– Na razie to tylko morze – zauważył Gedeon Spilett – i pewnie ono nie wzbudza w nim jeszcze potrzeby ucieczki!

– Zgoda – odparł Cyrus Smith. – Trzeba więc go zaprowadzić na płaskowyż, na skraj lasu. Tam doświadczenie będzie bardziej znaczące.

– Zresztą i tak nie uda mu się uciec – zauważył Nab – skoro mostki są podniesione.

– Ech! – prychnął Pencroff. – To pewne, że ten człowiek nie będzie się przejmował takim strumykiem jak Glicerynowy Potok! Przeskoczyłby go jednym susem!

– Wkrótce zobaczymy – rzekł tylko Cyrus Smith, który nie spuszczał wzroku z pacjenta.

Zaprowadzono więc rozbitka w pobliże ujścia Rzeki Dzięczynienia i wszyscy wspięli się lewym jej brzegiem aż na Płaskowyż Rozległego Widoku.

Dotarłszy do miejsca, gdzie rosły pierwsze piękne drzewa lasu, których listowiem poruszał delikatny wiaterek, nieznanomy zdawał upajać ich przenikliwą wonią napęlniającą atmosferę, a z jego piersi wydobyło się długie westchnienie!

Koloniści stali z tyłu, gotowi go powstrzymać, gdyby zrobił jakiś ruch zdradzający chęć ucieczki.

Nieszczęśnik istotnie był o krok od rzucenia się do *creeku* dzielącego go od lasu i mięśnie jego nóg na chwilę napięły się niczym sprężyna... ale prawie natychmiast skulił się w sobie, pochylił, a z jego oczu popłynęły wielkie łzy!

– Ach, skoro płaczesz, to znowu stałeś się człowiekiem! – zawołał Cyrus Smith.



Rozdział XVI

Tajemnica, którą trzeba wyjaśnić – Pierwsze słowa
nieznajomego – Dwanaście lat na wysepce! – Wyznanie
– Zniknięcie – Ufność Cyrusa Smitha – Trzecie żniwa
– Budowa młyna – Pierwsza mąka – Pierwszy chleb
– Akt poświęcenia – Uczciwe ręce!

Tak! Nieszczęśnik płakał! Niewątpliwie jakieś wspomnienie przemknęło przez jego umysł i używając określenia Cyrusa Smitha, przez łyżę stał się znowu człowiekiem.

Osadnicy zostawili go na chwilę na płaskowyżu i nawet nieco się oddalili, by poczuł się wolny, on jednak nie zamierzał w żaden sposób skorzystać z tej swobody i po jakimś czasie Cyrus Smith zdecydował się odprowadzić go do Granitowego Pałacu.

Dwa dni po tym wydarzeniu wydawało się, że nieznajomy ma ochotę włączyć się z wolna w życie kolonii. Było oczywiste, że słyszy i rozumie, co się do niego mówi, ale było też nie mniej oczywiste, że wciąż uparcie nie odzywał się do osadników, chociaż któregoś wieczora Pencroff, nadstawiając ucha pod drzwiami jego pokoju, usłyszał te oto słowa, które wyrwały się z jego ust:

– Nie! Tutaj! Ja! Nigdy!

Marynarz powtórzył te słowa towarzyszom.

– Jest w tym jakaś bolesna tajemnica! – stwierdził Cyrus Smith.

Nieznajomy zaczął używać narzędzi rolniczych i pracował w warzywniku. Kiedy przerywał swą pracę, co często się zdarzało, pozostawał jakby skoncentrowany na samym sobie, ale na polecenie inżyniera szanowano to odizolowanie, które – jak się wydawało – pragnął zachować. Gdy któryś z osadników

zbliżał się do niego, cofał się, a szluchy wzdymały jego pierś, jakby była ona czymś przepelniona!

Czyżby tak przytłaczały go wyrzuty sumienia? Można było tak sądzić, i Gedeon Spilett pewnego dnia nie mógł się powstrzymać od takiego spostrzeżenia:

– Skoro nie mówi, to dlatego, jak sądzę, że ma zbyt poważne rzeczy do wyznania!

Należało być cierpliwym i czekać.

Kilka dni później, trzeciego listopada, nieznajomy, pracując na płaskowyżu, w pewnej chwili zatrzymał się, rzucił łopatę na ziemię, a Cyrus Smith, który obserwował go z niewielkiej odległości, ponownie dostrzegł łzy spływające z jego oczu. Wezbrała w nim nieodparta litość i delikatnie dotknął ramienia mężczyzny.

– Mój przyjacielu! – odezwał się.

Spojrzenie nieznajomego próbowało go unikać, a gdy Cyrus Smith chciał ująć jego rękę, cofnął się gwałtownie.

– Mój przyjacielu – rzekł Cyrus Smith stanowczym tonem – spójrz na mnie, ja tego chcę!

Nieznajomy popatrzył na inżyniera i wydawało się, że podda się jego władzy, jak człowiek ulegający mocy hipnotyzera. Chciał uciec, ale nagle na jego twarzy dokonana się przemiana. Spojrzenie zaczęło rzucać błyskawice. Z ust próbowały się wydostać słowa. Nie mógł się już powstrzymać...! Wreszcie skrzyżował ramiona i spytał Cyrusa Smitha głuchym głosem:

– Kim jesteście?

– Rozbitkami, jak pan – odparł głęboko poruszony inżynier. – Przywieźliśmy tu pana, by znalazł się pan pośród bliźnich.

– Moi bliźni...! Ja ich nie mam!

– Jest pan wśród przyjaciół...

– Przyjaciele...! Moi! Przyjaciele! – wykrzykiwał nieznajomy, ukrywając głowę w dłoniach. – Nie... nigdy... zostawcie mnie! Zostawcie mnie!

Wreszcie pobiegł na skraj dominującego nad oceanem płaskowyzu i długo stał tam nieruchomo.

Cyrus Smith dołączył do swoich towarzyszy i opowiedział im, co się wydarzyło.

– Tak! W życiu tego człowieka istnieje jakaś tajemnica – powiedział Gedeon Spilett – i wydaje mi się, że odzyska człowieczeństwo tylko drogą wyrzutów sumienia.

– Nie bardzo wiem, jakiego człowieka tu przywieźliśmy... – rzekł marynarz. – Ma tajemnice...

– Które uszanujemy – odparł żywo Cyrus Smith. – Jeśli popełnił jakiś błąd, już go okrutnie odpokutował, a w naszych oczach jest rozgrzeszony.

Nieznajomy przez dwie godziny stał sam, pogrążony prawdopodobnie we wspomnieniach, które mu przypominały całą jego przeszłość – przeszłość bez wątpienia złowieszczą – a koloniści, nie tracąc go z oczu, starali się nie zakłócać tej samotności.

Wreszcie, po upływie dwóch godzin, mężczyzna podjął najwyraźniej jakąś decyzję i podszedł do Cyrusa Smitha. Oczy miał czerwone od łez, które wylał, lecz już nie płakał. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej pokory. Sprawiał wrażenie lęklivego, onieśmielonego, zawstydzonego, skulonego i ciągle ze spojrzeniem wbitym w ziemię.

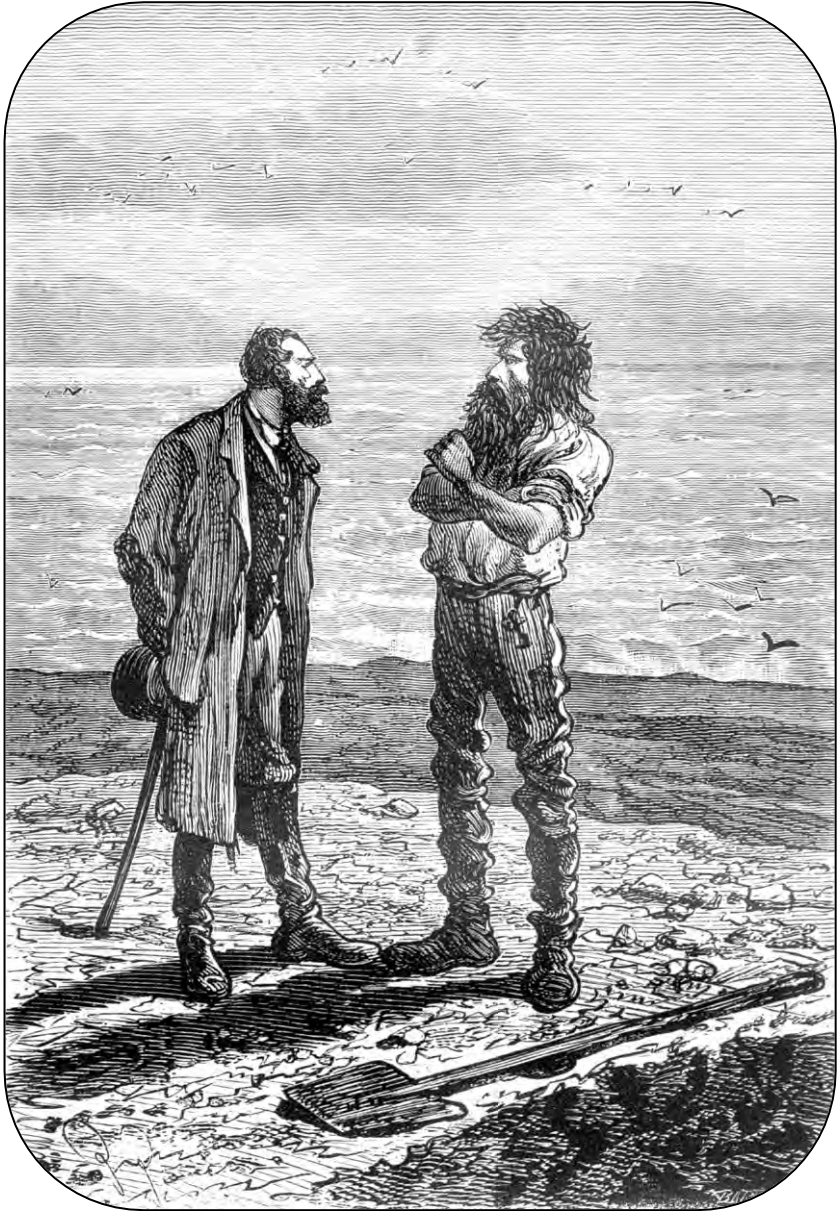
– Panie – zwrócił się do Cyrusa Smitha – czy pan i pańscy towarzysze jesteście Anglikami?

– Nie – odparł inżynier – jesteśmy Amerykanami.

– Ach! – rzekł nieznajomy i szepnął: – To lepiej!

– A pan, mój przyjacielu? – spytał inżynier.

– Jestem Anglikiem – odparł pospiesznie i jakby wypowiedzenie tych kilku słów kosztowało go wiele trudu, oddalił się od wybrzeża, przemierzając w niezwykłym poruszeniu odcinek od wodospadu do ujścia Rzeki Dziękczynienia.



– Kim jesteście?

Następnie, przechodząc w pewnej chwili koło Harberta, zatrzymał się nagle i przemówił zduszonym głosem.

– Jaki to miesiąc? – zapytał.

– Listopad¹ – odparł Harbert.

– Który rok?

– 1866.

– Dwanaście lat! Dwanaście lat! – wykrzyknął, po czym nagle odszedł.

Harbert powtórzył pozostałym towarzyszom pytanie i odpowiedź, jakie wymienił z nieznanym.

– Ten nieszczęśnik – zauważył Gedeon Spilett – nie był świadom upływu miesięcy i lat!

– Tak – dodał Harbert – i zanim go znaleźliśmy, spędził dwanaście lat na wysepce!

– Dwanaście lat! – rzekł Cyrus Smith. – Och, dwanaście lat samotności po być może przeklętym żywocie, to istotnie może zmącić ludzki rozum!

– Jestem skłonny wierzyć – wtrącił się Pencroff – że ten człowiek nie znalazł się na wyspie Tabor w wyniku katastrofy statku, ale został tam porzucony, bo popełnił jakąś zbrodnię.

– Może ma pan rację, Pencroff – odparł reporter – a jeśli tak jest, być może ci, którzy go tam zostawili, któregoś dnia po niego wrócą!

– I już go tam nie znajdą – powiedział Harbert.

– Może więc należałoby tam wrócić i... – zaczął Pencroff.

– Moi przyjaciele – powiedział Cyrus Smith – nie dyskutujemy na ten temat, zanim nie będziemy wiedzieli, czego mamy się trzymać. Wierzę, że ten nieszczęśnik wiele wycierpiał i ciężko odpokutował swoje winy, jakiekolwiek by one były, i że dusi w sobie potrzebę wyznania prawdy. Nie prowokujmy go, by nam

¹ *Listopad* – u J. Verne'a: grudzień.

przedstawił swoją historię! Z pewnością sam nam ją kiedyś opowie, a gdy ją poznamy, zastanowimy się, jaką postawę przyjąć. Zresztą on jeden może nam powiedzieć, czy zachował coś więcej niż nadzieję, a może pewność, że któregoś dnia wróci do ojczyzny. Bardzo w to wątpię!

– A to dlaczego? – spytał reporter.

– Ponieważ w przypadku gdyby był pewny, że w jakimś określonym terminie zostanie uwolniony, czekałby na chwilę swego wyzwolenia i nie wrzucałby tego dokumentu do morza. Nie, jest bardziej prawdopodobne, że został skazany na to, by umrzeć na tej wysepce i już nigdy nie miał zobaczyć swych bliźnich!

– Ale jest jeszcze jedna rzecz, której nie potrafię zrozumieć – wyznał marynarz.

– Jaka?

– Jeśli ten człowiek został dwanaście lat temu porzucony na wyspie Tabor, można podejrzewać, że już od kilku lat znajduje się w stanie zdziczenia, w jakim go tam znaleźliśmy!

– To prawdopodobne – odparł Cyrus Smith.

– W takim razie dokument musiał napisać wiele lat temu!

– Niewątpliwie... a tymczasem wydawał się nam napisany niedawno...!

– Poza tym, jak wytłumaczyć fakt, że w butelce z dokumentem tyle lat zajęło dotarcie z wyspy Tabor na Wyspę Lincolną?

– To nie jest niemożliwe – odparł reporter. – Czy nie mogła od dawna znajdować się w okolicach wyspy?

– Nie – rzekł Pencroff – bo wciąż unosiła się na wodzie. Nie można nawet przypuszczać, że mogła długo leżeć na wybrzeżu i że ponownie została zabrana przez morze, gdyż południowe wybrzeże tak jest usiane skałami, że niechybnie by się rozbiła!

– Faktycznie – przyznał Cyrus Smith w zamyśleniu.

– Poza tym, gdyby dokument leżał zamknięty w butelce od wielu lat, musiałby zostać uszkodzony przez wilgoć – dodał marynarz. – Otóż niczego takiego nie zaobserwowaliśmy, notatka zachowała się w doskonałym stanie.

Uwaga marynarza była bardzo słuszna i była to jakaś niezrozumiała sprawa, gdyż kiedy osadnicy znaleźli dokument w butelce, wyglądał tak, jakby został napisany niedawno. Ponadto bardzo precyzyjne określał położenie wyspy Tabor, długość i szerokość geograficzną, co sugerowało, że jego autor dość dobrze znał się na nawigacji, a zwykły marynarz takiej wiedzy nie posiada.

– Jest w tym coś niewytłumaczalnego – powiedział inżynier – ale nie zmuszajmy naszego nowego towarzysza do zwierzeń. Kiedy sam będziesz tego chciał, gotowi będziemy go wysłuchać, moi przyjaciele!

W ciągu następnych dni nieznajomy nie powiedział ani słowa i ani razu nie wyszedł poza płaskowyż. Uprawiał ziemię, nie tracąc ani chwili, nie odpoczywając, trzymając się cały czas na uboczu. W porze posiłku nie wracał do Granitowego Pałacu, mimo powtarzających się zaproszeń ze strony kolonistów, i zadowalał się zjadaniem jedynie surowych warzyw. Z nadejściem nocy nie wracał do swojego pokoju, który oddano mu do dyspozycji, ale pozostawał na miejscu, spał pod drzewami, a gdy pogoda nie dopisywała, kulił się w jakimś skalnym zagłębieniu. Żył tak, jak w czasach, gdy nie miał innego schronienia niż lasy wysepki Tabor. Wszystkie próby zmiany tego trybu życia spełzały na niczym, osadnicy czekali więc cierpliwie. Nadeszła jednak wreszcie chwila, gdy jakby z nakazu sumienia, wbrew własnej woli, musiał się zdobyć na straszne wyznania.

Dziesiątego listopada około ósmej wieczorem, w chwili gdy zaczynało się już ściemniać, nieznajomy niespodziewanie poja-

wił się przed kolonistami zgromadzonymi w altanie. Jego oczy lśniły dziwnym blaskiem, a cała postać przybrała ponownie dziki wygląd, jak w najgorszych dniach.

Cyrus Smith i jego towarzysze osłupieli, widząc, jak pod wpływem burzliwych emocji aż dzwonił zębami niczym w gorączce. Co się z nim działo? Czy widok bliźnich był dla niego nie do zniesienia? Czy miał już dość egzystencji wśród uczciwych ludzi? Może ogarnęła go nostalgia za dzikością? Można było tak mniemać, słysząc padające z jego ust nieskładne zdania:

– Dlaczego jestem tutaj...? Jakim prawem zabraliście mnie z mojej wysepki...? Czy między wami a mną może istnieć jakaś więź...? Czy wiecie, kim jestem... co zrobiłem... dlaczego tam byłem... sam? Kto wam powiedział, że mnie tam nie porzuciono... że nie skazano mnie na to, bym tam umarł...? Znaście moją przeszłość...? Skąd możecie wiedzieć, czy nie kradłem, nie zabiłem... że nie jestem nędznikiem... istotą przeklętą... zdolną jedynie żyć jak dzikie zwierzę... z dala od wszystkich... Mówcie... skąd możecie to wiedzieć?

Kolonisci słuchali, nie przerywając nieszczęśnikowi, z którego te strzępy wyznań wyrwały się, że tak powiem, mimowolnie. Cyrus Smith chciał go uspokoić, więc podszedł do niego, ale on cofnął się gwałtownie.

– Nie! Nie! – zawołał. – Tylko jedno słowo... Czy jestem wolny?

– Jest pan wolny – odparł inżynier.

– Zatem żegnam! – wykrzyknął i uciekł jak szalony.

Nab, Pencroff i Harbert natychmiast pobiegli za nim na skraj lasu... lecz wrócili sami.

– Niech robi, co chce! – rzekł Cyrus Smith.

– Nigdy już nie wróci... – zawołał Pencroff.

– Wróci – zapewnił inżynier.

Minęło wiele dni od tego wydarzenia, lecz Cyrus Smith – byłby to rodzaj przecucia? – pozostawał w niezłomnym przekonaniu, że biedny człowiek wcześniej czy później powróci.

– To ostatni bunt jego trudnej natury dotkniętej wyrzutami sumienia, ale przerażonej kolejnym osamotnieniem – powtarzał.

Tymczasem kontynuowano wszelkiego rodzaju prace, zarówno na Płaskowyżu Rozległego Widoku, jak i w *corralu*, gdzie Cyrus Smith zamierzał wybudować domek. Nie trzeba dodawać, że nasiona zebrane przez Harberta na wyspie Tabor zostały troskliwie zasiane. Płaskowyż stał się teraz sporym ogrodem warzywnym, starannie wyznaczonym i troskliwie utrzymywanym, który nie pozwalał, aby ręce kolonistów świętowały. Tam zawsze było co robić, a w miarę jak zwiększała się ilość warzyw, trzeba było powiększać poletka, które wkrótce zmieniły się w prawdziwe pola zastępujące łąki. Paszy dla zwierząt jednak nie brakowało w innych częściach wyspy i onagry nie musiały się obawiać ograniczenia posiłków. Zresztą warto było zmienić Płaskowyż Rozległego Widoku w warzywnik, chroniły go bowiem głębokie *creeks*. Pastwiska nie potrzebowały aż takiej ochrony przed zniszczeniem ze strony czworonożnych i czwororękich stworzeń.

Piętnastego listopada przystąpiono do trzecich żniw. Pole ze zbożem bardzo wyraźnie zwiększyło swą powierzchnię w ciągu osiemnastu miesięcy od chwili, gdy zasiano pierwsze ziarenko! Sześćset tysięcy ziaren dało tym razem plon czterech tysięcy korców, czyli ponad pięćset milionów ziaren! Kolonia była więc już zasobna w pszenicę i wystarczało zasiewać tylko około dziesięciu korców, żeby otrzymać coroczny pewny plon, gwarantujący pożywienie dla ludzi i zwierząt.

Po skończonych żniwach ostatnie dwa tygodnie listopada poświęcono na sprawy związane z wypiekiem chleba.

Faktycznie mieli już ziarno, lecz nie mąkę, i niezbędne stało się zbudowanie młyna. Cyrus Smith mógłby wykorzystać drugi wodospad na Rzece Dziękczynienia, który byłby siłą napędową, pierwszy bowiem wprawiał w ruch młoty folusza. Po zastanowieniu postanowili jednak zbudować na Płaskowyżu Rozległego Widoku zwykły wiatrak. Budowa nie nastroczała większych trudności niż w przypadku młyna wodnego, a z drugiej strony było pewne, że na płaskowyżu zawsze wiały wiatry nadlatujące od pełnego morza.

– Nie mówiąc już o tym – dodał Pencroff – że wiatrak będzie wyglądał weselej i dobrze wpasuje się w krajobraz!

Zabrali się zatem do pracy, wybierając drzewa na konstrukcję i mechanizm młyna. Kilka większych głazów piaskowca znajdujących się w północnej części jeziora będzie mogło z powodzeniem zastąpić żarna, natomiast co do skrzydeł, wciąż mogli korzystać z niewyczerpanych zasobów płótna z powłoki balonu.

Cyrus Smith rozrysował plany, a na usytuowanie młyna wybrano miejsce nieco na prawo od ptaszarni, nad brzegiem jeziora. Konstrukcja miała stać na osi podtrzymywanej przez grube belki, w taki sposób, żeby móc się obracać wraz z całym mechanizmem w zależności od kierunku wiatru.

Prace te wykonano szybko. Nab oraz Pencroff stali się nader wprawnymi cieślami i ściśle przestrzegali wymiarów podanych przez inżyniera. Toteż niebawem w oznaczonym miejscu stanęła budowla przypominająca walcowatą budkę strażniczą ze stożkowym dachem. Cztery ramy tworzące skrzydła zostały mocno przytwierdzone żelaznymi klamrami do wału pod odpowiednim kątem. Bez trudu wykonali poszczególne części mechanizmu wewnętrznego, to znaczy skrzynię na oba kamienie młyńskie – nieruchomy i obrotowy, lej zsypany, swego rodzaju czworoboczne koryto, szerokie u góry, wąskie u dołu, korytko

wahadłowe regulujące doprowadzanie ziarna, nazwane z powodu jego ustawicznego tykania „pleciugą”, a także pytel, przy użyciu którego odsiewa się mąkę od otrąb. Narzędzia, którymi się posługiwali, były dobrej jakości, a praca niezbyt żmudna, gdyż w gruncie rzeczy mechanizm wiatraka jest bardzo prosty. Była to więc jedynie kwestia czasu.

Wszyscy pracowali przy budowie młyna, który ukończono pierwszego grudnia.

Pencroff, jak zawsze, był wprost zachwycony swoim dziełem i nie wątpił, że wiatrak będzie doskonale działał.

– Teraz tylko dobry wiatr – powiedział – i pięknie zmielimy pierwszy plon!

– Dobry wiatr, zgoda – rzekł inżynier – lecz niezbyt silny, Pencroff.

– Ba! Nasz wiatrak najwyżej będzie się szybciej kręcił!

– Nie ma potrzeby, by obracał się szybko – powiedział Cyrus Smith. – Wiadomo z doświadczenia, że wiatrak jest najbardziej wydajny, gdy liczba obrotów skrzydeł w ciągu minuty jest sześciokrotnie większa niż prędkość wiatru liczona w stopach na sekundę. Przy średnim wietrze o prędkości dwudziestu czterech stóp na sekundę wiatrak wykona szesnaście obrotów skrzydłami w ciągu jednej minuty, a to w zupełności wystarczy.

– Właśnie! – zawołał Harbert. – Wieje teraz z północnego wschodu, co dobrze się przysłuży naszej sprawie!

Nie było żadnego powodu, żeby odwlekać inaugurację młyna, gdyż kolonistom spieszno było do posmakowania pierwszego kawałka chleba z Wyspy Lincoln. Tego dnia zatem o poranku zmielono dwa lub trzy korce zboża i następnego dnia na śniadanie w Granitowym Pałacu podano wspianiały bochen chleba, może nieco zbity, choć do wypieku użyto drożdży piwnych. Wszyscy raczyli się nim z wielkim apetytem i z prawdziwą przyjemnością, co było zresztą zrozumiałe!



Wszyscy pracowali przy budowie młyna, który ukończono pierwszego grudnia.

Tymczasem nieznajomy nadal się nie pojawiał. Kilka razy Gedeon Spilett i Harbert przemierzali las w okolicy Granitowego Pałacu, ale go nie spotkali i nie znaleźli żadnych jego śladów. Zaczęli się poważnie niepokoić jego przedłużającą się nieobecnością. Były dzikus z wyspy Tabor nie miał co prawda powodów, żeby sobie nie poradzić w obfitujących w zwierzynę Lasach Far Westu, lecz istniała obawa, czy aby nie powrócił do swoich dawnych zwyczajów, a samodzielność nie rozbudziła w nim ponownie dzikich instynktów. Mimo to Cyrus Smith, zapewne opierając się na przeczuciach, nadal twierdził, że uciekinier wróci.

– Tak, on wróci! – powtarzał z ufnością, której nie podzielali jego towarzysze. – Gdy ten biedak przebywał się na wyspie Tabor, wiedział, że jest sam! Tutaj wie, że czekają na niego bliźni! Skoro już częściowo opowiedział nam o swojej przeszłości, biedny pokutnik przyjdzie powiedzieć nam resztę, a wtedy już zostanie z nami!

Pewne wydarzenie potwierdziło, że Cyrus Smith miał rację.

Trzeciego grudnia Harbert opuścił Płaskowyż Rozległego Widoku i poszedł łowić ryby na południowym brzegu jeziora. Nie był uzbrojony, do tej pory bowiem nie trzeba było zachowywać szczególnej ostrożności, skoro w tej części wyspy nigdy nie napotkano drapieżnych zwierząt.

W tym czasie Pencroff i Nab pracowali w ptaszarni, a Cyrus Smith i reporter byli zajęci w Kominach produkcją sody, gdyż zapas mydła był już na wyczerpaniu.

Wtem rozległy się okrzyki:

– Na pomoc! Ratunku!

Cyrus Smith i reporter byli za daleko i nie mogli usłyszeć tych okrzyków. Pencroff i Nab wybiegli z ptaszarni i popędzili w stronę jeziora.

Ubiegł ich jednak nieznajomy, którego obecności w tym miejscu nikt nie podejrzewał, przeskoczył Glicerynowy Potok dzielący płaskowyż od lasu i znalazł się na przeciwległym brzegu.

Tam Harbert stał oko w oko ze strasliwym jaguarem, podobnym do tego, jakiego zabili na Cyplu Gada. Znienacka zaskoczony, przywarł do drzewa, podczas gdy zwierzę, skupiwszy się w sobie, już gotowało się do skoku... Ale nieznajomy, nie posiadając innej broni jak nóż, rzucił się na drapieżnika, który zwrócił się teraz ku nowemu przeciwnikowi.

Walka trwała krótko. Nieznajomy posiadał nadzwyczajną wprost siłę i zręczność. Chwycił jaguara za gardło silną niczym kleszcze dłonią, nie zastanawiając się, czy pazury drapieżnika nie szarpiały mu ciała, drugą zaś ręką wbił mu nóż w serce.

Jaguar padł. Nieznajomy odepchnął go nogą i już zabierał się do ucieczki, gdy koloniści wypadli na pole walki, a Harbert przywarł do niego mocno i zawołał:

– Nie! Nie! Pan nie odejdzie!

Cyrus Smith podszedł do nieznajomego¹, który widząc go, zmarszczył brwi. Z jego ramienia pod rozdartą kurtką sączyła się krew, lecz nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

– Mój przyjacielu – powiedział Cyrus Smith – zaciągnęliśmy wobec pana dług wdzięczności. By ocalić nasze dziecko, ryzykował pan własnym życiem!

– Moje życie! – szepnął nieznajomy. – Cóż ono warte?! Mniej niż nic!

– Jest pan ranny?

– Nieważne.

– Czy mogę uścisnąć pańską dłoń?

Gdy Harbert próbował uchwycić rękę, która uratowała mu życie, nieznajomy skrzyżował ramiona, nabrał powietrza w płu-

¹ Nie jest jasne, jak Smith mógł nadejść, skoro autor wcześniej stwierdził, że on i Pencroff nie mogli usłyszeć wołania Harberta.



Chwycił jaguara za gardło silną niczym kleszcze dłońią,
drugą zaś ręką wbił mu nóż w serce.

ca, jego spojrzenie zaszło mgłą i wyglądał, jakby zbierał się do ucieczki; przełamał się jednak z wielkim wysiłkiem i opryskliwym tonem zapytał:

– Kim wy jesteście? I kim chcecie być dla mnie?

W ten sposób po raz pierwszy pytał osadników o ich historię. Może gdy ją pozna, opowie swoją?

Cyrus Smith w kilku słowach opowiedział mu wszystko, co się wydarzyło od chwili opuszczenia przez nich Richmond. O tym, jak udało im się przeżyć i czym obecnie dysponują.

Nieznajomy słuchał go bardzo uważnie.

Następnie inżynier przedstawił wszystkich: Gedeona Spiletta, Harberta, Pencroffa i Naba, siebie samego i dodał, że największą radością, jaką odczuli od czasu dotarcia na Wyspę Lincolną, było to, że po powrocie z wysepki mieli jeszcze jednego towarzysza w swoim gronie.

Na te słowa nieznajomy zaczerwienił się, opuścił głowę na piersi, a cała jego postawa wyrażała wielkie zmieszanie.


– A teraz, gdy już nas pan zna – dodał Cyrus Smith – czy zechciałby nam pan podać rękę?

– Nie! – odparł nieznajomy głuchym głosem. – Nie! Jesteście uczciwymi ludźmi, a ja...!



Rozdział XVII

Zawsze na uboczu – Prośba nieznanego – Domek zbudowany w *corralu* – Przed dwunastoma laty! – Bosman z „Britanii” – Porzucony na wyspie Tabor – Ręka Cyrusa Smitha – Tajemniczy dokument

 statnie słowa potwierdziły podejrzenia kolonistów. W życiu tego nieszczęśnika istniał haniebny epizod, być może odpokutowany w oczach ludzi, lecz którego jego sumienie nie zdołało jeszcze rozgrzeszyć. W każdym razie miał wyrzuty sumienia, był pełen skruchy. Ci nowi przyjaciele serdecznie uścisnęli jego dłoń, ale on nie czuł się godzien podania jej uczciwym ludziom! Jednakże po zdarzeniu z jaguarem nie wrócił do lasu i od tego dnia nie opuszczał już okolic Granitowego Pałacu.

Jaka była tajemnica jego egzystencji? Czy nieznanemu kiedyś ją wyjawia? Przyszłość pokaże. W każdym razie ustalono, że nigdy nie będą go wypytywać o jego sekret i będą zachowywać się tak, jakby niczego nie podejrzewali.

Przez kilka dni życie toczyło się normalnie, tak jak dotychczas. Cyrus Smith i Gedeon Spilett pracowali razem, czasami jako chemicy, czasami jako fizycy. Reporter opuszczał inżyniera jedynie po to, by zapolować z Harbertem, gdyż nierozsądne byłoby pozwalać chłopcu na samotnie przebywanie w lesie. Jeśli chodzi o Naba i Pencroffa to pracowali albo w stajniach, albo w ptaszarni, innym razem w *corralu*, nie licząc obowiązków w Granitowym Pałacu, gdzie nigdy nie brakowało roboty.

Nieznanomy pracował na uboczu i powrócił do swego dawnego zwykłego życia: nie uczestniczył w posiłkach, spał pod drzewami na płaskowyżu i nigdy nie spędzał czasu wśród reszty

towarzyszy. Doprawdy, wyglądało na to, że towarzystwo tych, którzy go ocalili, było dla niego nie do zniesienia!

– Ale w takim razie – zauważył Pencroff – dlaczego w ogóle prosił o pomoc? Po co wrzucił do morza ten dokument?

– Kiedyś nam to powie – odpowiadał niezmiennie Cyrus Smith.

– Kiedy?

– Może wcześniej, niż pan sądzi, Pencroff.

Rzeczywiście, dzień wyznań był już bliski.

Dziesiątego grudnia, tydzień po jego powrocie do Granitowego Pałacu, Cyrus Smith ujrzał nieznanego, który zmierzał w jego stronę. Podszedłszy, rzekł spokojnym i pokornym głosem:

– Panie, mam do pana prośbę.

– Niech pan mówi – odparł inżynier – ale najpierw proszę mi pozwolić coś powiedzieć.

Na te słowa nieznamy się zaczerwienił i sprawiał wrażenie, jakby chciał się wycofać. Cyrus Smith zrozumiał, co dzieje się w duszy winowajcy, który obawiał się zapewne, że inżynier zapyta o jego przeszłość.

Cyrus Smith zatrzymał go gestem ręki.

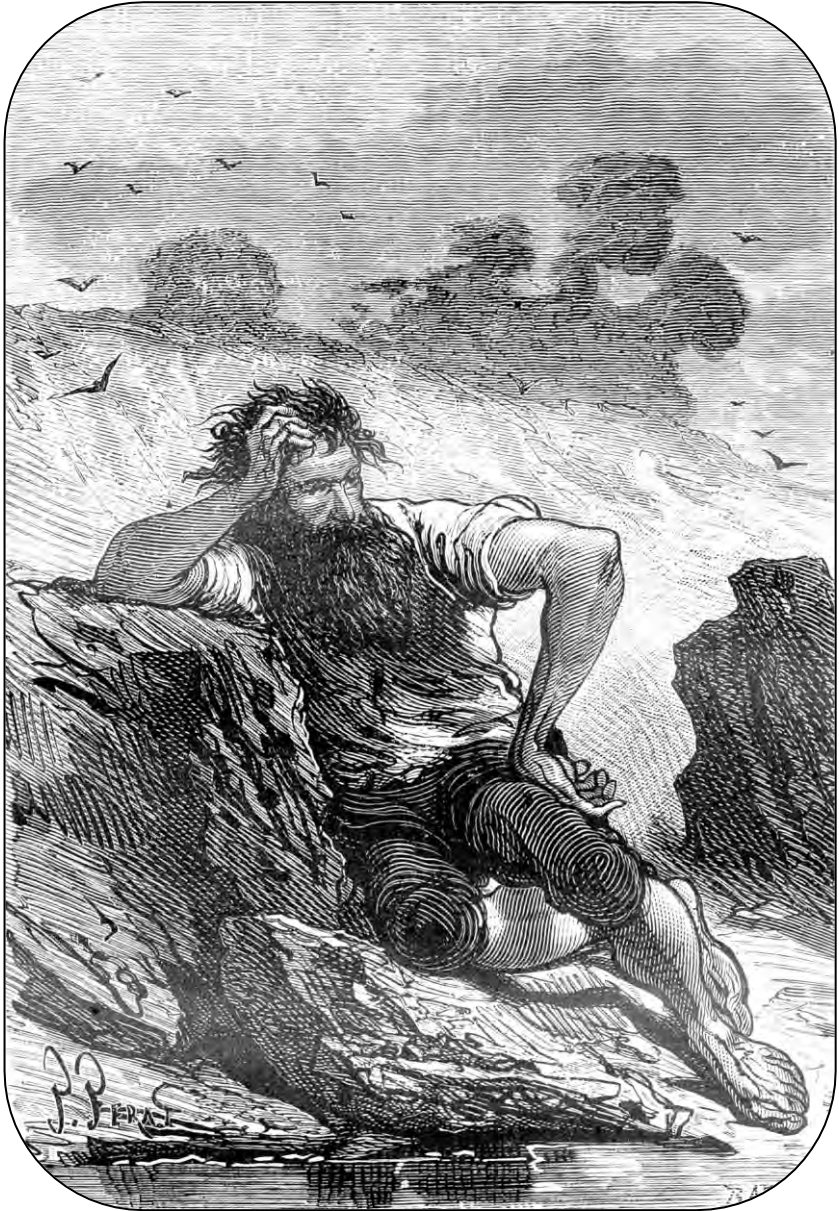
– Towarzyszu – powiedział do niego – jesteśmy dla pana nie tylko towarzyszami, lecz także przyjaciółmi. Chciałem to panu powiedzieć, a teraz słucham.

Nieznamy przesunął dłonią po oczach. Ogarnęło go coś w rodzaju drżenia i przez chwilę stał, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

– Panie – rzekł wreszcie – przyszedłem prosić pana o wyświadczenie mi łaski.

– Jakiej?

– Cztery czy pięć mil stąd, u stóp góry, macie *corral* dla zwierząt domowych. Te zwierzęta wymagają pielęgnowania. Czy pozwoliliby mi pan mieszkać tam z nimi?



Tymczasem nieznajomy ani razu nie przyszedł, by obejrzeć swój nowy dom.

Cyrus Smith patrzył na niego dłuższą chwilę z wyrazem głębokiego współczucia. Następnie odparł:

– Mój przyjacielu, w *corralu* są tylko szopy, zaledwie odpowiednie dla zwierząt...

– Panie, dla mnie będą wystarczająco dobre.

– Mój przyjacielu – podjął Cyrus Smith – w niczym się panu nie sprzeciwiemy. Podoba się panu żyć w *corralu*? Zgoda. Zresztą zawsze będzie pan mile widziany w Granitowym Pałacu. Skoro jednak chce pan żyć w *corralu*, podejmiemy odpowiednie kroki, żeby było tam panu wygodnie.

– Mniejsza z tym, i tak będzie mi tam dobrze.

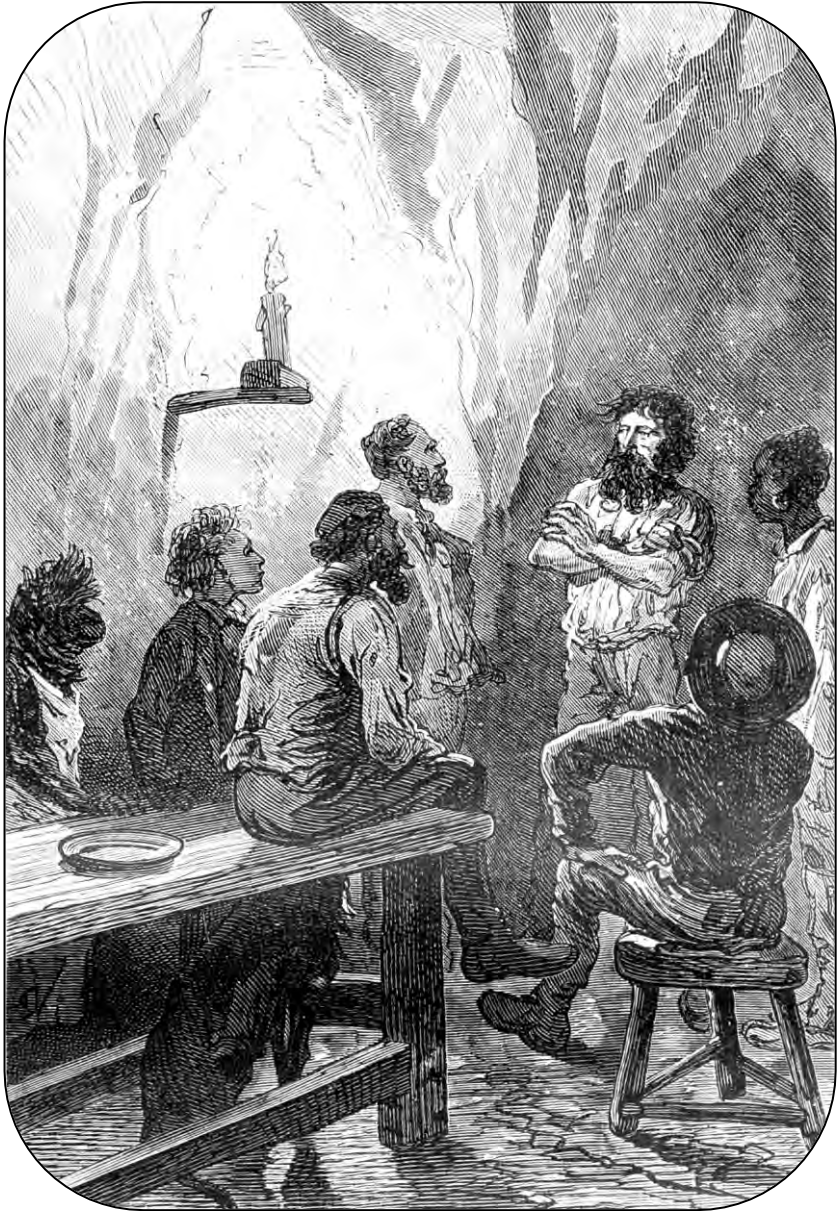
– Mój przyjacielu – odparł Cyrus Smith, który umyślnie kładł nacisk na to serdeczne określenie – niech pan nam pozwoli, że sami osądzimy, co mamy zrobić w tej kwestii!

– Dziękuję, panie – odparł nieznajomy i odszedł.

Inżynier czym prędzej podzielił się z pozostałymi towarzyszami propozycją, jaka została mu złożona. Zadecydowano, że w obrębie *corralu* zbudują drewniany domek, który urządzią tak wygodnie, jak to będzie możliwe.

Jeszcze tego samego dnia koloniści udali się do *corralu* z niezbędnymi narzędziami i w niespełna tydzień później domek był gotowy na przyjęcie swego gospodarza. Wzniesiono go około dwudziestu kroków od szop, skąd z łatwością można było doglądać stada muflonów, liczącego już ponad osiemdziesiąt głów. Wykonano jeszcze kilka mebli: łóżko, stół, ławę, szafę, kufer i wszystko to przewieziono do *corralu* razem z bronią, amunicją i narzędziami.

Tymczasem nieznajomy ani razu nie przyszedł, by obejrzeć swój nowy dom, i pozwolił, aby koloniści pracowali bez niego, a sam zajmował się robotami na płaskowyżu, niewątpliwie pragnąc je dokończyć. Rzeczywiście, dzięki niemu zagony były przekopane, gotowe do zasiania, gdy nadejdzie odpowiednia pora.



Nie miał nakrycia głowy, ręce skrzyżował na piersiach,
i w takiej postawie mówił stłumionym głosem.

Dwudziestego grudnia urządzenie domku w *corralu* dobiegło końca. Inżynier oznajmił nieznajomemu, że jego nowa siedziba jest gotowa na jego przyjęcie, a ten odrzekł, że jeszcze tego wieczora uda się tam na spoczynek.

Tego dnia wieczorem koloniści zebrali się w dużej sali Granitowego Pałacu. Była wówczas ósma, godzina, o której ich towarzyszy miał ich opuścić. Nie chcąc zmuszać go swą obecnością do pożegnań, które być może byłyby dla niego trudne, zostawili go samego i wrócili do Granitowego Pałacu.

Gawędzili już dłuższą chwilę, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Niemal natychmiast stanął w nich nieznajomy i bez żadnego wstępu powiedział:

– Panowie, zanim was opuszczę, dobrze będzie, byście poznali moją historię. Oto ona.

Te proste słowa wywarły na Cyrusie Smisie i jego towarzyszach duże wrażenie.

Inżynier wstał.

– Niczego od pana nie żądamy, mój przyjacielu – powiedział. – Ma pan prawo zachować milczenie...

– Moim obowiązkiem jest opowiedzieć.

– Zatem niech pan usiądzie.

– Postoję.

– Jesteśmy gotowi pana wysłuchać – zadeklarował Cyrus Smith.

Nieznajomy stał w kącie sali, kryjąc się nieco w półmroku. Nie miał nakrycia głowy, ręce skrzyżował na piersiach, i w takiej postawie mówił stłumionym głosem, jak człowiek zmuszający się do wypowiedzania słów, których towarzysze słuchali, nie przerywając mu ani razu.

– Dwudziestego grudnia 1854 roku parowy jacht „Duncan” należący do szkockiego *lairda*¹, lorda Glenarvana, rzucił kotwicę

¹ *Laird* (ang.) – dziedzic, właściciel ziemski.

przy Przylądku Bernouilliego, na zachodnim wybrzeżu Australii¹, na wysokości trzydziestego siódmego równoleżnika. Na pokładzie jachtu znajdowali się: lord Glenarvan, jego żona, major armii angielskiej, francuski geograf oraz młoda dziewczyna i mały chłopiec. Tych dwoje ostatnich było dziećmi kapitana Granta, którego statek „Britannia” zatonął rok wcześniej wraz z ludźmi i ładunkiem. „Duncanem” dowodził kapitan John Mangles, a załoga składała się z piętnastu ludzi.

A oto dlaczego ów jacht znajdował się wówczas u wybrzeży Australii.

Sześć miesięcy wcześniej na Morzu Irlandzkim została znaleziona i wyciągnięta przez załogę „Duncana” butelka, zawierająca dokument sporządzony po angielsku, po niemiecku i po francusku. Z treści dokumentu wynikało, że z katastrofy „Britannii” pozostały przy życiu trzy osoby i że tymi, którzy ocalili, byli kapitan Grant i dwóch jego ludzi, oraz że znaleźli oni schronienie na łądzie, którego szerokość geograficzna została podana w dokumencie, ale długość geograficzna, rozmyta przez wodę, była nieczytelna.

Owa szerokość geograficzna południowa wynosiła 37° 11'. Otóż, skoro nieznaną była długość geograficzna, należało szukać wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika poprzez lądy i morza, żeby być pewnym, iż dotrze się do ziemi, na której przebywał kapitan Grant i jego dwaj towarzysze.

Admiralicja angielska wahała się z podjęciem tych poszukiwań, więc lord Glenarvan postanowił za wszelką cenę odnaleźć

¹ Dwudziestego grudnia 1854 roku – według *Dzieci kapitana Granta* to zdarzenie miało miejsce 20 grudnia 1864 roku; ta dziesięcioletnia niezgodność czasowa w trylogii J. Verne’a jest różnie interpretowana, ale wydaje się, że pisarz wprowadził ją specjalnie, aby dać Ayrtonowi czas na odpokutowanie grzechów przed przybyciem lorda Glenarvana; *Przylądek Bernouilliego* – obecnie przylądek Jaffa, położony u południowych (nie zachodnich) wybrzeży Australii.

kapitana. Mary i Robert Grantowie nawiązali z nim kontakt. Jacht „Duncan” został wyposażony na długą wyprawę, w której pragnęła wziąć udział rodzina lorda i dzieci kapitana. Opuszczając Glasgow, „Duncan” skierował się w stronę Atlantyku, przepłynął przez Cieśninę Magellana i ruszył na północ Pacyfiku aż do Patagonii¹, gdzie zgodnie z pierwszą interpretacją dokumentu można było się spodziewać, że kapitan Grant był więziony przez tubylców.

„Duncan” wysadził pasażerów na zachodnim wybrzeżu Patagonii i odpłynął, by później zabrać ich na wschodnim wybrzeżu, przy przylądku Corrientes².

Lord Glenarvan przemierzył Patagonię wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, i nie znalazłszy żadnego śladu kapitana Granta, ponownie wsiadł na swój jacht trzynastego listopada, by kontynuować poszukiwania na oceanie.

Po bezowocnym postoju na wyspach Tristan da Cunha i Amsterdam³, położonych na jego trasie, „Duncan”, jak już wspo-

¹ *Cieśnina Magellana* – cieśnina pomiędzy południowym skrajem Ameryki Południowej a Ziemią Ognistą, łączy Ocean Atlantycki ze Spokojnym, ok. 570 km długości i najmniejszej szerokości 2 km, ważny szlak żeglugowy; *Patagonia* – kraina geograficzna w południowej części Ameryki Południowej, położona na terenie Argentyny i Chile.

² *Przylądek Corrientes* (hiszp. Cabo Corrientes, Przylądek Prądów) – przylądek na atlantyckim wybrzeżu Argentyny, w pobliżu miasta Mar del Plata, położony na 38° 01' szerokości południowej.

³ *Tristan da Cunha* – archipelag sześciu wysp wulkanicznych w południowej części Oceanu Atlantyckiego; główna wyspa, Tristan da Cunha, jest jedną z najbardziej odosobnionych zamieszkałych wysp na świecie; najbliższym sąsiedztwem są położona 2420 km na północ Wyspa Świętej Heleny, wraz z którą Tristan da Cunha wchodzi w skład kolonii Wyspa Świętej Heleny, Wyspa Wniebowstąpienia i Tristan da Cunha (do 2009 ze statusem dependencji), oraz położony 2800 km na wschód Kapsztad; *wyspa Amsterdam* – wyspa położona na południowym Oceanie Indyjskim, należąca do Francji i będąca częścią Francuskich Terytoriów Południowych i Antarktycznych; razem z mniejszą, położoną 85 km na południe Wyspą Świętego Pawła tworzy dystrykt Święty Paweł i Amsterdam (fr. *Saint-Paul-et-Amsterdam*).

niałem, dotarł dwudziestego grudnia 1854 roku do Przylądka Bernouilliego na wybrzeżu australijskim.

Zamiarem lorda Glenarvana było przemierzenie Australii, tak jak wcześniej Ameryki, zszedł więc na ląd. Kilka mil od brzegu znajdowała się farma należąca do pewnego Irlandczyka, który zaofiarował podróżnikom gościnę. Lord Glenarvan przedstawił Irlandczykowi przyczyny, z powodu których znalazł się w tej okolicy, i zapytał, czy wiadomo mu o tym, że angielski trójmasztowiec „Britannia” rozbił się przed niespełna dwoma laty na zachodnim wybrzeżu Australii.

Irlandczyk nigdy wcześniej nie słyszał, żeby coś mówiono o tej katastrofie, ale ku wielkiemu zdumieniu obecnych, do rozmowy wtrącił się jeden ze służących Irlandczyka, mówiąc:

„Milordzie¹, niech pan dziękuje Bogu i chwali Go. Jeśli kapitan Grant jest jeszcze przy życiu, to znajdzie go pan na ziemi australijskiej.

– Kim pan jest? – spytał lord Glenarvan.

– Szkotem, jak pan, milordzie – odparł ów człowiek. – Jestem jednym z towarzyszy kapitana Granta, jednym z rozbitków z »Britannii«”.

Człowiek ów nazywał się Ayrton. Rzeczywiście był bosmanem na „Britannii”, jak o tym świadczyły przedstawione przez niego dokumenty. Oddzielony od kapitana Granta w chwili, gdy statek roztrzaskiwał się na rafach, aż do tej pory był przekonany, że jego kapitan zginął razem z całą załogą, i że tylko on, Ayrton, jako jedyny ocalał z katastrofy.

– Z tym – dodał – że „Britannia” nie zatонуła na zachodnim, lecz na wschodnim wybrzeżu Australii, więc jeśli kapitan Grant jeszcze żyje, jak na to wskazuje dokument, jest więźniem australijskich tubylców i trzeba go szukać na przeciwległym wybrzeżu.

¹ *Milord* – tytuł grzecznościowy stosowany wobec arystokratów angielskich.

Gdy to mówił, w jego głosie brzmiała szczerłość, a spojrzenie wyrażało pewność siebie. Nie można było wątpić w jego słowa. Ręczył za niego Irlandczyk, u którego służył już od ponad roku. Lord Glenarvan uwierzył w uczciwość tego człowieka i idąc za jego radą, postanowił przejść przez Australię wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Lord Glenarvan, jego żona i dwójka dzieci, major, Francuz, kapitan Mangles oraz kilku marynarzy miało stanowić małą gromadkę prowadzoną przez Ayrtona. W tym czasie „Duncan”, pod dowództwem Drugiego¹, Toma Austina, miał się udać do Melbourne i tam czekać na instrukcje lorda Glenarvana.

Wyruszyli dwudziestego trzeciego grudnia 1854 roku.

Najwyższy czas powiedzieć, że ten Ayrton był zdrajcą. Rzeczywiście był swego czasu bosmanem na „Britannii”, lecz w następstwie kłótni z kapitanem próbował pociągnąć za sobą załogę do buntu i przejąć statek. Kapitan Grant wysadził go ósmego kwietnia 1852 roku na zachodnim wybrzeżu Australii i odpłynął, porzuciwszy go tam, co było sprawiedliwym postępowaniem.

Tak więc ten nędznik nic nie wiedział o katastrofie „Britannii”. Dowiedział się o niej dopiero z opowieści Glenarvana! Od chwili porzucenia został, pod nazwiskiem Ben Joyce, przywódcą zbiegłych skazańców, a jeśli bezczelnie utrzymywał, że do katastrofy doszło na wschodnim wybrzeżu, jeżeli namawiał lorda Glenarvana, by udał się w tym kierunku, to dlatego, że miał nadzieję odciągnąć go od statku, zawładnąć „Duncanem” i uczynić z tego jachtu piracki okręt na Pacyfiku.

W tym miejscu nieznajomy przerwał na chwilę. Jego głos drżał, ale dalej ciągnął swą opowieść.

– Ekspedycja wyruszyła w drogę przez australijską ziemię. Naturalnie była to nieszczęsna wyprawa, skoro Ayrton, czy też

¹ *Drugi* – zastępca kapitana, który na statku jest „pierwszym po Bogu”.

Ben Joyce, jeśli tak wolicie go nazywać, nią kierował, czy to wyprzedzany przez bandę skazańców, czy też poprzedzając owych złoczyńców, którzy znali zdradzieckie plany swojego przywódcy.

Tymczasem „Duncan” został odesłany do Melbourne, by tam dokonano na nim napraw. Teraz chodziło o to, żeby skłonić lorda Glenarvana do wydania jachtowi rozkazu opuszczenia Melbourne i udania się na wschodnie wybrzeże Australii, gdzie łatwo byłoby go przejąć. Doprowadziwszy wyprawę w pobliże owego wybrzeża, tak że znalazła się ona wśród gęstych lasów, gdzie wszystkiego brakowało, Ayrton otrzymał od lorda list, który zobowiązał się doręczyć zastępcy kapitana na „Duncanie”. W liście tym lord rozkazywał, żeby jacht udał się natychmiast na wschodnie wybrzeże, do Zatoki Twofold¹, to znaczy kilka dni drogi od miejsca, gdzie zatrzymała się ekspedycja. Tam też Ayrton zamierzał się spotkać ze swymi współnikami.

Jednak w chwili, gdy ów list miał mu zostać przekazany, zdrajca został zdemaskowany i nie pozostawało mu nic innego jak uciec. Postanowił jednak za wszelką cenę zdobyć owo pismo, dzięki któremu miał szansę zawładnąć „Duncanem”. Ayrtonowi udało się w końcu wydrzeć list i po dwóch dniach podróży dotarł do Melbourne.

Aż do tej chwili udawało mu się realizować swoje ohydne plany. Mógł poprowadzić „Duncana” do Zatoki Twofold, gdzie jego kompani z łatwością by nim zawładnęli, a po wymordowaniu załogi Ben Joyce stałby się panem tych mórz... Jednakże Bóg pokrzyżował jego nikczemne zamysły.

Ayrton, przybywszy do Melbourne, przekazał list pierwszemu oficerowi Tomowi Austinowi, który zapoznał się z jego

¹ *Zatoka Twofold* (Zatoka Dwoch Zatok) – zatoka nazywana na współczesnych mapach Zatoką Towamba.

treścią, natychmiast przygotował statek do odpłynięcia. Jakież jednak było rozczarowanie i wściekłość Ayrtona, gdy nazajutrz okazało się, że Drugi prowadzi statek nie na wschodnie wybrzeże Australii, do Zatoki Twofold, lecz na wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii. Chciał się temu sprzeciwić, lecz Austin pokazał mu list...! Rzeczywiście, przez opatrnościową pomyłkę francuskiego geografa, który redagował owo pismo, jako miejsce przeznaczenia zostało wskazane wschodnie wybrzeże Nowej Zelandii.

Wszystkie plany Ayrtona spełzły na niczym! Zaczął się buntować. Zamknięto go. Został więc zabrany na wybrzeże Nowej Zelandii, nie mając pojęcia, co się dzieje z jego kompanami ani z lordem Glenarvanem.

„Duncan” krążył po wodach przybrzeżnych aż do trzeciego marca. Tego dnia Ayrton usłyszał huk. To strzelały działa „Duncana”¹ i wkrótce na pokładzie znaleźli się lord Glenarvan oraz pozostali członkowie wyprawy.

Oto co się wydarzyło.

Po tysiącach wysiłków, tysiącach niebezpieczeństw, lord Glenarvan zdołał ukończyć swą podróż i dotarł na wschodnie wybrzeże Australii, do Zatoki Twofold, ale nie było tam „Duncana”! Zatelegraował do Melbourne. Odpowiedziano mu: „»Duncan« odpłynął osiemnastego bieżącego miesiąca w nieznanym kierunku”.

Lord Glenarvan mógł pomyśleć tylko jedno: porządny jacht wpadł w ręce Bena Joyce’a i stał się statkiem pirackim!

Jednakże lord Glenarvan nie zamierzał zrezygnować ze swego zobowiązania. Był człowiekiem nieustraszoną i wspaniałomyślnym. Wsiadł na pokład statku handlowego i kazał się zawieźć na zachodnie wybrzeże Nowej Zelandii, przeszedł ją

¹ „Duncan” miał tylko jedno działko na przednim pomoście.

wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika, nie znajdując żadnych śladów kapitana Granta, lecz ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, za wolą boską, odnalazł po drugiej stronie „Duncana” pod dowództwem Drugiego, który czekał na niego od pięciu tygodni!

Było to trzeciego marca 1855 roku. Lord Glenarvan wrócił więc na pokład „Duncana”, lecz Ayrton również tam był. Stawił się przed lordem, który zamierzał wyciągnąć od niego wszystko, co bandyta mógł wiedzieć na temat kapitana Granta. Ayrton odmówił zeznań. Lord Glenarvan powiedział mu, że na pierwszym postoju odda go władzom angielskim. Ayrton uparcie milczał.

„Duncan” kontynuował swoją podróż wzdłuż trzydziestego siódmego równoleżnika. Tymczasem lady Glenarvan postanowiła przełamać opór bandyty. Wreszcie pod jej wpływem Ayrton zaproponował lordowi Glenarvanowi, żeby ten w zamian za jego zeznania wysadził go na jednej z wysp Pacyfiku, zamiast oddawać w ręce władz angielskich. Lord Glenarvan, zdecydowany na wszystko, byle tylko uzyskać informacje dotyczące kapitana Granta, zgodził się na to.

Ayrton opowiedział mu wówczas całe swe życie, lecz wciąż twierdził uparcie, że nic nie wie o losach kapitana Granta od chwili, gdy ten wysadził go na australijskim wybrzeżu.

Mimo to lord Glenarvan dotrzymał danego mu słowa. „Duncan” kontynuował swoją wyprawę i dotarł do wyspy Tabor. Tam miał zostać wysadzony Ayrton i właśnie w tym miejscu cudownym zrządzeniem losu odnaleziono kapitana Granta i jego dwóch ludzi, dokładnie na trzydziestym siódmym równoleżniku. Skazaniec miał więc ich zastąpić na tej bezludnej wysepce. W chwili gdy miał już opuścić pokład jachtu, lord Glenarvan wyrzekł te oto słowa:

„– Tutaj, Ayrton, będziesz przebywał z dala od jakiegokolwiek lądu, bez możliwości porozumienia się z bliźnimi. Nie zdołasz uciec z wysepki, na której pozostawi cię »Duncan«. Będziesz sam, pod okiem Boga, który czyta w najtajniejszych zakamarkach serca, lecz nie będziesz ani zaginiony, ani zapomniany, jak to było z kapitanem Grantem. Chociaż niegodzien ludzkiej pamięci, będziesz w niej zachowany. Ja wiem, gdzie jesteś, Ayrton, wiem, gdzie cię szukać. Nigdy o tobie nie zapomnę!”.

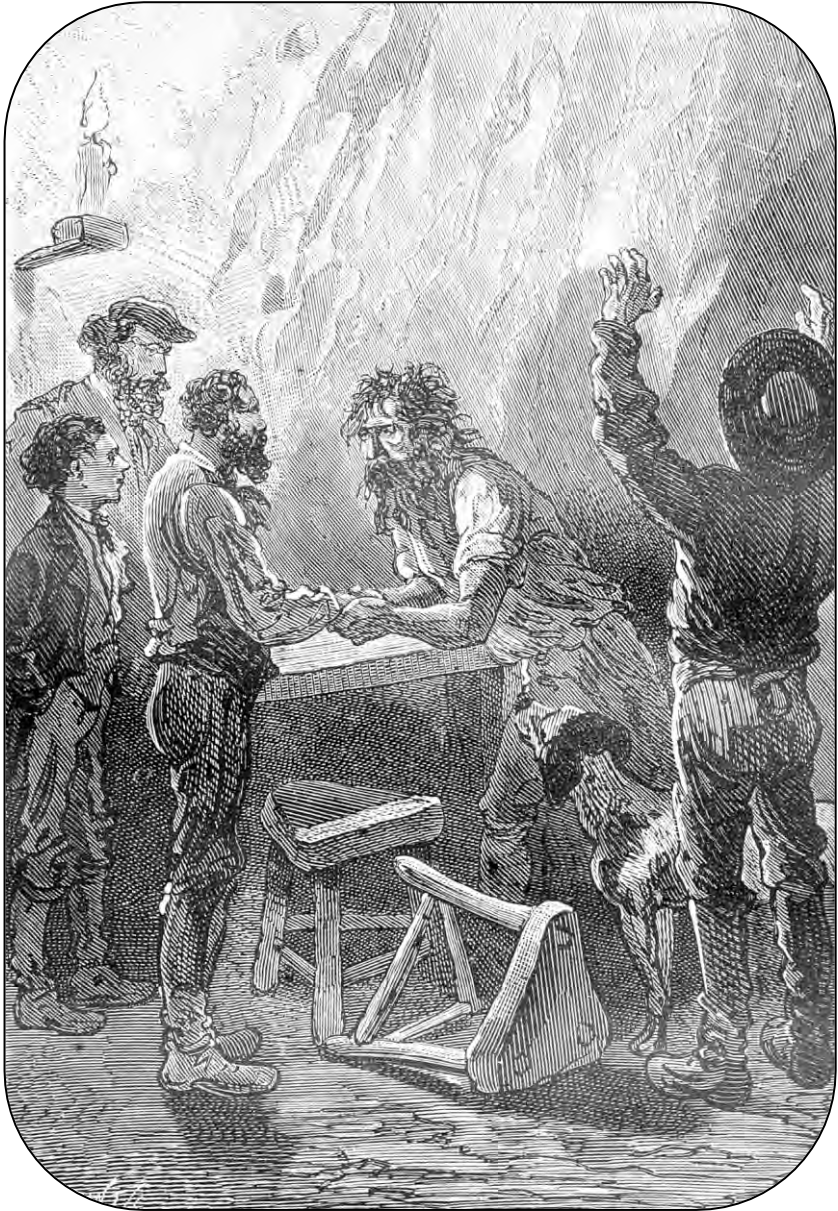
„Duncan” podniósł kotwicę i wkrótce zniknął za horyzontem. Było to osiemnastego marca 1855 roku.

Ayrton został sam, lecz nie brakowało mu ani amunicji, ani broni, ani narzędzi, ani nasion. On, skazaniec, miał do swojej dyspozycji domek zbudowany przez przyzwoitego kapitana Granta. Miał żyć i w samotności odpokutować za zbrodnie, jakie popełnił.

Panowie, on żałował, wstydził się swych zbrodni i był bardzo nieszczęśliwy! Mówił sobie, że jeśli pewnego dnia ktoś po niego przyplynie, żeby zabrać go z tej wysepki, musi być godzinę tego, żeby powrócić między ludzi! Jakże ten nędznik cierpiał! Jak ciężko pracował, żeby poprzez pracę stać się innym człowiekiem! Jakże się modlił, pragnąc przez modlitwę odrodzić się moralnie!

Tak było przez dwa lata, trzy lata; Ayrton, przygnębiony odosobnieniem, spoglądając bezustannie, czy jakiś statek nie pojawia się na widnokręgu jego wysepki, zastanawiając się, czy niebawem dopełni się czas pokuty, cierpiał tak, jak nigdy nikt nie cierpiał! Ach, jakże okrutna jest samotność dla duszy, którą gryzą wyrzuty sumienia!

Najwyraźniej jednak Opatrzność nie dość jeszcze ukarała nieszczęśnika, gdyż powoli zaczął sobie zdawać sprawę, że staje



– Oto moja dłoń! – powiedział inżynier.

się dzikusiem! Czuł, jak zwolna ogarnia go otępienie! Nie może wam powiedzieć, czy stało się to dwa czy cztery lata po porzuceniu, lecz w końcu zmienił się w ową nędzną istotę, którą znaleźliście! Panowie, nie muszę dodawać, że Ayrton, Ben Joyce i ja – to jedna, ta sama osoba!

Gdy opowieść dobiegała końca, Cyrus Smith i jego towarzysze wstali. Trudno wyrazić, do jakiego stopnia byli wzruszeni! Tyle nieszczęścia, tyle bólu i rozpaczycy ukazało się przed ich oczami!

– Ayrton – odezwał się Cyrus Smith – był pan zbrodniarzem, lecz Bóg niewątpliwie musiał uznać, że już odpokutował pan swoje zbrodnie! Dowiódł tego, sprowadzając pana ponownie do grona bliźnich. Wybaczone panu, Ayrton. A teraz, czy zechce pan zostać naszym towarzyszem?

Ayrton się cofnął.

– Oto moja dłoń! – powiedział inżynier.

Ayrton pospiesznie uchwycił tę dłoń, którą wyciągnął doń Cyrus Smith, a z jego oczu popłynęły wielkie łzy.

– Zechce pan żyć razem z nami? – spytał Cyrus Smith.

– Panie Smith, proszę mi dać jeszcze trochę czasu – odparł Ayrton – i pozwolić zostać samemu w domku w *corralu*!

– Jak pan sobie życzy, Ayrton – odparł Cyrus Smith.

Ayrton już miał odejść, kiedy inżynier skierował do niego ostatnie pytanie:

– Jeszcze słówko, przyjacielu. Skoro miał pan zamiar żyć w odosobnieniu, dlaczego rzucił pan do morza ów dokument, który naprowadził nas na pański ślad?

– Dokument? – zdziwił się Ayrton, który sprawiał wrażenie, jakby nie miał pojęcia, o czym mowa.

– Tak, dokument zamknięty w butelce, którą znaleźliśmy, podający dokładne współrzędne wyspy Tabor!

Ayrton przesunął ręką po czole, a długiej chwili zastanowienia odparł:

- Nigdy nie wrzuciłem do morza żadnego dokumentu!
- Nigdy?! – wykrzyknął Pencroff.
- Nigdy!

Rzekłszy to, Ayrton uklonił się, wycofał ku drzwiom i odszedł.



Rozdział XVIII

Rozmowa – Cyrus Smith i Gedeon Spilett – Pomysł inżyniera
– Elektryczny telegraf – Druty – Bateria – Alfabet – Lato
– Pomyślność kolonii – Fotografia – Efekt śniegu – Dwa lata
na Wyspie Lincolna

Biedny człowiek! – rzekł Harbert, który pobiegł do drzwi, lecz po chwili wrócił, zobaczywszy uprzednio, że Ayrton ześlizguje się po sznurze od windy i znika w ciemnościach.

– Wróci – powiedział Cyrus Smith.

– Ach, panie Cyrusie! – zawołał Pencroff – Cóż to wszystko znaczy? Jak to? To nie Ayrton wrzucił butelkę do morza? W takim razie kto?

Z całą pewnością, jeśli miało zostać postawione takie pytanie, to właśnie w tej chwili!

– To musiał być on – rzekł Nab – ale biedak z pewnością był na wpół obłąkany.

– Tak! – poparł go Harbert. – Nie był już świadomy tego, co czyni.

– Tylko w ten sposób można to wytłumaczyć, moi przyjaciele – odparł szybko Cyrus Smith – i teraz rozumiem, czemu Ayrton umiał podać dokładne położenie wyspy Tabor: poznał je jeszcze w okresie poprzedzającym jego pojawienie się na wyspie.

– Mimo wszystko – zauważył Pencroff – jeśli nie był jeszcze całkiem zdziczały w chwili redagowania dokumentu, który musiałby w takim razie wrzucić do morza jakieś siedem czy osiem lat temu, jakim cudem ten papier nie przesiąknął wilgocią?

– Dowodzi to – odparł Cyrus Smith – że Ayrton stracił rozum znacznie później, niż sam sądzi.

– Musiało tak być – rzekł Pencroff – gdyż inaczej byłoby to zupełnie niewytłumaczalne.

– Faktycznie, nie do wyjaśnienia – przyznał inżynier, który najwyraźniej nie chciał przedłużać tej rozmowy.

– Tylko czy Ayrton powiedział prawdę? – zastanawiał się Pencroff.

– Tak – stwierdził reporter. – Historia, którą opowiedział, jest prawdziwa w każdym szczególe. Przypominam sobie, jak gazety pisały o działaniach podjętych przez lorda Glenarvana i ich rezultacie.

– Ayrton mówił prawdę – dodał Cyrus Smith – proszę w to nie wątpić, Pencroff, gdyż była ona dla niego zbyt okrutna. Prawdę mówi ten, kto się w taki sposób oskarża!

Następnego dnia, dwudziestego pierwszego grudnia, koloniści zeszli na wybrzeże i wspiąwszy się na płaskowyż, nie zastali tam Ayrtona. Ten udał się nocą do swojego domku w *corralu* i wyspiarze uznali za stosowne nie narzucać mu swej obecności. Z pewnością czas uczyni to, czego nie były w stanie zrobić nalegania.

Harbert, Pencroff i Nab wrócili więc do swoich codziennych zajęć. Dokładnie też tego dnia Cyrus Smith i reporter pracowali wspólnie w Kominach.

– Czy zdajesz sobie sprawę, drogi Cyrusie – powiedział Gedeon Spilett – że twoje wczorajsze wyjaśnienie na temat tej butelki wcale mnie nie zadowoliło?! Jak to możliwe, że ten nieszczęśnik był w stanie napisać taki dokument i wrzucić go do morza, nie zachowawszy po tym nawet śladu wspomnienia?

– Bo też nie on ją tam wrzucił, drogi panie Spilett.

– Więc wciąż sądzisz...

– Nic nie sędzę... nic nie wiem! – odparł Cyrus Smith, przerywając reporterowi. – Zadowolam się zaliczeniem tego incydentu do tych, których do tej pory nie udało mi się wyjaśnić!

– Doprawdy, Cyrusie – powiedział Gedeon Spilett – to wszystko jest niepojęte! Pańskie ocalenie, skrzynia wyrzucona na piasek, przygody Topa, wreszcie ta butelka... czy kiedykolwiek znajdziemy rozwiązanie tych zagadek?

– Tak! – odparł żywo inżynier. – Tak, gdy tylko przekopię tę wyspę aż do jej wnętrzości!

– Może przypadek da klucz do tej tajemnicy?!

– Przypadek, Gedeonie?! Nie wierzę w przypadki, tak jak nie wierzę w tajemnice na tym świecie. Jest jakaś przyczyna tych niepojętych zdarzeń i ja odkryję tę przyczynę. Na razie jednak obserwujmy i pracujmy.

Nadszedł styczeń. Zaczynał się rok 1867. Letnie prace prowadzono systematycznie. Podczas kolejnych dni Harbert i Gedeon Spilett wybrali się w okolice *corralu* i stwierdzili, że Ayrton zamieszkał w domku, który dla niego przygotowali. Zajmował się licznym stadem powierzonym jego opiece, i tym sposobem oszczędzał towarzyszom trudu przychodzenia co dwa lub trzy dni do *corralu*. Żeby jednak nie pozostawiać go zbyt długo samego, koloniści dość często składali mu wizyty.

Nie było też bez znaczenia – biorąc pod uwagę podejrzenia, jakie żywili inżynier i Gedeon Spilett – że ta część wyspy była teraz stale pod obserwacją i że Ayrton z pewnością zawiadomiłby mieszkańców Granitowego Pałacu, gdyby coś się tam wydarzyło.

Tymczasem istniało prawdopodobieństwo, że taki incydent nastąpi nieoczekiwanie i będzie wymagał szybkiego powiadomienia inżyniera. Oprócz tego, co wiązało się z tajemnicą Wyspy Lincoln, mogło nastąpić wiele innych wydarzeń wymagających

natychmiastowej interwencji osadników: na przykład pojawienie się statku na horyzoncie widocznym z zachodniego wybrzeża, tonący u wybrzeża statek, pojawienie się piratów.

Cyrus Smith uznał zatem, że konieczna jest bezpośrednia łączność między *corralem* a Granitowym Pałacem.

Dziesiątego stycznia przedstawił swój projekt towarzyszom.

– No, no! Ale jak się pan do tego zabierze, panie Cyrusie? – spytał Pencroff. – Czy przypadkiem nie myśli pan o zainstalowaniu telegrafu?

– Dokładnie – odparł inżynier.

– Elektrycznego? – zawołał Harbert.

– Elektrycznego – oświadczył Cyrus Smith. – Posiadamy wszystkie niezbędne elementy do sporządzenia baterii, lecz najtrudniejsze będzie zrobienie drutów. Myślę jednak, że przy użyciu wyciągarki dobrze sobie poradzimy.

– Po czymś takim – powiedział marynarz – już nie tracę nadziei, że pewnego dnia zobaczę tu toczącą się koleją żelazną!

Zabrali się więc do pracy, zaczynając od rzeczy najtrudniejszej, to znaczy wyrobu drutów, bo gdyby to się nie udało, nie miało sensu składanie baterii i innych części telegrafu.

Jak wiadomo, żelazo z Wyspy Lincolnna było doskonałej jakości, a w konsekwencji świetnie nadawało się do rozciągania. Cyrus Smith zaczął od skonstruowania wyciągarki, czyli stalowej płyty, w której zostały przewiercone stożkowate otwory o różnej średnicy, przez które przeciągało się kolejno drut, żeby uzyskać odpowiednią grubość. Stalowa płyta, po zahartowaniu „na całą twardość”, jak się mawia w metalurgii, została następnie solidnie umocowana do ramy mocno wbitej w ziemię kilka stóp od wielkiego wodospadu, którego siłą napędową inżynier chciał jeszcze raz wykorzystać.

Rzeczywiście, był tam przecież wciąż zainstalowany folusz, chwilowo nieużywany, którego wał, poruszany z olbrzymią siłą, mógł posłużyć do wyciągania i nawijania drutu.

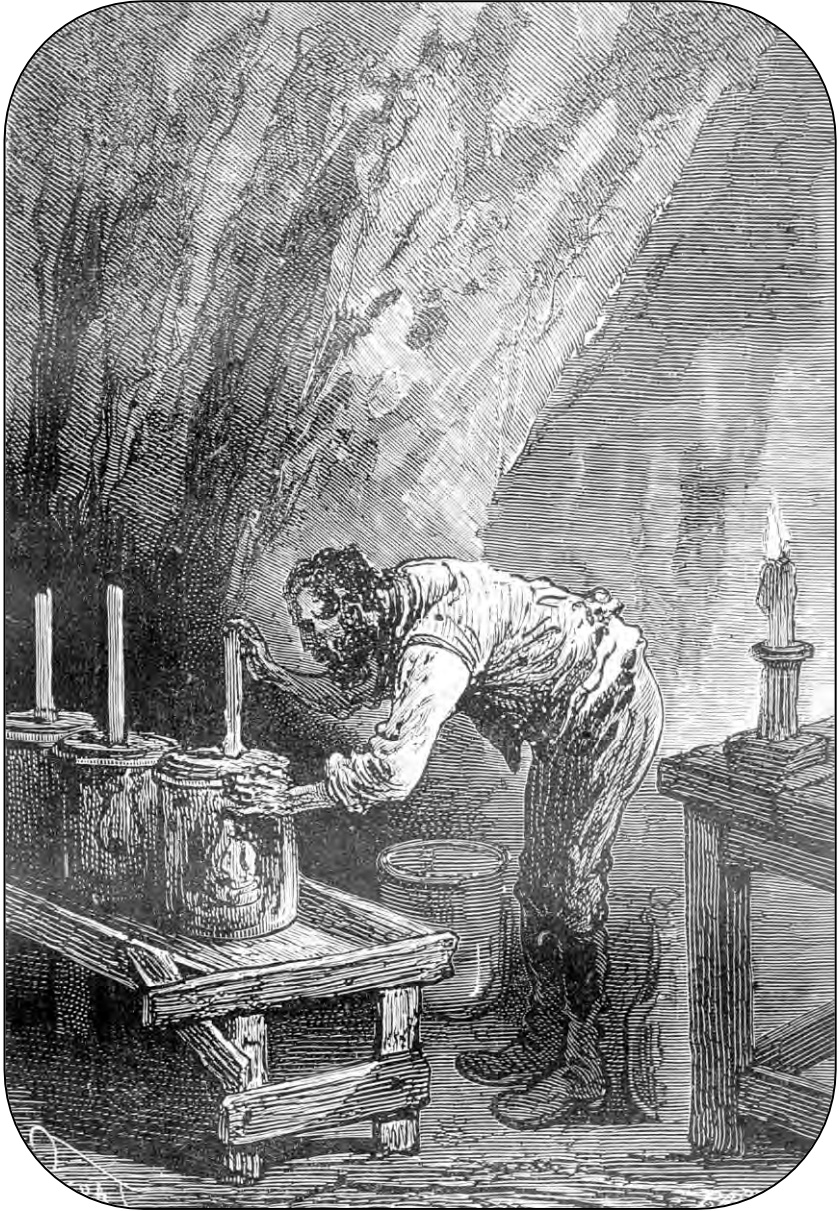
Operacja była delikatna i wymagała wielkiej uwagi. Żelazo, odpowiednio pocięte na długie i wąskie paski, których końce spiłowano tak, by wchodziły w największy otwór wyciągarki, naciągano i nawijano na wał i tym sposobem otrzymywano zwój o długości dwudziestu pięciu do trzydziestu stóp. Następnie rozwijano go i wsuwano w kolejne, coraz mniejsze otwory wyciągarki. Ostatecznie inżynier otrzymał długie na czterdzieści czy pięćdziesiąt stóp druty, które łatwo było łączyć i rozwiesić na długości pięciu mil, jaka dzieliła *corral* od Granitowego Pałacu.

By doprowadzić tę robotę do końca, potrzebowano jeszcze kilku dni. Jak tylko maszyna zaczęła działać, Cyrus Smith pozwolił swym towarzyszom wykonywać zawód „druciarzy”, a sam zabrał się do budowy baterii.

W tym przypadku chodziło o zbudowanie baterii prądu stałego. Jak wiadomo, elementy współczesnych baterii to przede wszystkim węgiel retortowy, cynk i miedź. Inżynierowi brakowało miedzi, bo mimo poszukiwań nie znalazł nawet jej śladu na Wyspie Lincoln, więc trzeba było się bez niej obejść. Węgiel retortowy, czyli twardy grafit gromadzący się w retortach gazowni przez całkowite usunięcie wodoru z rudy, można było otrzymać, instalując specjalne urządzenia, co oczywiście byłoby zbyt skomplikowane. Jeśli zaś chodzi o cynk, jak pamiętamy, znaleziona przez wyspiarzy na Cyplu Szczątka skrzynia cała była wyłożona powłoką z tego metalu, który w tym wypadku okazał się niezwykle przydatny.

Po długich rozmyślaniach Cyrus Smith postanowił wyprodukować bardzo prostą baterię, przypominającą tę, którą w roku 1820 wymyślił Becquerel¹, i w której używa się wyłącznie cyn-

¹ Antoine César *Becquerel* (1788-1878) – francuski oficer inżynierii, profesor fizyki, wybitny fizyk; w roku 1823 sformułował podstawowe prawa zjawisk termoelektrycznych, wynalazł baterię z dwoma cieczami, prowadził też prace z dziedziny elektrochemii, przewodności elektrycznej metali, elektryczności w atmosferze.



Zaczęto od wyprodukowania kilku szklanych flakoników
i wypełniono je kwasem azotowym.

ku. Pozostałe substancje zastępuje się kwasem azotowym i potasem, które były do jego dyspozycji.

Oto jak powstawała bateria, która miała działać dzięki wzajemnej reakcji kwasu i potasu.

Zaczęto od wyprodukowania kilku szklanych flakoników i wypełniono je kwasem azotowym. Inżynier zatkał je korkiem, przez który przechodziła szklana rurka zasklepią na dolnym końcu. Rurka ta miała być zanurzona w kwasie przez tampon z gliny, przymocowany płótnem. Przez górny wylot rurki wlewano roztwór potasu, otrzymany uprzednio poprzez spalenie różnych roślin. Tym sposobem kwas i potas mogły oddziaływać na siebie wzajemnie poprzez glinę.

Cyrus Smith wziął następnie dwie płytki cynku, jedną z nich zanurzył w kwasie azotowym, drugą w roztworze potasu. Natychmiast wytworzył się prąd, przechodzący po płytce z flakonika do rurki. Obie płytki połączono drutem. Płytką z rurki stała się biegunem dodatnim, płytką zaś z flakonika – ujemnym. Każdy z flakoników wytwarzał więc taką ilość prądu, że wszystkie razem powinny były wystarczyć do uruchomienia telegrafu elektrycznego.

Tak działało zmyślne i bardzo proste urządzenie, które miało pozwolić Cyrusowi Smithowi na nawiązanie łączności telegraficznej między Granitowym Pałacem a *corralem*.

Szóstego lutego zaczęto wbijać słupy zaopatrzone w szklane izolatory, na których miały zostać rozwieszane druty biegnące wzdłuż drogi do *corralu*. Kilka dni później druty były napięte i gotowe do przewodzenia z prędkością stu tysięcy kilometrów na sekundę¹ prądu elektrycznego, który ziemia miała doprowadzić z powrotem do punktu wyjścia.

¹ Obecnie wiadomo, że prędkość przepływu prądu elektrycznego wynosi 300 000 km na sekundę; w tym miejscu J. Verne jedyny raz używa jako jednostki kilometrów.

Wykonano dwie baterie, jedną do Granitowego Pałacu, drugą do *corralu*, chodziło bowiem o to, żeby nie tylko *corral* miał połączenie z Granitowym Pałacem, lecz było także przydatne, by Granitowy Pałac mógł się komunikować z *corralem*.

Jeśli chodzi o odbiornik i nadajnik, były to bardzo proste urządzenia. W obu stacjach drut nawinięto na elektromagnes, to znaczy na kawałek miękkiej stali owiniętej drutem. Gdy oba bieguny były połączone, prąd, płynąc z bieguna dodatniego, przechodził przez drut, następnie przez elektromagnes, który ulegał czasowemu namagnesowaniu, i powracał ziemią do bieguna ujemnego. Jeśli przerywano dopływ prądu, elektromagnes natychmiast się roznamagnesowywał. Wystarczyło więc umieścić przed elektromagnesem płytkę z miękkiego żelaza, która po zamknięciu obwodu była przyciągana i opadała, gdy prąd nie płynął. Po uzyskaniu takich ruchów płytki Cyrus Smith mógł teraz z łatwością doczepić igłę mocowaną do tarczy z literami alfabetu i tym sposobem porozumiewać się między obydwoma stacjami.

Całe urządzenie zostało ostatecznie zainstalowane dwunastego lutego. Tego dnia Cyrus Smith, puściwszy prąd drutem, zapytał, czy wszystko dobrze działa w *corralu*, i kilka chwil później otrzymał satysfakcjonującą go odpowiedź od Ayrtona.

Pencroff nie posiadał się wprost z radości i każdego ranka oraz każdego wieczora wysyłał do *corralu* telegram, który nigdy nie pozostał bez odpowiedzi.

Ten sposób porozumiewania się miał dwie bardzo ważne zalety. Przede wszystkim pozwalał na sprawdzenie obecności Ayrtona w *corralu*, a po drugie nie pozostawiał go w całkowitym odosobnieniu. Zresztą Cyrus Smith pilnował, żeby przynajmniej raz w tygodniu odwiedzić Ayrtona, który czasami zjawiał się w Granitowym Pałacu, gdzie zawsze był bardzo dobrze przyjmowany.

Lato mijało na zwykłych pracach. Zasoby kolonii, zwłaszcza warzyw i zboża, powiększały się z dnia na dzień, a rośliny przywiezione z wyspy Tabor doskonale się przyjęły. Płaskowyż Rozległego Widoku wyglądał bardzo obiecująco. Czwartry zbiór zboża był wprost wspaniały i jak można się domyślać, nikt już nie liczył, czy kłosa dały naprawdę plon czterystu miliardów ziarenek. Wprawdzie Pencroff miał zamiar to zrobić, lecz Cyrus Smith uświadomił mu, że jeśli nawet zdoła policzyć trzysta ziaren na minutę, czyli dziewięć tysięcy na godzinę, będzie potrzebował około pięciu tysięcy pięciuset lat¹, by tego dokonać, więc zacny marynarz musiał zrezygnować ze swego planu.

Pogoda była wspaniała, w ciągu dnia panowały upały, ale wieczorem wiatr od morza chłodził gorące powietrze i zapewniał mieszkańcom Granitowego Pałacu rześkie noce. Przeszło też kilka burz, które chociaż nie trwały zbyt długo, to jednak spadały na Wyspę Lincolna z niesamowitą siłą. Przez kilka godzin błyskawice bez przerwy rozpalały niebo i bezustannie rozbrzmiewał huk piorunów.

W tym czasie niewielkiej kolonii powodziło się doskonale. Mieszkańcy ptaszarni szybko się rozmnażali, tak że trzeba było je trzebić, żeby utrzymać ich populację w rozsądnych granicach. Świnie wydały już na świat młode i można zrozumieć, że opiekowanie się tymi zwierzętami pochłaniało znaczną część czasu Naba i Pencroffa. Onagry również dochowały się dwójki ślicznych źrebaków, a Gedeon Spilett i Harbert coraz częściej ich dosiadali. Harbert, pod okiem reportera, stał się doskonałym jeźdźcem. Często teraz zaprzęgano zwierzęta do wózka, żeby przewozić do Granitowego Pałacu drewno i węgiel lub inne minerały potrzebne inżynierowi.

¹ Błąd J. Verne'a: przy 300 ziarnach na minutę w ciągu godziny Pencroff przeliczyłby ich 18000, a całość obliczeń zajęłaby mu ok. 2530 lat; w opisanym przypadku musiałby przeliczyć ok. 140 ziaren na minutę.

W tym czasie osadnicy wyprawiali się też kilka razy w zakamarki Lasów Far Westu. Wyspiarze nie musieli się obawiać upałów w tej okolicy, gdyż promienie słońca z trudem przebiły się przez gęste gałęzie splątane nad ich głowami. W ten sposób zwiedzili cały lewy brzeg Rzeki Dziękczynienia, wzdłuż której biegła teraz droga z *corralu* do ujścia Rzeki Wodospadu.

Podczas tych wypraw koloniści dbali o to, być by dobrze uzbrojonymi, gdyż często napotykali w tych okolicach bardzo niebezpieczne i agresywne dziki, z którymi trzeba było toczyć ciężkie walki.

Wypowiedziano też w tym czasie straszną wojnę jaguaram. Gedeon Spilett darzył je wyjątkową nienawiścią, a jego uczeń Harbert wspierał go w tym uczuciu. Będąc świetnie uzbrojeni, nie obawiali się spotkania z jedną z tych bestii. Harbert wykazywał się wielką odwagą, a zimna krew reportera była zadziwiająca. Wkrótce ponad dwadzieścia wspaniałych skór ozdabiało wielką salę Granitowego Pałacu i osadnicy mieli nadzieję, że jeśli tak dalej pójdzie, niebawem rasa jaguarów zniknie z wyspy, co było celem myśliwych.

Inżynier czasami uczestniczył w wyprawach prowadzonych w nieznanymi częściami wyspy, które obserwował z nadzwyczajną uwagą. W największym gąszczu tych rozległych lasów szukał nie zwierzęcych śladów, lecz innych, nigdy jednak nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy. Ani Top, ani Jup, którzy mu towarzyszyli, nigdy nie okazywali swym zachowaniem, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Mimo to jeszcze niejedną raz pies czekał u otworu studni, którą inżynier już zbadał bez żadnego rezultatu.

Właśnie wtedy Gedeon Spilett, wspomagany przez Harberta, zrobił zdjęcia najbardziej malowniczych zakątków wyspy znalezionym w skrzyni aparatem fotograficznym, którego do tej pory nie używali.

Aparat ten, wyposażony w potężny obiektyw, miał wszystko, co potrzeba. Nie brakowało żadnych substancji niezbędnych do reprodukcji fotografii: kolodium¹ do przygotowania szklanych płytek, azotanu srebra do nadania czułości, podsiarczanu sodu do utrwalania uchwyconego obrazu, salmiaku do kąpania papieru na odbitki pozytywowe, octanu sodu i chlorku złota do impregnowania tego papieru. Były tam nawet nachlorowane już papiery i wystarczyło tylko zanurzyć je na kilka minut w wodnym roztworze azotanu srebra przed nałożeniem ich na negatywy!

Reporter i jego pomocnik wkrótce stali się wprawnymi fotografami, którzy uchwycili wiele pięknych pejzaży: panoramę wyspy z Płaskowyżu Rozległego Widoku, z widoczną na horyzoncie Górą Franklina, malowniczo obramowane wysokimi skałami ujście Rzeki Dziękczynienia, łąkę i *corral* wsparty na zboczach góry, dziwny kształt Przylądka Pazura, Cypel Szczątka i tak dalej.

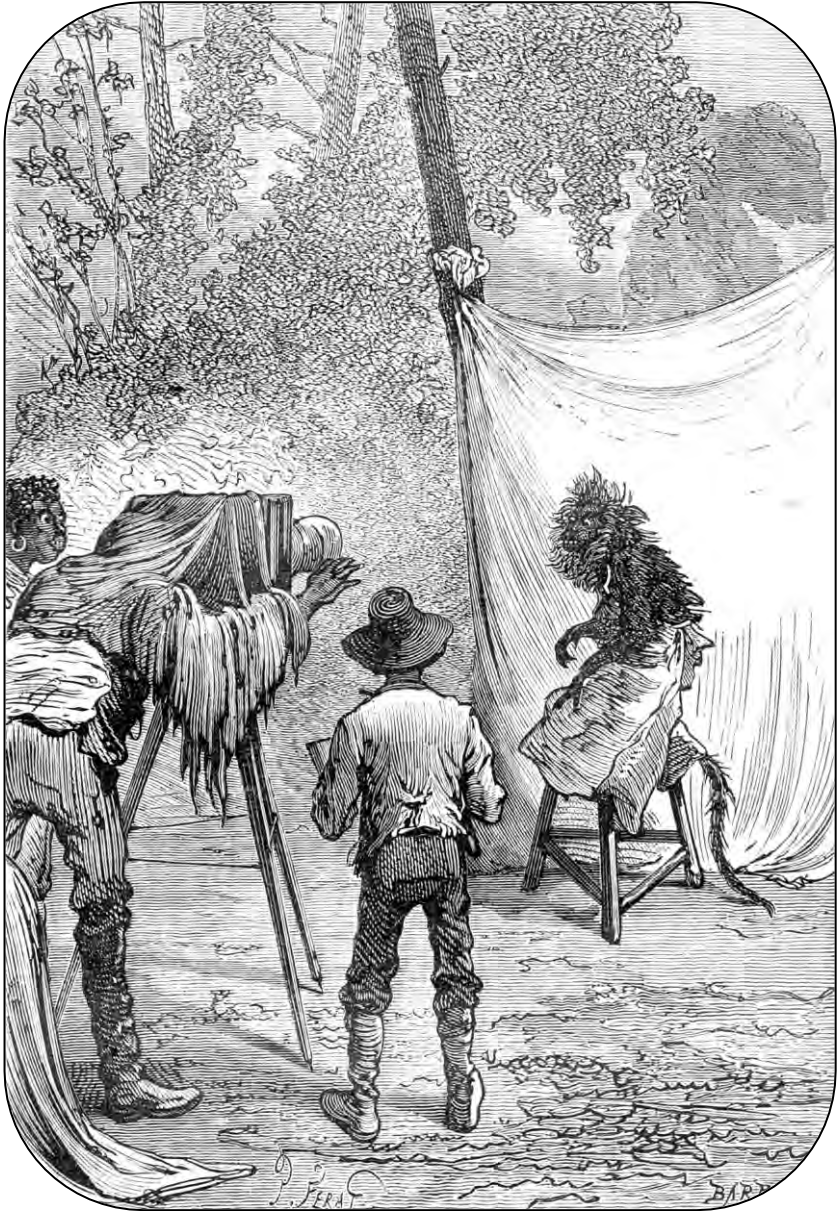
Fotografowie nie zapomnieli także zrobić portretów wszystkim mieszkańcom wyspy, nikogo nie wyłączając.

– Wyspa się zaludnia – twierdził Pencroff.

Marynarz był zachwycony swoim wiernie odtworzonym wizerunkiem zdobiącym ściany Granitowego Pałacu, i często zatrzymywał się przed tą ekspozycją, jak gdyby to była najwspanialsza witryna sklepowa na Broadwayu².

¹ *Kolodium* – roztwór nitrogliceryny w eterze dwuetylowym lub acetonie, którym pokrywano (z dodatkiem światłoczułego jodku srebra) szklaną płytę, będącą po naświetleniu negatywem fotografii; technika wynaleziona przez Fredericka Scotta Archera (według innych źródeł przez Gustave’a Le Graya i Roberta J. Bingham) w roku 1848 wyparła wcześniejszą dagerotypię; niewygodna w stosowaniu, w latach 80. XIX wieku została z kolei wyparta przez klisze bromo-żelatynowe.

² *Broadway* – główna ulica w Nowym Jorku, w dzielnicy Manhattan.



Małpa pozowała z całą powagą, niemożliwą do opisania,
a jej podobizna była jakże wymowna!

Trzeba jednak przyznać, że niezaprzeczalnie najlepiej udał się portret mistrza Jupa. Małpa pozowała z całą powagą, nie-
możliwą do opisanego, a jej podobizna była jakże wymowna!

– Można by powiedzieć, że zaraz będzie stroić miny! – wy-
krzykiwał Pencroff.

Jup musiałby być nadmiernie wymagający, żeby nie spodo-
bał mu się portret; on jednak był z niego kontent i wpatrywał
się w swą podobiznę z rozrzuwioną miną, nieco zabarwioną
próżnością.

Letnie upały skończyły się pod koniec marca. Od czasu do
czasu padało, ale nadal było dość ciepło. Marzec, który odpo-
wiada wrześnie na północnych szerokościach geograficznych,
nie był tak piękny, jak można było oczekiwać. Być może za-
powiadał wczesną i surową zimą.

Rankiem dwudziestego pierwszego marca wydawało się na-
wet, że spadł pierwszy śnieg. Istotnie bowiem Harbert, który
stał wcześniej rano w oknie Granitowego Pałacu, wykrzyknął:

– Coś takiego! Wysepkę pokrył śnieg!

– Śnieg o tej porze roku? – zdziwił się reporter, który dołą-
czył do chłopca.

Ich towarzysze także podbiegli i wszyscy mogli stwierdzić,
że nie tylko wysepka, ale i całe piaszczyste wybrzeże u podnó-
ża Granitowego Pałacu było pokryte białym puchem, jednoli-
cie usłanym na ziemi.

– To naprawdę śnieg! – stwierdził Pencroff.

– Albo coś bardzo podobnego do niego! – rzekł Nab.

– Ale termometr wskazuje pięćdziesiąt osiem stopni (czterna-
ście stopni Celsjusza powyżej zera)! – zauważył Gedeon Spilett.

Cyrus Smith przyglądał się białemu obrusowi, nie zajmując
stanowiska, gdyż doprawdy nie potrafił wyjaśnić owego feno-
menu o tej porze roku i przy takiej temperaturze.



Nim jednak orangutan dotknął ziemi, olbrzymia warstwa śniegu uniosła się i rozproszyła w powietrzu.

– Do tysiąca diabłów! – zawołał Pencroff. – Nasze uprawy zmarzną!

Marynarz szykował się już do zejścia, gdy wyprzedził go zwinny Jup, który błyskawicznie znalazł się na dole.

Nim jednak orangutan dotknął ziemi, olbrzymia warstwa śniegu uniosła się i rozproszyła w powietrzu w niepoliczalnej ilości płatków, które na kilka minut zasłoniły słońce.

– Ptaki! – zawołał Harbert.

Były to faktycznie chmury morskich ptaków o śnieżnobiałym, błyszczącym upierzeniu. Zwały się setkami tysięcy na wysepkę i wybrzeże, a potem zniknęły w oddali, pozostawiając osłupiałych kolonistów, którzy czuli się, jakby byli świadkami natychmiastowego przejścia z zimy do lata w baśniowej scenerii. Niestety zmiana była tak nagła, że ani reporter, ani chłopiec nie zdołali zabić choćby jednego z tych ptaków, a przeto nie zdołano określić do jakiego gatunku należały.

Kilka dni później, dwudziestego szóstego marca, minęły dwa lata, odkąd powietrzni rozbitkowie zostali rzućeni na Wyspę Lincoln!



Rozdział XIX

Wspomnienie ojczyzny – Szanse na przyszłość – Plan
zbadań wybrzeży wyspy – Wypłynięcie w dniu szesnastego
kwietnia – Półwysep Serpentyny widziany od strony morza
– Bazaltowe skały na zachodnim wybrzeżu – Zła pogoda
– Nadejście nocy – Nowy incydent

Już dwa lata! Od dwóch lat osadnicy nie mieli żadnego kontaktu ze swymi bliźnimi! Żyli bez nowin z cywilizowanego świata, zagubieni na tej wyspie równie gruntownie, jak gdyby znajdowali się na małej asteroidzie¹ Układu Słonecznego!

Co działo się w tym czasie w ich kraju? Obraz ojczyzny był wciąż obecny przed ich oczyma, tej ojczyzny rozdartej wojną domową, w chwili gdy ją opuszczali, i którą może nadal wykrwawiał bunt Południa! Było to dla nich bardzo bolesne i często też rozmawiali na ten temat, nigdy jednak nie wątpiąc, że racja Północy w końcu zatriumfuje ku chwale Konfederacji Amerykańskiej.

W ciągu tych dwóch lat ani jeden statek nie pojawił się na horyzoncie, a przynajmniej nigdy nie dostrzegli żadnego żagla. Oczywiście było, że Wyspa Lincolnna znajdowała się poza uczęszczanymi szlakami i wciąż była nieznana, co potwierdzały mapy. W pobliżu nie było żadnego portu, toteż do jej brzegów powinny przybijać statki pragnące uzupełnić zapasy wody, a tymczasem otaczające ją morze było zawsze puste jak okiem sięgnąć i osadnicy tylko na siebie mogli liczyć, gdyby chcieli powrócić do kraju.

¹ *Asteroidy* (planetoidy, planetki) – małe ciała niebieskie krążące dookoła Słońca, głównie w tzw. pasie planetoid, między orbitami Marsa i Jowisza; są na ogół nieregularnymi bryłami o średnicach rzędu kilometrów; niektóre mają swoje księżyce.

A przecież istniała jakaś szansa na ocalenie i o niej właśnie dyskutowano pewnego dnia w pierwszym tygodniu kwietnia, gdy koloniści zebrali się w salonie Granitowego Pałacu.

Dokładnie była mowa o Ameryce, ich rodzinnym kraju, na zobaczenie którego mieli już coraz mniejszą nadzieję.

– Jest tylko jedna możliwość opuszczenia Wyspy Lincolna – powiedział Gedeon Spilett. – Musielibyśmy zbudować duży statek, który zdołałby się utrzymać na wodzie przez kilkaset mil. Przypuszczam, że skoro udało nam się zbudować łódź, to potrafilibyśmy zbudować również statek!

– I możemy równie łatwo dopłynąć do Tuamotu, skoro dopłynęliśmy na wyspę Tabor! – stwierdził Harbert.

– Nie twierdzą, że nie – odparł Pencroff, który zawsze miał decydujący głos w kwestiach związanych z morzem – chociaż to nie wszystko jedno, czy płynie się blisko, czy daleko! Jeżeli nawet łódź była zagrożona przez sztorm podczas podróży na wyspę Tabor, to przecież wiedzieliśmy, że zarówno z jednej, jak i z drugiej strony jest nieodległy port, lecz tysiąc dwieście mil do pokonania to ładny kawał drogi, a najbliższy ląd znajduje się w takiej właśnie odległości!

– Czy mimo wszystko odważyłby się pan na taką przygodę, Pencroff? – spytał reporter.

– Podejmę się wszystkiego, co tylko pan zechce, panie Spilett – odparł marynarz – a dobrze pan wie, że nie jestem człowiekiem, który by się cofał!

– Zauważ, że wśród nas jest jeszcze jeden marynarz – wtrącił się Nab.

– Kto? – spytał Pencroff.

– Ayrton.

– Zgadza się – rzekł Harbert.

– Gdyby tylko zgodził się odpłynąć! – rzekł Pencroff.

– Też coś! – powiedział reporter. – Czy pan sądzi, że gdyby żaglowiec lorda Glenarvana pojawił się na wyspie Tabor, gdy Ayrton jeszcze tam przebywał, to on by nie chciał odpłynąć?

– Zapominacie, moi przyjaciele – odezwał się wówczas Cyrus Smith – że Ayrton stracił zmysły w ostatnich latach pobytu na wyspie. Jednak nie w tym leży problem. Powinniśmy wiedzieć, czy do szans naszego ocalenia możemy także wliczyć powrót szkockiego statku. Jak wiemy, lord Glenarvan obiecał Ayrtonowi, że przybędzie na wyspę Tabor i go z niej weźmie, gdy uzna, że dostatecznie już odpokutował za swoje zbrodnie, wierzę więc, że on powróci.

– Zgoda – rzekł reporter – i dodam, że wróci stosunkowo niedługo, gdyż mija właśnie dwanaście lat, odkąd Ayrton został tam osadzony!

– Ech – westchnął Pencroff – całkowicie się zgadzam z tym, że powróci, i to rychło. Ale dokąd? Na wyspę Tabor, a nie na Wyspę Lincolna.

– Tym bardziej jest to pewne – rzekł Harbert – że Wyspa Lincolna nawet nie jest naniesiona na mapy.

– Zatem, moi przyjaciele – ciągnął dalej inżynier – musimy podjąć niezbędne kroki, by na wyspie Tabor znalazła się informacja dotycząca naszej i Ayrtona obecności na Wyspie Lincolna.

– Oczywiście – odpowiedział reporter – i nic łatwiejszego niż pozostawić w tej chatce, która była schronieniem kapitana Granta i Ayrtona, notkę opisującą położenie naszej wyspy. Lord Glenarvan i jego załoga z pewnością jej nie przeoczą.

– To bardzo niefortunne, że zapomnieliśmy o tym środku ostrożności podczas naszej pierwszej podróży na wyspę Tabor – zauważył marynarz.

– Skąd mogliśmy wiedzieć? – odparł Harbert. – Nie znaleźliśmy wówczas historii Ayrtona, nie mieliśmy pojęcia, że ktoś kiedyś

po niego wróci, a gdy już się o tym dowiedzieliśmy, była zbyt późna pora roku, która nie pozwalała wrócić na wyspę Tabor.

– To prawda – rzekł Cyrus Smith. – Było za późno, więc musimy odłożyć tę podróż do najbliższej wiosny.

– A jeśli do tego czasu pojawi się szkocki jacht? – spytał Pencroff.

– To mało prawdopodobne – odparł inżynier – gdyż lord Glenarvan nie wybrałby zimy, by wyruszyć na tak odległe morza. Albo już powrócił na wyspę Tabor w czasie tych pięciu miesięcy, kiedy Ayrton przebywał z nami, i odpłynął, albo też przyplynie później i wtedy zdążymy udać się w pierwszych dniach października na wyspę Tabor i zostawić tam wiadomość.

– Trzeba przyznać – powiedział Nab – że byłby to prawdziwy pech, gdyby „Duncan” pojawił się na tych morzach w ciągu ostatnich miesięcy!

– Mam nadzieję, że tak się nie stało – odparł Cyrus Smith – i że Niebo nie pozbawiło nas najlepszej szansy ocalenia, jaka nam pozostała!

– Myślę – zauważył reporter – że w każdym razie będziemy wiedzieć, czego się mamy trzymać, gdy wrócimy na wyspę Tabor, ponieważ jeżeli Szkoci wrócili, z pewnością pozostawili jakieś ślady swego pobytu.

– Niewątpliwie – odparł inżynier. – Tak więc, moi przyjaciele, skoro mamy taką szansę na powrót do ojczyzny, czekajmy cierpliwie, a jeśli się okaże, że została nam odebrana, wtedy zastanowimy się, co powinniśmy zrobić.

– W każdym razie – stwierdził Pencroff – jest zrozumiałe, że jeśli w taki czy inny sposób opuścimy Wyspę Lincoln, to nie dlatego, że było nam tutaj źle!

– Istotnie, Pencroff – odparł inżynier – a jedynie dlatego, że jesteśmy z dala od tego wszystkiego, co każdy człowiek powi-

nien kochać najbardziej na świecie, to znaczy od rodziny, przyjaciół i rodzinnego kraju!

Podjęli taką decyzję i na pewien czas przestali myśleć o budowie statku wystarczająco dużego, żeby wypłynąć nim w stronę archipelagów, w kierunku północnym, czy też do Nowej Zelandii, na zachód. Powrócili do codziennych przygotowań do spędzenia trzeciej zimy w Granitowym Pałacu.

Jednakże zdecydowano, że łódź zostanie wykorzystana jeszcze przed zimą do odbycia podróży wokół wyspy. Wcześniej nie zakończono kompletnego rekonesansu wybrzeży i koloniści mieli dość mgliste wyobrażenie o północnej i zachodniej części wybrzeża, od ujścia Rzeki Wodospadu do Przylądków Szczęki, oraz o wąskiej zatoczce, która się pomiędzy nie wrzynała niczym szczeka rekina.

Plan takiej wycieczki najpierw przedstawił Pencroff, a Cyrus Smith w pełni go zaaprobował, chciał bowiem na własne oczy obejrzeć cały ten skrawek ich posiadłości.

W tym czasie pogoda była zmienna, ale barometr nie wykazywał gwałtownych wahań ciśnienia, można było więc liczyć na sprzyjające warunki. Dokładniej mówiąc, w pierwszym tygodniu kwietnia, po silnym niżu barometrycznym, nadejście wyżu zapowiedziały silne podmuchy wiatru z zachodu, które trwały pięć czy sześć dni; następnie igła instrumentu ustabilizowała się, dochodząc do dwudziestu dziewięciu cali i dziewięciu dziesiątych (759,45 milimetra), i okoliczności zdawały się sprzyjać wyprawie.

Dzień wypłynięcia został ustalony na szesnastego kwietnia i „Bonadventure”, zakotwiczony w Porcie Balonu, został odpowiednio zaopatrzony na podróż, która mogła trochę potrwać.

Cyrus Smith zawiadomił Ayrtona o planowanej ekspedycji i zaproponował mu wzięcie w niej udziału, lecz Ayrton wolał zostać na lądzie. Ustalono więc, że na czas ich nieobecności

przeniesie się do Granitowego Pałacu. Miał mu towarzyszyć mistrz Jup, który nie wyraził żadnego sprzeciwu.

Szesnastego kwietnia z samego rana wszyscy osadnicy w towarzystwie Topa wsiedli do łodzi. Wiał dość silny wiatr z południowego zachodu i „Bonadventure”, opuszczając Port Balonu, musiał halsować, by dotrzeć do Cypla Gada. Na dziewięćdziesiąt mil, jakie mierzył obwód wyspy, wybrzeże południowe, od portu do przylądka, zajmowało około dwudziestu. Owe dwadzieścia mil należało pokonać, płynąc ostro na wiatr, ponieważ wiał on prosto na dziób.

Cały dzień zajęło im dopłynięcie do przylądka, gdyż łódź po opuszczeniu portu zaledwie przez dwie godziny mogła korzystać z odpływu, a wręcz przeciwnie, przez następne sześć godzin musiała się borykać z przyływem, który bardzo utrudniał żeglugę. Gdy wreszcie minęli przylądek, zapadała noc.

Pencroff zaproponował wówczas inżynierowi, by płynąc dalej na małej prędkości, z żaglami rozwiniętymi tylko na dwa refy, jednak Cyrus Smith wolał rzucić kotwicę kilka kabli od lądu, by przyjrzeć się za dnia tej części wybrzeża. Uzgodniono nawet, że skoro celem wyprawy jest skrupulatne zbadanie brzegów wyspy, nie powinni żeglować nocą, lecz dopóki pogoda się utrzyma, po zmierzchu będą rzucać kotwicę w pobliżu lądu.

Spędzili zatem noc na kotwicowisku u krańca Cypla Gada. Wiatr ucichł i opadła mgła, nic nie zakłócało panującej ciszy. Pasażerowie, z wyjątkiem marynarza, przespali się nieco na pokładzie „Bonadventure”, może nieco gorzej niż w pokojach Granitowego Pałacu, ale jednak trochę pospali.

Nazajutrz, siedemnastego kwietnia, z nastaniem świtu Pencroff wyciągnął kotwicę i płynąc półwiatrem¹ przy lewym halsie, mógł się utrzymywać bardzo blisko zachodniego brzegu.

¹ *Półwiatr* – kurs statku przy wietrze wiejącym prostopadle do osi statku; ponieważ wiatr wiał na lewą burtę, więc płynął lewym halsiem.

Koloniści znali już to wybrzeże porośnięte wspaniałymi drzewami, skoro swego czasu już przeszli pieszo jego skrajem, ale ten widok znowu wzbudził ich nieklamany zachwyt. Płynęli wzdłuż ładu, jak się dało najbliższej, ograniczając prędkość, by móc dokładnie wszystko obejrzeć, uważając jedynie na to, by nie doprowadzić do kolizji z dryfującymi gdzieś pniami drzew. Kilkakrotnie rzucali nawet kotwicę, a Gedeon Spilett robił zdjęcia tego przepięknego nabrzeża.

Około południa „Bonadventure” dotarł do ujścia Rzeki Wodospadu. Nieco dalej na prawym jej brzegu pojawiały się drzewa, lecz rosły one tutaj znacznie rzadziej, a trzy mile dalej tworzyły jedynie niewielkie kępy pomiędzy zachodnimi zboczami góry, której nagi grzbiet schodził aż do wybrzeża.

Jakiż kontrast panował między południową i północną częścią wybrzeża! Jedna zielona i zalesiona, druga surowa i dzika. Można by powiedzieć, że to jedno z tych „żelaznych wybrzeży”, jak się mawia w niektórych krajach, a bezładnie rozrzucone skały zdawały się świadczyć o tym, że w odległych epokach geologicznych płynny bazalt uległ gwałtownej krystalizacji. Było to jedno wielkie przerażające spiętrzenie kamieni, które z pewnością przeraziłoby kolonistów, gdyby los wyrzucił ich na tę część wyspy! Będąc na Górze Franklina, nie mogli zobaczyć złowieszczego charakteru tego wybrzeża, gdyż stali zbyt wysoko, ale widziane z morza, wyglądało wyjątkowo dziwnie i było właściwie nieporównywalne z żadnym innym zakątkiem świata.

„Bonadventure” sunął wzdłuż wybrzeża w odległości około pół mili. Łatwo było zauważyć, że było ono zbudowane z różnej wielkości bloków skalnych, wysokich na dwadzieścia do trzydziestu stóp, o przeróżnych formach: walcowatych jak wieże, pryzmatycznych niczym dzwonnice, piramidalnych jak obeliski¹

¹ *Obelisk* – wysoki, zwężający się ku górze monolityczny słup kamienny w formie ostrosłupa o kwadratowej lub prostokątnej podstawie.

i stożkowatych jak fabryczne kominy. Bariera lodowa¹ mórz północnych nie była bardziej kapryśnie wzniesiona w swojej wzniosłej grozie! Tu mostki przerzucone z jednej skały na drugą, tam łuki niczym nawy² kościoła, których głębokości nie dało się ocenić; w jednym miejscu przepastne pieczary o monumentalnych sklepieniach, w innym znów taki natłok wieżyc, piramidionów³ i iglic w ilości, jakiej nie znajdzie się w żadnej gotyckiej katedrze. Wszystkie kaprysy natury, przekraczające możliwości wyobraźni ludzkiej, rysowały się na tym olbrzymim wybrzeżu, ciągnącym się na długości ośmiu czy dziewięciu mil.

Cyrus Smith i jego towarzysze przyglądali się temu ze zdziwieniem graniczącym z osłupieniem. O ile jednak oni milczeli, o tyle pies nie powstrzymywał się od głośnego szczekania, które odbijało się wielokrotnym echem od bazaltowej ściany. Inżynier zauważył nawet, że szczekanie to miało w sobie coś dziwnego i było podobne do tego, jakie wydawał przy studni w Granitowym Pałacu.

– Przybijmy do brzegu – powiedział.

„Bonadventure” podpłynął najbliżej, jak się tylko dało do skał wybrzeża. Może istniała tam jakaś grota, którą należało zbadać? Cyrus Smith nie dostrzegł jednak niczego, żadnej jaskini, nawet najmniejszego wgłębienia, które mogłoby służyć za schronienie jakiegokolwiek istocie, gdyż podnóże skał obmywały wody kipieli. Wkrótce Top przestał ujadać, a łódź ponownie oddaliła się na kilka kabli od brzegu.

¹ *Bariera lodowa* – pionowy klif stanowiący odmorską krawędź lodu szelfowego lub krawędź innego lodowca pływającego w morzu, który wystaje 2-50 m lub więcej ponad powierzchnię wody.

² *Nawa* (łac. *navis* – okręt) – część kościoła tworząca korpus, przeznaczona dla wiernych; różni się kościoły jedno- lub wielonawowe (2-7); w tych ostatnich nawy są oddzielone od siebie podporami (kolumny, filary).

³ *Piramidion* – kamienne zwieńczenie budowli w postaci małej piramidy, zasadniczo dotyczy świątyń i obelisków starożytnego Egiptu, szerzej także innych.



Harbert i Gedeon Spilett, wybrali się na dwugodzinną przechadzkę i wrócili z kilkoma wianuszkami kaczek i kszyków.

W północno-zachodniej części wyspy wybrzeże znowu stało się płaskie i piaszczyste. Kilka pojedynczych drzew rysowało się nad bagnistą ziemią, którą koloniści kiedyś już widzieli, i w przeciwieństwie do tamtej części, tak opustoszałej, tętniło tu życie miriad¹ wodnych ptaków.

Pod wieczór „Bonadventure” zakotwiczył w niewielkim zakolu wybrzeża na północy wyspy, tuż przy brzegu, gdyż morze było w tym miejscu wyjątkowo głębokie. Noc minęła spokojnie, bo wiatr ustał, można powiedzieć, wraz z ostatnimi promieniami słońca i przybrał na sile dopiero przy pierwszym brzasku.

Ponieważ z łatwością można tu było przybić do brzegu, tego ranka wyznaczeni myśliwi kolonii, to znaczy Harbert i Gedeon Spilett, wybrali się na dwugodzinną przechadzkę i wrócili z kilkoma wianuszkami kaczek i kszyków. Top dokazywał cudów, a dzięki jego gorliwości i zwinności nie utracili żadnej zestrzelonej sztuki.

O ósmej rano „Bonadventure” podniósł kotwicę i płynął bardzo szybko, kierując się w stronę Północnego Przylądka Szczęki, ponieważ miał wiatr z tyłu, który stawał się coraz silniejszy.

– Nie zdziwiłbym się – rzekł Pencroff – gdyby z zachodu nadeszła wichura. Wczoraj zachodzące słońce było bardzo czerwone, a dziś rano mamy „kocie ogony”, które nie zapowiadają nic dobrego.

Owe „kocie ogony” były pierzastymi, rozproszonymi po niebie cirrusami², które nigdy nie schodzą poniżej pięciu tysięcy stóp nad poziomem morza. Przypominają lekkie kłaczki waty, a ich obecność obwieszcza zazwyczaj zbliżające się zaburzenia atmosferyczne.

¹ *Miriada* – grecki liczebnik główny, oznaczający liczbę 10 000; używany niekiedy do określenia wielkiej liczby.

² *Cirrus* – chmura pierzasta; należy do chmur wysokich, zbudowanych z kryształków lodu; w innych swych powieściach J. Verne nazywa je „kocimi języczkami”.

– No cóż – powiedział Cyrus Smith – postawmy tyle żagli, ile się da, i poszukajmy schronienia w Zatoce Rekina. Sądzę, że „Bonadventure” będzie tam bezpieczny.

– Doskonale – odparł Pencroff. – Zresztą na północnym wybrzeżu znajdują się tylko mało interesujące wydmy.

– Nie mam nic przeciwko temu – dodał inżynier – by spędzić nie tylko noc, ale i cały jutrzejszy dzień w tej zatoce, którą należałoby skrupulatnie zbadać.

– Obawiam się, że chcąc nie chcąc będziemy do tego zmuszeni – odpowiedział Pencroff – gdyż zachodni horyzont zaczyna wyglądać groźnie. Niech pan spojrzy na chmury, jakie ołowiane!

– W każdym razie mamy dobry wiatr, by dopłynąć do Przyładka Szczęki – zauważył reporter.

– Doskonały wiatr – odparł marynarz – ale by wplynąć do zatoki, trzeba będzie halsować, a wolałbym robić to za dnia w okolicy, której nie znam!

– Wody, które muszą być usiane podwodnymi skałami – dodał Harbert – sądząc po tym, co widzieliśmy od południowej strony Zatoki Rekina.

– Pencroff – rzekł wtedy Cyrus Smith – niech pan czyni to jak najlepiej, zdajemy się na pana.

– Może pan być spokojny, panie Cyrusie, nie będę się narażał bez potrzeby! – odparł marynarz. – Wolałbym pchnięcie nożem w mój kadłub niż uderzenie skały we wnętrzości mego „Bonadventure”!

To, co Pencroff nazywał „wnętrzościami”, była to zanurzona część kadłuba łodzi, którą kochał bardziej niż własną skórę!

– Która godzina? – spytał Pencroff.

– Dziesiąta – odparł Gedeon Spilett.

– Jaką odległość musimy jeszcze pokonać, by dotrzeć do przyładka, panie Cyrusie?

– Około piętnastu mil – odpowiedział inżynier.

– To kwestia dwóch i pół godziny – stwierdził marynarz – i znajdziemy się na trawersie przylądka między godziną dwunastą a trzynastą. Niestety, o tej porze zacznie się odpływ i morze zacznie się wycofywać z zatoki. Obawiam się, że trudno będzie do niej wpłynąć, mając przeciwko sobie wiatr i morze.

– Zwłaszcza że dzisiaj będzie pełnia księżyca – zauważył Harbert – a kwietniowe pływy są bardzo silne.

– Czy zatem mógłby pan, Pencroff, zakotwiczyć przy cyplu przylądka? – spytał Cyrus Smith.

– Zakotwiczyć blisko ziemi, mając w perspektywie nadejście złej pogody?! – zawołał marynarz. – Wyobraża pan to sobie, panie Cyrusie? To tak, jakbyśmy sami chcieli rzucić się wybrzeże!

– Cóż więc pan zrobi?

– Postaram się krążyć po morzu aż do przypływu, to znaczy do siódmej wieczorem, i jeśli będzie jeszcze widno, spróbuję wpłynąć do zatoki. Jeśli to się nie uda, będziemy musieli krążyć po morzu całą noc i do zatoki dostaniemy się dopiero jutro o świcie.

– Jak już mówiłem, Pencroff, zdajemy się na pana – odparł Cyrus Smith.

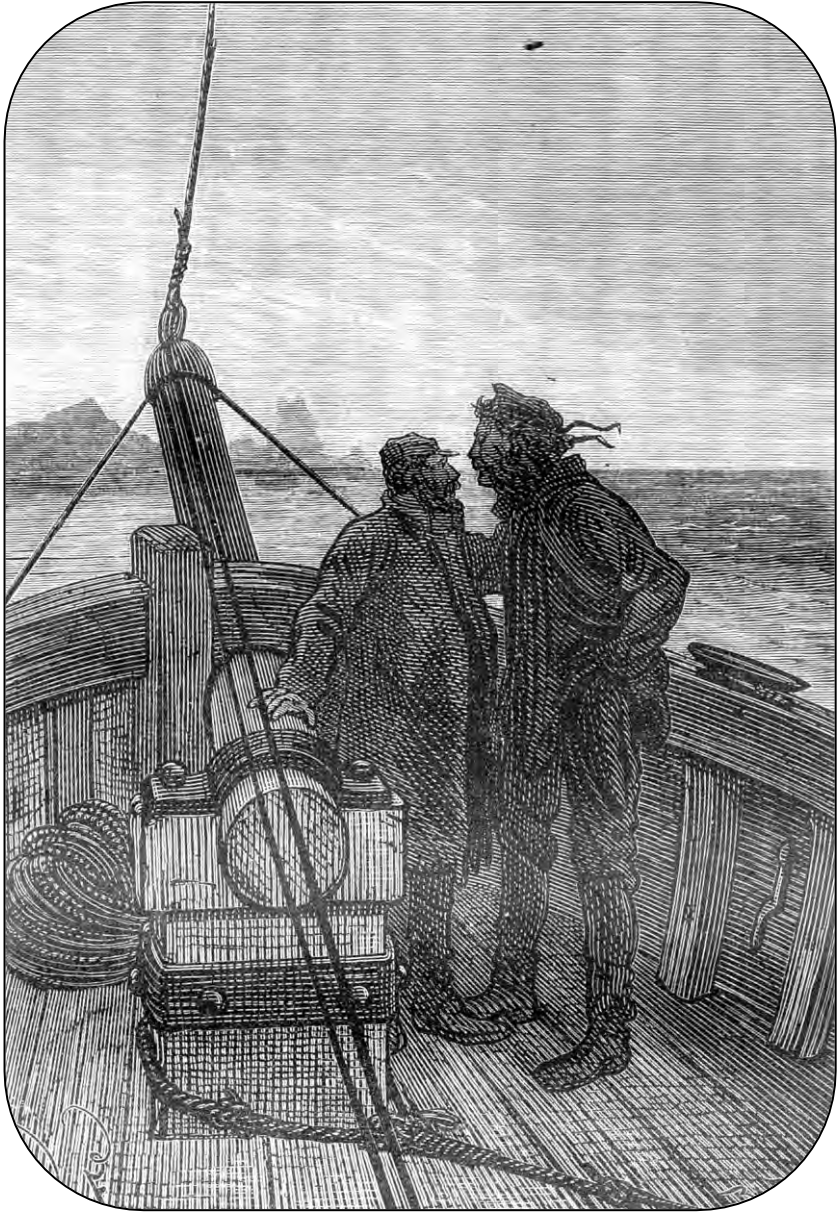
– Ach, gdyby była na tym wybrzeżu latarnia morska, żeglarze mieliby ułatwione zadanie! – westchnął marynarz.

– Zgadza się – przyznał Harbert – a tym razem żaden uprzejmy inżynier nie rozpalił ognia, by nas prowadził do portu!

– A właśnie, mój drogi Cyrusie – powiedział Gedeon Spilett – dotąd jeszcze nie podziękowaliśmy panu za to, a szczerze mówiąc, bez tego ognia nigdy nie zdołalibyśmy dotrzeć...

– Ognia...? – spytał Cyrus Smith, mocno zdziwiony słowami reportera.

– Chcemy powiedzieć, panie Cyrusie – tłumaczył Pencroff – że byliśmy w nie lada tarapatkach na pokładzie „Bonadventure”



– Jeśli na tym świecie jest coś pewnego, Gedeonie,
to fakt, że nigdy nie rozpałem ognia w nocy.

w ostatnich godzinach poprzedzających nasz powrót, i z pewnością minęlibyśmy wyspę po zawietrznej, gdyby nie pańska rozważa, by przed Granitowym Pałacem rozpać ogień w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października.

– Tak! Tak...! Faktycznie wpadłem na dobry pomysł! – przyznał inżynier.

– Leczyć tym razem – dodał marynarz – jeśli taka myśl nie wpadnie do głowy Ayrtonowi, nie będzie nikogo, kto mógłby nam oddać tę drobną przysługę!

– Nie! Nikt! – odparł Cyrus Smith.

Kilka chwil później inżynier, znalazłszy się sam z reporterem na dziobie łodzi, nachylił do jego ucha i powiedział:

– Jeśli na tym świecie jest coś pewnego, Gedeonie, to fakt, że nigdy nie rozpałem ognia w nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października, ani na płaskowyżu przy Granitowym Pałacu, ani w żadnej innej części wyspy!



Rozdział XX

Noc na morzu – Zatoka Rekina – Zwierzenia – Przygotowania do zimy – Wczesne nadejście zimy – Wielkie mrozy – Prace wewnątrz Granitowego Pałacu – Po sześciu miesiącach – Klisza fotograficzna – Nieoczekiwane zdarzenie

Wszystko potoczyło się tak, jak przewidział Pencroff, gdyż przecucia nie mogły go zwieść. Wiatr zaczął się wzmacniać i z „dość silnego wiatru” zmienił się w „sztorm”, czyli osiągnął prędkość czterdziestu do czterdziestu pięciu mil na godzinę¹, i każdy statek, który przebywałby na pełnym morzu, musiałby całkowicie zrefować główne żagle i zwinąć bramsle². Otóż była już niemal szósta, gdy „Bonadventure” znalazł się na wysokości zatoki, a ponieważ odpływ był wciąż odczuwalny, nie było mowy o wpłynięciu do niej. Musieli więc krążyć po morzu, gdyż nawet przy najlepszych chęciach Pencroff nie zdołałby dotrzeć nawet do ujścia Rzeki Dziękczynienia. Tak więc, po zmianie foka na fok sztormowy, ustawił stateczek dziobem do lądu i czekał³.

¹ Według nazw podanych przez J. Verne’a wiatr o sile 5 stopni w skali Beauforta, zaczął wiać z siłą 8 stopni w tej samej skali, więc jego prędkość powinna wynosić 34-40 mil morskich na godzinę; nie jest to jednak pomyłka, autor podał bowiem prędkość wiatru w jednostkach stosowanych w krajach anglosaskich, milach angielskich na godzinę (1,61 km/h); natomiast prędkość podana przez J. Verne’a (106 km na godzinę) wskazuje na „gwałtowny sztorm”, czyli jedenasty stopień w skali Beauforta, co lepiej mogłoby odzwierciedlać gwałtowność nawałnicy.

² *Bramsle* – żagle znajdujące się powyżej marsli (trzeci rząd żagli, patrząc od pokładu).

³ Podajemy dalej wersję mniej więcej prawidłową, gdyż J. Verne trochę tutaj namieszał, ponieważ napisał: „po postawieniu foka przy grotmaszcie za-

Na szczęście, chociaż wiatr był bardzo silny, morze – osłonięte przez wybrzeże – nie było zbyt wzburzone. Nie musiano się więc obawiać uderzeń olbrzymich fal, które stanowią wielkie zagrożenie dla małych łodzi. „Bonadventure” bez wątpienia nie przewróciłby się, gdyż był dobrze dociążony balastem, jednak olbrzymie ilości wody spadające na pokład mogłyby go uszkodzić, gdyby nie wytrzymały pokrywy luków. Pencroff, będąc doświadczonym marynarzem, przygotował się na każdą ewentualność. Oczywiście miał wielkie zaufanie do swej łodzi, niemniej jednak z pewnym niepokojem wyczekiwał dnia.

Podczas tej nocy Cyrus Smith i Gedeon Spilett nie mieli okazji, żeby ze sobą porozmawiać, choć ze względu na zdanie wypowiedziane na ucho reporterowi warto było jeszcze raz przedyskutować kwestię tajemniczego wpływu jakichś sił, który zdawał się panować na Wyspie Lincoln. Gedeon Spilett nie przestawał myśleć o tym nowym i niewytłumaczalnym incydencie, jakim było pojawienie się ognia na wybrzeżu. Przecież naprawdę widział ten ogień! Także jego towarzysze, Harbert i Pencroff, też go widzieli! Dzięki niemu mogli ustalić położenie wyspy w ową ciemną noc i żaden z nich nie wątpił, że to ręka inżyniera go rozpałiła, a oto Cyrus Smith kategorycznie stwierdził, że niczego takiego nie uczynił!

Gedeon Spilett przyrzekł sobie, że powróci do kwestii tego zdarzenia, jak tylko „Bonadventure” wróci z podróży, i spróbuje przekonać Cyrusa Smitha, by zapoznał swych towarzyszy z dziwnymi faktami. Być może zdecydują się wspólnie zbadać wszystkie zakątki Wyspy Lincoln.

miast foka sztormowego”, co nie ma sensu; przy silnych wiatrach na grotmaszcie stawia się zamiast grotżagla tzw. trajsel (mały trójkątny żagiel z wytrzymałego materiału), a zamiast foka daje się fok sztormowy (dużo mniejszy od foka), który wciągany jest nie przy maszcie, ale na sztagu (tutaj przytrzymującym grotmaszt od strony dziobu).

Tego wieczora wszakże żadne ognisko nie zapłonęło na tych nieznanych im jeszcze brzegach tworzących wejście do zatoki, i łódź przez całą noc trzymała się na pełnym morzu z dala od lądu.

Gdy na wschodnim horyzoncie zarysowały się pierwsze przebłyski świtu, wiatr, który nieco zelżał, zmienił kierunek o dwa rumby, co pozwoliło Pencroffowi bez trudu wpłynąć wąskim przesmykiem do zatoki. Około siódmej rano „Bonadventure”, wzięwszy uprzednio kurs na północny Przylądek Szczęki, ostrożnie pokonał przesmyk i wpłynął do zatoki otoczonej niezwykle obramowaniem z zastygłej lawy.

– Oto kawałek morza – powiedział Pencroff – który mógłby stanowić wspaniałą redę¹, gdzie mogłyby dowolnie manewrować całe flotyle!

– Najciekawsze jest to – zauważył Cyrus Smith – że tę zatokę utworzyły dwa potoki lawy wypłutej przez wulkan, które gromadziły się tu w wyniku kolejnych erupcji. Dzięki temu zatoka jest osłonięta ze wszystkich stron i można przypuszczać, że nawet w czasie największej wichury morze jest tutaj spokojne jak wody jeziora.

– Bez wątpienia – odparł marynarz – gdyż wiatr może się tu dostać tylko wąskim przesmykiem pomiędzy dwoma przylądkami, a na dodatek przylądek północny osłania przylądek południowy, co bardzo utrudnia dostawanie się tutaj gwałtownych uderzeń wiatru. Doprawdy, nasz „Bonadventure” mógłby tu stać przez cały rok, nawet nie naprężając kotwicznego łańcucha!

– Taki port jest dla niego trochę za duży! – zauważył reporter.

– Ejże, panie Spilett – odparł marynarz – zgadzam się, że jest zbyt wielki dla „Bonadventure”, ale jeśli floty Unii będą potrze-

¹ Reda – obszar wody poza falochronem, gdzie kotwiczą statki czekające na wejście do portu.

bowwały pewnego schronienia na Pacyfiku, to sędzę, że nigdy nie znajdą lepszego niż ta reda!

– Jesteśmy w paszczy rekina – zauważył wtedy Nab, robiąc aluzję do kształtu zatoki.

– W samym środku tej paszczy, dzielny Nabie! – odparł Harbert. – Chyba nie boisz się, że nas w sobie zamknie, nieprawdaż?

– Nie, panie Harbercie – odrzekł Nab – a jednak ta zatoka niezbyt mi się podoba! Ma jakiś paskudny pysk!

– Dobrze sobie! – wykrzyknął Pencroff. – Oto Nab deprecjonuje moją zatokę, i to właśnie w chwili, gdy medytuję, by złożyć ją w hołdzie Ameryce!

– Czy przynajmniej woda jest tutaj głęboka? – spytał inżynier. – Gdyż o ile wystarczy jej pod kilem „Bonadventure”, nie musi wystarczyć dla opancerzonych okrętów.

– Łatwo to sprawdzić – odparł Pencroff.

Marynarz wrzucił do wody długą linę, która posłużyła mu za linkę sondy, z przyczepionym do niej kawałem żelaza. Lina mierzyła około pięćdziesięciu sążni i rozwinęła się cała, nie dotknawszy dna.

– Nasze pancerniki mogą tu spokojnie wpływać! – rzekł Pencroff. – Nie osiadą na mieliźnie!

– Rzeczywiście, ta zatoka to prawdziwa otchłań – powiedział Cyrus Smith – lecz biorąc pod uwagę plutoniczne pochodzenie wyspy, nie jest zaskoczeniem, że dno morza wykazuje podobną depresję.

– Można by także powiedzieć – zauważył Harbert – że te ściany zostały ucięte w pionie, i przypuszczam, że Pencroff mógłby użyć sondy pięć lub sześć razy dłuższej, a i tak nie osiągnęłyby ich podnóża.

– Wszystko to pięknie – rzekł wówczas reporter – chciałbym jednak zwrócić Pencroffowi uwagę, że na jego redzie brakuje bardzo ważnej rzeczy.

– Jakiej, panie Spilett?

– Jakiejś rozpadliny czy choćby szczeliny, którą można by się dostać na wyspę. Nie ma gdzie postawić stopy!

Rzeczywiście, wysokie, bardzo strome zwały lawy nie oferowały na całym obwodzie zatoki ani jednego miejsca do zejścia na ląd. Była to niedająca się przekroczyć kurtyna przypominająca norweskie fiordy¹, ale o jeszcze bardziej surowym wyglądzie. „Bonadventure” żeglował blisko skalnych ścian, niemal ocierając się o nie, i nie znalazł najmniejszej szczeliny, która pozwoliłaby pasażerom opuścić pokład.

Pencroff pocieszał się, mówiąc, że wspomagając się miną, można by rozpruć brzuch tej ściany, gdyby okazało się to konieczne. Skoro jednak zdecydowanie nie było już nic do roboty w zatoce, marynarz skierował łódź ku wąskiemu przesmykowi i wypłynął z niej około godziny drugiej po południu.

– Uff! – rzekł Nab i westchnął z ulgą.

Doprawdy można było powiedzieć, że dzielny Murzyn czuł się nieswojo w tej olbrzymiej szczęce!

Od Przylądka Szczęki do ujścia Mercy River dzieliła ich odległość około ośmiu mil. Obrano więc kurs w stronę Granitowego Pałacu i „Bonadventure”, płynąc baksztagiem², posuwał się wzdłuż wybrzeża w odległości jednej mili. Wkrótce olbrzymie skały wulkaniczne ustąpiły miejsca kapryśnym wydmom, wśród których w taki osobliwy sposób odnaleziono inżyniera, i które nawiedzały setki morskich ptaków.

¹ *Fiord* – długa, wąska, głęboka i rozgałęziona zatoka wśród skalistych, wysokich (do 1000 m) i stromych brzegów, powstała przez zalanie żłobów i dolin polodowcowych na obszarze górskim; element krajobrazu Norwegii, Szkocji, Grenlandii, Labradoru, Patagonii i Nowej Zelandii; najbardziej charakterystyczne fiordy znajdują się na wybrzeżu norweskim.

² *Baksztag* – tu: kurs statku względem wiatru, gdy wiatr wieje z kierunków zawartych między rufą a poprzeczną osią statku.

Około czwartej Pencroff, pozostawiając po swej lewej stronie cypel wysepki, wpływał do kanału oddzielającego ją od wybrzeża, i o piątej kotwica „Bonadventure” wgrzyła się w piasek u ujścia Rzeki Dziekczynienia.

Minęły już trzy dni, odkąd koloniści opuścili swoje domostwo. Ayrton czekał na nich na brzegu, a mistrz Jup wybiegł im radośnie na spotkanie, wydając głośne pochrząkiwania zadowolenia.

Wyprawa badawcza wzdłuż wybrzeży wyspy została zakończona, lecz nie odnaleziono żadnych podejrzanych śladów. Jeśli przebywała tu jakaś tajemnicza istota, to kryła się ona wśród nieprzeniknionych lasów Półwyspu Serpenty, tam, gdzie koloniści jeszcze nigdy nie dotarli.

Gedeon Spilett porozmawiał o tym wszystkim z inżynierem i razem postanowili, że zwrócą uwagę swych towarzyszy na dziwny charakter niektórych wydarzeń, do których doszło na wyspie i z których ostatnie należało do zupełnie niewytłumaczalnych.

Powracając znów do incydentu z ogniem rozpalonym na brzegu nieznaną ręką, Cyrus Smith nie mógł się powstrzymać od pytania reportera po raz dwudziesty:

– Czy jest pan pewny, że dobrze to widział? Nie był to jakiś szczątkowy wybuch wulkanu? Może jakiś meteor?

– Nie, Cyrusie – odpowiadał reporter – to bez wątpienia był ogień rozpalony ręką człowieka. Zresztą proszę spytać Pencroffa i Harberta. Widzieli go tak samo jak ja i potwierdzą moje słowa.

W następstwie tych rozmów kilka dni później, wieczorem dwudziestego piątego kwietnia, gdy wszyscy koloniści zgromadzili się na Płaskowyżu Rozległego Widoku, Cyrus Smith zabrał głos i powiedział:

– Moi przyjaciele, uważam, że muszę zwrócić waszą uwagę na pewne zjawiska, które miały miejsce na wyspie i na temat

których chciałbym usłyszeć wasze zdanie. Te zdarzenia są, że tak powiem, nadprzyrodzone...

– Nadprzyrodzone! – zawołał marynarz, wydmuchując kłęb dymu. – Czyżby nasza wyspa była nadprzyrodzona?

– Nie, Pencroff, ale niechybnie jest tajemnicza – odparł inżynier – chyba że uda ci się wyjaśnić to, czego Spilett i ja nie potrafimy do tej pory zrozumieć.

– Proszę mówić, panie Cyrusie – powiedział marynarz.

– No więc czy pan pojmuje – zaczął inżynier – jak to się mogło stać, że po tym, jak wpadłem do morza, zostałem odnaleziony ćwierć mili od brzegu, w głębi wyspy, chociaż nie jestem świadom tego, że tam się przemieściłem?

– Być może nieświadomie... – rzekł Pencroff.

– To niemożliwe – odparł inżynier. – Idźmy dalej. Czy rozumiecie, jakim sposobem Top odnalazł wasze schronienie pięć mil od grotty, w której leżałem?

– Instynkt psa... – odparł Harbert.

– Osobliwy instynkt – zauważył reporter – skoro mimo szalejącego tej nocy deszczu i wiatru Top dotarł do Kominów suchy i bez śladu błota na sierści!

– Idźmy dalej – ciągnął inżynier. – Czy rozumiecie, dlaczego po walce z diugoniem nasz pies został w tak dziwny sposób wyrzucony ponad wody jeziora?

– Przyznaję, że nie za bardzo – odparł Pencroff. – A ta rana w boku diugonia wyglądała tak, jakby została zadana ostrym narzędziem, co jest kompletnie niezrozumiałe.

– Idźmy jeszcze dalej – ciągnął Cyrus Smith. – Czy rozumiecie, moi przyjaciele, w jaki sposób ziarnko ołowiu znalazło się w ciele młodego pekari; jak skrzynia szczęśliwie osiadła na piasku, choć nigdzie nie było śladów rozbicia się statku; jakim cudem udało nam się znaleźć butelkę z dokumentem podczas

naszej pierwszej wycieczki po morzu; jak nasza łódeczka, zerwawszy cumę, dopłynęła z biegiem Rzeki Dziękczynienia dokładnie w chwili, gdy jej potrzebowaliśmy; jak po inwazji małą drabinka cudem spadła z wysokości Granitowego Pałacu; wreszcie, skąd się wziął dokument, którego Ayrton, jak twierdzi, nie napisał?

Cyrus Smith wyliczał, nie zapominając o żadnym z dziwnych wydarzeń, do których doszło na wyspie. Harbert, Pencroff i Nab spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co odpowiedzieć, gdyż ów ciąg incydentów, po raz pierwszy zgrupowanych, zaskoczył ich w najwyższym stopniu.

– Na honor! – rzekł wreszcie Pencroff. – Ma pan rację, panie Cyrusie, trudno te wszystkie sprawy wytłumaczyć!

– A zatem, moi przyjaciele – mówił dalej inżynier – do tych wszystkich wydarzeń należy teraz dodać jeszcze jedno, nie mniej niezrozumiałe!

– Jakie, panie Cyrusie? – spytał żywo Harbert.

– Mówił pan, Pencroff, że gdy wracaliście z wyspy Tabor – kontynuował inżynier – na Wyspie Lincolna rozbłysnął ogień?

– Bez wątpienia – odparł marynarz.

– I jest pan pewny, że widział ten ogień?

– Jak teraz pana widzę.

– Ty także, Harbercie?

– Och, panie Cyrusie! – zawołał Harbert. – Ten ogień błyszczał jak gwiazda pierwszej wielkości!

– Ale to nie była gwiazda? – spytał inżynier z naciskiem.

– Nie – odparł Pencroff – ponieważ niebo było przykryte grubą warstwą chmur, a gwiazda w żadnym wypadku nie mogła się znaleźć tak nisko nad horyzontem. Przecież pan Spilett tak samo go widział i może potwierdzić nasze słowa!

– Dodam jeszcze – rzekł reporter – że ten ogień był bardzo jasny i emanował jakby elektryczną poświatą.

– Tak! tak! dokładnie... – potwierdził Harbert. – Z pewnością znajdował się na wysokości Granitowego Pałacu.

– No cóż, moi przyjaciele – rzekł Cyrus Smith – tamtej nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października ani Nab, ani ja nie rozpaliliśmy żadnego ognia na wybrzeżu.

– Nie rozpaliliście...?! – wykrzyknął Pencroff tak zdumiony, że nie mógł nawet dokończyć rozpoczętego zdania.

– Nie opuściliśmy Granitowego Pałacu – rzekł Cyrus Smith – a jeśli na wybrzeżu pojawił się ogień, to zapaliła go inna ręka niż nasza!

Pencroff, Harbert i Nab byli oszołomieni. To nie mogło być przywidzenie, przecież na własne oczy widzieli ogień tamtej nocy z dziewiętnastego na dwudziesty października!

Tak! Należało to przyznać: istniała jakaś tajemnica! Jakaś niewytłumaczalna moc, przychylna rzecz jasna kolonistom i wielce podniecająca ich ciekawość, dawała o sobie znać, i to w samą porę. Czyżby więc jakaś istota kryła się na wyspie w jakimś jej najodleglejszym zakątku? Trzeba było to sprawdzić za wszelką cenę!

Cyrus Smith przypomniał również towarzyszom o dziwnym zachowaniu Topa i Jupa, gdy krążyli w pobliżu otworu studni łączącej Granitowy Pałac z morzem. Opowiedział im także o tym, że zbadał wnętrze studni, lecz nie odkrył nic podejrzanego. Ostatycznym wynikiem tej rozmowy było podjęcie przez wszystkich członków kolonii decyzji o gruntownym przeszukaniu wyspy, gdy tylko znów nadejdzie wiosna.

Począwszy jednak od tego dnia, Pencroff wydawał się czymś zatroskany. Wyspa, którą traktował jak swoją osobistą własność, przestała należeć do niego w całości, gdyż dzielił ją z innym panem, któremu chcąc nie chcąc podlegał. Często rozmawiał z Nabem na temat tych niewytłumaczalnych zdarzeń i obaj –

z natury skłonni do wiary w cuda – byli bliscy uwierzenia, że Wyspa Lincolnna podlega jakiejś nadprzyrodzonej mocy.

Tymczasem w połowie maja – czyli listopada północnych stref globu – nadeszła zła pogoda. Zanosiło się na to, że zima będzie mroźna i wczesna. Dlatego też bez zwłoki podjęto prace związane przezimowaniem.

Zresztą koloniści byli już dobrze przygotowani do przetrwania tej zimy, jakkolwiek ciężka miałyby ona być. Nie brakowało filcowej odzieży, gdyż liczne muflony dostarczyły wełny, niezbędnej do wyrobu tego ciepłego materiału.

Nie trzeba dodawać, że Ayrton także otrzymał wygodne i ciepłe ubranie. Cyrus Smith zaproponował mu, by spędził zimę w Granitowym Pałacu, gdzie będzie mu wygodniej niż w *corralu*, Ayrton zaś obiecał, że to uczyni, gdy tylko zakończy niezbędne prace. Tak też zrobił w połowie kwietnia. Od tego czasu Ayrton dzielił z nimi życie i okazał się niezwykle przydatny w różnych sytuacjach, ale nadal pokorny i smutny, nigdy nie brał udziału w rozrywkach swoich towarzyszy!

Przez większą część trzeciej zimy spędzanej na Wyspie Lincolnna osadnicy siedzieli zamknięci w Granitowym Pałacu. Na zewnątrz szalały burze i wichury tak straszliwe, że wydawały się wstrząsać skałami aż do ich podstaw. Olbrzymie fale groziły kompletnym zalaniem wyspy i z pewnością każdy statek zacumowany u jej brzegów zatonałby tutaj z ludźmi i całym dobytkiem. Dwukrotnie podczas jednej z tych burz Rzeka Dziękczynienia wezbrała do tego stopnia, że zaczęto się obawiać, czy nie zerwie mostów oraz kładek. Trzeba było nawet wzmocnić mostek na wybrzeżu, który podczas nawałnicy zniknął całkiem pod wodą.

Łatwo sobie wyobrazić, że uderzenia wiatru, dające się porównać z trąbami powietrznymi, siekące na przemian deszczem i śniegiem, spowodowały spustoszenie na Płaskowyżu Rozległe-

go Widoku. Najbardziej ucierpiały wiatrak i ptaszarnia. Kolo- niści musieli często dokonywać tam pilnych napraw, inaczej życie ptaków byłoby poważnie zagrożone.

W czasie tych strasznych zimowych dni kilka par jaguarów i bandy czwororękich istot przedostały się na skraj płaskowyżu i wciąż należało się obawiać, że najbardziej zwinne i najod- ważniejsze z nich, pchane głodem, zdołają pokonać strumień, który, gdy zamarzną, był łatwy do przejścia. Wtedy zostałyby znisz- czone uprawy, a zwierzęta domowe zginęłyby z całą pewnością, należało więc wciąż ich doglądać, a nawet od czasu do czasu oddawać kilka strzałów, żeby trzymać niebezpiecznych gości na odpowiednią odległość. Pracy więc nie brakowało owym zi- mownikom, bo nie licząc zajęć na zewnątrz, w Granitowym Pa- łacu też było co robić.

Nie było się także w owe mroźne dni bez kilku wspania- łych polowań na rozległych terenach Bagien Oharów. Gedeon Spilett i Harbert, wspomagani przez Topa i Jupa, nie zmarno- wali ani jednego naboju, strzelając w chmary kaczek, kszyków, cyranek, rożeńców i czajek. Poza tym dostęp do tego obfitujące- go w zwierzynę obszaru był łatwy, wiodąc albo drogą do Portu Balonu, gdy przeszło się przez most na Rzece Dziękczynienia, albo też trasą okrążającą skały na Cyplu Szczątka, i myśliwi nigdy nie oddalali się od Granitowego Pałacu dalej niż na dwie, trzy mile.

Tak minęły cztery miesiące zimy, mianowicie czerwiec, li- piec, sierpień i wrzesień, która rzeczywiście była surowa. Na szczęście Granitowy Pałac nie ucierpiał zbytnio z powodu trud- nych warunków atmosferycznych, podobnie jak *corral*, mniej narażony niż płaskowyż i częściowo osłonięty przez Górę Fran- klina, dzięki czemu docierały do niej wiatry już osłabione przez lasy oraz wysokie skały wybrzeża. Szkody były zatem niewiel-

kie, a wystarczyła zręczność Ayrtona, by naprawić je bardzo szybko, kiedy w drugiej połowie października wrócił na kilka dni do *corralu*.

Tej zimy nie wydarzył się żaden niewytłumaczalny incydent. Nie zaszło nic dziwnego, choć Pencroff i Nab niecierpliwie wyczekiwali na najdrobniejsze wydarzenie, któremu można by przypisać tajemniczą przyczynę. Nawet Top i Jup nie krążyli już wokół studni i nie dawali żadnych oznak niepokoju. Wydawało się więc, że seria nadprzyrodzonych zdarzeń została przerwana, chociaż często rozmawiano na ten temat podczas długich zimowych wieczorów w Granitowym Pałacu i trwano w postanowieniu, żeby przebadać nawet najbardziej niedostępne zakamarki wyspy. Doszło jednak do wydarzenia najwyższej wagi, którego konsekwencje mogły być zgubne i które chwilowo odwiódło Cyrusa Smitha i jego towarzyszy od podjętych zamierzeń.

Był październik. Wielkimi krokami zbliżała się wiosna, pod promieniami słońca budziła się natura, a pośród wiecznie zielonych drzew iglastych rosnących na skraju lasu można już było dostrzec młodziutkie listki wiązowców, banksji oraz cedrów himalajskich.

Jak sobie przypominamy, Gedeon Spilett i Harbert fotografowali wielokrotnie różne zakątki Wyspy Lincoln.

Siedemnastego października około godziny trzeciej po południu Harbert, oczarowany czystością nieba, postanowił uwiecznić na fotografii całą Zatokę Unii rozciągającą się naprzeciw Płaskowyżu Rozległego Widoku, od Przylądka Szczęki do Przylądka Pazura.

Horyzont był przepięknie zarysowany, powierzchnia morza marszczyła się lekko pod wpływem delikatnego wietrzyku, a na drugim planie widniała nieruchoma tafla jeziora, poprzecinana tu i ówdzie błyszczącymi cętkami.



Cyrus Smith przyjrzał się jej uważnie,
następnie chwycił lunetę i podbiegł do okna.

Obiektów umieszczono w jednym z okien wielkiej sali Granitowego Pałacu, dzięki czemu górował on nad wybrzeżem i zatoką. Harbert postępował jak zwykły był to czynić zawsze, a uzyskawszy kliszę, poszedł ją utrwalić przy użyciu substancji przechowywanych w ciemnym kącie Granitowego Pałacu.

Przyjrząwszy się jej następnie w pełnym świetle, Harbert spostrzegł na swojej kliszy niemal niedostrzegalną małą skazę w miejscu, gdzie woda stykała się z niebem. Próbował ją usunąć, poprzez ponowne kąpanie kliszy, ale bez rezultatu.

„To pewnie jakaś skaza na szkle” – pomyślał.

Z ciekawości postanowił przyjrzeć się tej skazie przez silne szkło powiększające, korzystając z soczewki wyjętej z lunety.

Ledwie na nią popatrzył, krzyknął głośno, a klisza omal nie wypadła mu z rąk.

Natychmiast pobiegł do pokoju, w którym przebywał Cyrus Smith, podał mu kliszę oraz szkło powiększające i wskazał na niewielką plamkę.

Cyrus Smith przyjrzał się jej uważnie, następnie chwycił lunetę i podbiegł do okna.

Luneta, powoli przesuwając się wzdłuż linii horyzontu, wreszcie zatrzymała się na podejrzanym punkcie. Cyrus Smith opuścił ją i wypowiedział tylko jedno słowo:

– Statek!

Rzeczywiście, na wysokości Wyspy Lincolnna znajdował się statek!

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ



SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział I	7
Rozdział II	20
Rozdział III	37
Rozdział IV	54
Rozdział V	68
Rozdział VI	83
Rozdział VII	100
Rozdział VIII	116
Rozdział IX	131
Rozdział X	147
Rozdział XI	163
Rozdział XII	180
Rozdział XIII	200
Rozdział XIV	214
Rozdział XV	229
Rozdział XVI	242
Rozdział XVII	257
Rozdział XVIII	274
Rozdział XIX	289
Rozdział XX	303